



ROBERTO ESCOBAR

DAVID FISHER

KSIĘGOWY

MAFII

BRUTALNY ŚWIAT
KARTELU
NARKOTYKOWEGO
Z MEDELLIN

Świat Książki

ROBERTO ESCOBAR

DAVID FISHER

KSIĘGOWY

BRUTALNY ŚWIAT
KARTELU
NARKOTYKOWEGO
Z MEDELLIN

MAFII

Świat Książki

Od autora

W naszym świecie błyskawicznej komunikacji legendarne sławy rodzą się w nader prosty sposób. Wystarczy zrobić wokół siebie trochę szumu i już się trafia na okładki kolorowych magazynów i błyszczy w newsach telewizji kablowej dwadzieścia cztery godziny na dobę. Legenda może stać się praktycznie każdy - polityk, estradowiec, sportowiec, kryminalista czy dziwak. A gdy już media kogoś namaszczą na celebrytę, to zaraz biorą go do „Tańca z Gwiazdami”.

Pablo Escobar wylansował się na człowieku legendę w sposób dość staroświecki, bo prawdziwe legendy, takie właśnie jak on, budują się z wolna. Miarą naprawdę legendarnych postaci jest właśnie towarzysząca im legenda, a ta musi potężnieć, narastać i wyrastać ponad i poza granice rzeczywistości, a już z całą pewnością musi okazać się trwalsza niż życie. Człowieka legendę świat musi znać z imienia.

Pablo Escobar zajął miejsce na liście przestępców celebrytów po jej mrocznej stronie, obok takich legendarnych postaci jak pirat Edward Teach zwany „Czarnobrodym”, Jesse James i Al Capone. Nie ma wątpliwości, że powstaną o nim filmy, zresztą nie po to, aby dociec istoty sprawy, ale żeby wyeksploatować nośny temat. Pablo Escobar zyskał złą sławę jako najzdolniejszy, najbardziej bezwzględny i z pewnością najbardziej głośny hurtownik narkotyków w całej historii. Wielbili go kolumbijscy nędzarze i wykluczeni, nienawidzili przywódcy państwowi. Stał się najbogatszym, najmajątniejszym kryminalistą w dziejach. Budował osiedla mieszkaniowe dla potrzebujących, a jednocześnie siał śmierć. Został multimiliarderem i przez lata potrafił wymykać się obławom, a polowały na niego całe armie. Kiedy zabierałem się do tej książki, wiedziałem o nim niewiele, znałem tylko trochę faktów, jakie dało się wyłuskać z krążących opowieści, na przykład takich, że jego nazwisko stało się synonimem kolumbijskiej kokainy, która jak powódź zalała Stany Zjednoczone, i że magazyn „Forbes” umieścił go na liście dziesięciu najbogatszych ludzi na świecie.

Zanim zasiadłem do długich rozmów, a w istocie serii wywiadów z jego bratem Robertem, bardzo starannie udokumentowałem temat. Z grubsza potwierdziłem to, co już wiedziałem, ale też zebrałem sporo ważnych

szczegółów. Fakty z życia Pabla Escobara to jakby cegiełki, z których później powstała legenda. Urodził się w Kolumbii w roku 1949, w okresie gwałtownych zamieszek, w których życie straciły dziesiątki tysięcy jego rodaków. Wychował się i wyrastał w rodzinie należącej do niższej klasy średniej. Na początku lat siedemdziesiątych wszedł na drogę przestępstwa, a pod koniec tej dekady działał już w handlu narkotykami. Miał wybitne zdolności organizacyjne, dzięki czemu zwerbował innych działających w branży, tworząc sieć, która rychło zyskała miano kartelu z Medellín. Sprzyjał im czas, akurat wtedy co bogatsi Amerykanie zakochali się w kokainie. I właśnie on, Pablo Escobar, pośpieszył z dostawami, aby nasycić amerykański apetyt. A ten był przeogromny. Popytu nie zaspokajały nawet niezliczone setki ton narkotyku przemycane do Stanów Zjednoczonych. Pablo wręcz zrewolucjonizował handel, tworząc nowe szlaki i wymyślając coraz to nowe metody megatransportów narkotyków do Ameryki, a z czasem także do Europy. Dzięki temu i on, i jego wspólnicy dorobili się miliardów. Sam Pablo poświęcił z tego wiele milionów na pomoc dla najuboższych mieszkańców Kolumbii. Budował domy, kupował i rozdawał żywność, leki, opłacał komorne i chesne. Stał się idolem i bohaterem biednych i wykluczonych.

A tymczasem największym lękiem przepełniało go - i nie tylko jego, bo wszystkich handlarzy - że Kolumbia wdroży układ o ekstradycji ze Stanami Zjednoczonymi, na mocy którego mógłby skończyć w amerykańskim więzieniu.

W roku 1982 Pablo wszedł do polityki, został wybrany do Kongresu jako tak zwany zastępca posła. Twierdził, że w tej roli chce służyć przede wszystkim biednym. Nie można wykluczyć, że to prawda, podobnie jak nie można wykluczyć tezy, że chciał zyskać immunitet, który chroniłby go przed ekstradycją. Chociaż twierdził wtedy, że majątku dorobił się na nieruchomościach, to jednak w roku 1983 ówczesny minister sprawiedliwości Rodrigo Lara Bonilla oskarżył go publicznie, że handluje narkotykami. Po raz pierwszy coś, o czym mówiło się po cichu, zostało wyciągnięte na forum publiczne. Kiedy Lara Bonilla zginął w zamachu w kwietniu 1984 roku, winę przypisano Pablowi, za jego polityczną karierą legła w gruzach.

Rychło akty przemocy, z których kartel z Medellín miał zasłynąć, stały się w Kolumbii codziennością. W roku 1985 w Medellín dokonano tysiąca siedmiuset zabójstw, a to był tylko początek. Liczba ofiar będzie wzrastać.

Pablo i inni liderzy kartelu musieli zejść do podziemia. Bywało, że przez całe miesiące kryli się w dżungli, nierzadko dosłownie w ostatniej chwili wymykając się z obławy. W listopadzie 1985 roku rebelianci przypuścili Walny atak na Pałac Sprawiedliwości. Zginęły setki ludzi, a wśród nich kilku sędziów Sądu Najwyższego. Pabla oskarżono o sfinansowanie operacji, której celem - jak twierdzono - było zniszczenie zebranych przeciwko niemu akt i dowodów. Atak na władze zaszokował całą Kolumbię, a nazwisko Pabla Escobara stało się głośne w świecie.

W roku 1988 konkurencyjny kartel z Cali też wydał wojnę kartelowi z Medellín - pierwszą salwę wystrzelono w dom Pabla. Liczba zabójstw w Kolumbii zaczęła wzrastać. Nocami ulice większych miast ziały pustkami. A mimo to rzeka narkotyków płynąca do Stanów wzbierała jeszcze bardziej. Pablo z towarzyszami, a wśród nich z Robertem, z powodzeniem wymykał się obławom, a jednocześnie wystawił do walki własne, prywatne wojsko. Jednak jeden po drugim przywódcy kartelu trafiali za kraty bądź ginęli w obławach.

Z nastaniem 1989 roku mnożyły się zamachy na urzędników państwowych rozmaitych szczebli, a w wielkich miastach niemal codziennie wybuchały bomby. Doszło nawet do zamachu na samolot rejsowy. W wyniku wybuchu podłożonej bomby zginęło wszystkich stu siedmiu pasażerów lotu Avianca HK 1803. Świat był w szoku. Winą znów obarczono Pabla, umacniając jego reputację najbardziej bezwzględnego kryminalisty w dziejach. Tydzień później potężny ładunek eksplodował w siedzibie DAS - kolumbijskiego FBI. Zginęło osiemdziesiąt dziewięć osób. Do wojny przeciwko Pablowi Escobarowi wkroczyły oddziały amerykańskich sił specjalnych.

W odwecie Pablo zaczął wydawać wyroki na policjantów. W ciągu kilku miesięcy zginęło ponad dwustu pięćdziesięciu funkcjonariuszy. W roku 1991 władze Kolumbii ostatecznie anulowały ustawę o ekstradycji. Pablo, Roberto i kilkunastu innych oddało się w ręce władz. Osadzono ich w Katedrze - więzieniu zbudowanym i kontrolowanym przez Pabla.

W roku 1992 rząd wysłał wojsko w celu przejęcia Katedry i aresztowania Pabla. Oficjalnie twierdzono, że chodzi wyłącznie o przeniesienie Pabla do zakładu o ostrzejszym rygorze. On jednak obawiał się, że dojdzie do ekstradycji jego osoby do Stanów Zjednoczonych. Zbiegł więc i zaczął się ukrywać w dżungli i slumsach. Kolumbii znów zaczęły się mordy.

Tymczasem legenda Pabla Escobara potężniała. Na oczach całego świata Pablo Escobar wymykał się obławom, a miał przeciwko sobie tysiące żołnierzy - oddziały kolumbijskie i amerykańskie - miał wrogów z Cali i innych grup. Nie dawał się przez ponad rok. Sam przeciwko całemu wojsku. Żeby go wytropić i dopaść, władze zaczęły dobierać się do członków jego rodziny, do przyjaciół i znajomych, do wszystkich, których podejrzewano, że mogą mieć z nim coś wspólnego. W grudniu 1993 roku, kiedy próbował Wymusić na władzach zgodę na wyjazd rodziny za granicę, ostatecznie namierzono jego kryjówkę. Drugiego grudnia, dzień po czterdziestych czwartych urodzinach, Pablo zginął na dachu pewnego budynku, gdy jeszcze raz próbował zbiec przed obławą.

Tak w skrócie wygląda znana historia Pabla Escobara. Kiedy jednak zacząłem dłużej rozmawiać z jego bratem Robertem, który w „firmie” Pabla pełnił funkcje księgowego, a później z jeszcze innymi osobami, które znały Pabla w różnych okresach jego życia, zacząłem poznawać nieco inną wersję i ona właśnie stanowi treść tej książki.

Roberto objawił mi się jako kochający brat - co naturalne - ale także jako ten, który chce przedstawić prawdziwą historię. Podkreślał zwłaszcza, i to wielokrotnie, że na potężniejszej legendzie utaczającej jego brata tuczyli się inni, jak choćby handlarze narkotyków z Cali. Gdy cała uwaga ogniskowała się na Pablu, oni działali jak gdyby nigdy nic. Ale nie tylko oni. Także rozmaite grupy i frakcje wewnątrz władz Kolumbii. Korzystały z klimatu otaczającego oba ławę, aby załatwić swoje interesy, wyrównać zadawnione rachunki i niszczyć opozycję. Wreszcie na legendzie Pabla Escobara swój własny interes zbijali ci, co ongiś z nim pracowali, a teraz w zamian za perspektywę złagodzenia wyroku gotowi byli donosić na niego. Amerykanie ze swej strony uważali zapewne, że Pablo Escobar odpowiada za całą rzekę kokainy płynącą z Kolumbii do Stanów i że likwidacja bądź eliminacja Pabla załatwi sprawę. Malo kto w Ameryce słyszał, że poza Medellín są jeszcze inni. No cóż, okazało się to naiwne, wręcz fałszywe - rzeka kokainy płynie, jak płynęła.

Robertowi chwilami trudno się było pogodzić z faktem, że młodszy brat, którego ukochał i którym opiekował się w dzieciństwie, stał się bandytą. Wymogi prawne, jak również kwestie bezpieczeństwa sprawiały, że Roberto nie mógł ujawnić pewnych szczegółów i pewnych nazwisk, więc w niektórych fragmentach książki nazwiska zostały zmienione, a detale lekko

zmodyfikowane, ale nie zafałszowane.

Od wielu, którzy znali Pablo dobrze, którzy z nim albo dla niego pracowali, usłyszałem relacje często różniące się od tego, co się powszechnie uważa za prawdę. Obraz Pabla Escobara kreślony taką kreską jest z pewnością znacznie bardziej złożony niż ten, jaki skonstruowałem sobie na podstawie lektury dokumentów.

Jak każda prawdziwa legenda, także legenda Pabla Escobara ma wiele wersji, często ze sobą sprzecznych. Czasami trudno nawet określić, która z nich jest prawdziwa. Co do jednego nie może być jednak żadnych wątpliwości - Pablo Escobar był mózgiem najbardziej udanej przestępczej operacji w dziejach i to on odpowiada za wieloletni chaos i przemoc w Kolumbii. Jest też z pewnością znacznie większą postacią niż ta, którą jego rodacy wielbili i nienawidzili.

Ta książka to w większości opowieść brata.

David Fisher

Księgowy mafii

Z tego, co wiem, historia naszej rodziny przedstawia się tak: ponad półtora wieku temu przybyła do Kolumbii z Hiszpanii kobieta - Ofelia Gaviria. Znad zatoki Urabá pociągnęła za sobą tysiące zbrojnych - ludzi, którzy chcieli zawładnąć naszym pięknym krajem i korzystać z jego cennych zasobów. Ofelia Gaviria stała się majątną kobietą, miała mnóstwa ziemi i wielu indiańskich niewolników, a tratowała ich dobrze. Mieszkała w mieście Murri, często jednak udawało się do okolicznych miast. W czasie podróży musiała przeprowiać się przez liczne rzeki.

Czasy były niespokojne, a Indianie z puszczy zasadzali się na nią. Chcieli ją schwytać na moście i wrzucić do rzeki, aby odzyskać swoją ziemię. Ale wierny sługa ostrzegł ją przed zasadzką. Ofelia była odważną i dzielną kobietą. Nie salwowała się ucieczką, przeciwnie - udała się do nieprzyjaciół z workami pełnymi złota. Zjednała wrogów i ci wkrótce zaczęli dla niej pracować, przyjęli nawet jej nazwisko Gaviria. Wiele lat później ci właśnie Indianie znaleźli w puszczy porzucone przez matkę dziecko. Zabrali je do Ofelii, a ona je usynowiła i wychowała jak własne. Dała mu imię Braulio. Braulio Gaviria wyrósł na pięknego mężczyznę, a gdy przyszała pora, poślubił przybyłą z Hiszpanii błękitnooką ślicznotkę - Anę Rosa Cobaleda Barreneche. Doczekali się pięciorga dzieci. Najmłodsze - Roberto Gaviria – to mój dziadek i dziadek mojego brata Pablo Escobara, który stał się najslawniejszym przestępcą w dziejach.

Roberto Escobar, 2008

1

Kiedy w październiku 2006 roku zmarła moja ukochana matka Hermilda Gaviria i - zgodnie z jej życzeniem - chowano ją obok mojego brata, niesławnej pamięci Pabla Escobara Gavirii, władze naszej ojczyzny - Kolumbii - postanowiły skorzystać z okazji, aby pobrać próbkę DNA z prochów Pabla. Chodziło im o to, aby udowodnić światu, że w grobie rzeczywiście spoczywa Pablo Escobar, ten, który wyrósłszy w nędzy, stał się najpotężniejszym w Kolumbii człowiekiem, wielbionym przez lud, a zarazem najbardziej nienawidzonym przez warstwy panujące. Wielu bowiem wierzyło nadal, że mój brat wcale nie zginął w grudniu 1993 roku na dachach Medellín z rąk połączonych sił kolumbijskich i amerykańskich, ale żyje nadal, a w grobie złożono ciało kogoś innego. Wielu także podawało się za jego krewnych czy wręcz potomków mających z tego tytułu prawo do miliardów dolarów, jakie Pablo zgromadził i ukrył. Próbka DNA miała raz na zawsze położyć kres podobnym żądaniom.

Na nagrobku zrazu widniał napis „Tu spoczywa król”, ale władze nakazały go usunąć. Od dnia pogrzebu mogiła na cmentarzu Monte Sacro przyciągała turystów. Przyjeżdżali tysiącami z całego świata. Jedni po to, aby zrobić sobie zdjęcie przy grobie legendarnego bandyty Pabla Escobara, inni, żeby pomodlić się za jego duszę, zapalić znicze, złożyć wieńce, zostawić karteczkę z postaniem albo zwyczajnie, żeby dotknąć nagrobka na szczęście. Ale świadkami pochówku mojej marki byli tylko członkowie rodziny oraz przybyli służbowo przedstawiciele władz cywilnych i wojskowych. Gdy mogiłę otwarto, wszyscy przeżyli szok na widok tego, co ukazało się ich oczom. Okazało się bowiem, że potężne korzenie wielkiego drzewa rosnącego nieopodal obrosły trumnę, jakby chciały zatrzymać ją na własność.

Nie ma dnia, żebym nie myślał o bracie. Pablo Escobar był niezwykle zwyczajnym człowiekiem. Był błyskotliwy, a zarazem ogromnie poczciwy, wrażliwy, a jednocześnie skory do zadawania gwałtu. Był człowiekiem poezji i oręża. Jedni mieli go za świętego, inni - równie liczni - za potwora. Ja zaś pamiętam go z dawnych czasów, kiedy będąc jeszcze dziećmi, schowaliśmy się pod łóżkiem, gdy nocą do naszego domu wtargnęli partyzanci, żeby nas wszystkich wymordować. Wspominam także czasy

późniejsze, gdy Pablo stworzył wielkie, światowe imperium handlu narkotykami i stał się jednym z najbogatszych mieszkańców naszego globu. Myślę o dobru, jakie czynił dzięki zgromadzonej fortunie, o osiedlach, jakie budował, o tysiącach ludzi, których żywił i kształcił. Rządziej, ale jednak, myślę także o okropieństwach, za które ponosił odpowiedzialność. o morderstwach i zamachach bombowych, w których niestety obok wrogów ginęli także niewinni ludzie, o terrorze, który szokował świat. Wspominam cudowne dni i noce spędzone z rodziną i przyjaciółmi we wspaniałej rezydencji zwanej Nápoles, którą Pablo wybudował. jeszcze dziś po błoniach Nápoles biegają na wolności stada nosorożców pozostałe z kolekcji egzotycznych zwierząt i ptaków sprowadzanych tam w latach świetności z różnych zakątków świata. Ale wspominam też ciężkie czasy wspólnego zamknięcia w więzieniu wybudowanym przez Pabla na górskim szczycie, pamiętam liczne ucieczki, gdy razem kryliśmy się w dżungli, kiedy wojsko i policja zaczynały nam deptać po piętach. Bywały chwile, że żyliśmy, jak tylko można sobie wymarzyć, ale bywało, że życie stawało się koszmarem.

Nie ulegam wielkim emocjom. Przyjmuję życie takim, jakie ono jest, ze wszystkimi kolorami i szarościami. Kiedyś jeździłem na rowerze, byłem nawet mistrzem, a później trenerem kadry narodowej. Zdobyłem powodzenie w interesach, miałem fabrykę rowerów i pięć sklepów, zatrudniałem setkę ludzi. I wtedy właśnie Pablo zwrócił się do mnie o pomoc, chciał, żebym zajął się dochodami, jakie czerpał ze swoich interesów. Tak to się zaczęło. Dziś noszę liczne blizny na ciele i duszy. jestem niemal całkowicie ociemniały. To skutek zamachu, jakiego padłem ofiarą w więzieniu. Przesłano mi list, a w nim ładunek wybuchowy. Dziś żyję na uboczu, mieszkam na farmie.

Pamięć o moim bracie przetrwa po wsze czasy na kartach historii, w legendach i ludzkich sercach. Obwołano go największym przestępcą w dziejach. Miesięcznik „Forbes” umieścił go na siódmym miejscu na liście najbogatszych ludzi, ale nawet oni nie mieli pojęcia o prawdziwej wielkości jego fortuny. Co roku spisywaliśmy na straty dziesięć procent ukrytych pieniędzy, bo banknoty gniły od wilgoci, padały ofiarą gryzoni albo zwyczajnie gdzieś się zapodziały i nie można było ich znaleźć. Za sprawą darów, jakie rozdawał hojną ręką, kolumbijscy wieśniacy zwali Pabla swoim Robin Hoodem.

Pablo wpływał na władze za granicą, a w Kolumbii ustanowił system

zasiłków dla ubogich. Budował łodzie podwodne do transportu kokainy i zorganizował własne wojsko, wydając wojnę państwu i innym kartelom. Niektóre jednak oskarżenia wysuwane pod jego adresem są fałszywe. Nie wybielam mojego brata, nie twierdzę, że nie dopuszczał się okropieństw, ale też nie jest prawdą, że to on ponosi odpowiedzialność za wiele zbrodni, o jakie go oskarżano.

Bylem przy nim niemal cały czas, co jednak nie znaczy, że stale. Wiele z tego, co się o nim mówi, znam z autopsji, inne sprawy - z opowieści. Całej prawdy nie poznamy jednak nigdy, umarła wraz z Pablem na dachu w Medellín. Ale to, co poniżej, to historia Pabla Escobara i kartelu z Medellín.

Wielu uważa, że przemoc, gwałt i śmierć nastąpiły w Kolumbii za sprawą Pabla, że to on dał temu początek. Ale to nieprawda. Urodziliśmy się z bratem w czasach wojny domowej toczonyj z jednej strony przez konserwatystów, a z drugiej przez liberałów, w okresie zwanym w Kolumbii *La Violencia*. W ciągu dziesięciu lat, licząc do połowy lat pięćdziesiątych, oddziały partyzanckie wymordowały co najmniej trzysta tysięcy niewinnych ludzi. Wielu z nich zarabali na śmierć maczetami. Nikt wtedy nie mógł się czuć bezpiecznie. Mordercy działali wyjątkowo brutalnie. Swoje ofiary ćwiartowali, odcinali im głowy, podcinali gardła, wyrywali języki, zostawiając je na piersiach ofiar. Ale najobrzydliwszy był tak zwany *carte florero* - Wazon z kwiatami. Polegało to na tym, że ofierze odcinano kończyny i układano je na korpucie jak makabryczny bukiet.

Nigdy nie zapomnę nocy, gdy partyzanci naszli nasz dom w Titiribi. Ojciec był hodowcą bydła. Z Pablem urodziliśmy się na rodzinnej farmie w pobliżu Rio Negro. Tata odziedziczył gospodarstwo po swoim ojcu. Mieliliśmy jakieś osiemset sztuk bydła. Ojciec ciężko pracował i tego samego oczekiwał od nas. Pracowaliśmy więc przy stadzie. Zapamiętałem zwłaszcza jedną krowę, która dawała mleko... ogonem. Tak przynajmniej wierzyliśmy, choć w rzeczy samej był to dowcip autorstwa jednego z kowbojów. W tajemnicy przed nami umoczył krowi ogon w mleku, a gdy zjawiliśmy się z Pablem, machnął na nas tym ogonem jak kropidłem, oblewając nas mlekiem. Ojciec kochał ranczo i kochał pracę w gospodarstwie i pewnie zostalibyśmy tam na zawsze, gdyby krowy nie padły. Przyplątała się jakaś gorączka i pięćset sztuk bydła zdechło. Ojciec zbankrutował, straciliśmy ranczo i w ogóle wszystko.

Matka była nauczycielką i kochała swój zawód równie żarliwie jak ojciec

gospodarkę. Gdy straciliśmy ranczo, zamieszkaliśmy w Titiribi, gdzie mama znalazła pracę. W szkole pracowała od poniedziałku do piątku, a w soboty i niedziele dawała darmowe lekcje dzieciom z ubogich rodzin, uczyła je czytać i pisać. Była blondynką o niebieskich oczach i niezwykle jasnej cerze. Nosiła się z gracją, choć niemal nic na siebie nie wydawała. Mieszkaliśmy skromnie, w drewnianym domku o jednej izbie, które służyła za sypialnię dla nas wszystkich - rodziców, siostry oraz Pabla i mnie. Mieliśmy dwa materace. Jeden wieczorem rozkładało się na podłodze i na nim spaliśmy my - dzieciaki. Z jedzeniem było krucho, ledwo starczało. Do szkoły chodziliśmy piechotą. Dojście zajmowało cztery godziny. Żeby zdążyć na lekcje, zrywaliśmy się z Pablem o czwartej rano. Byliśmy po prostu biedni, jak zresztą wielu naszych rodaków. Mama sama szyła nam szkolne mundurki, ale często gęsto chodziliśmy w łachmanach. Kiedyś, pamiętam, Pabla odesłano ze szkoły, bo nie miał butów. Mama strasznie się zawstydziła, zaraz pobiegła na bazar i kupiła mu buty. Na kredyt, bo z nauczycielskiej pensji nie już nie zostało. Kredyt oczywiście spłaciła przy najbliższej wypłacie. W Kolumbii biedni zawsze sobie wzajemnie pomagają. Bieda jednak odcisnęła trwałe ślady na naszym życiu, na Fabia i na moim. Tego się nie zapomina.

Miałem dziesięć, a Pablo siedem lat, kiedy dostałem pierwszy w życiu rower. Oczywiście używany. Mama kupiła go na raty, spłacała dług. I tym rowerem jeździliśmy z Pablem do szkoły. Piechotą - jak wspomniałem - wędrowaliśmy do szkoły cztery godziny, rowerem wystarczała godzina. Codziennie starałem się ustanowić nowy rekord trasy, przejechać ją choćby trochę szybciej. Zacząłem też ścigać się z kolegą ze szkoły Roberto Sánchezem. Tak właśnie zaczął się mój romans z kolarstwem.

Działo się to w tym samym roku, kiedy pewnej nocy zjawili się *chusmeros*, żeby nas zabić. Okolica, w której mieszkaliśmy, była wtedy matecznikiem liberałów i partyzanci sądzili, że my też wyznajmy liberalne zasady, co nie było prawdą. Rodzice nie mieli własnych poglądów, nie mieszała się do polityki. Pragnęli tylko żyć w spokoju i wychować dzieci. Ostrzegano ich, żeby wyjechali, bo inaczej zostaną posiekani na kawałki. Tylko że nie mieliśmy dokąd wyjechać. Wszędzie było niebezpiecznie. Jedyne, co byliśmy w stanie zrobić, to ryglować drzwi na noc. Byliśmy bezbronni, mogliśmy się tylko modlić.

Partyzanci naszli miasto w środku nocy. Wyciągali ludzi z domów i mordowali. Doszli do nas. Zaczęli łomotać w drzwi maczetami, krzycząc, że

nas zabija. Matka szlochała i modliła się do Dzieciątka Jezus z Atochy. Wsunęła jeden z naszych dwóch materacy pod łóżko i kazała nam z dziećmi - ram się ukryć. Zasłoniła nas kocami, nakazując milczenie.

- Nas zabiją, ale może uda się uratować dzieci - dobiegł mnie szept ojca.

Objąłem Pabla i siostrę Glorię, mówiąc, żeby nie płakali, bo wszystko będzie dobrze. Pamiętam, że Pablowi dałem butelkę ze smoczkiem, żeby go uspokoić. Drzwi mieliśmy solidne. Nie mogąc ich wyłamać, napastnicy oblali je benzyną i podpalili.

Uratowało nas wojsko. Kiedy żołnierze zapukali do drzwi i powiedzieli, że niebezpieczeństwo minęło, matka nie chciała wierzyć. W końcu jednak otworzyła. Wtedy wszystkich ocalałych z pogromu zabrano do budynku szkoły. Nasz dom stał w ogniu. Poświata pożaru wyławiała z ciemności ciała pomordowanych. Jedne leżały w rynsztoku, inne zwisały z ulicznych lamp, bo części ofiar zadano śmierć przez powieszenie. *Chusmeros* oblali ciała benzyną i podpalili. Do końca życia będę pamiętał swąd palących się zwłok. Niosłem Pabla. Wtulił się we mnie tak mocno, jakby miał tak zostać na zawsze. Płakał, bo w domu została jego butelka ze smoczkiem. Chciałem po nią wrócić, ale rodzice nie pozwolili.

Mordy i zabójstwa zaczęły się zatem w Kolumbii na długo przed Pablem. Nasza ojczyzna zawsze była krajem przemocy. To część naszego narodowego dziedzictwa.

Rok po tych wydarzeniach rodzice odesłali mnie z Pablem do babki do Medellín, bo tam było bezpiecznie. A dla mnie było to najpiękniejsze miejsce, jakie w życiu widziałem. Medellín, znane jako „miasto wiecznej wiosny”, ma znakomity klimat - temperatura w ciągu roku waha się między dwadzieścia a trzydzieści stopni. Babka miała spory dom, w części urządziła sobie małą fabryczkę - konfekcjonowała rozmaite sosy i przyprawy. Gotowy towar umieszczala w supermarketach.

Zrazu Medellín nas przerażało. To przecież drugie najludniejsze miasto w Kolumbii, a my wyrosliśmy na wsi i nie mieliśmy pojęcia o wielkomiejskim życiu. Nigdy przedtem nie widziałem tylu samochodów, a ludzie zdawali się być w ciągłym pośpiechu. Babcia miała wielkie serce, ale też była wielce surowa. Budziła nas wcześnie i codziennie rano kazała chodzić do kościoła, Pamiętam takie wydarzenie z pierwszego tygodnia naszego pobytu: babcia poczuła się źle, więc do kościoła mieliśmy iść sami, to znaczy ja miałem zabrać Pabla.

- Pomódlcie się do Boga i wracajcie - poleciła.

Tylko że po wyjściu z kościoła straciłem orientację. Zgubiliśmy się. Nie pamiętałem ani adresu babci, ani jej telefonii. Zaczęliśmy rozglądać się za jakimś znajomym miejscem. Przechodziliśmy po kilka przecznic i wracaliśmy do kościoła, i tak w kółko. Uspokajałem Pabla, ale w duszy byłem wystraszony. Tak minęło wiele godzin, aż wreszcie moje modlitwy zostały wysłuchane. Około szóstej znaleźliśmy w końcu dom babci.

Tak oto zaczęło się nasze życie w Medellín. I kto by wtedy przypuszczał, że Pablo będzie kiedyś rządzić miastem i rozśławi je na całym świecie jako matecznik kartelu narkotykowego. Po jakimś czasie także mama z ojcem sprowadzili się do Medellín, tylko że tata nigdy nie czuł się tam dobrze. Wrócił na wieś, najął się do pracy na farmie. Odwiedzaliśmy go, a jakże, ale wieś już nas nie pociągała. Wrośliśmy w Medellín. Poznaliśmy to miasto na wylot. I w Medellín Pablowi przyszło zakończyć życie.

Medellín nas ukształtowało, wychowała ulica. Byliśmy typowymi dziećmi ze społecznych nizin. Jak wszyscy budowaliśmy sobie wózki z odpadków drewna i śmigaliśmy na łeb na szyję po stromych ulicach. Psociliśmy oczywiście. Zaklejaliśmy na przykład przyciski dzwonek u sąsiadów gumą do żucia, tak żeby dzwoniły bez przerwy, i zadowoleni uciekaliśmy. Toczyliśmy bitwy na jajka. Robiliśmy sobie piłki do gry ze szmat i reklamówek. Pablo był najmłodszy wśród nas - chłopców z ulicy - ale też był urodzonym przywódcą. Oto przykład: zdarzało się, że kiedy rozgrywaliśmy mecze na ulicy, zjawiała się policja. Zabierali nam piłkę i kazali zmykać. Nie robiliśmy nic złego, ot graliśmy sobie. I to Pablo wpadł na pomysł, żeby następnym razem obrzucić policję kamieniami. I tak też się stało.

Na nieszczęście jeden z kamieni trafił w szybę radiowozu. Oczywiście zaczęliśmy uciekać, ale kilku z nas, w tym Pabla i mnie, policjanci dopadli. Zabrali na komisariat. Komendant postanowił napędzić nam stracha. Zapowiedział, że zamknie nas na cały dzień. I tylko Pablo odważył się otworzyć usta.

- Nie robiliśmy nic złego. Złościło nas tylko, że zabieracie nam piłkę. Proszę, niech nas pan wypuści, odwdzięczymy się - powiedział.

Był szkrabem, najmniejszym z nas, a jednak nie bał się zwrócić do samego komendanta.

Wielu kolegów z tamtych lat weszło później do naszego interesu. Był

wśród nich Jorge Ochoa, który ze swoimi braćmi założył własną organizację. Był Luis Carlos Maya, drobny i chudy, wołaliśmy na niego Mayín. Był Carlos Aguilar, zwany - całkiem słusznie zresztą - *El Mugre*, co znaczy brud. Moim najlepszym przyjacielem był *Vaca*, czyli Krówsko - wysoki niebieskooki blondyn. Miał największe po wodzenie u dziewcząt. Kiedy zacząłem się ścigać na rowerze, właśnie *Vaca* okazywał mi najwięcej pomocy. Przed wyścigiem kradł dla mnie kurczaki w sklepie. Przynosił mi je, a także pomarańcze, żebym się odżywił przed zawodami. Nasz bliski kuzyn Gustavo de Jesús Gaviria w istocie wprowadził Pabla w interes narkotykowy, a później stał się jednym z jego najbliższych współpracowników. Ojciec Gustava był muzykiem, dość znanym jako wykonawca serenad. Gustavo też nauczył się grać na gitarze i śpiewać. W wieku jedenastu lat wygrał nawet konkurs dla amatorów w jednym z popularnych programów radiowych.

Przez pewien czas mieszkaliśmy Y, Gustavem u jego rodziców. Razem jeździliśmy na rowerach. Pamiętam, że kiedyś na jakimś podjeździe ucepiliśmy się autobusu. Kierowcy to się nie spodobało. Dodał gazu, a zaraz potem gwałtownie przyhamował. Wylecieliśmy z Gustavem z rowerów jak z procy i wylądowaliśmy w jednym z domów stojących obok. Przez otwarte drzwi wrzuciło nas do środka. Stłukliśmy jakieś dwa wazon. Właścicielka wezwała policję. Ale moja babka zapłaciła za zniszczenia, więc dano nam spokój. Śmialiśmy się z tej przygody jak nie wiem.

Byliśmy zwyczajnymi dziećmi. Wolny czas po szkole spędzaliśmy na ogół razem. Graliśmy w piłkę do późnej nocy, chodziliśmy na walki byków, podrywaliśmy laski z sąsiedztwa i jak wszyscy snuliśmy marzenia. Co do mnie, to najchętniej nie zsiadałbym z roweru. Rower oznaczał wolność. Pędziłem jak wicher po ulicach. Chciałem zostać zawodowym kolarzem, chciałem reprezentować Kolumbię w wielkich wyścigach na naszych kontynencie i w Europie. Ale matka wpoila w nas przekonanie, że najważniejsze jest wykształcenie. Nawet wtedy, kiedy byliśmy bardzo biedni. Nie mieliśmy nie, matka wierzyła, że kiedyś zostaniemy studentami. Wybrałem sobie elektronikę. Chciałem zostać technikiem elektronikiem. Matematyka zawsze przychodziła mi łatwo. Rozumiałem język liczb, uwielbiałem rozwiązywać zadania, często robiłem to bez kartki. Zawsze też miałem pamięć do liczb, nic nie musiałem nic zapisywać, co później okazało się niezwykle przydatne w interesach. Pablo też wiedział, czego chce. Znając biedę, chciał się dorobić, zbić fortunę. jeszcze jako szkrab mówił mamie:

- Poczekaj tylko, jak dorosnę. Dom ci wszystko, cały świat. Zobacysz, niech tylko dorosnę.

Gdy zaś nieco podrośł, zapewniał, że w wieku dwudziestu jeden lat będzie miał milion dolarów. Tak sobie postanowił.

- Jeśli mi się nie uda, to się zabije. Palnę sobie w łeb.

Tak mówił, choć wtedy jeszcze nie widział dolara na oczy, nie wiedział nawet, jak wygląda ani co się czuje, trzymając go w ręku. A jednak był zdecydowany, że będzie miał milion. Miał jeszcze inne ambicje i aspiracje, równie nieprawdopodobne - zamierzał sięgnąć po prezydenturę Kolumbii.

Wspomniałem już, że od ojca nauczyliśmy się cenić pracę. Wiedzieliśmy, co to znaczy ciężko harować. Pierwsza prawdziwa praca, jaką z Pablem podjęliśmy, polegała na rozwożeniu sztucznych szczęk z pracowni, gdzie je wytwarzano, do gabinetów dentystycznych w całym Medellín. Jeździliśmy rowerami od jednego gabinetu do drugiego. Nie pamiętam już, ile zarabialiśmy. Matce oddawaliśmy połowę, ale i tak po raz pierwszy w życiu zostawało nam sporo na zachcianki. A czego chcieliśmy najbardziej? Dobre pytanie.

Byliśmy wyrostkami, ja miałem szesnaście lat, Pablo trzynaście. Odpowiedź jest prosta - najbardziej chciało nam się dziewczyn. O seksie mieliśmy marne pojęcie. Podkochiwaliśmy się w służącej babki. Była młoda i piękna. I jak to chłopaki, podglądaliśmy ją w kąpielni. Podstawialiśmy sobie krzesło i wspinaliśmy się na przemian, żeby zerknąć przez górne okienko w łazience. I kiedyś - pamiętam - akurat Pablo stał na krześle, kiedy niespodziewanie zjawiała się babka. Wyrwała mu je spod nóg. Biedak złamał sobie palec.

Ale mając już własne pieniądze, zapragnęliśmy spróbować, jak to jest naprawdę z kobietą. Niedaleko nas był taki klub, nazywał się Fifth Avenue Nightclub. Pracowały tam prostytutki. Tak więc któregoś wieczoru wystroiliśmy się z Pablem w co mieliśmy najlepszego i poszliśmy do klubu. Wybraliśmy dwie ślicznotki, zapłaciliśmy jak należy. Wzięły nas na górę. Kazały czekać, zniknęły w łazience, wróciły po chwili z ręcznikami i mydłem. Złękliśmy się, bo nie wiedzieliśmy, w czym rzecz, i co tu dużo mówić, daliśmy nogę.

Kiedy nazajutrz opowiedzieliśmy o wszystkim kolegom, ci nas wyśmiali.

- Durnie - wyjaśniali. - Dziewczyny zamierzały was po prostu wymyć, żeby się upewnić, że jesteście czysti. Potem zrobiłyby Wam masaż, a jeszcze

potem to, co trzeba.

Oszczędzaliśmy z Pablem przez dwa długie miesiące, żeby uskładać na następną wizytę. Tym razem o ucieczce nie było mowy.

W swoim czasie, tak jak sobie mama wymarzyła, zapisałem się do Akademii Techniczno-Elektronicznej w Medellín. Zdobyłem zawód technika elektronika. Nauczyłem się budować i naprawiać rozmaite urządzenia elektroniczne. Tę wiedzę wykorzystałem później w naszym interesie. Budowałem skomplikowane elektroniczne systemy zabezpieczeń, a nawet opracowałem elektronikę dla naszych łodzi podwodnych, którymi przerzucaliśmy kokainę na Bahamy. Tymczasem jeszcze jako student zatrudniłem się w firmie braci Mora - sporym przedsiębiorstwie handlującym elektroniką. Choć byłem najmłodszy, wkrótce zostałem szefem serwisu.

Nie miałem trudności, byłem zresztą najlepszym studentem na roku. Wydawało mi się, że wszystko umiem i że nie ma takiej rzeczy, której nie potrafiłbym naprawić. Do czasu, kiedy jakiś klient przyniósł do naprawy rosyjski telewizor. To było coś! Takiego ustrojstwa nigdy nie widziałem, ale byłem pewien, że dam sobie radę. Zabrałem się do roboty. Ślęczałem tydzień albo i więcej, i nic. W końcu wziąłem robotę do domu. Rozebrałem odbiornik na czynniki pierwsze i poprosiłem naszą gosposię, żeby zebrała kurz - nagromadziła się go gruba warstwa. Gospośnia zabrała się do roboty i w pewnej chwili zapytała:

- Panie Roberto, a do czego jest ta igła?

I tak oto nasza gosposia naprawiła rosyjski telewizor. Ktoś gdzieś wsadził małą igłę między podzespoły, a ja mimo ogromnego już doświadczenia zwyczajnie jej nie dostrzegłem.

Kiedy jeszcze uczyłem się w akademii, zapisałem się na studia z zakresu księgowości na uniwersytecie Remington. Nie wiedziałem jeszcze, jak będzie wyglądała moja przyszłość, byłem jednak pewien, że znajomość rachunków może mi się przydać. Nauka na uniwersytecie przychodziła mi dość łatwo, bo z liczbami miałem już do czynienia w akademii. Uczyłem się wszystkiego, co potrzebne do prowadzenia przedsiębiorstwa. Planowałem, że założę kiedyś własny interes.

Podobało mi się rozwiązywanie rozmaitych problemów rak z zakresu elektroniki, jak i ekonomii, ale prawdziwą moją pasją był rower. Kiedy zacząłem się ścigać na serio, bracia Mora zostali moimi sponsorami. Rychło znalazłem się w ścisłej czołówce. W 1966 roku zająłem drugie miejsce na

liście najlepszych kolarzy w Kolumbii. Byłem w kadrze, startowałem w wyścigach na całym kontynencie południowoamerykańskim, wygrywałem wyścigi w Ekwadorze, Panamie i oczywiście w kraju. Znano mnie pod przydomkiem El Osito - Niedźwiedź. To właśnie miano zyskałem w czasie wyścigu o mistrzostwo Kolumbii. Lało wtedy jak z cebra. Wjechaliśmy na odcinek pokryty błotem. Poślizgnąłem się, upadłem i ubłociłem od stóp do głów. Przed finiszem zdołałem dojść do czołówki. Sprawozdawcy radiowi mieli jednak kłopot z rozpoznaniem mojej osoby, bo i numer startowy, i twarz skrywała warstwa błota, i wtedy jeden z komentatorów radiowych miał powiedzieć na antenie, że wyglądam jak niedźwiedź. Wyścig wygrałem, a przydomek El Osito przylgnął do mnie na zawsze. W rzeczy samej także później, w kartelu, nikt nie mówił o mnie Roberto, ale właśnie El Osito. Pabla zaś nazywano Szefem - *El Patrón* - bądź Doktorem.

Pablo był przy mnie niemal zawsze, kiedy się ścigałem. Pełnił funkcję mojego asystenta - dbał o rower, przygotowywał sprzęt. Przed zawodami przynosił mi gołębia. Jest takie dość powszechne przekonanie, że gołębia krew dostarcza energii. Więc Pablo zakradał się do parków, łapał ptaka i mi przynosił. Dbął także o kibiców. Organizował sąsiadów, żeby dopingowali mnie na trasie. W tamtych czasach byłem ich idolem.

Za pierwsze pieniądze z tytułu „kadrowego” w 1963 roku kupiłem sobie auto - niebieskiego wartburga - i spłaciłem zaległy czynsz mojej mamy. Z pensji nauczycielki i z tego, co zarabiał ojciec, nic dawała rady płacić za dom i właśnie miano ją eksmitować. Ach, jaki byłem dumny, kiedy zaniósłem pieniądze do banku. Wystarczyło nie tylko na zaległość, ale i na zapłacenie za kilka kolejnych miesięcy z góry. To był mój wielki dzień.

Trudno mi opisać emocje, jakich doświadczałem w czasie wyścigu. Powiem tylko, że w całym pełnym niezwykłych wydarzeń życiu nie przeżywałem czegoś podobnego. Jazda w zawodowym peletonie wymaga nie tylko ogromnej odporności fizycznej, ale także wielkiej siły woli. Kiedy zaś wszystko spaja się w jedną harmonijną całość - rower, mięśnie i umysł - wtedy czuje się coś, co wykracza daleko poza świadomość.

Kolarstwo to niebezpieczny sport. Dwa razy odniosłem poważne kontuzje. Po raz pierwszy na treningu, kiedy pędziłem za wielką ciężarówką jadącą na budowę. Zawodnicy często tak robią - kryją się za jakimś pojazdem przed wiatrem. Nie zauważyłem jednak, że ciężarówka wiezie ładunek drewna, i właśnie kawał deski spadł z, paki tuż przede mną. Nie było siły,

żeby go ominąć. Najechałem na ten nieszczęsny kawałek deski, wyrzuciło mnie w powietrze i miotnęło o ziemię. Wylądowałem na prawym boku, boleśnie ocierając twarz, nogi i ręce. Jakby mnie kto ze skóry obdarł. Kask pękł, prawy but też. Mocno krwawiłem. Zabrali mnie na pogotowie. Na szczęście nic nie złamałem, ale całe ciało piekło mnie jak palone ogniem. Lekarz orzekł, że czeka mnie bolesna kuracja.

- Skóra zacznie odrastać, ale musi się part cały czas ruszać, żeby się nie skurczyła.

Dzień w dzień, ponad miesiąc, całymi godzinami, ćwiczyłem na rowerze stacjonarnym. Wszystko mnie bolało. Takiego bólu nigdy jeszcze nie doświadczałem. W przyszłości miało mnie jednak spotkać coś jeszcze gorszego.

Po zakończeniu kariery zawodniczej zostałem trenerem reprezentacji Antioqui - drugiego co do wielkości spośród trzydziestu dwóch departamentów Kolumbii (ze stolicą w Medellín), a później asystentem selekcjonera reprezentacji narodowej. Reprezentacja odniosła wtedy sporo sukcesów w wyścigach na naszym kontynencie, a nawet w Europie. Byłem już wtedy żonaty i miałem dwójkę wspaniałych dzieci - syna Nicholasa i córkę Laureę - zrodzonych w pierwszym z moich trzech małżeństw. Z pierwszą żoną chodziliśmy dwa lata przed ślubem, a ślub wzięliśmy dokładnie w Halloween. Żona była już wtedy w ciąży z Nicholasem. Nie stać nas było na auto, więc z kościoła, gdzie odbył się nasz ślub, wróciliśmy do domu autobusem. Marzyliśmy, że może kiedyś dorobimy się własnego domu.

W pracy nie szczędziłem sił, interesy robiłem uczciwie. Miałem - jak to się mówi - smykałkę. I tak postanowiłem wykorzystać popularność, jaką zdobyłem w wyścigach kolarskich. W 1974 roku zainwestowałem oszczędności w sklep z rowerami. Interes otworzyłem w pięknym, górskim mieście Manizales. Sprzedawałem, ale także serwisowałem i montowałem rowery. Firmę nazwałem El Ositto Corporation - Ositto przez dwa „t”, ponieważ podobnie pisało się nazwę wziętej włoskiej marki rowerów. Na początek wynająłem powierzchnię reklamową na ciężarówce. Na wóz nie było mnie stać, ale na reklamę owszem. Zaraz potem wynająłem na dzień tę właśnie ciężarówkę z moją reklamą i pojechałem nią do Bogoty, stolicy Kolumbii. Zaparkowałem ją przed frontem największej wytwórni rowerów w kraju i poprosiłem o rozmowę z dyrektorem.

- Widzi pan ten wóz - pokazałem palcem. - Mam takich kilka, jestem

właścicielem poważnej firmy - oświadczyłem, wyjaśniając dalej, że moja firma zamierza właśnie znacznie rozwinąć działalność i poszukuje solidnego dostawcy podzespołów i części. Dalej zaś wspomniałem, że ewentualnie moglibyśmy podzielać wspólnie. Oczywiście mojego rozmówcę sprawa zainteresowała. Koniec końców zgodził się dać mi spoty zestaw części na kredyt.

- Przykro mi, ale wóz jest załadowany do pełna- odparłem. Wynająłem - jak wspomniałem wyłącznie powierzchnię reklamową na ciężarówce i nie byłem pewien, czy wolno mi przewieźć ładunek.

Kilka dni później do Manizales przyjechał z Bogoty transport obiecanych części. Zatrudniłem dwóch dodatkowych pracowników, dzięki czemu zwiększyłem produkcję rowerów. Towar był solidny, a że wytwarzany na miejscu, sprzedawał się taniej niż rowery sprowadzane z Europy.

Łatwo wszelako nie było. Kolumbijczycy darzą wielką miłością rowery włoskie i szwajcarskich i nie za bardzo chcieli kupować krajowe produkty. Z najwyższym trudem udało się wstawić moje produkty do popularnych marketów. Musiałem wręcz błagać, aby przyjęli choćby kilka sztuk.

- Dam je panu znacznie taniej niż to, co pan imponuje - przekonywałem menedżera jednego z wielkich magazynów.

- Panie, ale nikt tu nie słyszał o marce Ositto - wzbraniał się. W końcu jednak zgodził się wziąć kilka rowerów, zastrzegając, że jeśli nie pójda w ciągu paru tygodni, to odda mi towar.

Kilka dni później wziąłem pięciu zaprzyjaźnionych chłopaków, posłałem ich do sklepu, żeby wykupili moje rowery. W efekcie menedżer dał mi większe zamówienie i rychło rowery zaczęły się naprawdę sprzedawać.

Rozwinąłem interes i produkcję. Miałem w ofercie siedemnaście typów rowerów, włączając w to wyczynowe szosówki, rowery górskie i turystyczne, a nawet dziecięce. Otworzyłem pięć własnych sklepów. W najlepszym okresie zatrudniałem setkę ludzi. W 1975 roku współpracowałem z ministerstwem sportu w sprawie przebudowy boiska piłkarskiego na nowoczesny kompleks kolarski, gdzie młodzież mogłaby się ścigać bez wnoszenia opłat. Krótko mówiąc, dawałem sobie nieźle radę. Dalej jednak pracowałem po szesnaście godzin na dobę. Prowadziłem firmę i szkoliłem kolarzy. Dorobiłem się dwóch mieszkań i stać mnie było na pomaganie mamie. Przyszłość malowała się różowo. Tak właśnie miały się sprawy na długo przedtem, nim z Pablem weszliśmy w narkotyki.

A Pablo studiował wtedy, to znaczy w 1974 roku, nauki polityczne na Uniwersytecie Antioqui. Wielu miało i ma Pabla za człowieka bez żadnego wykształcenia, któremu tylko w narkotykach udało się coś osiągnąć. Nie jest to prawda. Pablo miał tęgi umysł, celował w wielu dziedzinach, i to tak odległych od siebie jak historia i poezja. Swobodnie poruszał się w zakresie polityki międzynarodowej, potrafił recytować z pamięci całe poematy. Zaskakiwał, i to nawet mnie, znajomością języków obcych. Kiedy osadzone nas w Katedrze - fortecy, którą wybudował, gdy poszliśmy na układ z władzami - zabrał się do nauki chińskiego. W młodości studiował prawo, chciał zostać adwokatem, a potem przejść do polityki. Nadal myślał o fotelu prezydenta Kolumbii. Zaszywał się w bibliotekach, wertując podręczniki prawa. Kupował książki w antykwariatach. Zaczął się wspinać na pierwsze szczeble kariery politycznej, co polegało na tym, że jak wielu jemu podobnych studentów, jał wygłaszać przemówienia wszędzie, gdzie tylko zdołał zebrać słuchaczy. Nie bał się występować publicznie i zawsze wierzył w siebie. Osobiście słyszałem go kilka zaledwie razy. Pamiętam jednak, jak z pasją i przekonaniem głosił: „Chcę zostać prezydentem Kolumbii, a kiedy obejmę stanowisko, zabiorę dziesięć procent dochodów bogatym. Z tych środków zbudujemy szkoły i drogi, pomożemy biednym”. Mówił także, że będzie zachęcał Japończyków i Chińczyków do inwestowania w Kolumbii. Niech budują fabryki, tworzą jakże potrzebne miejsca pracy dla naszych rodaków.

Marzenia Pablo miał wielkie, ale zero pieniędzy, aby je zrealizować. Także z braku środków na opłacenie czesnego musiał zrezygnować ze studiów. Kiedy dorasta się w nędzy, jak my, wtedy myśli się tylko o tym, jak się dorobić. Kto wie, może Pablowi sądzone było działanie poza prawem. To ważna część historii naszej rodziny.

Kolumbia to piękny kraj, bogaty w dary natury, ale też kraj przesiąknięty korupcją. Rządy zawsze sprawowała tu klasa bogatych rodzin, czyniących niewiele na rzecz biednych obywateli. Niewiele mieliśmy w Kolumbii programów socjalnych mających poprawić życie ubogich. Owszem, mamy w Kolumbii system prawa, ale w istocie zawsze żyliśmy tu wedle innego kodeksu. Od czasu, kiedy dorastaliśmy, krajem rządzili skorumpowani politycy, którzy bogacili się, pozostając u władzy, głosząc jednocześnie, że oto uruchamiają programy na rzecz wykluczonych. Wszyscy z aparatu władzy, od polityków sprawujących najwyższe urzędy i dowódców

wojskowych po urzędników na samym dole i szeregowych policjantów, zawsze i stale próbują zagarnąć coś dla siebie. Weźmy dla przykładu policję. Słabo wyszkoleni, marnie opłacani, niemający żadnego szacunku w społeczeństwie policjanci ze zwykłej konieczności, żeby związać koniec z końcem, nawykli do brania łapówek za przymykanie oczu na nielegalną działalność. Kto w Kolumbii ma pieniądze, ten załatwi sobie wszystko. Prawo i przepisy są na sprzedaż. W takim klimacie dorastaliśmy z Pablem. Nikt nie zastanawiał się, czy tak jest dobrze, czy źle. Tak po prostu zawsze było.

W rzeczy samej Virginia Vallejo, dziennikarka, która później zaistniała u boku Pabla jako jego piękniejsza polowa, powiedziała kiedyś, że zakochała się w nim dlatego, że „był jedynym bogaczem, który hojnie obdarzał biednych w kraju, w którym majętni nigdy biednym nie dali nawet kawałka chleba”.

Imiona nadano mi po dziadku ze strony matki Robercie Gavirii, ale w istocie to Pablo był jego dziedzicem. Każda rodzina ma swoją legendę, a legenda rodziny Escobar-Gaviria bierze swój początek od dnia, kiedy Roberto Gaviria postanowił zasadzić sobie bananowce w ogródku. Mieszkał wtedy we Frontino. Wedle rodzinnej opowieści, kopiąc doły pod te byliny, dziadek natrafił na *guaca* - skarb. Ów zaś skarb składał się z kilku glinianych pojemników ze złotem i drogimi kamieniami. Kto je tam zakopał, nie wiadomo, a przynajmniej tak mówiło się w rodzinie.

Roberto zachował znalezisko w tajemnicy, nie chwalił się, bo to byłoby niebezpieczne. Spokojnie, powoli i w największym sekrecie zaczął wyprzedawać skarby. Część zysku przeznaczył na pożyczki dla sąsiadów. Te pieniądze stracił, bo pożyczek mu nie oddano. Za pozostałe pieniądze zaczął skupować futra dzikich zwierząt od Indian w Chocó i sprzedawał je w mieście. Na koniec odnalazł swoje prawdziwe powołanie, zaczął szmuglować papierosy i gorzałę.

Jak Al Capone w Stanach Zjednoczonych, Roberto Gaviria został przemytnikiem alkoholu. Kupował od Indian *tapetuse*, ulubiony napitek Kolumbijczyków, rozlewał do butelek i wstawiał do sklepów. Żeby uniknąć płacenia akcyzy, ukrywał butelki w... trumnach. Najmował ludzi i urządzał niby to pogrzeb. Kondukt szedł przez całe miasto. Dość rychło mieszkańcy zorientowali się, że to komedia, a w trumnie nie ma żadnego nieboszczyka. *Tapetuse* sprzedawał też chętnym u siebie w domu, a ściślej w domu swojej

matki. Punkt sprzedaży urządził w salonie. Trunek rozlewał do... wydmuszek po jajkach. Interes kręcił się całkiem dobrze do czasu, kiedy jeden z sąsiadów doniósł na dziadka policji. Roberto został oczywiście aresztowany i tą chwilą zaczyna się najważniejsza część legendy, a w istocie najważniejsza lekcja. Otóż po kilku dniach dziadka zwolniono, a sprawę zatuszowano. Szczegółów, szczerze mówiąc, nie znamy, możemy wszelako przypuszczać z dużą dozą prawdopodobieństwa, że dziadek zwyczajnie podzielił się zyskami z przedstawicielami władzy. U nas w Kolumbii zawsze się tak robiło, tak się po prostu prowadziło interes.

Pierwsze pieniądze Pablo zaczął zarabiać, będąc jeszcze w college'u. O Pablo, jego życiu i w ogóle o wszystkim, co się go tyczy, napisano sporo rozmaitych historii, z grubsza prawdziwych, ale daleko nieściślych. Tak też było i w tym przypadku. Uważa się mianowicie, że Pablo zaczynał karierę jako... złodziej nagrobków, że kradł płyty nagrobne, szlifował i sprzedawał. A prawda tymczasem jest taka, że nasz wuj prowadził mały warsztat kamieniarski w pobliżu największego cmentarza w Medellín. Pablo wcale nie kradł płyt, nie zakradał się nocą na cmentarz, po prostu kupował stare nagrobki od zarządu cmentarza i tyle. Być może czasami zabierał coś z jakiegoś starego grobu bez wiedzy właściciela, w większości jednak załatwiał sprawę najlegalniej w świecie. Kupował płyty, szlifował w warsztacie u wuja i wystawiał na sprzedaż. Za pieniądze zarobione w ten sposób kupił sobie motocykl, swój pierwszy w życiu pojazd mechaniczny.

Pisano też, i to nie raz, że Pablo kradł samochody i że czynił to tak udanie i na taką skalę, że towarzystwa ubezpieczeniowe zaproponowały mu rodzaj pensji, żeby tylko nie kradł ich wozów. Dawały mu ponoć listę samochodów objętych taką ochroną. Byłem z bratem bardzo blisko, co jednak nie znaczy, że znam wszystkie szczegóły z jego życia. Wtedy zresztą mieszkaliśmy w dwóch różnych miastach i mogło się zdarzyć coś, o czym nie wiem. Gdyby jednak rzeczywiście kradł samochody, na pewno bym o tym wiedział. Powiem tylko, że kilka lat później, kiedy zaczął przemycać kokainę na kilogramy, kupił ode mnie używanego renault 4, czego - rzecz jasna - nie musiałby robić, gdyby naprawdę kradł auta. Historia o rzekomych kradzieżach samochodów nabrała szczególnego rozgłosu na początku lat osiemdziesiątych, kiedy Pablo postanowił wystartować w wyborach. Właśnie wtedy jego konkurenci zaczęli rozpuszczać całe mnóstwo rozmaitych plotek. Oprócz tego, że handluje narkotykami i kradnie auta, pomawiali go o to, że

porywa ludzi dla okupu, że ma zabójstwa na sumieniu i że jest hieną cmentarna. Legendy powstają na rozmaite sposoby, często jednak rodzą się z oskarżeń rzucanych przez wrogów, pomówień, które ci ostatni rozpuszczają dla własnych korzyści. W Ameryce, to znaczy w Stanach Zjednoczonych, krąży wiele opowieści o legendarnych rozbójnikach Dzikiego Zachodu, takich jak Jesse James czy Billy the Kid. 1 owszem, jest w nich jakieś ziarno prawdy, w sumie jednak są ogromnie przesadzone. Tak samo było i jest z Pablem. Po jego śmierci rozmaici ludzie, którzy go w Życiu nawet na oczy nie widzieli, zaczęli opowiadać niestworzone historie, niemające żadnego pokrycia w rzeczywistości.

Prawdą jest natomiast, że gdy Pablo zaczął robić pieniądze poza prawem, to dokładnie w taki sam sposób jak nasz dziadek Roberto. Krótko mówiąc, zajął się kontrabandą. Na czym to polega? Ano na sprowadzaniu do kraju towarów bez podatku, akcyzy i innych opłat. Takie towary sprzedaje się konsumentom znacznie taniej niż w sklepach. Interes jest lukratywny, i to bardzo, i oczywiście nielegalny. A dlaczego? Bo choć korzystny dla ludzi, szkodzi państwu, pozbawiając je dochodów. W Kolumbii kontrabanda wrosła w gospodarkę kraju, stała się jej integralną częścią. W rzeczy samej, kiedy policja złapie na przemyć kogoś, kto nie potrafi się opłacić łapówkami, wtedy po prostu konfiskuje towar. I tylko tyle. Do więzienia nikogo nie wsadza.

Na czele jednej z największych band przemytników w Medellín stał multimilioner Alvaro Prieto. Majątku dorobił się na przemyć papierosów, elektroniki, biżuterii, zegarków i konfekcji ze Stanów, z Anglii i Japonii. Kontenery z towarem wyładowywano ze statków w Colon w Panamie. Stamtąd przewożono je do miasta Turbo w Kolumbii nad Zatoką Urabá. Tam kontenery rozładowywano, a towar tirami przewożono do hurtowni w Medellín.

O tym, jak Pablo poznał Alvaro, też opowiada się przeróżne historie. Wedle jednej z nich Pablo z przyjaciółmi miał wpaść w ręce policji, gdy konwojował ciężarówkę Prieta. Rzekomo doszło do strzelaniny i Pablo odniósł dwie rany. Prieto miał go wykupić, ratując mu w ten sposób życie. Prawda jest inna. Otóż Pablo poznał Prieta na meczu piłkarskim. Tam ich sobie przedstawił, a Alvaro z miejsca poczuł sympatię do swojego brata i zaproponował mu posadę ochroniarza. Tak to się zaczęło. Prieto trafnie ocenił talent Pabla i postanowił wdrożyć go w arkana sztuki przemytu.

- Pieniądze najlepiej zrobić, pilnując towaru dla dzianego faceta - powiedział mu - a dzianym facetem jestem ja.

Pablo zrazu koncentrował się na papierosach. Wprowadzał je na rynek, korzystając z własnych kontaktów, wstawiał do kiosków, sprzedawał na bazarze. Robił to z takim powodzeniem, że rychło wyrobił sobie markę w „towarzystwie”. Doszło do Lego, że Alvaro zwrócił się do Pabla z prośbą o rozwiązanie pewnego problemu. Rzeczą dotyczyła kradzieży podczas rozładowywania, kontenerów. Robotnicy najęci do tej roboty zarabiali grosze. Było ich coś z pięćdziesięciu chłopów i w istocie żyli gorzej niż niewolnicy. Nic dziwnego, że kradli na potęgę. Bywało, że rozkradali połowę transportu. Alvaro zaproponował Pablowi dziesięć procent wartości transportu za ograniczenie plagi kradzieży. I tu Pablo zaskoczył Alvara. Oświadczył, że zajmie się sprawą bez żadnego wynagrodzenia. Chce po prostu pokazać, na co go stać. Alvaro wyraził zgodę. Pablo udał się do Turbo.

Zaraz pierwszego dnia postawił robotnikom obiad i powiedział im, co następuje:

- Przyjechałem tu w imieniu szefa. Nie chcę wam robić żadnej krzywdy, przeciwnie, chciałbym z wami współpracować. Jeśli towar będzie dalej znikał, wy stracie pracę i ja też. Mam jednak propozycję. Oddam wam połowę swoich zarobków, jeśli zaczniecie ze mną uczciwie współpracować. Jeśli będę w stanie wykazać szefowi, że tym razem nic nie zginęło, przysięgam, że wrócę za dwa tygodnie i wszystkim wam się odwdzięczę.

Są w obiegu historie, że Pablo wziął robotników strachem, że groził im strasznymi konsekwencjami za rabunek, przeto kradzieże ustały, a Pablowi się powiodło tylko dlatego, że ludzie się go bali. To nic jest prawda. Pablo doskonale wiedział, że lojalność napędza większe zyski niż strach. Ci, którzy robili interesy z Pabłem i nie próbowali go oszukać, dochodzili do naprawdę wielkich pieniędzy. Ale ci, którzy chcieli go oszwabić, okraść bądź zdradzić, mieli za swoje. Każdy, kto zna dokerów z Turbo i wie, jacy są dumni, wie także, że groźbami nic się u nich nie wskóra. To, o czym teraz opowiadam, działo się na długo przed tym, nim Pablo zyskał opinię gwałtownika. Doskonale zdawał sobie sprawę, że siłą nic nie wskóra, a zresztą jak miał z nimi walczyć, był przecież sam. Faktem jest, że oferta godziwej płacy zadziałała, i to do tego stopnia, że większość dokerów zwróciła nawet już zagrabione towary.

Pablo poprowadził konwój złożony z pięciu czy sześciu tirów. Jechał

przodem terenówką i zgodnie z niepisaną umową wręczał łapówki policjantom na trasie. Kiedy transport dotarł do Medellín, a zawartość tirów wylądowała w magazynach, Pablo poszedł do Alvara.

- Problem polega na tym - rzekł - że pańscy ludzie zupełnie nie dbali o dokerów. Nie opłacali ich ani na czas, ani należycie. Ja zaś potraktowałem ich uczciwie i dostarczyłem panu cały, nietknięty transport.

Prieto był zachwycony. Mina mu zrzęła, gdy Pablo przedstawił swoją ofertę.

- Mówił pan o dziesięciu procentach, ja jednak chcę pięćdziesiąt.

Nie byłem przy tym, mogę sobie jednak wyobrazić reakcję Alvara. Nie nawykł do takich żądań.

- Oszalałeś! - krzyknął, a tak przynajmniej opowiadał mi później Pablo.

- Nie oszalałem, to uczciwa propozycja - odpalił. - Bywa, że traci pan połowę towaru. Ja gwarantuję sto procent transportu. Dając mi pięćdziesiąt procent, i tak zarobi pan więcej, bo nie będzie kradzieży.

Prieto oświadczył, że pięćdziesiąt procent to stanowczo za dużo. Umowa stanęła na czterdziestu procentach dla Pabla. Okazała się wielce korzystna dla obu. Pablo z czasem rozwinął interes, zaczął sprowadzać pralki i suszarki, które wtedy jeszcze były w Kolumbii rzadkością. Stał się faktycznym współnikiem. Nadzorował transporty na całej trasie, z portu w Panamie do magazynów w Medellín. Wyrósł na specjalistę. Zarobione pieniądze zabezpieczał w *caletas* - skrytkach wbudowanych w ściany i zabezpieczonych skomplikowaną elektroniką. Tylko on wiedział, jak to się otwiera. W skrytkach spoczywały dziesiątki tysięcy dolarów.

Z dokerami w Turbo miał znakomite kontakty. Dotrzymał słowa, dawał im połowę swojej doli. I właśnie oni, dokerzy, nadali mu przydomek, który miał przyłgnąć doń na stałe - *El Patrón*. Zyskał także sympatię ludzi na trasie przejazdu transportów, opłacając ich sownie pieniędzmi i towarami.

Zarabiał krocie. Zazwyczaj organizowana dwa transporty miesięcznie, Pablo kasował sto dwadzieścia tysięcy dolarów za każdy z nich. Tym sposobem spełniło się jego młodzieńcze ślubowanie, że dorobi się miliona w wieku dwudziestu jeden lat. Trudno wytłumaczyć komuś, kto nie doświadczył tego na sobie, ale zostać bogatym po tym, jak się było biednym, dorastało w nędzy, to nieprawdopodobne wręcz uczucie. Wielu ludziom zdarza się zrealizować swoje marzenia. Co do Pabla, to niemal z dnia na dzień znalazł się w sytuacji, kiedy stać go było na znacznie więcej, niż

marzył. Pierwsze, co zrobił, to wpłacił zadatek na dom dla mamy. Sobie kupił auto, a kuzynowi taksówkę. Mnie zaś zafundował kosztowny włoski rower z tytanową ramą. Był tak lekki, że mogłem go unieść na dwóch palcach. Któregoś dnia udaliśmy się obaj z kilkoma przyjaciółmi na miejscowy bazar. Nakupowaliśmy ryb, mięsa i warzyw, załadowaliśmy jedzeniem całą półciężarówkę i zawieźliśmy to do najuboższej dzielnicy Medellín. Było tam wielkie wysypisko śmieci, z którego okoliczni mieszkańcy żyli. Wygrzebywali resztki jedzenia, szukali rzeczy, jakie jeszcze dałoby się naprawić, odnowić i sprzedać. Pojechaliliśmy właśnie tam i Pablo zaczął rozdawać jedzenie. Jakże go pokochali. Pablo często robił taki właśnie użytek ze swoich pieniędzy. Owszem, popełnił w życiu wiele okropności, ale o biednych nigdy nie zapominał i za to go wielbili. Pamiętają o nim do dziś i oddają mu hołd.

Pablo zrobił jeszcze coś innego, a mianowicie zaprosił całą rodzinę na wycieczkę do Disney Worldu w Orlando na Florydzie. Pojechało nas dwadzieścia osób, w tym nasza mama, siostra i moje dzieci. Nie jestem w stanie wymienić wszystkich atrakcji, z których skorzystaliśmy, ani wszystkiego, co widzieliśmy, a widzieliśmy między innymi pokaz tresury psów. Pamiętam wszelako, że cieszyliśmy się wszyscy. Dla mojej rodziny było to jedno z marzeń, jakie się spełniło, zanim oczywiście nasze życie zamieniło się w koszmar. Kiedy dorastaliśmy, to podobnie jak większość Kolumbijczyków podziwialiśmy Stany Zjednoczone. Marzyliśmy, żeby zobaczyć Amerykę. Na miejscu okazało się, że Ameryka jest jeszcze wspanialsza, niż sobie wyobrażaliśmy. Wszystko zdawało się takie ogromne i piękne, ludzie bogaci a Disney World taki wypucowany i świetnie zorganizowany. To, co zapamiętałem najbardziej, to radość z wycieczki, niebywałą przyjemność i to, że nie mieliśmy żadnych zmartwień.

Pablo zajmował się kontrabandą przez blisko trzy lata. W tym czasie zarobił więcej, niż wydawało się nam - ale nie jemu - możliwe. Powstała taka sytuacja, że musiał założyć całe mnóstwo kom bankowych, wiele z nich na fałszywe nazwiska. W tamtych czasach władze nie interesowały się rachunkami bankowymi obywateli. Nikt tego nie śledził, nikt nie pytał o pochodzenie pieniędzy, bo nie było takich przepisów. Nadszedł dzień, kiedy Pablo poprosił mnie, abym się zajął zarządzaniem jego finansami. Do moich obowiązków należało wypłacanie wynagrodzeń wszystkim pracownikom, lokowanie pieniędzy w bankach i innych bezpiecznych miejscach oraz

wyszukiwanie korzystnych inwestycji. Tak właśnie zostałem księgowym swojego brata.

Spotykaliśmy się z Pablem zwykle raz albo dwa razy w tygodniu. Za moją radą zaczęliśmy inwestować w nieruchomości, kupowaliśmy ziemię i budynki, finansowaliśmy budowy. Tak już będzie do końca. Był - na przykład - taki okres, kiedy do Pabla należało coś ze czterysta farm rozsianych po całej Kolumbii. Inwestycje w nieruchomości traktowałem jako sposób zabezpieczenia majątku Pabla. Gdyby władze wpadły na ślad przemytu, który uprawiał na dużą skalę, mogłyby wtedy skonfiskować cały majątek pochodzący z tej działalności. Stworzyłem więc specjalne zapisy księgowe mające wykazać, że cały dochód Pablo czerpie z nieruchomości, Oto przykład: gdy sprzedawaliśmy mieszkanie za - powiedzmy - pięćdziesiąt tysięcy dolarów, w księgach odnotowywałem przychód w wysokości dziewięćdziesięciu tysięcy. Tak pogmatwałem zapisy, że nikt nie mógłby dojść do prawdziwego źródła pieniędzy. Nie pamiętam już, ile dokładnie Pablo zarobił w ciągu trzech lat zajmowania się kontrabandą, ale mogę powiedzieć, że stał się bogaczem, a ci, którzy dla niego pracowali, żyli znacznie lepiej niż wcześniej.

W tym też czasie w naszych rękach po raz pierwszy znalazła się broń. Pablo dostał pistolet od pewnego szefa przemytników znanego jako El Padrino, a ja dostałem pistolet od Pabla na urodziny. Był to kolt, w pięknym, ozdobnym opakowaniu. Pablo zafundował mi także garnitur, krawat i buty.

- Przyda ci się - powiedział. - Przenosisz spore pieniądze, musisz być ostrożny i mieć się jak bronić.

Na farmie owszem, strzelaliśmy czasami do ptaków, ale w istocie nie potrafiliśmy posługiwać się bronią. a na pewno ja byłem w tym zielony. Znajomy Pabla, kapitan policji, wyrobił mi pozwolenie na broń. Nie czułem się tym dobrze. Żonie nic nie powiedziałem, pistolet ukryłem przed rodziną. Ale Pablo miał rację. Przenosiłem sporo gotówki i rzeczywiście powinienem jakoś się zabezpieczać. Na szczęście w tamtych czasach nie musiałem sięgać po broń.

Gdyby Pablo został w przemytniczym interesie, przyszłość mogłaby wyglądać inaczej. Mógłby na przykład skorzystać ze zgromadzonego majątku, żeby spróbować sił w polityce. Mógł robić różne rzeczy. Ale interes nagle się skończył. Pabla zdradził pewien skorumpowany, wysokiej rangi funkcjonariusz policji, z którym wcześniej mój brat miał układ. Pablo opłacał

go od kilku już lat za ułatwianie transportów idących przez jego rejon. Pech chciał, że tego właśnie funkcjonariusza władze przeniosły do innego miasta. Zdał on sobie sprawę, że to koniec z regularnymi wypłatami od Pabla, postanowił więc zdobyć uznanie swoich przełożonych i opowiedział im o Pablo i jego interesach. Powstał plan przejęcia przez policję następnego transportu. Dla nich, znaczy dla policjantów, oznaczało to fortunę.

W tym czasie konwoje organizowane przez Pabla liczyły nawet po czterdzieści ciężarówek, jedno można o Pablo powiedzieć z całą pewnością - zawsze miał szczęście. Tak było i tym razem. Zwykle jechał terenówką na czele konwoju. Tym razem jednak postanowił zatrzymać się na lunch w restauracji przy drodze. Kierowcom kazał jechać dalej, obiecując, że wkrótce do nich dołączy. Policjantom po drodze kierowcy mieli mówić, że Pablo zaraz nadjedzie i ureguluje rachunki. Policjanci znali już Pabla, więc nie powinno być żadnych problemów. Tylko że kiedy Pablo rozsiadł się w restauracji, posterunkowi dostali rozkaz z góry, żeby zatrzymać konwój. W rękach policji znalazło się trzydzieści siedem ciężarówek. Trzy pozostałe zdołały się wymknąć. Kierowca jednej z nich połączył się z Pabłem.

- Powiedz kolegom, że mają trzymać język za zębami - polecił Pablo.

Alvaro pogodził się ze stratą.

- Pies trącał ciężarówki - powiedział i kazał Pablowi wracać do Medellín.

Nie było szans na odzyskanie towaru, więc Pablo ruszył w drogę do Medellín. Zostawił jeepa, przesiadł się do autobusu, dzięki czemu bezpiecznie przejechał obok posterunku, gdzie na niego czekano z nakazem aresztowania. Przejechał obok swoich trzydziestu siedmiu ciężarówek zaparkowanych na poboczu. Najął później prawników, posmarował, komu trzeba, i doprowadził do zwolnienia kierowców z aresztu. W papierach zapisano, że kierowcy nie wiedzieli, co wiozą, więc nie mogą ponosić odpowiedzialności. Ale dla Pabla interes przemytniczy skończył się definitywnie. Rozpoczął nowe życie, które napiętnuje go niesławą.

Kokaina, wiedza o niej, stanowi dziś trwałą część światowej kultury. Nie ma nikogo, kto by o niej nie słyszał. Kokainowe burze przeszły przez takie kraje jak choćby Stany Zjednoczone. Za sprawą Pabla oraz karteli z Medellín i Cali Kolumbia zyskała światową sławę jako eksporter kokainy. Kiedy jednak Pablo stawiał pierwsze kroki w biznesie narkotykowym, sytuacja przedstawiała się zgoła inaczej. W Stanach - na przykład - kokainy nie uważana za jakiś istotny problem, a większość Amerykanów niewiele o niej

wiedziała. Inaczej w Kolumbii. O kokainie wiedzieliśmy sporo, głównie za sprawą pasty wytwarzanej w naszych okolicach. Rzecz jednak zamykała się w naszych granicach, kokainę wytwarzano i konsumowano głównie w naszym kraju. Nikt wtedy nie eksportował narkotyku do Stanów i nikt jeszcze nie robił na tym kokosów.

Był czas, kiedy kokainę stosowano szeroko i bez żadnych ograniczeń w Ameryce. Niewielkie domieszki kokainy dodawane do coca-coli i papierosów sprzedawanych całkiem oficjalnie. Pierwsze przepisy ograniczające obrót kokainą wprowadzono w Ameryce w roku 1914, kiedy przekonana społeczność, że Murzyni na południu Stanów pod wpływem kokainy szaleją i dobierają się do białych kobiet. Policja wszelako nie zwalczała zwykłych - nazwijmy to - kokainistów. Dopiero w roku 1970 rząd Stanów Zjednoczonych poddał kokainę kontroli państwa. Na mocy ustawy policja zaczęła zatrzymywać handlarzy i konsumentów kokainy. W efekcie rynek stał się trudny, a zagrożenia sprawiły, że cena kokainy skoczyła w górę, co z kolei nabijało kieszenie dilerów.

Kokainę wytwarza się z liści krasnodrzewu, który występuje przede wszystkim w peruwiańskiej dżungli, ale także w Boliwii, Kolumbii oraz Ekwadorze. Na peruwiańskim płaskowyżu krzewy kokainowe rosły pospolicie na długo przed tym, nim ludzie zaczęli je uprawiać. Indianie używali liści w celach leczniczych, a także żuli je, uważając, że przysparzają energii. Półtora wieku temu, w roku 1859, pewien niemiecki uczone opracował metodę pozyskiwania z liści białej substancji, której zażycie wprowadzało w błogi nastrój. Nazwał ją kokainą. Dopiero znacznie później zdano sobie sprawę z zagrożeń, jakie ów biały proszek niesie ze sobą, że działa jak magnes - gdy się doń nawyknie, trudno jest się wyzwolić.

Ani Pablo, ani ja nie zażywaliśmy kokainy. Pablo, gdy dorósł, palił czasami marihuanę.

- Lubię trawkę - mawiał. - Działa na mnie relaksująco, a poza tym, czy coś, co rośnie w ziemi, może być złe?

Brat nigdy mi się nie zwierzył, że postanowił zająć się kokainą. Powiedział mi tylko, że kontrabanda robi się zbyt niebezpieczna, że wymaga mnóstwa podróży i że zrobiło się zbyt tłoczno, przeto zdecydował się zmienić branżę. Nie sądzę, aby już wtedy szykował się do handlu kokainą, chyba nawet tego nie rozważał, a z całą pewnością nie wyobrażał sobie, że na tym będzie polegać jego życiowa kariera ani że zostanie największym w

świecie dilerem kokainy. Myślę, że zwyczajnie wyczuł okazję do dorobienia się, i to w sposób znacznie łatwiejszy niż na kontrabandzie. Na jednym transporcie kokainy, stosunkowo niewielkim, takim, który da się ukryć w samochodzie, zarabia się więcej niż na czterdziestu ciężarówkach z kontrabandą. W tamtym czasie Pablo był jednym z nielicznych, którzy wozili kokainę z Peru do Kolumbii i dalej do Stanów Zjednoczonych, z tym że większość nie szmuglowała więcej niż parę kilogramów jednocześnie. Zyski były naprawdę spore, robota dość łatwa, a ryzyko niewielkie. Nie istniał Wtedy jeszcze żaden kartel narkotykowy, jedni handlowali na małą, inni na większą skalę. Do tych ostatnich należała pewna pozbawiona skrupułów mieszkanka Medellín Griselda Blanco zwana Czarną Wdową, bo zdążyła pochować trzech mężów. Przeprowadziła się później do Stanów i prowadziła narkotykowy interes w Miami na Florydzie. Wejście do branży nie było trudne - wystarczało trochę pieniędzy i odwagi, a szanse na wygraną były ogromne.

Z pomysłem, żeby wejść do tego interesu, wyszedł jako pierwszy człowiek o przydomku *El Cucaracho* - Karaluch. On to właśnie namówił Pabla i naszego kuzyna Gustava Gavirę na wyprawę do Peru w celu ubicia interesu. Ojciec Gustava, nasz wuj, był właścicielem warsztatu kamieniarskiego, o którym już wspominałem. Gustavo był z Pablem bardzo blisko i tak miało zostać do końca, do jego śmierci, gdy 'tv 1990 roku Gustavo zginął przed własnym domem. W organizacji, którą Pablo stworzył, Gustavo zajmował miejsce na samej górze, był w istocie współnikiem, a wspólny interes zaczął się właśnie od wyprawy do Peru. Gustavo był wspaniałym facetem, pełnym humoru, inteligentnym i bardzo zdolnym. Wcześniej, to znaczy przed wejściem do interesu, był nauczycielem angielskiego w szkole podstawowej. Z Pablem byli niemal nierozłączni, spędzali mnóstwo czasu razem, pasjonowali się piłką nożną i wyścigami. W późniejszych czasach, gdy mogli sobie na to pozwolić, ścigali się ze sobą na wszystkim, czego prędkość napędzała adrenalinę, od samochodów po skutery wodne.

W Peru Cucaracho wprowadził Pabla i Gustava do kręgu ludzi sprzedających kokainową pastę - półprodukt, z którego drogą rafinacji pozyskuje się czysty narkotyk. Trasa powrotna do Medellín wiodła przez trzy kraje - Peru, Ekwador i Kolumbię. Na potrzeby transportu Pablo kupił trzy samochody, żółte renault 4. Nawiasem mówiąc, jeden z nich kupił ode mnie.

Ten zarejestrował w Kolumbii, pozostałe w Peru i Ekwadorze. Do dziś pamiętam numer „swojego” wozu - LK7272. Podróż z ładunkiem wyglądała tak, że pierwszym wozem Pablo jechał w Peru do przejścia granicznego. Drugim przez Ekwador do granicy z Kolumbia, a trzecim, po przejściu granicy, do Medellín, a ściślej do dzielnicy zwanej Belén, gdzie urządził sobie „kuchnię”, w której z pasty powstawał czysty towar.

Auta zostały oczywiście odpowiednio przygotowane, to znaczy wyposażone w specjalne skrytki. Te umieszczono w przednich nadkolach, gdzie jest stosunkowo dużo miejsca, a ściślej w prawym przednim nadkolu, czyli od strony pasażera. W czasie pierwszej podróży iw czasie licznych następnych Pablo z Gustavem przejeżdżali przez wiele posterunków kontrolnych. Policjanci na ogół podchodzą do kontrolowanego pojazdu od strony kierowcy. Bywa, że przeszukują całą kabinę pasażerską, ale pod karoserię nie zagląдают. Z pierwszej wyprawy Pablo przywiózł kilogram pasty. Zapłacił za to mniej więcej sześćdziesiąt dolarów.

Kiedy już przerobił surowiec i uzyskał kokainę, poczęstował „działkami” dziesięć osób. W ten sposób stworzył sobie krąg odbiorców. Każda z tych osób wysoko oceniła produkt. „To lepsze niż marihuana” - mówili. Co więcej, przekonali się, że kokaina z drinkiem działa uspokajająco, a jednocześnie energetyzująco. Wszyscy oczywiście chcieli więcej i zaczęli nagabywać Pabla. Swoimi wrażeniami podzielili się z innymi. I tak Pablo zbudował sobie rynek. Sam - jak wiem - nie używał kokainy, nie smakowała mu.

I tak oto Pablo Escobar założył narkotykowy biznes.

Po raz pierwszy ów dziwny ksiądz objawił mi się tej nocy w 1976 roku, kiedy jechałem z Manizales do Medellín, aby wyciągnąć Pabla z aresztu. Pablo wpadł za przemyt kokainy. Od tamtej nocy po dziś dzień ksiądz ukazuje mi się zawsze, gdy szykuje się coś złego, jakby mnie ostrzegał.

A wszystko dlatego, że ludzie pożądali kokainy. Pablo rychło pojął, że sprzeda tyle, ile tylko zdoła wwieźć do kraju. Interes rozwijał się dynamicznie, ale na początku było ich tylko dwóch - Pablo i Gustavo. Pamiętam z tamtych czasów, jak brat prosił mamę, aby mu uszyła marynarkę z podwójną podszewką, z takimi ukrytymi kieszeniami na towar i pieniądze. Jeden z członków organizacji Pabla - Lew - wspominał, że kiedyś w takich właśnie schowkach pod podszewką przewoził trzy miliony dolarów w gotowce. Kursował między Medellín a Nowym Jorkiem. Do Ameryki woził kokainę, a z powrotem szmal. Zrobił ponad dwadzieścia kursów. Pierwszą taką marynarkę spreparowała Hermilda, nie wiedząc nawet, do czego ma służyć. Mama w ogóle nic nie wiedziała o biznesie Pabla, była w tych sprawach okropnie naiwna. Kiedyś przy rodzinnej kolacji - pamiętam - Pablo wręczył jej jakąś sumę.

- Chodzą słuchy - powiedziała mama, zwracając się do Pabla - że zajmujesz się praniem pieniędzy. Te też są wyprane? - spytała.

- Oczywiście - odparł Pablo.

- To dlaczego nie są wilgotne?

Do dziś mam w uszach wybuch śmiechu przy stole.

Rychło stare renault 4 okazały się za małe. Pablo zastąpił je ciężarówkami. Tym sposobem jednorazowy ładunek zwiększył się do dwudziestu kilogramów. Trasa wiodła przez Ekwador do miasta Pasto w południowo-zachodniej Kolumbii, którego okolice to wielkie zagłębienie ziemniaczane, więc wielkie ciężarówki z ładunkiem kartofli nie budziły tam żadnych podejrzeń. Pablo wpadł na pomysł, aby narkotyk ukrywać w kołach zapasowych. Tak to szło przez kilka miesięcy, a ja jeszcze nie wiedziałem, czym brat i Gustavo naprawdę się zajmują.

Tymczasem obaj przyjaciele najęli kierowców i pomocników. Poszczególne pary pracowników obsługiwały tylko określone etapy trasy.

Chodziło o to, aby nikt nie miał obrazu całości. jednym z kierowców był niejaki *Gavilán*, co znaczy Sęp, wyjątkowy dureń. Z zarobionych u Pabla pieniędzy kupił sobie samochód, motocykl i w ogóle się obsprawił. Pech chciał, że wuj Sępa pracował w DAS - Departamentu Administrativo de Seguridad - kolumbijskim ESL i oczywiście zaciekało go, skąd siostrzeniec ma tyle pieniędzy.

- Pracuję u takiego jednego faceta, wożę kartofle z Pasty do Medellín - wyjaśnił Sęp.

Wuja to nie przekonało i DAS wdrożyło śledztwo. Nie wiadomo jak, bo szczegóły nie są znane, ale koniec końców DAS odkryło prawdę i zasadziło się na transport w Medellín, Kierowcę zatrzymano, każąc zawiadomić szefa, czyli Pabla, że jeśli posmaruje, to nie będzie sprawy. Pablo opowiadał mi później, że telefon od kierowcy wcale go nie zdziwił. Łapówka w Kolumbii to rzecz powszechna, chciałoby się powiedzieć - normalka. Kiedy jednak zjawił się z Gustavem w umówionym miejscu, okazało się, że to zasadzka. Zostali aresztowani.

Wiadomość o zatrzymaniu dotarła do mnie dopiero następnego dnia. Byłem wtedy w: Manizales na zebraniu szkoleniowców kadry kolarskiej. Szykowałem się do wystąpienia, wieczorem miałem wygłaszać referat, gdy raptem zobaczyłem zdjęcie Pabla na czołówce w gazecie. Ogarnęło mnie przerażenie. Wiedziałem, że Pablo zajmuje się kontrabandą, ale o narkotykach nie miałem pojęcia. W pierwszym odruchu pomyślałem, że zaraz stracę miejsce w zespole trenerskim. Dopiero po chwili oprzytomniałem na tyle, żeby zdać sobie sprawę, że nikt z uczestników zebrania nie wie, co mnie łączy z Pablem. Ogarnąłem się, uspokoiłem i postanowiłem, że jednak wygłoszę swój referat, a potem zajmę się sprawą Pabla.

Najpierw jednak zadzwoniłem do mamy. Szłochała w słuchawkę. W tamtych czasach nie było jeszcze komórek i jak sprawa wybuchła, mama nie mogła mnie znaleźć. Powiedziałem jej, że na razie nie wiem, jak wygląda sytuacja, ale oczywiście zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc bratu.

Wieczorem zacząłem wygłaszać swój referat, ale nic z tego nie wyszło. Przeprosiłem, powiedziałem, że się źle poczułem i muszę natychmiast wyjechać. Z Manizales do Medellín jedzie się osiem godzin. W podróży towarzyszył mi pewien serdeczny przyjaciel, który vs' przyszłości wejdzie do

kartelu Pabla. Zmienialiśmy się przy kierownicy. jechaliśmy dużym dodge'em ciężarówką. Dziś drogi w Kolumbii wyglądają zupełnie inaczej, wtedy jednak mieliśmy do pokonania kilkaset kilometrów wąskiej i krętej szosy. Najpierw prowadziłem ja, potem on. Zastanawiałem się, co powinienem zrobić i w jakiej kolejności. A więc zaraz po przyjeździe do Medellín trzeba zadbać o dokumentację, wyczyścić kwity, żeby nie było w nich nic podejrzanego. Władze zapewne nie będą sprawdzać wszystkich źródeł dochodów Pabla, mogą jednak próbować ustalić, ile zarobił na przemyśle narkotyków. Musiałem więc dopilnować, aby środki na kontach Pabla miały pokrycie we wpływach z obrotu nieruchomościami.

Dochodziła trzecia trzydzieści nad ranem. Poza nami nikogo na szosie. Zauważyłem, że kończy się nam paliwo, zacząłem więc rozglądać się za stacją benzynowa i właśnie wtedy dostrzegłem przy drodze postać w czerni. z równie czarnym, okrągłym kapeluszem na głowie. Ksiądz - pomyślałem. Dziwne, co robi na pustej szosie o tej porze. Mój przyjaciel ani nie przyhamował, ani nic.

- Hej - wrzasnąłem - zatrzymaj się.

Spojrzał na mnie zdumiony.

- Mówię ci, zatrzymaj się!

Minęliśmy księdza. Obróciłem się. Postać znikła.

Chwilę później przejechaliśmy obok czynnej stacji benzynowej. I znów mój przyjaciel nie zatrzymał wozu. Wściekłem się.

- Co się z tobą dzieje? - krzyknąłem. - Dlaczego nie zabrałeś tego człowieka? Dlaczego nie wzięliśmy benzyny?

- O co ci chodzi? - spojrzał na mnie jak na przygłupa. - Nikogo nie widziałem. I nie mi nie mówiłeś o benzynie.

Zdrętwiałem. Nawet dziś, kiedy to wspominam, przechodzą mnie ciarki. Wiem przecież, że go widziałem. Widziałem tego księdza. Po raz pierwszy właśnie wtedy, a co to znaczy, miałem pojąć znacznie później.

Tymczasem oczywiście zabrakło nam paliwa. Musieliśmy iść po benzynę na piechotę. Wreszcie jednak dotarliśmy do domu. Nazajutrz miałem widzenie z Pablem w więzieniu Itagüi, jednym z najcięższych w Medellín. Niczego mi nie wyjaśniał, powiedział tylko, że sam załatwi sprawę. I rzeczywiście nacisnął wiadome sobie sprężyny, zapłacił, komu trzeba, i po ośmiu dniach przeniesiono go do więzienia o znacznie łagodniejszym rygorze, gdzie więźniom wolno było grać w piłkę, wychodzić na Spacery i

stołować się na mieście. Tam spędził ponad dwa miesiące w oczekiwaniu na rozprawę. Oczywiście w tym czasie załatwiono, co trzeba, w miejscowym sądzie. Mama tymczasem zaprzyjaźniła się z dyrektorem zakładu karnego. Nosila mu nawet domowe jedzenie. Sprawy przybrały jednak zły obrót. Otóż z uwagi na to, że przestępstwa dokonano w Pasto, sprawa znalazła się w jurysdykcji sędziego wojskowego. Funkcjonariuszy wojskowego wymiaru sprawiedliwości trudno przekupić. Przed Pablem i Gustavem stało widmo surowego wyroku i długiej odsiadki.

Adwokat Pabla poinformował go o zamierzonym przeniesieniu na dzień przed faktem. Pablo zmartwił się. Nie znał w Pasto nikogo, kto mógłby mu pomóc. Istniało realne niebezpieczeństwo, że nie da się nic załatwić. Więc w nocy wezwał strażnika.

- Nie mogę spać - poskarżył się. - Muszę się przejść, pójdę na boisko.

No i poszedł w długą. Rozumiem, że strażnik też dostawał swoją dole. Kilka godzin później do mamy zadzwonił dyrektor więzienia, błagając o pomoc.

- Nie mam pojęcia, co robić, a lada chwila przyleci samolot wojskowy, żeby chłopców zabrać do Pasto. Jeśli ich nie dostarczę na lotnisko, to mnie zamkną. Niech Pablo wróci, przysięgam, że nic mu się nie stanie. Byłem dla nich taki dobry, pozwalałem im chodzić, gdzie tylko chcieli, i teraz będę miał za swoje.

Chwilę później zadzwonił Pablo z wieścią, że uciekł z aresztu.

- Co ty sobie wyobrażasz - mama nakrzyczała na niego. - Tak nie wolno postępować. Masz natychmiast wracać do zakładu. Wszystko będzie dobrze.

Pablo posłuchał.

Wiele lat później mama zaryzykuje wręcz życie, udając się bez żadnej ochrony na rozmowy z naszymi wrogami z Cali i z Los Pepes - ludźmi, którzy mieli wykonać wyrok na Pable. Hermilda Gaviria była naprawdę dzielną kobietą, nie cofała się przed niczym, gdy trzeba było ratować synów.

Tymczasem wzięła taksówkę i pojechała do Pabla. Opowiedziała o telefonie od dyrektora i o tym, co mu grozi, jeśli nie przekaże Pabla władzom wojskowym. I wtedy Pablo wyszedł z pewnym pomysłem. Zamiast natychmiast wracać do więzienia, poszedł do lekarza. Ten za odpowiednią opłatą - a były to duże pieniądze - wystawił mu zaświadczenie, że jest ciężko chory. Żeby sprawę uprawdopodobnić, spreparował nawet zdjęcie rentgenowskie, to znaczy wpisał nazwisko Pabla na zdjęciu rzeczywiście

poważnie chorego człowieka. O jedenastej Pablo z mamą zameldowali się w więzieniu.

Pablo wyraził ubolewanie wobec dyrektora, tłumacząc, że w nocy naprawdę poczuł się fatalnie.

- Myślałem, że umieram - podkreślił.

Tak się szczęśliwie złożyło, że samolot z Pasta nie mógł wystartować z powodu złych warunków atmosferycznych. Koniec końców Pabla z Gustavem zawieziono do Pasto ciężarówką. Ale mieli szczęście, bo tymczasem zmieniły się przepisy i dało się zawrzeć stosowny układ z sędzią. Ile to kosztowało, nie wiem, myślę, że sporo. Ostatecznie sprawę załatwiono w ten sposób, że kierowca Frank, przyłapany na przemyśle, przyznał się oficjalnie do winy, zaświadczając jednocześnie, że ani Pablo, ani Gustavo nie brali żadnego udziału w interesie. Frank dostał wyrok opiewający na mniej niż pięć lat.

- Będziesz miał wszystko, co trzeba, zajmę się rodziną, pieniądze będą wpływać do banku, jakbyś cały czas pracował - obiecał mu Pablo. I rzeczywiście załatwił, że Franka osadzono w zakładzie o łagodnym rygorze. Rodzinie zafundował dom, samochód i odpowiednie konto w banku, ja zaś pilnowałem, żeby konto było stale uzupełniane.

W pierwszą niedzielę po wyjściu Pabla z więzienia spotkaliśmy się u mamy na rodzinnej kolacji. Wtedy właśnie próbowałem przekonać Pabla, żeby dał sobie spokój z koką.

- Nie rób tego, przecież nie musisz, zarabiasz krocie na kontra bandzie, więc nie wchodź dalej w to świństwo, bo to naprawdę jest świństwo.

Świństwem były oczywiście narkotyki.

W odpowiedzi Pablo opowiedział mi, jak to się zaczęło.

- I nie martw się, braciszku - dokończył. - Nic będę tego ciągnął długo. Jeszcze tylko trochę zarobię i zostanę przy kontrabandzie. Tak będzie lepiej, bo najwyżej skonfiskują mi towar, ale nie zamkną.

Powiedziałem, że także i mnie robi krzywdę. Powodziło mi się nieźle, sklepy z rowerami przynosiły dochód, dostawałem także państwową pensję jako trener. Postawiłem pytanie, czy władze będą tolerować brata handlarza kokaina na stanowisku trenera kadry narodowej. Pablo przyrzekł, że skończy z koką. Nie pamiętam, czy mu wtedy uwierzyłem, czy nie.

On tymczasem natychmiast wrócił do zawodu, a był już znany policji. Nieco ponad miesiąc później ta sama dwójka funkcjonariuszy DAS, która

aresztowała ich za pierwszym razem, znów ich zatrzymała. Ale tym razem zastosowała zupełnie inny scenariusz. Pabla z Gustavem agenci zawlekli do *El Basurero* - na wysypisko śmieci, gdzie nie było żywego ducha. Tam spętali im ręce, rzucili na kolana i znęcali się nad nimi tak strasznie, że Pablo pomyślał, że to już koniec, że żywy nie wyjdzie. Ale nie poddał się, nie błagał o życie, zaczął targi. Koniec końców porywacze spod znaku DAS przystali na milion peso. Rozwiązali Gustava, żeby przyniósł pieniądze. Pablo zatrzymali, a on w tym czasie zaoferował jeszcze pewną sumę w zamian za informację, kim ich wydał. Odpowiedź wcale go nie zaskoczyła. Zdradził ich El Cucaracho, ten sam człowiek, który wprowadził Fabia do biznesu, a teraz lękał się, że mój brat przejmie całość. Więc w imię swojego interesu najął zabójców. Niestety, w tej branży i się zdarzało.

DAS-owcy przyjęli okup, uwolnili Pabla i Gustava. Wedle narosłej wokół tego wydarzenia legendy Pablo miał przyrzec sobie, że „nie będzie przebaczył”. Owszem, porywanie dla okupu było czymś przyjętym, ale tego, że rzucono go na kolana, nie chciał wybaczyć.

- Zabiję skurwieli własnymi rękami - miał oświadczyć.

Kilka dni później ta sama para przekupnych funkcjonariuszy szykowała się do porwania jednego z pracowników Pabla. Wtedy jeszcze nazwisko Pabla Escobara nikomu nic nie mówiło, więc porywacze nie widzieli powodów do obaw. Dla nich Pablo był takim sobie tuzinkowym przemytnikiem kokainy. Ich plan spalił na panewce. Z myśliwych zamienili się w zwierzynę. Pablo nigdy mi się nie zwierzył, jak załatwił sprawę, opowiadano mi jednak, że zwiabił ich do domu, tam kazał klęczeć, a następnie zabił strzałami w głowę. Być może tak rzeczywiście było. Z gazet wiem, że istotnie znaleziono ciała dwóch funkcjonariuszy DAS z licznymi ranami postrzałowymi.

Od tego czasu Pablo wszedł już bez reszty w handel kokaina, zrazu tylko w Kolumbii, ale z czasem zaczął szmuglować kokainę do co najmniej piętnastu krajów, z nich zaś narkotyki rozchodził się po całym świecie. Pod koniec życia mojego brata kartel zaczynał nawet wchodzić do Europy Wschodniej, do krajów komunistycznych. W szczytowym okresie kartel z Medellín produkował i rozprowadzał dosłownie tony kokainy tygodniowo. I pomyśleć, że zaczęło się od tych paru kilogramów, jakie Pablo własnymi rękami wytwarzał w „kuchni”.

Nie jestem w stanie przypomnieć sobie, kiedy dokładnie Pablo ujawnił

przede mną prawdę o swoim biznesie. Myślę, że nastąpiło to rychło po opisanych wyżej wydarzeniach. W końcu to ja zarządzałem pieniędzmi, więc musiałem zostać wtajemniczony. Proces pozyskiwania alkaloidu z liści koki rozkłada się na kilka etapów. I nie trzeba do tego wielkich ekspertów, każdego można przyuczyć, rzecz jest bowiem prosta jak pieczenie ciasta. Rafinacja następuje w laboratorium, czyli w „kuchni”, jak zwykliśmy mówić. Laboratorium to w ogóle za duże słowo. Procedura bowiem jest tak prosta, że kokę można rafinować wszędzie - we własnym mieszkaniu albo w dżungli. Właśnie w dżungli, daleko od uczęszczanych dróg, Pablo pobudował z czasem wielkie laboratoria. Pracowały tam dla niego setki ludzi. Ale pierwsze laboratorium Pablo urządził w piętrowym domu w Belén. Był to normalny dom mieszkalny w nader przyzwoitej dzielnicy. Pracownicy - „kucharze” - mieszkali na piętrze, na parterze zaś funkcjonowało laboratorium. Pablo kazał przerobić kilka starych lodówek na piece do rafinowania pasty. Dom różnił się od innych w okolicy tylko tym, że zasłony w oknach były stale zaciągnięte, żeby nikt nie zerkał do środka. Na początku nie trzeba było nawet się opłacać miejscowej policji, bo przecież policjanci nic nie wiedzieli.

Jedyny problem stanowiła silna woń chemikaliów. Pablo lękał się, że sąsiedzi mogą złożyć skargę na policji, i wtedy właśnie postanowił zbudować laboratorium w dżungli. Od tego momentu interes zaczął się naprawdę rozwijać, nadal jednak nikt, nawet Pablo, nie wyobraźni sobie tej nieprawdopodobnej fortuny, jaką na tym zbije, fortuny, z którą nic nie będzie się równać. To, co stworzył Pablo, prezydent Kolumbii nazwał później „wielką i przepotęzną organizacją, jakiej nigdy świat nie widział”.

W ciągu kilku miesięcy Pablo z Gustavem zarobili naprawdę znaczne sumy. Moje zadanie polegało na lokowaniu majątku Pabla w rozmaitych bankach, na możliwie największej liczbie kont. Nie byłem jednak przygotowany na zarządzanie tak wielkimi sumami. Nikt nie dalby rady. Pablo tymczasem sprawiał sobie luksusowe prezenty. Kupił nissana patrola, zamieszkał w pięknej rezydencji w bogatej dzielnicy El Poblado w Medellín. Co do mnie, to nadal próbowałem go przekonać, żeby wycofał się z narkotykowego interesu. Obaj jesteśmy zapalonymi fanami piłki nożnej, z tym tylko, że kibicujemy różnym drużynom z Medellín. Przez całe życie chodziliśmy na mecze, kiedy tylko się dało. Kiedyś - pamiętam - wybraliśmy się razem, gdzieś na początku kariery Pabla. Poszliśmy we dwóch, bez żon,

dzieci i - co ważne - bez ochrony, i był to ostatni raz, kiedy mogliśmy usiąść tak sobie we dwóch na trybunie. I właśnie wtedy raz jeszcze błagałem go, żeby rzucił narkotyki.

- Masz wystarczająco dużo pieniędzy - przekonywałem go. - Możesz sobie sprawić, co tylko chcesz. Skoncentruj się na nieruchomościach.

Pablo tylko się uśmiechnął. Dziś wiemy, że narkotyki uzależniają człowieka na wiele różnych sposobów. Gdy Pablo wszedł w kokainę, gdy poczuł smak władzy, pieniędzy i sławy, nie potrafił już się wyzwolić.

Kiedy już brat wyrobił sobie - jak to się mówi - nazwisko, w jego życiu nastąpiły także inne ważne zmiany. W 1974 roku zakochał się w najpiękniejszej dziewczynie w całej okolicy, Marii Victorii Henao. Problem polegał jednak na sporej różnicy wieku - Pablo miał dwadzieścia pięć lat, a Maria ledwie czternaście. Właśnie dlatego matka Marii nie aprobowała ich związku. Do Pabla nie chciała się nawet odzywać, a córce utrudniała spotkania z nim, jak tylko mogła. Ale zakochany po uszy Pablo nie baczył na nic. Pamiętam, kiedyś upił się i z równie pijanym gitarzystą urządził nocną serenadę pod oknami Marii - scena jak z kiczowatego filmu. W 1976 roku Maria zaszła w ciążę i wtedy, z dnia na dzień, postanowili z Pablem wziąć ślub. Nie było mnie wtedy w kraju, przebywałem za granicą z kolarską reprezentacją Kolumbii, więc ominęła mnie ceremonia, a była dość skromna, taka z marszu. Trzy miesiące później urodził im się syn Juan Pablo. Teściowa jeszcze przez parę lat nie godziła się ze związkiem córki. Wreszcie jednak zrozumiała, że Pablo naprawdę kocha Marię, i zaakceptowała jej nową rodzinę.

Mijałoby się z prawdą, gdybyśmy twierdzili, że Pablo był wiernym małżonkiem. Wiadomo, że nie był, ale też nigdy nie przestał kochać Marii Victorii, dzieci i rodziny. W rzeczy samej miłość do rodziny i lęk o jej bezpieczeństwo sprawiły, że wiele lat później odstąpił od swoich zwykłych zasad postępowania, a przez to dał się schwytać i zabić.

Życie całej naszej wielkiej rodziny zmieniło się diametralnie, gdy brat zaczął sprzedawać kokainę do Stanów Zjednoczonych. Istniał już wtedy dawno przetarty kanał przemytu marihuany z Kolumbii do Stanów. Amerykański rynek kokainy był wszelako w powijakach. Sprawy nabrały nowych kształtów, gdy Amerykanie sami zaczęli uprawiać marihuanę. Zyski z transportów kolumbijskiej marychy spadły na łeb na szyję. Akurat wtedy Pablo wchodził do interesu i skorzystał z nowej sytuacji, a ściślej z

istniejących kanałów przerzutu narkotyków. Kokaina zajmuje mniej miejsca niż marihuana, przeto łatwiej transportować ją w ukryciu i oczywiście generuje znacznie większe zyski. Niewielki pakiet z kokaina, ot taki, który może przewieźć „muł”, a więc najęty w tym celu człowiek, albo paczka, którą można przerzucić awionetką, daje większy dochód niż bele marihuany ukryte w ładowni frachtowca.

Ważne jest także, że w tamtym czasie nie widziano większej różnicy między marihuaną a kokainą. jedno i drugie dawało poczucie euforii. Dopiero później przemyt kokainy zaczął kojarzyć się z aktami przemocy, a Ameryka uzależniła się od narkotyku. Jeszcze później na rynek amerykański wprowadzane „crack”, czyli wyjątkowo mocno działającą kokę. Ale w latach, jakie tu opisuję kokaina nie budziła grozy. Przemysłownicy traktowali ją jako zyskowniejszy substytut marihuany. W Kolumbii wręcz uważano, że dość rychło kokaina zostanie zalegalizowana i u nas, i w Ameryce, bo tak już kiedyś było. Tak więc kiedy Pablo wpadł na pomysł eksportowania kokainy do Ameryki, nikt się tym specjalnie nie przejął.

Pierwsze transporty po mniej więcej dwadzieścia do czterdziestu kilogramów ukrywał w używanych oponach samolotowych. Przesyłki szły awionetkami do Miami. Pablo skupował wyeksploatowane opony samolotowe po całej Kolumbii, upychał w nich paczki z narkotykami, ładował na pokład awionetek i wysyłał do Miami na Florydzie. Tam piloci wymieniali opony. Te zużyte odsyłało na wysypiska jako nienadające się do niczego, a na ich miejsce kupowano nowe. Tymczasem zaufany człowiek Fabia w stosownej chwili udawał się na wysypisko i wyciągał cenną przesyłkę z wyrzucanych tam opon. Plan był prosty i sprawdzał się znakomicie.

Jedno trzeba podkreślić, a mianowicie, że Pablo osobiście nie dotykał narkotyków. Nie chciał ryzykować, a poza tym uznał, że brudna robota już nie dla niego, stać go było na najmowanie ludzi gotowych na ryzyko. Tym sposobem interes stał się dlań bezpieczniejszy. Zatrudniał więc zespół ludzi, którzy przywozili pastę z Peru, zatrudniał „kucharzy” i osobnych ludzi do przewozu gotowego produktu na Florydę. Spośród tych ostatnich kilka osób zajmie z czasem ważne funkcje w organizacji.

Przerzutem towaru z laboratorium na lotnisko też zajmowali się specjalni ludzie. Szefował im Alosito, a jednym z najbardziej zaufanych kierowców był niejaki Chepe. Pracował dla Pabla niemal od samego początku. W czasie

wojny z wrogami kartelu Chepe złapano. Która z wrogich organizacji dostała go w swoje ręce, dokładnie nic wiadomo.

Wiadomo jednak, jak zadano mu śmierć. Otóż spętano go, położono na drodze i przejechano jego własną, ciężarówką, Zabito jak zwierzę.

Pakowaniem kokainy na lotnisku i umieszczaniem pakietów w oponach zajmowali się Prosequito z Juanem Carlosem. Tego ostatniego zwano Mr. Munster, bo był tak rośły i brzydki jak Herman Munster z serialu *The Munsters*. Nawiasem mówiąc, przydomek wymyślił Pablo. Na lotnisku pakiety oznaczano etykietami, zwykle z takimi wyrazami jak „Szmaragdy” bądź „Diamenty”, też według pomysłu Paola. Gdyby amerykańscy funkcjonariusze DEA [\[1\]](#) podsłuchali rozmowę o towarze, uznaliby pewnie, że chodzi o kamienie szlachetne, a nie kokę. Wiele lat później Prosequito zginął tak jak Chepe. A tymczasem zarabiał z Juanem po sto pięćdziesiąt do dwustu dolarów za każdy spakowany kilogram kokainy.

Pablo zatrudniał kilku pilotów. Latali awionetkami. Opłacano ich zwykle od kilograma ładunku. Zrazu stawka wynosiła dwa i pół tysiąca dolarów za kilo, później wzrosła do sześciu tysięcy. Zdarzały się rejsy, za które pilot dostawał milion i więcej dolarów. Gdy interes się rozwinął, Pablo ze współnikami z kartelu mieli do dyspozycji całą flotę dużych samolotów transportowych i śmigłowców. Awionetkami można było transportować co najwyżej trzy albo cztery opony.

Kanał na Florydę otworzył długoletni przyjaciel Pabla Juan Carlos. Właśnie on dobywał ładunek z opon na wysypisko i rozprowadzał narkotyki. Nie mówił po angielsku i nie miał takiej potrzeby - w Miami, wiadomo, mieszka sporo Latynosów. Gdy potrzebował tłumacza, miał na to środki. A ja pamiętam pewne zdarzenie, kiedy

Juan Carlos zjechał do Medellín. Pablowi przywiózł w prezencie konserwę.

- Musisz spróbować. To doskonale. Jem to od dwóch miesięcy - zachwalał.

Pablo odmówił. Znał na tyle angielski, żeby spostrzec, że przyjaciel żywił się karmą dla kotów.

Po uruchomieniu operacji w Miami Juan Carlos uczynił to samo w Nowym Jorku.

Zrazu Pablo organizował tylko jeden rejs tygodniowo. Jeśli jednak pamiętać, że zysk z każdego kilograma koki wynosił sto tysięcy dolarów, to i

tak co tydzień wzbogacał się o dwa miliony. Interes tymczasem rozwijał się niezwykle dynamicznie, szybciej, niż można się było spodziewać. W ciągu kilku miesięcy Pablo zwiększył liczbę transportów do dwóch, a nawet trzech tygodniowo, a i to nie nadążało za popytem. Amerykanie pożąдали kokainy, rynek rósł jak na drożdżach. Na początku krąg konsumentów obejmował klasy wyższe, ludzi przemysłu rozrywkowego, reklamy, przemysłu fonograficznego, Wall Street, bywalców takich klubów jak Studio 54, takich, którzy bez wyrzeczeń mogli sobie pozwolić na kokainę. Rychło jednak dołączyli do nich inni. Miało się wrażenie, jakby cała Ameryka ćpała kokę. Popyt rósł, a ponieważ Pablo niemal jako jedyny dostarczał narkotyki do Ameryki, podaż ciągle nie nadążała za popytem, więc ludzie płacili coraz więcej. Im dalej od Miami, tym wyższa cena. Pod koniec lat siedemdziesiątych w Kolorado płacono siedemdziesiąt dwa tysiące za kilogram, w Kalifornii - sześćdziesiąt, a w Teksasie - pięćdziesiąt. Za każdym razem, gdy towar trafiał w kolejne ręce, cena rosła o tysiąc dolarów.

Pablo był na tyle inteligentny, żeby wiedzieć, że nie można zbyt długo polegać na jednej metodzie transportu. Im więcej osób znało szczegóły operacji, tym większe istniało ryzyko wpadki. Na swój własny użytek Pablo obliczał, że wyprzedza amerykańską DEA o jakieś dwa, trzy lata. Starał się więc znajdować nowe kanały przerzutu przed upływem tego czasu. Kiedy DEA zaczęła rozpytywać personel lotniskowy, zrozumiał, że to koniec metody „na opony”. W tej sytuacji zaczął najmować ludzi, którzy udają zwykłych pasażerów zwykłych rejsowych lotów, transportowali kokę w bagażu lub zwyczajnie na sobie. Operacja wyglądała znacznie prościej, niż mogłoby się wydawać. „Podróżnymi” byli ludzie, których Pablo znał osobiście bądź poleceni przez kogoś, komu ufał. Polecający brali na siebie pełną odpowiedzialność za polecanych. jedyny wymóg, jaki ci ostatni musieli spełniać, to posiadanie ważnej wizy amerykańskiej. Rekrutowali się spośród obywateli tak Kolumbii, jak i Stanów Zjednoczonych. W jedną stronę wozili kokę, w drugą gotówkę. W tamtych czasach nie wiązało się to z większym ryzykiem. DEA i Urząd Celny były zbyt zajęte poszukiwaniem wielkich ładunków marihuany w ładowniach frachtowców. Na indywidualnych pasażerów nie zwracano uwagi. Przerzut tym sposobem okazał się tańszy niż „na opony”. Nie trzeba było płacić za wynajem samolotów, a i honoraria były mniejsze. Zwykle płacone za bilet plus tysiąc dolarów za fatywę.

Poza pasażerami „bagaż” wozili także członkowie załóg. Ta metoda była

jeszcze prostsza, bo piloci i stewardesy zwyczajowo nie podlegali kontroli. Bywało, że z jednej załogi dwie albo trzy stewardesy, kapitan lub drugi pilot przewozili nasz towar, każdy na własną rękę, nikt z nikim nie dzielił się „tajemnicą handlową”, każda osoba była święcie przekonana, że tylko ona jedna wie o coś nielegalnego. Dla nich był to wyjątkowo opłacalny sposób dorobienia do pensji, zwłaszcza wtedy, kiedy ta sama załoga wykonywała rejs powrotny bądź obsługiwała tę samą trasę parę razy w tygodniu.

Walizki z towarem były specjalnie preparowane. Miały podwójne ścianki. Jednorazowo można w nich było upakować nawet pięć kilo kokainy. Zadanie przewoźnika polegało na oddaniu walizki w porcie docelowym właściwej osobie.

Kokę transportowano nie tylko w walizkach. Niektóre „muły” wyposażano w specjalne obuwie ze skrytkami w podeszwach i obcasach. Dziadek jednego z naszych ludzi miał fabrykę obuwia. Kiedy zachorował, fabrykę przejął syn i rychło zaczął pracować dla nas. I tam właśnie, w fabryce, wszywano nasz towar do butów. Rzecz praktycznie nie do wykrycia. Zdarzało się, że „mułom” kazaliśmy odgrywać rolę osób niepełnosprawnych. Sadzaliśmy ich na wózkach inwalidzkich. Było to bardzo bezpieczne, bo nikt nie podejrzewał, że taki „inwalida” siedzi na kokainie wartej milion dolarów. Nasze „muły” korzystały zresztą z rozmaitych kamuflaży. Ktoś wkładał habit i udawał zakonnice, ktoś inny niewidomego, a w białej lasce miał pełno towaru. Rzadko kiedy dochodziło do wpadki.

Kiedy Pablo zaczął stosować opisywaną tu metodę, wysyłał po kilku kurierów co drugi dzień. Później sprawy nabrały tempa, kurierzy podróżowali codziennie, a później nawet dwa razy dziennie. Raz tylko DEA namierzyła dwie walizki z towarem. Nikt z naszych ich jednak nie podjął, więc nikogo nie zatrzymano i trop się urwał.

Inna, później szeroko znana metoda polegała na transporcie towaru w... żołądkach naszych „mułów”. Kokainę pakowano w prezerwatywy i taki ładunek „muł” połykał. Rzecz praktycznie nie do wykrycia. Na miejscu delikwent udawał się do łazienki i - nazwijmy to - odzyskiwał towar. Nie narzekaliśmy na brak kandydatów do świadczenia usług przewozowych, chętnych było dużo, choć ta ostatnia metoda była jednak bardzo niebezpieczna. Wystarczyło, żeby prezerwatywa uległa uszkodzeniu i kokaina zaczęła przenikać do organizmu. Przy takim jej stężeniu następowała śmierć. I rzeczywiście zdarzały się śmiertelne wypadki. Pisano o nich w

prasie amerykańskiej pod wielkimi tytułami.

Z czasem Pablo uznał, że można w ogóle zrezygnować z „mułów”. Po co wysyłać człowieka z walizką, skoro można nadać walizkę jako bagaż nietowarzyszący. Zwracam uwagę, że działo się to na długo przed 11 września, więc system zabezpieczeń na lotniskach był dość dziurawy. Opłacaliśmy ludzi, żeby nadawali bagaż na konkretny lot. W porcie docelowym czekał już nasz człowiek i zabierał walizkę. Pablo nader szybko odkrył, że łatwo jest przekonać ludzi na odpowiednich stanowiskach do współpracy z nami. Wiedział, jak i gdzie posmarować. Nabrał doświadczenia, zajmując się kontrabandą. Z zasady płacił hojnie, wychodząc z założenia, że w ten sposób zmniejsza ryzyko zdrady. W rzeczy samej całe mnóstwo ludzi zbiło fortunę na współpracy z nami i mało kto o tym wie. Oto jeden przykład: człowiek zarządzający pewnym małym lotniskiem w Kolumbii, z którego korzystaliśmy, gdy już dorobiliśmy się własnych samolotów, dostawał pół miliona dolarów za każde niezakłócone lądowanie. Oficjalna pensja tego faceta miała się nijak do tego, co dostawał od nas. Kiedy wpadł i władze dobrały się do jego bankowych depozytów, okazało się, że odłożył sobie - bagatela - dwadzieścia siedem milionów dolarów. Trudno się dziwić, że z pozyskiwaniem odpowiednich ludzi nigdy nie mieliśmy kłopotów. Mówiąc „odpowiednich”, mam na myśli - na przykład - pracowników obsługi lotniska, którzy umieszczali nasz towar na pokładach samolotów, ochroniarzy, policjantów i żołnierzy, którzy za odpowiednią opłatą odwracali wzrok, gdy im się kazało, a także obywateli, którzy sprzedawali Pablowi tajne przecież plany lotów samolotów zwiadowczych nad Floryda, które miały przechwytywać nasze maszyny.

Tito Dominguez, który odpowiadał w naszym kartelu za operacje na Florydzie, wspomina, jak prostą sprawą było zwerbowanie potrzebnych nam ludzi. Kiedy szykował trasę przez Bahamy, gdzie nasze samoloty miały brać paliwo, dołożył szczególnych starań, żeby zapewnić nam bezpieczeństwo. Od celnika, z którym współpracował kiedyś przy marihuanie, dowiedział się, że szef lotniska ma zwyczaj bywać w każdy piątek w pewnym barze. Tito zwykle pokazywał się i podróżował z pumą - kociakiem, co na ludziach robiło wrażenie. Tym razem jednak wybrał się do baru bez ulubieńca. Nie musiał uciekać się do mniej lub bardziej zawołowanych gróźb, miał lepszy argument - szmal. Usiadł przy barze niedaleko owego człowieka. Siedział w milczeniu, dopiero po chwili nawiązał rozmowę.

- Przepraszam pana, czy mógłby mi pan poświęcić minutę, chciałbym z panem porozmawiać.

- A o czym? - zdumiał się urzędas.

- Mamy wspólnego przyjaciela i to on zapewnił mnie, że mogę z panem porozmawiać o pewnej delikatnej sprawie.

- Wspólny przyjaciel? A jak się nazywa?

- Frankie.

- Nie znam nikogo o tym imieniu - zdumiał się rozmówca.

Tito wstał, wyjął z kieszeni plik studolarówek i zaczął banknot po banknocie układać przed swoją przyszłą ofiarą.

- Nie poznaje pan?

Wiadomo, że studolarówki ozdobione są wizerunkiem Benjamina Franklina. To, nawiasem mówiąc, jedyny nominał, na którym nie widnieje prezydent Stanów Zjednoczonych.

- Niech pan to schowa. A o czym mielibyśmy rozmawiać?

- O tym, jak może pan zdobyć fortunę.

Urzędnik przysunął się bliżej.

- A co miałbym za to zrobić? - spytał szeptem.

- Nic, dosłownie nic. Kiedy mój samolot z kokaina wyląduje na pańskim lotnisku, niech pan idzie na kawę albo gdziekolwiek i niech pan nic nie robi.

- Co to ma znaczyć?

- Pół miliona dolarów na początek.

- W porządku. A ile razy w miesiącu miałbym pić tę kawę? - spytał z nadzieją świeżo przekupiony człowiek.

W taki oto sposób Pablo stale rozbudowywał swoją organizację. Zarabiał coraz więcej, pieniądź rodził pieniądź. W tym czasie, a więc pod koniec lat siedemdziesiątych, nie było jeszcze kartelu Medellín, był Pablo i jego biznes polegający na przemyśle kokainy, co - nawiasem mówiąc - nie było ani tak trudne, ani niebezpieczne jak później. Stany Zjednoczone nie orientowały się jeszcze w skali narkobiznesu. Zakładano, że do Ameryki przenikają niewielkie ilości narkotyków, i działano wedle tego przekonania.

Nie tylko Pablo funkcjonował na tym rynku, operowali także inni, ci jednak przemycali raczej niewielkie ilości. Tylko jeden Pablo działał na dużą skalę i prowadził całościową operację, od skupu pasty w Peru po wysyłkę finalnego produktu do Miami. Kiedy już uruchomił wszystkie ogniwa interesu, otworzył go dla inwestorów z zewnątrz.

Gdy ktoś, komu ufał, chciał zainwestować - powiedzmy - pięćdziesiąt tysięcy dolarów, Pablo przyrzekał zwrot w wysokości siedemdziesięciu pięciu tysięcy w ciągu dwóch tygodni. Pozyskane pięćdziesiąt tysięcy dokładał do kapitału obrotowego, a inwestorowi dawał nawet gwarancję zwrotu pięćdziesięciu procent, gdyby amerykańska DEA albo Urząd Celny skonfiskowały towar. Każdy, kto powierzał swoje pieniądze Pablowi, wychodził z zyskiem. Nic dziwnego, że ciągnęły do niego tłumy chętnych. Rekrutowali się spośród najzwyklejszych ludzi. Nie mieli pojęcia o narkotykach, ale znali Pabla i ufali mu. Powierzali mu oszczędności całego życia, zastawiali domy, sprzedawali samochody. I nikt nie stracił. Dosłownie nikt! A ilu Pablo pomógł urzeczywistnić życiowe marzenia?!

Pablo tymczasem zaczął rozbudowywać interes. W Medellin działało w tym czasie dwóch innych handlarzy narkotykami: Dejerma - przyjaciel Pabla, i niejaki Rodrigo, którego mój brat osobiście nie znał. Dejerma woził samochodem narkotyki z Panamy i był w tym naprawdę dobry, co więcej, miał dobre kontakty z policją w Medellin. Rodrigo natomiast był znakomitym pilotem. Nie wiadomo, dlaczego obaj zaczęli prowadzić ze sobą wojnę na śmierć i życie. Jeden chciał zabić drugiego i na odwrót. Żadnemu się nie udało, więc zaczęli wzajemnie mordować członków swoich rodzin i współpracowników. Uciekali się do wyjątkowej brutalności z obcinaniem głów włącznie. Pablo w tym czasie zyskał już w mieście reputację mocnego człowieka, takiego, co potrafi załatwić trudne sprawy i ma swoich ludzi od brudnej roboty. Dejerma przyszedł więc do Pabla z prośbą, by zechciał pośredniczyć w konflikcie i doprowadzić do zażegnania wojny.

Pablo porozmawiał z Rodrigiem.

- Trzeba, chłopcy, zakończyć tę wojnę. Dejerma chce mnie widzieć po swojej stronie i chciałby skorzystać z moich ludzi przeciwko tobie - oświadczył.

Rodrigo zdawał sobie sprawę, że Pablo jest wystarczająco mocny, żeby go zniszczyć, zgodził się więc na spotkanie z Dejermem i Pablem. Spotkali się w Panamie.

- Panowie, lepiej zacznijmy współpracować - zadeklarował Pablo.

Tak też się stało. Z woli Pabla obaj dotychczasowi wrogowie objęli nadzór nad kanałem przerzutu narkotyków z Panamy na Haiti, a stamtąd do Miami. Nie polubili się - co to, to nie - ale zostali wspólnikami w stajni Pabla Escobara.

Amerykański rynek ciągle jeszcze pozostawał niezaspokojony, więc do branży ściągali kolejni gracze. Wokół kartelu z Medellín narosło wiele nieporozumień. Dość powszechnie uważa się, że stanowił on jakby normalną strukturę biznesowa, z zarządem wydającym polecenia, personelem, który je wykonywał, i zyskami wpływającymi na konta korporacji. W istocie Medellín było rodzajem luźnego stowarzyszenia niezależnych podmiotów, ściślej - dilerów, którzy, owszem, współpracowali w imię wspólnego interesu i jego ochrony, ale każdy z nich działał samodzielnie i prowadził własne operacje. O zyskach i zgromadzonym majątku nie mówiło się nigdy. Korzystało się natomiast - to znaczy Wszyscy owi niezależni udziałowcy - z połączonego potencjału produkcyjnego, zaplecza, kanałów dystrybucji i kontaktów. Pablo na przykład brał trzydzieści pięć procent od wartości zleconych sobie transportów do Stanów Zjednoczonych, z tym że dawał gwarancję pokrycia strat, gdyby ładunek został skonfiskowany przez DEA. Ryzykował niewiele, jako że na początku nie było wpadek. Czerpał natomiast z tego niebywale zyski, bo sam nie musiał nic inwestować. Tak więc kartel z Medellín był - jak już powiedziałem - dobrowolnym stowarzyszeniem, ale na czele tej nieformalnej struktury stał właśnie mój brat, bo to on zaczął, on dysponował najlepszymi kanałami przerzutu i miał lojalnych wobec siebie ludzi. Powiada się, że inni czuli przed nim strach. Faktem jest natomiast, że ze związków z Pablem czerpali ogromne zyski.

Kartel z Medellín różnił się zasadniczo od kartelu z Cali, który powstał mniej więcej w tym samym czasie. Ten miał bardziej tradycyjną strukturę z czterema niekwestionowanymi szefami. Dół piramidy stanowili księgowi, technicy, adwokaci i robotnicy.

Wśród niezależnych operatorów, a zarazem wpływowych członków kartelu z Medellín był Carlos Lehder Rivas, byli bracia Ochoa oraz José Rodríguez Gacha zwany Meksykaninem. Każdy z nich przystąpił do organizacji z własnym, prosperującym już interesem. Carlos Lehder był wyjątkowym spryciarzem. Pomysł szmuglowania kokainy do Stanów Zjednoczonych opracował, odsiadując wyrok za przemyt marihuany. Był też chyba pierwszym, który szmuglował kokę do Stanów, korzystając z awionetek. jeszcze przed połączeniem sił z Pablem zarabiał miliony. Był znakomitym pilotem, ale nie sądzę, aby sam zasiadał za sterami swoich samolotów latających do Ameryki. W 1978 roku za sto dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów kupił sobie rezydencje na wyspie Norman's Cay na

Bahamach i ustanowił tam swoją bazę, korzystając z życzliwości i współpracy opłacanych przez siebie przedstawicieli miejscowych władz. Rychło też zaczął kontrolować całą wyspę. Stała się ona jego królestwem i z niej rządził całymi Karaibami. Opowiadano, że wydawał wielkie, wielodniowe przyjęcia z mnóstwem pięknych, bardziej rozebranych niż ubranych kobiet. Zbudował na wyspie strzeżony pas startowy, z którego korzystali wszyscy z branży jako wygodnego portu tranzytowego. Tam właśnie przeładowywano towar z dużych samolotów na awionetki bądź szybkie motorówki obsługujące ostatni, dwustumilowy etap przerzutu na Florydę. Oczywiście za korzystanie z pasa startowego zainteresowani płacili Carlosowi odpowiedni procent od wartości ładunku.

Pablo znalazł się z Carlosem i darzył go sympatią jeszcze w dawnych czasach. Później zbliżyli się do siebie jeszcze bardziej i zdarzyło się tak, że Pablo uratował Carlosowi życie. Różniły ich jednak poglądy. Pablo podziwiał Stany Zjednoczone, natomiast Carlos pragnął je zniszczyć za pomocą narkotyków. Kokainę nazywał „bomba atomowa” i tę „bombę” chciał rzucić na Amerykę. Rzecz zrodziła się z ideologii. W żyłach Carlosa płynęła niemiecka krew, jego ojciec był Niemcem, a idolem Adolf Hitler. Pablo z rzadka palił marihuanę, Carlos niemal bez przerwy. Jimmy Arenas, pilot pracujący dla kartelu z Medellín, poczynił kiedyś taką uwagę: „Carlos orientuje się wedle trzech szkół myślenia - Adolfa Hitlera, Jezusa Chrystusa i Karola Marksa... Kiedy tę trójkę wymieszać w jednym naczyniu z marihuaną musi dojść do wielkiego bum”.

Drogi Pabla i Carlosa przecięły się około roku 1979, kiedy tego ostatniego uprowadzili partyzanci spod znaku M-19. Było to jedno z czterech czy pięciu lewackich ugrupowań bazujących w kolumbijskiej dżungli. Pablo znał niektórych z partyzanckich przywódców, dawał im procent za ochronę laboratorium, które wybudował na bezludziu. Gdyby partyzanci chcieli zniszczyć laboratorium, uczyniliby to z łatwością. Woleli jednak zostać ich strażnikami. Opłacali się im zresztą wszyscy z branży. M-19 zdobywało niezbędne fundusze na swoją działalność, porywając bogaczy dla okupu, a ten z reguły liczono w milionach. Stawka za uwolnienie Lehdera miała wynieść pięć milionów dolarów i wtedy właśnie ktoś z branży zwrócił się o pomoc do Pabla. Mój brat uruchomił odpowiednie kontakty i ustalił, że porywacze przetrzymują Carlosa na pewnej farmie w pobliżu Armenii w departamencie Quindio. Zaraz też zorganizował sześciuosobowy oddział z

zadaniem odbicia Carlosa. Kiedy porywacze zorientowali się, że szykuje się bitwa, zbiegli z farmy. Carlosa zapakowali do bagażnika auta, którym się poruszali. Carlos jednak zdołał się uwolnić z więzów, wyskoczył z bagażnika i zaczął uciekać. Dostał jednak postrzał w nogę. Ludzie Pabla złapali dwóch porywaczy. Pablo i Carlos zostali przyjaciółmi i wspólnikami w interesach.

Podobnie jak Pablo, Carlos żył na swój sposób. Oto przykład: kiedy władze Bahamów aresztowały kilku Kolumbijczyków z branży, Carlos tak się zezłościł, że wsiadł w samolot, poleciał nad Nassau - stolicę Bahamów - i obsypał miasto deszczem banknotów. W raki właśnie sposób zademonstrował swoją siłę, dał sygnał, że może robić, co tylko mu się żywnie podoba. Taki był.

José Rodriguez Gacha, który też dorobił się ponad miliarda dolarów na kokainie, przyszedł na świat jako syn hodowcy świń z Pacho. Po latach, podobnie jak Pablo, znalazł się na liście najbogatszych ludzi na świecie. Podczas gdy bracia Ochoa odebrali przyzwoite wykształcenie, Gacha nie ukończył nawet podstawówki. Wielbił wszystko co meksykańskie, był też właścicielem klubu piłkarskiego Millionarios z Bogoty, jak również kapeli *mariachi* grającej dla kibiców. Gacha stworzył kanał przerzutu koki przez Meksyk i dlatego właśnie nadano mu przydomek Meksykanin - *El Mexicano* - pod którym zyskał wątpliwą sławę. Był bezwzględny. Nie wykluczam, że wiele z okrutnych zabójstw, jakie przypisuje się mojemu bratu, było w istocie dziełem Gachy. Ale podobnie jak Pablo, dawał mnóstwo pieniędzy biednym na ochronę zdrowia, edukację, narzędzia rolnicze i nasiona siewne. Ludzie w regionie wielbili go.

Meksykanin zaistniał najpierw w branży szmaragdowej. Mało kto wie, że w Kolumbii właśnie wokół szmaragdów dochodziło do znacznie większej liczby aktów przemocy niż wokół narkotyków. W tym biznesie to nic niezwykłego. Gacha Wszelako zasłynął z tego, że szedł do przodu po trupach i nikogo się nie bał. Swego czasu pracował pewnym barze w Medellín, do którego chadzali ludzie Pabla. Oddawał im drobne przysługi, a z czasem stworzył własną organizację i - jak już wspomniałem - uruchomił kanał przerzutu narkotyków przez Meksyk do Houston i Los Angeles. On też jako pierwszy położył podwaliny pod Tranquilandię - jedno z największych i najbardziej znanych laboratoriów w dżungli. Tyrało w nim dwa tysiące ludzi, rafinując i pakując kokainę.

Inaczej niż Gacha, który dorastał w biedzie, trzech bracia Ochoa - Jorge,

Juan David i Fabio - pochodzili z bogatej i szanowanej rodziny. Niczego im nie brakowało. Rodzina dorobiła się na hodowli koni, wokół czego narosła później pewna legenda. Na własne uszy słyszałem, że na początku bracia Ochoa przemycali kokainę ukrytą w narządach rodnych eksportowanych do Stanów kłaczy. Przez długi czas bracia byli raczej detalistami. Podobnie jak inni nie przypuszczali, że branża i rynek rozwiną się tak dynamicznie. Branża - nawiasem mówiąc - nic uchodziła w Kolumbii za coś nagannego. Pablo poznał braci Ochoa, gdy już wyrobił sobie nazwisko. Z Gustavem często jeździli do Bogaty na wyścigi samochodowe. Bracia posiadali w stolicy popularną w towarzystwie restaurację i tam właśnie doszło do pierwszego spotkania. Pablo zaprzyjaźnił się z Jorgem.

- Poznaliśmy się przy interesach. Medellín to małe miasto. Wszyscy się znają - wspominał Jorge.

Z czasem stał się jednym z najbliższych przyjaciół mojego brata. Na początku w branży nie było żadnej rywalizacji. Amerykański rynek był tak chłonny, że dla wszystkich starczało miejsca. Sprzedawało się wszystko, co zdołano przemycić do Ameryki. Nie było walki o teren, przeciwnie, wszyscy pomagali sobie wzajemnie. Bracia Ochoa z czasem opanowali Europę Zachodnią.

A w branży funkcjonowali jeszcze inni, jak choćby Kiko Moncada, Pablo Correa, Albeiro Areiza czy Fernando Galeano. Ci jednak należeli raczej do drugiej ligi, a w każdym razie nie grali pierwszych skrzypiec. Wszystkich zaś zjednoczyło pod szyldem kartelu z Medellín (z tym że ów szyld funkcjonował raczej na zewnątrz, nigdy wewnątrz) porwanie siostry braci Ochoa Marthy Nieves, do czego doszło w 1981 roku. Porwania dokonali partyzanci z grupy M-19. Zaczęli właśnie uprowadzać ludzi z branży, bo ci byli bogaci, a ze zrozumiałych względów nie mogli zwracać się do władz o pomoc. Wtedy właśnie, po porwaniu Marthy, Pablo zwołał wielką konferencję w swojej rezydencji Nápoles. Przybyło ponad dwieście osób z branży i wszyscy zgodzili się z pomysłem Pabla, że trzeba stworzyć armię - wojsko do walki z porywaczami. Przyjęto nazwę *Muerte a Secuestradores* - Śmierć Porywaczom, w skrócie MAS. Jako że Pablo cieszył się opinią wyjątkowego twardziela, zgodzono się, że to właśnie on powinien objąć komendę MAS. Tak się stało i Pablo zaraz dał znać M-19, że zaczyna się wojna i że ich zniszczy.

- Gdyby nie nasza stanowcza i błyskawiczna reakcja, M-19 nadal

dobierałoby się do naszych rodzin - oświadczył w Wypowiedzi dla prasy. - Za osiemdziesiąt milionów peso pozyskiwaliśmy z organów bezpieczeństwa informacje, gdzie w danym momencie przebywa M-19, i z miejsca rozpoczynaliśmy operację. Moi żołnierze chwyтали ich, prowadzili do tajnych siedzib, tam zjawiali się policjanci i wieszali drani. Tak właśnie zaczęło się rugowanie M-19.

Wielu bojówkarzy M-19 zabito na sposób praktykowany w okresie *La Violencia*, a więc brutalny nie do wyobrażenia, z ćwiartowaniem włącznie. I w ciągu paru tygodni Martha Nieves cała i zdrowa odzyskała wolność. Operacja zakończyła się więc sukcesem, a powodzenie uświadomiło ludziom z branży, że działając razem, są zdecydowanie silniejsi niż wtedy, gdy każdy operuje na własną rękę. I tak oto powstał kartel z Medellín z Pabłem na czele. Owszem, nadal każdy prowadził swój własny interes, ale wspólnie korzystano z potencjału produkcyjnego i kanałów dystrybucji kokainy za granicą. I choć - jak powiadam - członkowie kartelu spotykali się na stopie towarzyskiej, wspomagali się w interesach, to jednak w Medellín nie powstała taka formalna struktura jak w Cali.

Ale uprowadzenia dla okupu trwały. W Kolumbii to wyjątkowo zyskowy rodzaj przestępstwa. Pozycja Pabla nie zapewniała stuprocentowego bezpieczeństwa nawet naszej rodzinie. W 1985 roku naszego ojca uprowadziła banda policjantów. To też nic nadzwyczajnego. Byli bowiem policjanci parający się kidnappingiem. Urządzali blokady na drogach i uprowadzali ludzi. Ojciec jechał akurat w odwiedzinach do pewnego gospodarstwa w Antioquii, kiedy zatrzymało go sześciu ludzi. Tatę i towarzyszącego mu robotnika policjanci spętali i uprowadzili w nieznane. Mama szalała z rozpacz, modliła się i szlochała na przemian, Porywacze zażądali pięćdziesięciu milionów dolarów, na co Pablo kazał im powtórzyć, że „jeśli ojcu spadnie choćby jeden włos z głowy, to pieniądze, jakich żądają, nie starczą im nawet na ich własny pogrzeb”.

Mój brat z rzadka ujawniał emocje. Panował nad sobą nawet w ekstremalnych sytuacjach, wszystko jedno, dobrych czy złych. Zawsze zachowywał spokój. Pamiętam, jak kiedyś przyszedł doń ktoś z dwiema wiadomościami - dobrą i złą, pytając, od której zacząć.

- Wszystko jedno - odparł Pablo. - I jedną, i drugą sprawą trzeba będzie się zająć, więc nie ma różnicy.

Co do mnie, to bywam cholerykiem, a Pablo zawsze zachowywał spokój,

nawet wtedy, gdy porwano nam ojca. Z całym spokojem wydawał rozkazy i kreślił plany schwytania porywaczy.

Tata był wtedy świeżo po operacji serca i zażywał specjalne leki. Mamy w Medellín ponad dwieście aptek. W tych, które nie miały systemu monitoringu, Pablo kazał zainstalować odpowiednie kamery i ustanowił hojną nagrodę za zdjęcia klientów, którzy przychodziliby po ten właśnie lek. W ten sposób ustalił tożsamość dwóch spośród porywaczy. Jednocześnie rozwinął inną akcję. Otóż kidnaperzy dzwonili do naszej mamy z automatów telefonicznych, więc Pablo wyposażył całą armię przyjaciół i współpracowników w miniaturowe radia z poleceniem, aby cały czas słuchali pewnej popularnej radiostacji. Za każdym razem, kiedy porywacze dzwonili do mamy, spiker tejże radiostacji nadawał komunikat, że „kolejny utwór dedykujemy Luz Marinie, a jest to piosenka *Sonaron cuatro balazos* w wykonaniu Antonio Aguilara”. Po usłyszeniu tego komunikatu każdy z posiadaczy odbiornika miał sprawdzić najbliższy automat telefoniczny i zobaczyć, kto dzwoni. W rzeczy samej, Pablo korzystał z takich sekretnych komunikatów radiowych i telewizyjnych także wtedy, gdy negocjowaliśmy układ pokojowy z władzami.

Do mnie należały negocjacje z porywaczami. Starłem się przedłużyć połączenia telefoniczne, jak tylko mogłem, aby dać czas naszym ludziom na zlokalizowanie rejonu, skąd dzwonią. Żądali – jak już wspomniałem - pięćdziesięciu milionów dolarów. Na początek zaproponowałem dziesięć. Nie zgodzili się. Wiedzieli, że mają w ręku ojca samego Pabla Escobara, i uważali, że mój brat gotów będzie wydać cały swój majątek za uwolnienie taty. Targi trwały osiemnaście dni, mama rozpaczała, a my jednocześnie zbieraliśmy informacje o porywaczach. W końcu zgodzili się na milion dolarów. Zapakowaliśmy gotówkę do zielonej torby sportowej, w której Pablo ukrył także urządzenie lokalizujące. Za jego pomocą wysledziliśmy kryjówkę porywaczy na farmie w pobliżu Liboriny, około stu kilometrów od Medellín. Ludzie Pabla przypuścili atak z kilku stron jednocześnie. Ojciec wyszedł bez uszczerbku. Porywacze salwowali się ucieczką, ale trzech wpadło w nasze ręce.

Pablo wydał wyrok.

W ciągu kilku lat zaczęła się wojna. Odpowiedzialność za przemoc przypisana Pablowi. Nie twierdzę, że postępował słusznie, że miał rację, czyniąc to, co czynił. On wszelako uważał, że ma obowiązek chronić rodzinę

i źródła dochodów. wiedział także, że społeczeństwo w istocie korzysta z działalności przemytników. Wiele tysięcy Kolumbijczyków znalazło zatrudnienie w branży, od robotników w dżungli po funkcjonariuszy policji. Wielu innych korzystało z tego, co przemytnicy łożyli na cele społeczne. Z czasem jednak Pablo musiał pójść na wojnę z rządem, kartelem z Cali, policją państwową i bojówkami, jakie organizowana, żeby go zabić. W tamtych jednak czasach niewiele było przemocy w branży. Zwyczajnie i po prostu zarabiano się i zarabiano. Zarabiano się więcej niż na jakimkolwiek innym przestępstwie w całej historii ludzkiego gatunku.

3

Najsłynniejszy z amerykańskich dziennikarzy śledczych Jack Anderson napisał kiedyś, że „operacje kolumbijskich karteli narkotykowych w Stanach wyrażają się sumą osiemnastu miliardów dolarów rocznie i dla Ameryki stanowią większe zagrożenie niż Związek Sowiecki”.

Osiemnaście miliardów? Możliwe, a kto wie, czy nie więcej. Nie da się tego ustalić. Wiem tylko, że Pablo miał tyle gotówki, że każdego roku spisywaliśmy mniej więcej dziesięć procent na straty, bo ukryte w schowkach banknoty zżerały nam albo szczury, albo wilgoć.

Klientów na nasz towar nigdy nie brakowało. Popyt stale przewyższał podaż. Każdy etap operacji, począwszy od pozyskiwania pasty z Peru, przez przeróbkę w laboratoriach, wysyłkę do Stanów i dystrybucję - a cały czas trzeba było przechytrzać organa ścigania - wymagał współpracy wielu ludzi. Każdy z nich dostawał swoją dołę, dodam, że niezłą. Skoro zaś trzeba było opłacać aż tylu, to doszliśmy do tego, że minimalny ładunek wysyłany do Stanów musiał wynosić trzysta kilogramów, przy mniejszym narażalibyśmy się na stratę.

Aby sprostać popytowi, Pablo ze współnikami z Medellín zbudował wiele laboratoriów ukrytych głęboko w dżungli, gdzie nikt przypadkowy nie trafiał. Niektóre z tych fabryk z czasem rozrosły się, przemieniły niemal w miasteczka, z własnymi stołówkami, szkołami, ambulatoriami i salami z telewizją satelitarną. Sensem ich istnienia była produkcja kokainy dla reszty świata. Największe z laboratoriów i najstaranniej zakamuflowane funkcjonowało na bezludziu przy granicy z Wenezuela, w okolicy zwanej Los Llanos Orientales. Pablo kupił tam wielką farmę, liczącą - jeśli dobrze pamiętam - trzydzieści siedem tysięcy aktów. Zagospodarowaliśmy ją według mojego pomysłu. Zbudowaliśmy siedemdziesiąt drewnianych domków, dość prymitywnych zresztą. Mieściły jedną izbę wyposażoną w instalację elektryczną. Kanalizacji nie było. Od zwykłych wiejskich chat różniło je to, że osadzone były na... kołach. Stały na najdłuższym z siedmiu pasów startowych zbudowanych w okolicy. Na owym najdłuższym pasie lądowały ciężkie transportowce. Z lotu ptaka widziało się tylko dwa rzędy domków, nawet bystry obserwator nie dostrzegłby lądowiska pod nimi.

Mieszkańców obowiązywała zasada, że w domu przez cały czas musi przebywać przynajmniej jedna osoba. Kiedy nadlatywał samolot z pastą, mieszkańcy mieli obowiązek zepchnąć domki z pasa. Mieli na to trzy minuty. Konstrukcje były tak lekkie, że wystarczała jedna osoba do pchnięcia domu. Cięższe obiekty odholowywano za pomocą półciągarówek - po to właśnie na ścianach zamontowane specjalne haki. Przygotowanie lądowiska nie trwało więcej niż godzinę. Lądujące samoloty kołowały natychmiast w ukrycie pod drzewa. Tam wyładowywano pastę i ładowano gotowy towar. Paliwo uzupełniano z podziemnych zbiorników. Cała operacja kończyła się w pół godziny. Po starcie samolotu domki przesuwane na poprzednie miejsce. Do następnego razu.

W szczytowym okresie mieszkało tam siedemdziesiąt rodzin - dwieście osób, licząc dzieci. Niewielka ich część rzeczywiście uprawiała rolę, większość jednak pracowała w laboratorium, w pakowni i przy załadunku kokainy. Dzieci chodziły do szkoły. Pablo najął dwoje nauczycieli. Laboratorium znajdowało się jakieś piętnaście minut piechotą od pasa startowego. Wzniesiono je nad ziemią, od góry zasiniały je całkowicie korony drzew. Niemal wszystkich pracowników dobraliśmy spośród najbiedniejszych mieszkańców Medellín. Dostawali pensje, zapewniliśmy im mieszkania, jedzeniu opiekę medyczną. Moc produkcyjna, że tak powiem, tej naszej placówki sięgała dziesięciu ton kokainy na dwa tygodnie.

Przerzut towaru z Kolumbii do Stanów wymagał planowania i pomysłu. Musieliśmy przechytrzać DEA, więc Pablo stale zastanawiał się nad nowymi metodami transportu. Przez lata wypracował ich wiele. Pamiętam, kiedyś kupił w Panamie cały transport tanich lodówek i odbiorników telewizyjnych marki Sony. Kazał je wybebeszyć i załadować kokainą - do każdej sztuki czterdzieści kilo, żeby waga się zgadzała. Tak przygotowaną przesyłkę nadał jako zwykły fracht. Inny przykład: jedną z największych pozycji eksportowych Peru są suszone ryby. Sprzedaje się je po całym świecie. Pablo wpadł na pomysł, aby mieszać swój towar właśnie z suszonymi rybami. Metoda okazała się niezwykle użyteczna. Pamiętam, że w jednym transporcie przygotowanym w ten właśnie sposób Pablo wyeksportował dwadzieścia trzy tony (!) kokainy. Rekord pobito dopiero wiele lat później.

Nasi chemicy odkryli, że kokainę da się mieszać z plastikiem, niektórymi metalami i płynami. U adresata również za pomocą odpowiednich procedur chemicznych odzyskiwano czystą kokainę. Cykl wyglądał tak: pasta

przerabiana na stan płynny, transport, przywracanie pasty, rafinacja. W Gwatemali pastę mieszano z pulpą owocową, w Ekwadorze - z kokosami. Jeszcze później chemicy odkryli metodę upłynniania kokainy, więc Pablo zaczął mieszać tak pozyskany produkt z winem chilijskim. Do tej metody nadawała się tylko czysta kokaina - wszelkie domieszki wpływały natychmiast na powierzchnię wina, budząc podejrzenia. W danej jednostce wina można było rozpuścić do dziesięciu procent narkotyku. Metoda okazała się tak znakomita, że z czasem zaczęto ją stosować powszechnie w całej Ameryce Południowej, mieszając narkotyk, z czym tylko się dało, od markowych trunków po najtańsze piwo. To nie koniec innowacji. Chemicy Pabla znaleźli sposób na mieszanie koki z kwiatami, na nasycanie koką drewna wysyłanego na eksport i rozpuszczanie narkotyku w napojach bezalkoholowych, a nawet nasycanie roztworem kokainy materiałów tekstylnych, na przykład dżinsu. Adresat przesyłki odwracał proces, wypłukując narkotyk z materiału. Celował w tym pewien człowiek na Florydzie. Nosił przydomek *Blue Jeans* - Niebieskie Dżinsy. Odbierał przesyłki tekstyliów i wypłukiwał towar. Chemicy opracowali także metodę barwienia narkotyku. Kokaina w czystym stanie jest śnieżnobiała, a im udało się wyprodukować czarną. Dzięki temu można było mieszać kokę z czarną farbą malarską. Potrafiliśmy także przetwarzać kokę na rodzaj plastiku - surowca, z którego można było wytwarzać całą gamę produktów, jak choćby rury PCW, dewocjonalia, a nawet plastikowe kadłuby łódek. Przy użyciu tej ostatniej metody wysyłaliśmy kokę do Europy. Straty koki w procesie chemicznym sięgały trzydziestu procent, co wszelako nie stanowiło problemu, bo od towarów zawierających chemicznie przetworzoną kokainę nie odpalaliśmy procentu przewoźnikom. Wychodziliśmy więc na swoje.

Pablo stale rekrutował chemików, zlecając im opracowywanie coraz to innych sposobów ułatwiających przemyt narkotyku. Pamiętam, jak kiedyś, w magazynie, chemicy zademonstrowali nam metodę zatapiania koki w plastiku. Pokazali nam arkusz, długi mniej więcej na metr, nadziany kokainą. Pokaz miał wykazać, że narkotyk bez trudu da się wtopić w każdy przedmiot zrobiony z plastiku bądź włókien szklanych. Podobnie jak DEA mieliśmy psy wyszkolone specjalnie do znajdowania narkotyków. Nowe metody poddawaliśmy testom przy użyciu naszych czworonogów. W sforze mieliśmy piękną sukę, wabiła się Marquessa (Markiza). I oto nasza Markiza przeszła obok nafaszerowanego koką kawałka materiału z włókna szklanego i nawet

nie mrugnęła.

- Bardzo dobrze - pochwalił Pablo., bez szczególnego podniecenia. - Zastosujemy tę metodę.

To, co zaczęło się od paru kilogramów pasty ukrytej w nadkolu renówki, stało się wielce złożonym przedsięwzięciem. Pablo i wspólnicy zatrudniali najzdolniejszych chemików z Ameryki i Europy. Z Ameryki Południowej, ze Stanów i z Europy sprowadzaliśmy rozmaite materiały do badań. Chemiccy sprawdzali, czy nadadzą się do transportu naszego towaru.

A Pablo stale poszukiwał nowych metod i sposobów przemytu. Ktoś, nie pamiętam już, kto konkretnie, wyszedł z pomysłem, żeby kokę upakować w rdzeniach wielkich transformatorów przemysłowych. Takie urządzenie waży ponad cztery tony. No i Pablo kazał kupić kilka egzemplarzy. Zakupu dokonaliśmy w Kolumbii i zaraz wysłaliśmy maszyny do Wenezueli, gdzie nafaszerowano je czterema tonami kokainy. Tak przygotowany towar wysłaliśmy do Stanów Zjednoczonych. Odbiorca złożył oficjalną reklamację, że zamówione urządzenia nie działają - jak miały działać, skoro całą technikę usunęliśmy ze środka. Transformatory zostały więc odesłane do dostawcy, wróciły do Kolumbii i cały proces zaczął się na nowo. Mieliśmy jednak pecha. Otóż za którymś razem konwojenci odpowiedzialni za dostarczenie transformatora do portu zwyczajnie się upili. Zachowywali się hałaśliwie, co spowodowało interwencję policji. Wielkie było zaskoczenie i radość policjantów, gdy odkryli cztery tony kokainy. Metoda „na transformator” wylądowała w lamusie.

Podstawowym instrumentem przerzutu narkotyków były jednak samoloty: Kiedy wyczerpały się możliwości przemytu „na oponę”, Pablo postanowił otworzyć nowe trasy z Ameryki Środkowej do Stanów, z dwiema placówkami pośrednimi - w Panamie, gdzie pomoc świadczyła miejscowa policja, i na Jamajce. Korzystaliśmy także z bazy Carlosa Lehdera na wyspie Norman's Cay. Do swojego pierwszego samolotu Pablo żywił miłosne wręcz uczucie. Kiedy wystawił sobie rezydencje Nápoles, kazał umieścić ów samolocik - wycofany już z użycia - nad bramą frontową, jakby chciał dać znać gościom, że bogactwo i luksusy, z których będą tu korzystać, zaistniały właśnie za sprawą tejże awionetki. Był to jednosilnikowy piper club. Brat kupił go od znajomego. Egzemplarz był oczywiście używany. Pablo nakazał generalny remont, a przy okazji przebudowę wnętrza. Usunięto wszystkie siedziska, poza fotelem pilota. Wzmocniono podłogę, a pod nią urządzono

sekretny schowek na walizki i dodatkowy zbiornik paliwa. To ostatnie zapewniało maszynie znacznie większy zasięg niż w fabrycznym wydaniu. Piper latał głównie, jeśli nie wyłącznie, między Kolumbią a Panamą. Panama spełniała rolę bazy, skąd narkotyki słało już bezpośrednio do Stanów Zjednoczonych i gdzie odbierano pieniądze przekazywane z Ameryki. Male gabaryty, a także fakt, że maszyna mogła latać na bardzo niskim pułapie, stanowiły skuteczne zabezpieczenie przed radarem.

Na pokładzie pipera transportowano nie tylko narkotyki, lecz także złoto. Pablo kupował je od Indian z Chocó i sprzedawał z zyskiem w Panamie. Załadunek wyglądał tak, że spodem układano paczki z kokainą a górną warstwę stanowiło właśnie złoto. Kruszec zostawał w Panamie, a narkotyki, po przeładowaniu, leciały dalej do Stanów. Transport gotówki ze Stanów nastroczał wcale nie mniej problemów niż przerzut narkotyków w drugą stronę. Także i dlatego, że gotówka zajmowała znacznie więcej miejsca niż kokaina, a było tego naprawdę mnóstwo. Walizki z pieniędzmi umieszczane w pomieszczeniu bagażowym, kamuflując pakietami z odbiornikami telewizyjnymi i odtwarzaczami stereo. Gdyby policja znalazła i zakwestionowała pieniądze, standardowe wyjaśnienie brzmiało, że to zapłata za dostarczone złoto. Bywało, że w luku bagażowym pipera leciało nawet dziesięć milionów dolarów w gotowce. Pablo mawiał, że awionetka jest wielce zasłużona, że na jej pokładzie do Kolumbii trafiło siedemdziesiąt milionów dolarów.

Piper służył dwa lata, potem Pablo sprawił sobie całą flotyllę statków powietrznych. Składało się na nią piętnaście znacznie większych niż piper samolotów transportowych, dyspozycyjny learjet oraz sześć śmigłowców. Każda z tych maszyn mogła przewieźć tysiąc dwieście kilogramów kokainy. Pablo nie był jedyny, także inni z kartelu z Medellín, braci Ochoa nie wykluczając, dysponowali całkiem sporym parkiem samolotowym. Nadzór nad naszą flotyllą sprawował Gustavo, a zestaw maszyn stale uzupełniano o nowsze i większe modele, z DC-3 włącznie. A mimo to stale odczuwaliśmy deficyt na tym odcinku. Jeden z pomysłów Pabla w tym zakresie nie został jednak nigdy zrealizowany. Pomysł polegał na kapitalnej przeróbce transportowca DC-6. Schowki na ładunek narkotyków miano zainstalować w zbiornikach paliwa fabrycznie montowanych w skrzydłach. Zbiorniki miały być odcięte, a paliwo czerpane ze specjalnie zainstalowanych zbiorników' dodatkowych. Plan był naprawdę chytry. Ani DEA, ani celnicy nie wpadliby

na myśl, że ktoś pozwolił sobie na majstrowanie w skrzydłach płatowca. Ale zamysł, jak powiadam, nic został zrealizowany. Brakło czasu.

Jest zrozumiałe, że rejsy naszych samolotów nie odbywały się wedle rozkładu jak na liniach pasażerskich. Każdy lot był odrębnym przedsięwzięciem, każdy starannie przygotowywano i planowano. Korzystaliśmy z ośmiu różnych tras, każda miała swój kryptonim. Bywało, że jeden lot rozpisywano na dwie trasy, bywało też, że próbowano otworzyć jeszcze inny szlak powietrzny. Rejs to skomplikowane przedsięwzięcie. Trzeba było zawiadomić ludzi, wyznaczyć miejsce załadunku i miejsce lądowania, nie mówiąc już o tym, że trzeba było nająć pilotów. Pracowali dla nas między innymi weterani wojny wietnamskiej. Honorarium, jak już wspominałem, określaliśmy procentowe według wagi dostarczonego na miejsce ładunku. Na początku organizowaliśmy dwa albo trzy loty tygodniowo, z czasem ruch się zwiększył i niemal stale gdzieś lądował samolot z gotówką za dostarczony towar.

Każdym rejssem wysyłaliśmy z reguły od czterystu do pięciuset kilogramów kokainy i na ładunek ten składały się przesyłki od kilku członków organizacji. Do Pablo należała decyzja, ile i kto może danym lotem wysłać. Przykładowo: Pablo rezerwował dwieście kilo dla siebie, drugie dwieście dla Gustava, a resztę oddawał w pacht innym. Naturalnie za opłatą wynoszącą ustalony procent od wartości przesyłki. Pakiety składające się na ładunek nosiły oznaczenia takie jak: Coca-Cola, Yen, USA, Centaito. Na miejscu ładunek dzielona i przekazywano ludziom wyznaczonym przez nadawców. Pilot miał ze sobą rodzaj listu przewozowego, więc wiedział, co, ile i komu przekazać.

Kiedy DEA zorientowała się wreszcie w skali przemytu i wdrożyła nowe procedury, zaczęliśmy mieć trudności ze znajdowaniem stosownych lądowisk. Wymyśliliśmy wtedy alternatywne metody dostarczania ładunku. Przykładowo samolot mógł lądować na Jamajce, gdzie mieliśmy wystarczająco dużo ludzi na liście plac, żeby mieć pewność, że nikt nie będzie nas niepokoił. Samolot wylądowywano, ładunek przenoszono na szybkie motorówki i te pokonywały ostatni, kilkusetmilowy etap masy na Florydę. Czasami ładunek po prostu zrzucaliśmy na spadochronach na jakiejś zaprzyjaźnionej farmie albo na położonej na uboczu plaży w okolicach Miami. Zwaliśmy to metodą „na bombowca” - *El Bombardero*. Zdarzało się też, że ładunek zrzucaliśmy do morza, dalej od brzegu, gdzie wylądowały go

umówione motorówki.

Ale mieliśmy też sekretne lądowiska na Florydzie. Jedno z nich, naprawdę ciekawe, położone było w rejonie zwanym Golden Glades niedaleko miasta Naples, w obrębie parku narodowego Everglades. Otóż zaczęto tam kiedyś budować spore osiedle mieszkaniowe. Położono kanalizację, wytyczono i utwardzono ulice, tylko że w pewnym momencie do sprawy wmieszali się obrońcy środowiska i budowę przerwano. Ludzie wynieśli się, miejsce opustoszało, więc nocami, na ulicach donikąd, lądowały nasze samoloty. Było to jakby nasze prywatne lotnisko.

Trudno sobie wyobrazić, ile osób znajdowało się na liście plac kartelu z Medellín. Opłacaliśmy dyrektorów lotnisk, obsługę naziemną, kierowców, ochroniarzy, a nawet funkcjonariuszy służby celnej. Amerykanie w tym czasie do walki z przemytem rzucili AWACS-y - samoloty wyposażone w system kontroli przestrzeni powietrznej. Namierzały wszystkie maszyny w powietrzu, były dla nas bardzo groźne, przed ich radarami nie było ucieczki. W tej sytuacji Pablo przekupił pewnego funkcjonariusza służby celnej. Ten w zamian za łapówkę dostarczał nam dokładne plany lotów AWACS-ów, łącznie z rejonami, jakie będą patrolować, oraz tajnymi częstotliwościami pokładowych radiostacji. Tak więc wiedzieliśmy, kiedy i gdzie AWACS-y rozpoczynają patrolowanie, wiedzieliśmy, jakich obszarów unikać, a nasi piloci mieli możliwość podsłuchiwania meldunków nadawanych przez patrolujące maszyny. Pablo często uciekał się do przekupstwa. Chętni za jedną informację zarabiali więcej niż swoją roczną pensję. Wspomniany funkcjonariusz dostawał każdorazowo 250 tysięcy dolarów, był wszelako ponad miarę pazerny i stale domagał się więcej. Odmówiliśmy i zaraz nasz samolot został namierzony i przechwycony. Próbowaliśmy przechytrzyć przeciwników, wysyłając dwa samoloty na raz. Jeden z towarem, a drugi jako zabezpieczenie. Pierwszy leciał na niskim pułapie, poniżej zasięgu radarów naziemnych, drugi na wysokim, obserwując przestrzeń. Jednak AWACS namierzył maszynę z towarem. Pilot samolotu zabezpieczającego natychmiast ostrzegł kolegę lecącego niżej. Ten zdążył zawrócić i zrzucić ładunek - pięćset kilogramów kokainy – nad Kubą. Samoloty wylądowały potem na terytorium Stanów Zjednoczonych. Obu pilotów zatrzymano. jeden przyznał się do winy - dostał czterdzieści lat więzienia. Drugi nie puścił pary i po krótkim czasie wyszedł na wolność.

Widmo więzienia sprawiało, że stawki za transport były naprawdę

niebotyczne. Warto dodać, że ci, którzy po wpadce potrafili milczeć, mogli liczyć na opiekę ze strony Pabla. Lew, który później pracował dla nas w Nowym Jorku i Madrycie, wspomina, że gdy trafił do więzienia w Kolumbii, stale dostawał wiadomości od Pabla. „Masz się nie martwić” - szeptał mu strażnik, który był na naszej liście płac. „Pablo powiedział, żebyś był spokojny. Wyciągnic cię z pudła”. I rzeczywiście, w krótkim czasie mój brat załatwił naszemu człowiekowi przeniesienie do więzienia o lżejszym rygorze. Tam strażnik co tydzień wręczał mu pewną sumę pieniędzy na bieżące potrzeby. „To od szefa” - podkreślał. Po sześciu miesiącach Lew wyszedł na wolność. Zawsze znajdowaliśmy kogoś skorego do brania pieniędzy. Bywało, że naszym ludziom, którym powinęła się noga, załatwialiśmy rodzaj aresztu domowego. Mieszkali sobie w hotelu i tylko od czasu do czasu musieli meldować się w zakładzie karnym. W większości krajów, gdzie prowadziliśmy interesy, mieliśmy ludzi z kontaktami na wysokich szczeblach. Na przykład na Bahamach, gdzie nasz człowiek obracał się w sferach rządowych.

- Wyciągnąłem z więzienia co najmniej kilku ludzi - wspominał. - Wystarczyło pięćdziesiąt bądź siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów i drzwi stawały otworem. Amerykanie oczywiście o tym wiedzieli, ale nic nie mogli zrobić.

Kiedy amerykańscy celnicy zaczęli korzystać z AWACS-ów, Pablo postanowił zmienić kanały przerzutu. Zdecydował się na Meksyk. W istocie stał się współzałożycielem kartelu meksykańskiego.

- Moich dziewięć samolotów będzie ładować u was, a co dalej, to już Wasza sprawa - powiedział komu trzeba.

Każdy z samolotów Pabla lądujących w Meksyku przywoził około tony kokainy. Meksykanie przerzucali towar dalej; do Miami, Nowego Jorku i Los Angeles, skąd za pośrednictwem hurtowników kokaina trafiała do dziesiątków mniejszych miejscowości w całych Stanach.

Korzystaliśmy także z transportu morskiego. W istocie spora część naszego eksportu szła tą właśnie drogą, w tym zwłaszcza ładunki narkotyku ukryte na przykład w drewnie czy winie. Ale nasz towar podróżował nie tylko w ładowniach. Pomysłów nam nie brakowało. Do podwodnych części kadłubów frachtowców przymocowywaliśmy plastikowe pojemniki - zwykle były to rury PCW. Mieściły po pięćdziesiąt kilogramów kokainy. W porcie docelowym towar przejmowali nurkowie. Kiedy DEA odkryła tę metodę,

Pablo wprowadził innowacje: pojemniki mocowano do kadłubów za pomocą silnych elektromagnesów. W umówionym miejscu, przed wejściem do portu, magnetyczne uchwyty zwalniano. Pojemniki opadały na dno, skąd dobywali je płetwonurkowie.

Poza frachtowcami dysponowaliśmy wcale pokaźną flotą szybkich motorówek. Kursowały między Jamajką a Florydą, a bywało, że odbierały towar ze statków bezpośrednio w morzu i przerzucały na ląd, też oczywiście na Florydzie. Czasami wyładunek odbywał się nocą na jakiejś odludnej plaży - takie sceny często można oglądać na filmach - częściej jednak korzystaliśmy z zaprzyjaźnionych prywatnych przystani. Korzystaliśmy też z jednostek rybackich. Z ładunkiem pasty pływały z Peru do Kolumbii i dalej do Meksyku. Bywało, że w ładowniach takiego stateczku przerzucaliśmy jednorazowo piętnaście ton towaru zmieszanego na przykład z ekwadorską mączką rybną.

Mój brat nie był pierwszym wielkim dilerem narkotyków, miał wielu poprzedników, ale nikt przed nim nie stworzył tak wielkiego przedsiębiorstwa jak on i nikt nie miał tylu pomysłów, jeśli idzie o przemyt towaru na teren Stanów Zjednoczonych. Największy i najgłośniejszy transport narkotyków do Stanów przed pojawieniem się kabin na scenie liczył sto kilogramów. Sprawa przeszła do historii pod nazwą „francuskiego łącznika”, doczekała się nawet filmu pod tym samym tytułem. My tymczasem szmuglowaliśmy po kilka ton tygodniowo. Chyba najbardziej oryginalna metoda przemytu, jaką zastosowaliśmy, zrodziła się z... filmu o Jamesie Bondzie. Pablo uwielbiał filmy z Bondem, stale je oglądał. I rzeczywiście w tych filmach było mnóstwo ciekawych pomysłów.

- Właśnie - ożywił się Pablo w czasie seansu w a może zrobilibyśmy coś takiego.

W takich właśnie okolicznościach pojawił się pomysł, aby towar wysłać łodzią podwodną.

Dziś, kiedy to wspominam, pomysł wydaje się wręcz nieprawdopodobny. Skąd wziąć łódź podwodna? Gdzie coś takiego można kupić? Ale w naszej branży nie było rzeczy niemożliwych. Kiedy więc Pablo wspomniał o łodzi podwodnej, nikt nie miał najmniejszych wątpliwości. Przeciwnie, pomysł uznaliśmy za wspaniałą i zaraz zaczęliśmy kombinować, jak zdobyć łódź.

A w rzeczy samej dwie łodzie. Zakup używanych egzemplarzy nie wchodził w rachubę, transakcja wzbudziłaby podejrzenia. Mieliśmy więc-

tylko jedno wyjście - zbudować łódź własnymi siłami, bez względu na koszty. Pablo, gdy czegoś zapragnął, nie liczył się z pieniędzmi. Najęliśmy więc dwóch fachowców-inżynierów - Rosjanina i Anglika - żeby sporządzili nam projekt takiej jednostki. Z racji wykształcenia brałem udział w projektowaniu elektronicznej części wyposażenia. Powstały dwie łodzie. Zbudowano je dla nas na dyskretnym zapleczu stoczni w Cupica. W przeszłości, w sobie wiadomych celach, twierdziliśmy, że obie jednostki były zdalnie sterowane. Nie była to jednak prawda, bo były to statki załogowej O niewielkich gabarytach, niezbyt wygodne, ale pojemne. Co dwa, trzy tygodnie każda z łodzi przewoziła od tysiąca do tysiąca dwustu kilogramów towaru. Nie mogły podchodzić blisko brzegu, więc wyładunek odbywał się na pełnym morzu przy udziale płetwonurków.

Pomysł należał do Pabla - on był pierwszy, ale metoda okazała się tak skuteczna, że jeszcze w sierpniu 2008 roku amerykańska Straż Przybrzeżna meldowała o przechwyceniu łodzi podwodnej płynącej z Kolumbii z ładunkiem wartym sto osiemdziesiąt siedem milionów dolarów. Miesiąc później Amerykanie przechwycili inną jednostkę z ładunkiem kokainy wycenionym na trzysta pięćdziesiąt milionów dolarów.

Pablo stale rozwijał interes. Korzystał zwykle z dwudziestu do trzydziestu stworzonych przez siebie kanałów przemytu wiodących przez Amerykę Południową i Środkową. Poza Gustavem nikt nie miał wiedzy o całości. Brat dbał o to, aby kanały i trasy stale zmieniać. Prowadziły one przez rozmaite kraje; zrozumiałe więc, że Pablo musiał wchodzić w stosowne układy za granicą, aby móc korzystać z przestrzeni powietrznej i lotnisk. W 1984 roku wszedł w porozumienie z sandinistowskim rządem Nikaragui. Chciał wydzierżawić wysepkę i zbudować na niej laboratorium. Laboratorium nie powstało, ale na wysepce funkcjonowała nasza baza przeładunkowa, podobna do bazy na wspomnianej już wyspie Norman's Cay. Za prawo lądowania członkowie kartelu płacili spore sumy.

W Panamie współpracowaliśmy z pewnym wpływowym generałem. Załatwiał wszystko, co trzeba, ale kazał sobie słono płacić, też za wszystko - za każde lądowanie śmigłowca, za każdy przeładunek, dosłownie za każdą najmniejszą nawet czynność. Był przy tym niezwykle zdyscyplinowany. Kiedy Pablo dawał sygnał, że „trzeba porozmawiać”, natychmiast meldował się w Kolumbii. Ale nie obyło się bez problemów. Kiedyś - pamiętam - ów generał wziął półtora miliona dolarów za tranzyt dość sporego ładunku przez

Panamę. Tymczasem wojsko zatrzymało transport, zlikwidowało laboratorium i aresztowało naszego pracownika, młodego człowieka, który nazywał się John Lada.

Pablo wyszedł z siebie.

- Nie życzymy sobie takich numerów. Musi pan to wyczyścić - kazał „naszemu” generałowi.

A ten rzeczywiście sprawę załatwił. Jak? Nie wiem. Pewnie dał łapówkę sędziemu. Dość powiedzieć, że odzyskaliśmy towar.

Na Haiti też mieliśmy „swojego” generała. Dbał o to, aby nasze samoloty mogły lądować i startować bez najmniejszych przeszkód. Pablo płacił mu dwieście tysięcy dolarów od każdego udanego lotu.

Pamiętam zwłaszcza, kiedy z wizytą do Pabla przybył szef peruwiańskiej służby wywiadowczej Vladimiro Montesinos. Został podjęty kolacją. O część artystyczną zadbało pięć młodych brazylijskich tancerek. Nazajutrz rano Pablo zaprosił gościa na wyścigi na skuterach wodnych. Potem obaj panowie przystąpili do rozmów.

- Potrzebne nam jest lądowisko w Peru. gdzie nasze samoloty mogłyby lądować i startować bez przeszkód, zwłaszcza zaś ze strony peruwiańskiego lotnictwa wojskowego - zaczął Pablo.

Wynegocjowana stawka wynosiła trzysta dolarów od każdej paczki kokainy, czyli około stu tysięcy dolarów za każdy samolot. Płatne wyłącznie w gotówce. Czterdzieści procent Montesinos miał zatrzymywać dla siebie, a sześćdziesiąt procent przekazywać komu trzeba w strukturach wojskowych.

Od każdego, komu dawał pieniądze, Pablo żądał absolutnej lojalności. Wielu ludzi zbiło przy nim ogromny majątek, ale też wszyscy mieli świadomość, że zdrada jest srogo karana. Kiedy Dandeny Muñoz Mosquera - jeden z głównych współpracowników Pabla odpowiedzialnych za bezpieczeństwo - odpowiadał przed sądem w Stanach, prokurator tak opisał mojego brata: „[Pablo Escobar] stawiał sprawę jasno i wszyscy w jego organizacji o tym wiedzieli, że jeśli ktoś pójdzie na współpracę z władzami, jeśli ukradnie pieniądze albo towar, to czeka go śmierć, nie tylko jego, ale i rodzinę. W interesie organizacji groźbę tę spełniano. [Pablo Escobar] miał swoich ochroniarzy, zabójców i morderców w całym Medellín... I to oni siali terror, zabijali każdego, kto nie wypełniał rozkazów”. W rzeczy samej jest to opis dość akuratywny. W tamtych czasach każdy, kto próbował oszukać albo okraść Pabla, ryzykował życie.

O moim bracie krążyło wiele opowieści. a jeszcze więcej powstało po jego śmierci. Moim zdaniem mało w nich prawdy. Kiedy ktoś stawał przed sądem, próbował się bronić, opowiadając niestworzone historie o Pablo, bo wiedział, że po pierwsze ujdzie mu to bezkarnie, a po wtóre, że zawsze znajdzie chętnych słuchaczy. Im bardziej krwawa opowieść, tym większe szanse na łagodniejszy wyrok. I tak na przykład jeden z naszych pilotów zatrzymany przez DEA zgodził się zeznawać w zamian za złagodzenie kary. Prokuratora uraczył opowieścią o tym, że gdy kiedyś doszło do konfiskaty ładunku, zwrócił się do Pabla z taką oto uwagą:

„To dziwne, ale za każdym razem, gdy Flaco (zaufany współpracownik mojego brata) ma coś do czynienia z transportem, zawsze zjawiają się przedstawiciele władz, zabierają towar albo robią zdjęcia. Dobrze byłoby się temu przyjrzeć”.

Kilka tygodni później - opowiadał dalej - zapytał Pabla, co udało mu się ustalić, na co mój brat miał odpowiedzieć, że „sprawa jest załatwiona”.

„Jednocześnie - mówił dalej - jeden z *sicarios* (ochroniarzy) pana Escobara podał mi trzy zdjęcia z polaroidu. Pan Escobar zaraz mi je pokazał. Jedno z nich przedstawiało trzech mężczyzn. Jeden był krępy, drugi niski, a trzeci wysoki i chudy. Pan Escobar wskazał na tego ostatniego, mówiąc, że to właśnie jest Flaco. Wszyscy trzej zostali żywcem obdarci ze skóry, mieli obcięte jądra i podcięte gardła”.

Czy rzeczywiście był to Flaco? Pilot nie mógł być pewien, ale zeznawał dalej.

„Zapytałem pana Escobara, cóż to za człowiek mógł zrobić coś takiego ludzkim istotom. Pan Escobar spojrzał na *sicaria*. Ten tylko się uśmiechnął”.

Tak właśnie brzmiało zeznanie. Ktoś, kto ośmieliłby się mówić w ten sposób w obecności Fabia, musiałby być niezwykle odważnym człowiekiem. Ale cóż, takie historie krążyły i tak powstawała legenda.

A tymczasem kartel z Medellín rozwijał nowe rynki zbytu na swój towar. Opanowywał teren z szybkością światła. Nowy Jork stanowił szczególnie łakomy kąsek. Tamtejszy rynek otworzył dla Pabla jego przyjaciel zwany Mistrzem - *the Champion*.

Pochodził oczywiście z Medellín, a do Nowego Jorku trafił za sprawą swojej matki. Wysłała go tam w latach siedemdziesiątych z lęku przed złym towarzystwem w rodzinnym mieście. Miał zamieszkać u starszego brata i pójść do college'u. Rzeczywiście zaczął się uczyć i po pięciu latach został

technikiem urządzeń klimatyzacyjnych. W tym czasie mój brat zdążył już sobie wyrobić nazwisko w kolumbijskiej branży narkotykowej. Po studiach Champion wrócił do Medellín, zaczął normalnie pracować, ale znów wsiąkł w swoje dawne towarzystwo i od kolegów dowiedział się o Pablo Escobarze. Postanowił do niego przystać.

Pablo zgodził się, aby Champion został jego przedstawicielem na Nowy Jork. Miał zajmować się dystrybucją towaru i windykacją. Pablo miał wielkie wyczucie, jeśli idzie o ludzi, zawsze wiedział, gdzie kogo umieścić z obopólnym pożytkiem. Za zgodą Pabla Champion wziął sobie do pomocy kuzyna - Lwa, który zresztą już od kilku lat mieszkał w Nowym Jorku. Pracował jako pikolak w modnej francuskiej restauracji La Grenouille. Obsługiwał najbardziej znane osobistości w mieście, jak choćby byłego burmistrza Johna Lindsaya, aktora George'a Sandersa, Jacqueline Kennedy Onassis i Petera Lawforda. Opowiadał nam, jak to kiedyś Jackie zamówiła wielki stek, a kiedy przyniesiono jej danie, zjadła tylko marchewkę i nasz Lew uraczył się później na zapleczu nietkniętym stekiem byłej prezydentowej. Bywalcy La Grenouille, ludzie możni i sławni, nie zwracali oczywiście uwagi na młodego kelnera. Był dla nich niewidzialny jak powietrze. A tymczasem ów niewidzialny człowiek w ciągu paru lat zdążył zgromadzić dwadzieścia pięć milionów dolarów w gotówce. Trzymał ten skarb u siebie w mieszkaniu. Zastanawialiśmy się czasem, jak owi magnaci poczuliby się, gdyby wiedzieli, że do stołu podaje im człowiek znacznie od nich bogatszy i że nie tylko biega z taca, ale także zaopatruje w kokainę wielu z nich.

Najważniejszą jednak postacią dla kartelu w Nowym Jorku był wspomniany już starszy brat Championa, zwany Jimmy Boy. Otóż Jimmy Boy otrzymał staranne wykształcenie, był ekonomista, pracował na Wall Street, nosił się wytwornic, należał do ekskluzywnego klubu, przyjaźnił się z prezesami wielkich korporacji. Dlatego był dla nas wielce użyteczny.

Champion z Lwem dbali o to, żeby interes się kręcił. Odbierali transporty, organizowali dystrybucję, zbierali należności, w gotówce oczywiście, i w tym miejscu rodził się problem. Bywało, że mieli u siebie w mieszkaniu - dwie przecznice od siedziby Organizacji Narodów Zjednoczonych - nawet dwadzieścia albo i więcej milionów dolarów. Gotówkę upychali w kartonach i zwyczajnie zaczynało brakować miejsca. Jimmy Boy był tym, który przepierał większość tej fortuny. Za gotówkę

kupował akcje. Oczywiście pod fałszywym, amerykańskim nazwiskiem. Nikt nic domyśliłby się nawet, że Pablo Escobar gra na amerykańskiej giełdzie. Rychło też zaczął inwestować w firmy swoich znajomych z Wall Street.

- Mam kogoś, kto chciałby zainwestować powiedzmy trzy miliony dolarów - rozpoczął negocjacje.

Naturalnie niektórzy z jego rozmówców nie chcieli słyszeć o transakcji w gotowce, ale też nie brakowało takich, zwłaszcza wśród właścicieli rozmaitych przedsiębiorstw produkcyjnych, którzy przystawali na taki układ.

Jimmy Boy robił także interesy z dyrektorami banków. Ci, wiadomo, kochają pieniądze, i w ten sposób udało się otworzyć cały szereg kont na fikcyjne nazwiska. Pieniądze przepuszczone przez amerykański system bankowy wychodziły czyściutkie jak z najlepszej pralni.

Kiedy w 1982 roku Nowy Jork kręcił się jak dobrze naoliwiony mechanizm, Lew zameldował się u Pabla.

- Champion pilnuje Nowego Jorku, Miami też jest zabezpieczone. Mam w Madrycie dziewczynę i trochę rodziny. Pozwól mi spróbować sił za oceanem.

Pablo się zgodził. Hiszpania otworzyłaby drogę do całej Europy.

Tak się złożyło, że kolega Lwa z Medellín został tymczasem wziętym toreadorem w Hiszpanii.

- Znamy się od trzydziestu lat. Może chciałbyś wreszcie zarobić jakieś poważne pieniądze? - zaproponował mu Lew.

Rzecz w tym, że ów toreador obracał się w naprawdę dobrym towarzystwie. Znał kogo trzeba - dyrektorów, promotorów, biznesmenów, bywalców klubów nocnych, słowem madrycką śmietankę towarzyską, a tej - jak wiadomo - zawsze towarzyszą piękne kobiety. I do tego towarzystwa toreador wprowadził naszego Lwa. Na początku, gdy jeszcze nie funkcjonowały hurtowe kanały przemytu, kokaina była tak droga, że tylko bogacze mogli sobie na nią pozwolić. Ale też tacy kształtują modę. Kiedy więc w Madrycie zaczęto mówić, czym raczą się celebryci, zwykli mieszkańcy też zapragnęli zakazanego owocu. Lew tylko na to czekał. Stworzył siatkę ulicznych dilerów. Nie od razu oczywiście. Trochę to trwało, ale koniec końców interes w Madrycie rozkręcił się jak w Miami. Hiszpania została zdobyta. Rychło też rozwinęliśmy operacje w Portugalii i całej Europie.

Zdaję sobie sprawę, że kokaina jest zła. Mam świadomość szkód, jakie

wyrządza. Wtedy jednak sprawy wyglądały inaczej. Pablo nigdy nie miał poczucia winy. „To po prostu interes. Jak ktoś chce zażywać kokę, to jego sprawa. A poza tym alkohol i tytoń zabijają więcej ludzi niż kokaina”.

Zdarzały się oczywiście kraje, gdzie trudno było rozkręcić interes, ale u szczytu powodzenia nasze transporty systematycznie trafiały na rynki w piętnastu krajach, a stamtąd szły dalej. Stany Zjednoczone stanowiły ogromny rynek, podobnie Meksyk. Interesy robiliśmy nawet na Kubie, aż do czasu, gdy Fidel Castro dowiedział się, że bierze w tym udział kilku jego pułkowników i generałów. Trzech kazał rozstrzelać, interes padł.

Tylko Kanady nie udało nam się zdobyć. Champion próbował, ale bez skutku. Pojechał tam z Lwem z polecenia Pabla. Udali się do Montrealu i Toronto, spotkali się z właściwymi ludźmi, ale czuli, że interes nie wypali. Trudno wyjaśnić, skąd to przecucie, ale tak było. Nie wpadli, to znaczy policja ich nie zatrzymała, ale cały czas mieli wrażenie, że policja o nich wie, a to zapowiadało kłopoty. Zameldowali więc Pablowi, że „sprawa wydaje się zbyt ryzykowna”.

Pablo kazał im wracać do Nowego Jorku.

A zresztą Kanada nie była nam aż tak potrzebna. Nasze dochody szły w setki milionów dolarów. W historii przestępczości nikt nie robił większego interesu. W istocie mieliśmy problem z nadmiarem gotówki. Trudno było aż tyle wyprać, to znaczy stworzyć wiarygodną legendę, że pieniądze pochodzą z legalnego źródła. Trudności nastręczał też przewóz gotówki do Kolumbii. Z tym było tak samo trudno jak z wywozem towaru do Ameryki i Europy. Pablo próbował na wiele sposobów. Na szczęście zawsze znajdzie się ktoś chętny do robienia interesów w żywej gotówce. Niezależnie od inwestycji, jakie czynił, niezależnie od przepuszczania pieniędzy przez system bankowy takich krajów jak Panama, Pablo zaczął skupować dzieła sztuki, min. prace Picassa, Dalego, Botem i innych. Kupował także antyczne meble i podobne przedmioty, które zawsze budzą pożądanie, a przeto można je łatwo sprzedać za czystą kaskadę, niebudzące podejrzeń pieniądze, a kupujący zwykle nie zadaje niewygodnych pytań.

Korzystaliśmy też z innych, nader pomysłowych sposobów legalizacji pieniędzy. Kolumbia, jak wiadomo, jest czołowym producentem i eksporterem szmaragdów. Ma sześćdziesięcioprocentowy udział w światowym rynku w tej branży, a wartość eksportu wyraża się setkami milionów dolarów rocznie. Nasza metoda polegała na tym, że klient,

powiedzmy ze Stanów Zjednoczonych, a jeszcze lepiej z Hiszpanii, składał zamówienie na kolumbijskie szmaragdy na sumę kilku milionów dolarów. Kontrakt był absolutnie legalny. Trik polegał na tym, że w miejsce prawdziwych, klasowych szmaragdów wysyłaliśmy podróbki - kamienie odpowiednio potraktowane oliwą, co nadawało im blask, ale na krótko. Po trzech miesiącach blask znikał jak sen złoty. Ale tylko wybitni specjaliści mogli wykryć oszustwo, co oznacza, że nasze szmaragdy z łatwością przechodziły kontrolę eksportową. Klient oczywiście płacił jak za prawdziwe szmaragdy i w ten oto sposób mogliśmy zaksięgować niebudzący podejrzeń dochód. Przepraliśmy tą metodą miliony dolarów.

Pranie pieniędzy jest przedsięwzięciem kosztownym. Bywa, że „pralnia” bierze pięćdziesiąt, a nawet sześćdziesiąt procent powierzonej jej sumy. Interes jest więc lukratywny i chętnych nie brakowało, zwłaszcza że w grę wchodziły spore sumy. Nie tylko bowiem Pablo musiał „przepierać” swoje dochody, ale dosłownie wszyscy z branży. Orientowaliśmy się w tym rynku doskonale. Zналиśmy praktycznie wszystkich „praczy”. Największą ich część stanowili żydowscy ortodoksi z pejsami i w chałatach. Jeden z naszych pilotów niemal stale korzystał z ich usług, zwłaszcza że brali tylko sześć procent od transakcji. Od narkotyków stronili jak od ognia, więc za każdym razem trzeba im było przedstawić jakąś przekonującą legendę o pochodzeniu pieniędzy.

A oto co opowiadał nasz pilot.

„Przedstawiałem się jako Peterson, mój kontrahent też występował pod przybranym nazwiskiem. Znakiem rozpoznawczym był czerwony goździk w butonierce. On go miał i ja miałem. Spotykaliśmy się w apartamencie wynajętym naturalnie jeszcze na kogoś innego. Zazwyczaj Chodziło o kilka milionów dolarów. Gotówkę miałem w walizce, nad którą pieczę sprawowało dwóch dobrze uzbrojonych ochroniarzy. Zjawiał się mój kontrahent, pytał, „gdzie są środki”, gestem wskazywałem walizkę. W ogóle starałem się mówić jak najmniej. Otwierał walizkę, błyskawicznie przeliczał pliki. Robił to naprawdę w mgnieniu oka, jak maszyna. Zaraz potem brał telefon, wykręcał sobie znany numer i meldował: «Wszystko w porządku, można przejść na następny poziom». Mnie zaś kazał czekać pięć minut. Po upływie tego czasu ja brałem telefon. Mówiłem «dzień dobry» czy coś takiego i to zamykało transakcję. W ciągu owych pięciu minut oczekiwania ktoś w Europie Wpłacał sumę równą zawartości walizki minus sześć procent na

zakodowane konto w jednym ze szwajcarskich banków. Od tej chwili walizka należała już do mojego kontrahenta. Mnie chroniło dwóch uzbrojonych osiłków, a ten facet w pojedynkę i bez żadnej ochrony wynosił walizkę z apartamentu i ciągnął za sobą po nowojorskiej ulicy. To był wspaniały układ. Gotówka zostawała sobie w kraju, a moje konto w Szwajcarii spokojnie rosło”.

Znakomita jednak większość naszych dochodów spływała do Kolumbii w formie gotówki. całe góry peso i dolarów, bo w tych walutach prowadziliśmy interesy. Było tego tak dużo, że na same tylko gumki do wiązania plików banknotów wydawaliśmy dwa i pół tysiąca dolarów miesięcznie. Pieniądze wędrowały w rozmaity sposób: w walizkach i torbach, jako bagaż osób podróżujących normalnymi samolotami rejsowymi, jako ładunek w wynajętych śmigłowcach i motorówkach. Jeden z zaprzyjaźnionych z nami ludzi był dilerem samochodowym, sprzedawał chevrolety, sprowadzał je oczywiście ze Stanów i często gęsto w transporcie znajdował się jakiś - powiedzmy - chevy blazer wyładowany gotówką ukrytą w tapicerce i oponach, i w ogóle gdzie tylko dało się wcisnąć pliki banknotów.

Wielkim problemem były schowki, stale nam brakowało solidnych kryjówek na pieniądze. Na początku sporo gotówki lokowaliśmy w bankach na kontach otwieranych na nazwiska zaufanych członków rodziny bądź przyjaciół. Do 1991 roku w Kolumbii nie istniało prawo dające władzom wgląd w konta bankowe. Korzystaliśmy z tego, nie przejmując się, czy ktokolwiek wierzy, że deponujemy dochody z nieruchomości. A zresztą płaciliśmy, komu trzeba, za pomoc. W istocie tylu paisas - jak się nazywa mieszkańców naszego regionu w Kolumbii - pracowało dla nas, że ukuto powiedzenie: „Kiedy Pablo kichnie, całe Medellín wola: «Na zdrowie!»,,.

Na początku naszej działalności przemoc była rzadkością, a jeśli już, to akty przemocy dotyczyły tylko ludzi z branży, za w tym względzie też obowiązywały pewne zasady. jednym z pierwszych, który stracił życie, był człowiek imieniem José - pomińmy nazwisko. Otóż ten José miał warsztat blacharski i właśnie jemu Pablo zlecał montowanie w samochodach skrytek do przewozu narkotyków i pieniędzy. I tak się zdarzyło, że jedno z tych aut zostało okradzione - znikło pięćdziesiąt kilogramów towaru. W późniejszych latach pięćdziesiąt kilo to był drobiazg, ale wtedy Pablo dopiero rozkręcał interes, więc stratę odczuł dotkliwie. To, co zastanawiało, to fakt, że złodzieje bezbłędnie trafili do tajnej skrytki, o której istnieniu wiedział tylko Pablo,

wspomniany José i może jeszcze parę zaufanych osób.

Brat oczywiście poszedł porozmawiać z blacharzem.

- To nie ja. Nie zrobiłbym ci takiego numeru, przysięgam - zaklinał się José.

Pablo wszczął śledztwo, a że znał, kogo trzeba, w Medellín, rychło dotarł do faceta, który kupił skradziony towar i ten wskazał na blacharza jako dostawcę. Pablo nie miał więc wątpliwości, że José dopuścił się zdrady... Dziś przemoc i śmierć stanowią, że tak powiem, integralną część interesu. Wtedy było inaczej, choć mało kto w to wierzy. Tymczasem Pablo musiał załatwić sprawę do końca. Problem polegał tylko na tym, jak to zrobić, żeby uniknąć interwencji policji. I sprawa odbyła się tak, że w pewnej kafejce, do której chadzał José ze swoimi pracownikami, doszło do awantury i bójki. Po jednej stronie José i jego ludzie, po drugiej kilku miejscowych chłopaków. Gdy kurz opadł, José leżał na podłodze z kilkoma ranami postrzałowymi. Już się nie podniósł. Policja uznała, że zabójstwo miało charakter przypadkowy i że w ogóle był to nieszczęśliwy wypadek.

Tak to się odbyło, ale - powiadam - na początku akty przemocy należały do wyjątków. Ludzie zarabiali, a niewinnych nikt nie tykał. Władze nie miały więc powodów, by mieszać się w nasze sprawy. A dla nas tymczasem największym problemem było zabezpieczanie pieniędzy.

Problem jeszcze bardziej nabrzmiał, kiedy władze i wrogowie zaczęli się do nas dobierać. Musieliśmy zorganizować sobie odpowiednie schowki-miejsca, gdzie pieniądze byłyby bezpieczne, a jednocześnie łatwo dla nas dostępne. Stworzyłem wtedy cały system *caletas* - tajnych skrytek w ścianach domów i rozmaitych mieszkań. Nie były to żadne kasy pancerne ani nic takiego, tylko zwyczajne schowki w ścianach wyłożone styropianem. W czymś takim można było umieścić pięć, a nawet więcej milionów w gotowce. Mieliśmy takich skrytek co najmniej setkę. Większość w należących do nas domach i lokalach, w których instalowaliśmy zaufanych lokatorów. Większość wiedziała, że „śpi na pieniądzach”, ale każdy z zainteresowanych znał co najwyżej jedną skrytkę, co minimalizowało ewentualną stratę, gdyby doszło do wpadki. Tylko Pablo i ja znaliśmy położenie wszystkich *caletas*. Notatek nie prowadziliśmy, adresy przechowywaliśmy tylko w pamięci. Do mnie należała decyzja, ile i gdzie ulokować z napływających pieniędzy - w banku bądź w określonym schowku.

Poza *caletas* mieliśmy jeszcze inne kryjówki. Oto jeden przykład:

kupiliśmy naprawdę piękny dom w bogatej dzielnicy El Poblado. Sprowadziliśmy lokatorów, żeby pilnowali. Ci akurat nie wiedzieli nie o schowku, który zbudowaliśmy... pod brodzikiem dla dzieci. To był mój pomysł. W posiadłości znajdował się już jeden basen, ja jednak uznałem, że potrzebny jest drugi, dla dzieci. Kupiłem stosowny egzemplarz z włókna szklanego. Wpuściliśmy go do połowy w ziemię, otoczyliśmy rodzajem tarasu z desek. Tylko że basen został umieszczony na specjalnych podnośnikach hydraulicznych, a pod dnem mieliśmy aż sześć schowków wylanych cementem i wyłożonych styropianem, zawierających sześć drewnianych kuferków. Magazynowaliśmy tam miliony dolarów przesypanych... kawą. Odkryliśmy bowiem, że kawa znakomicie neutralizują woń zawilgoconych banknotów. Tak więc pod basenem spoczywała sobie niezła fortuna i tylko ja z Pabłem wiedzieliśmy, jak uruchamiać podnośnik.

Staraliśmy się wymieniać banknoty w schowkach co pół roku, a czasem częściej. W stosownym momencie dzwoniliśmy do lokatorów z takim oto zawiadomieniem: „Potrzebna mi chata na dzień lub dwa. Jest dziewczyna, a nie chciałbym, żeby żona się dowiedziała...”. No i lokatorzy zostawiali nam wolne mieszkanie lub dom na umówioną porę. Wtedy właśnie wymienialiśmy banknoty na świeże. Z czasem jednak sprawy znacznie się skomplikowały. Po pierwsze gotówki było tak dużo, a po drugie sytuacja polityczna wokół nas zgęstniała tak bardzo, że nie nadążaliśmy z wymianą. W efekcie wilgoć zżerała banknoty tak, że nie można ich było puścić w obieg. Nie mam pojęcia, ile majątku straciliśmy' w ten sposób. Powiem tylko, że rocznie odpisywaliśmy dziesięć procent zgromadzonych środków na straty powstałe na skutek zniszczenia banknotów. Przyjeliśmy, że taki procent odpowiada mniej więcej rzeczywistości.

Ukrywaliśmy także gotówkę w podręcznych schowkach, a więc w miejscach, gdzie łatwo było po nią sięgnąć. U siebie, w rezydencji Nápoles, Pablo trzymał gotówkę w oponach starej półciężarówki. Na farmach składowaliśmy pieniądze w plastikowych pojemnikach na śmieci. Kiedy zaś skapitulowaliśmy i udaliśmy się do więzienia, zmagazynowaliśmy około dziesięciu milionów dolarów w plastikowych pojemnikach w różnych kryjówkach w miejscu odosobnienia. Im gęściej robiło się wokół nas, tym ważniejsze było, aby mieć zapas gotówki pod ręką. Nie chodziło tylko o nas. Wszyscy znajdowaliśmy się w podobnej sytuacji. Kiedy nadszedł czas, że musieliśmy się kryć przed wrogami, nasz kuzyn Gustavo udał się do kogoś ze

swojej rodziny z prośbą o ukrycie dla niego miliona dolarów. Ten oczywiście się zgodził. Banknoty owinięto w folię aluminiową i umieszczono w leżance. Tylko że na tym to się nie skończyło. Gustavo bowiem przysyłał coraz to nowe zapasy gotówki, najczęściej zresztą w specjalnie przekonstruowanych przeze mnie odbiornikach telewizyjnych. Rezultat był taki, że leżankę trudno już było unieść z miejsca. Na szczęście dla „skarbnika” Gustavo zabrał leżankę ze skarbem i przysłał nową na parę dni przed przyjściem oddziału bezpieczeństwa, który nas wtedy ścigał.

Nad przepływem środków czuwali księgowi pracujący w dziesięciu założonych przez nas tajnych biurach w Medellín. Tylko Pablo i ja znaliśmy ich adresy. Niektóre z biur zainstalowaliśmy w blokach mieszkalnych, inne w prywatnych domach. Te w blokach funkcjonowały pod szyldem agencji nieruchomości, zaś te ulokowane w prywatnych domach nie potrzebowały żadnego szyldu. W jednych biurach spotykaliśmy się z ludźmi, którzy pomagali nam ukryć pieniądze, w innych z przyjaciółmi i znajomymi, a w jeszcze innych konferowaliśmy z przedstawicielami banków. Każdy z kontrahentów i rozmówców znał co najwyżej jeden adres. Wiedzę o całości - jak powiedziałem - mieliśmy tylko my z Pablem.

Osobiście najbardziej lubiłem biuro w El Poblado. Mieściło się w wiekowym, dostojnym budynku na rozległej działce. Było tam nawet prywatne jezioro, w którym czasami łowiliśmy sobie ryby, a także boisko do gry w piłkę i bywało, że popołudniami rozgrywaliśmy mecze. Tam też miałem swój gabinet z pięknym biurkiem i skórą niedźwiedzia polarnego na podłodze. A praca? No cóż, jak w każdym biurze. Wielu zwykło sobie wyobrazać, że cały czas operowaliśmy w napięciu i że zewsząd czyhało na nas niebezpieczeństwo. Prawda jest taka, że przez wiele lat nasz interes funkcjonował jak każda inna korporacja. Księgowość też prowadziliśmy w normalny, że tak powiem, sposób.

Nająłem dziesięciu księgowych, po części spośród krewnych i zaufanych przyjaciół. Całości dopełniali profesjonaliści, których nam polecono. Dwóch z nich sami sobie wychowaliśmy - posłaliśmy na studia, a potem zatrudniliśmy. Spotykałem się z pytaniem, w jaki sposób udawało nam się kontrolować całość skomplikowanego przecież interesu. No cóż - udawało się i tych dziesięć etatów w zupełności wystarczało. Każdy z księgowych odpowiadał za określony wycinek naszej działalności. Do mnie należała ostateczna kontrola. Księgowali i otrzymywali sowite wynagrodzenie. Premii

nie wypłacaliśmy, ale pensje mieli naprawdę dobre i wszyscy zostali milionerami. Stać ich było na wiejskie rezydencje i na najlepsze prywatne szkoły dla dzieci. Żyli na wysokiej stopie i działało im się naprawdę dobrze, aż do wybuchu wojen. Siedmiu z nich, w tym dwójka młodych, których posłaliśmy na studia, zginęło z rąk ludzi, którzy zaprzysięgli zabić Pabla.

Najczęściej pytają mnie o wartość majątku Pabla. Jak wielka była jego fortuna? Nie da się na to odpowiedzieć, dokładna ocena jest wręcz niemożliwa, choćby dlatego, że wiele środków ulokował w nieruchomościach i przedmiotach, których wartość stale się zmieniała. Pablo posiadał nieruchomości na wielu kontynentach. W samej Kolumbii należało do niego nie mniej niż czterysta farm, nie wspominając już o licznych budynkach w Medellín. Był między innymi właścicielem zespołu apartamentowców na Florydzie ocenianego na osiem milionów dolarów. Posiadał nieruchomości w Hiszpanii, wiele dzieł sztuki i bardzo cenną kolekcję; zabytkowych samochodów. Z pewnością całość szła w miliardy. Miał więcej, niż da się wydać za życia jednego człowieka. W 1989 roku magazyn „Forbes” umieścił Pabla na siódmym miejscu na liście najbogatszych ludzi, dodając, że przychody kartelu z Medellín przekraczają trzydzieści miliardów w skali roku.

Pieniądzy było tak dużo, że nawet wtedy, gdy nasze straty szły w miliony, spaliśmy spokojnie. A owszem, ponosiliśmy także straty. Kiedyś na przykład sprowadzaliśmy ze Stanów siedem milionów dolarów w gotówce ukryte w transporcie lodówek i przez pomyłkę ładunek trafił do Panamy. Można sobie wyobrazić minę faceta, w którego ręce wpadła taka nadziana lodówka. Pieniądze znikły, nie dało się ich odzyskać. Kiedy zameldowałem o tym Pablowi, spodziewałem się naturalnie wybuchu wściekłości, a tymczasem powiedział tylko: „Bracie, nic na to nie poradzimy. Raz na wozie, raz pod wozem”.

Innym razem samolot wiozący piętnaście milionów dolarów w gotówce z Panamy do Kolumbii rozbił się nad dżunglą. Posialiśmy ludzi na miejsce katastrofy, ale okazało się, że samolot spłonął do szczętu, pieniądze też. Naturalnie zdarzały się też wpadki, towar albo gotówka dostawały się w ręce władz, jak to w biznesie. Czasami wygrywały organy ścigania. Straciliśmy na przykład wiele ton towaru, gdy policja odkryła nasz magazyn w Los Angeles. Mieliśmy zasadę, że osobom odpowiedzialnym za wpadkę dawało się szansę na odrobienie strat - Pablo słał kolejny transport towaru, żeby nadrobić to, co

zostało stracone. Kto nie potrafił naprawić błędów i odrobić straty, ten zniknął. Tak to funkcjonowało w naszej branży.

Wiem, że niewielu zechce w to uwierzyć, ale zdarzało się, że Pablo wybaczał ludziom odpowiedzialnym za straty, a nawet tym, którzy śmieli go oszukać. Inni, zwłaszcza Gustavo, nigdy tak nie postępowali. U Gustava nie było przeprosin, żadnej wyrozumiałości, żadnej drugiej szansy. Dla Pabla pracowała pewna dziewczyna, znana jako „laska z supernogami”. I ona właśnie opowiadała historie niejakiego Memo. Ów Memo dorastał z nami i cieszył się ogromnym zaufaniem mojego brata. Pracował u niego jako kurier, to znaczy odnosił pieniądze pod wskazane adresy. Memo miał wszakże słabość do hazardu i parę razy zwyczajnie zdefraudował pieniądze Pabla, udając się do kasyna. Miał oczywiście nadzieje na wygraną. Liczył, że nie tylko zwróci pieniądze, ale jeszcze coś mu zostanie i nikt się nic zorientuje. Oczywiście przegrał i oczywiście próbował się odegrać. Bez skutku. Pablo odkrył, że przyjaciel z dzieciństwa po prostu go okrada. Laska z supernogami była świadkiem ich rozmowy. Pablo nie żądał zwrotu, tylko oddalił Memo, nie robiąc mu żadnej krzywdy.

Kiedy Pablo dowiedział się o liście „Forbesa”, był zdumiony, lecz sprawy nie komentował. Nie miłował pieniędzy dla nich samych. Dobrze wiedział, że w przeżartej korupcją Kolumbii pieniądze to droga do władzy, a zdobyte władzy i majątku używał w taki sposób, że biedni go wielbili. Nawet dziś, tyle lat po jego śmierci, większość biednych Kolumbijczyków nadal go czci. Chcecie się o tym przekonać? Zajrzyjcie do domów w Medellín. W wielu znajdziecie portrety Pabla Escobara. Parę lat temu jedną z naszych kuzynek najęto, by śpiewem uświetniła nabożeństwo odprawiane w pewnym małym domku. To taka kolumbijska tradycja. Ci, co ją zaprosili, nie mieli pojęcia, że jest spokrewniona z Pablem. Otóż na ścianach w owym domu kuzynka zobaczyła mnóstwo zdjęć Pabla i oczywiście zapytała, co to ma znaczyć.

- Kiedy byliśmy głodni, on jeden nam pomógł - wyjaśniła gospodyni. - Dał nam jedzenie i w ogóle mnóstwo rzeczy. Mój syn pracował u niego - pochwaliła się.

- A gdzie jest pani syn? - zapytała kuzynka.

- To nabożeństwo jest za jego duszę - odrzekła gospodyni, mówiąc, że syn zginął w służbie Pabla. - Tak się niestety złożyło - dodała, dając do zrozumienia, że nie żywi do Pabla żalu.

To prawda, że Pablo wydawał pieniądze na własne zachcianki i na

rodzinę, ale jest też prawdą, że nie szczędził środków, aby poprawić los wielu naszych rodaków. W mieście Quibdó - to jeden z licznych przykładów - stworzył cały system ubezpieczeń społecznych dla wykluczonych. Kto stracił pracę, mógł zwrócić się do mojego brata o pomoc i on tej pomocy udzielał. Fundował zasiłki na miesiąc lub dwa, a jednocześnie swoim ludziom kazał szukać pracy dla takiego aplikanta. Zasiłek kończył się w dniu, gdy ten podejmował pracę. Pablo stawiał przy tym warunek, że ten, kto skorzystał z jego pomocy, musi przepracować co najmniej rok.

Przytoczę jeszcze inny przykład, z roku 1982. Pablo z przyjaciółmi z branży był akurat na meczu, gdy dotarła do niego wiadomość o pożarze na wielkim wysypisku śmieci zwanym Morabita i otaczających go slumsach. Mieszkało tam mnóstwo najbiedniejszych ludzi z całego Medellín. Żyli z wysypiska. W wyniku pożaru wielu z nich straciło swój nędzny dach nad głową. Pablo zaraz pośpieszył na miejsce katastrofy. Zjawili się tam też liczni politycy. Jak zwykle składali obietnice bez pokrycia. Kiedy zapytali Pabla, po co przybył, odparł, że pragnie pomóc biedakom.

Zaraz też polecił Jaimemu powołać specjalny komitet, by wspólnie z innymi opracować najlepsze rozwiązanie. „Dajcie mi budżet, znajdźcie teren i zaczynamy budowę” - oświadczył. Program zainicjowany przez mojego brata przeszedł do historii pod nazwą *Medellín sin tugorios* - Medellín bez slumsów. W jego ramach zbudowano ponad czterysta domków, i to w bardzo przyzwoitym miejscu. Miejsca na osiedlu Barrio Pablo Escobar otrzymali najbardziej potrzebujący.

Kiedy rzecz dotyczyła najuboższych, Pablo działał z całą energią. Kupił spory budynek w centrum Medellín i uczynił zeń „ambasadę Chocó”. Chocó to najuboższa dzielnica miasta i ludzie stamtąd zgłaszali się do „ambasady” po pomoc medyczną i odzież. W „ambasadzie” zwykle pomieszkiwało około sześćdziesięciu osób. Przebywali tam po kilka tygodni, ustępując później miejsca innym.

Pablo uczynił naprawdę sporo dla swoich rodaków. Opłacał opiekę medyczną tym, którzy jej potrzebowali. Miał wśród swojego personelu specjalnego pracownika, który sprawdzał, czy zgłaszający się do mojego brata o pomoc w leczeniu choroby nowotworowej bądź AIDS - a zgłaszało się dwadzieścia do trzydziestu osób miesięcznie - są rzeczywiście chorzy. Opłacał studia wielu młodym ludziom. Kiedy w zimie wylewały rzeki, Pablo z Jaimem udawali się na tereny dotknięte powodzią z doraźną pomocą.

Przywozili i rozdawali ludziom to, co zabrała woda - materace, naczynia kuchenne, meble - wszystko co niezbędne do powrotu do normalnego życia. Nie kończyli na tym. Sprowadzali fachowców, aby ci orzekli, co zrobić, by uniknąć wylewów w przyszłości. Pablo organizował też dostawę materiałów dla wsi do odbudowy zniszczeń. Nasza mama Hermilda była - wspominałem o tym - nauczycielką. Wędrowała niestrudzenie po całej Kolumbii, pomagając miejscowym pedagogom, budując szkoły i zaopatrując je w niezbędne pomoce naukowe. Pablo wznosił i wyposażał szpitale, budował drogi do miejscowości odciętych od świata. Zbudował setki boisk, dostarczał sprzęt sportowy i często na otwarciu takich obiektów przemawiał do ludzi. Wspomnianej już dziewczynie z supernogami zlecił kupowanie prezentów dla dzieci na Boże Narodzenie i na Halloween. Zamawiała w magazynach po pięć tysięcy zabawek, żeby rozdać dzieciom. Nie było ograniczeń. Pablo zapewniał pomoc medyczną najuboższym, dawał schronienie bezdomnym, pracę bezrobotnym i wykształcenie tym, których nie było stać na pokrycie kosztów nauki; i za to ludzie go kochali.

Stał się jakby ojcem chrzestnym. Przed jego biurem ustawiały się kolejki ludzi przybyłych z prośbą o pomoc, a tym, którzy jej naprawdę potrzebowali, Pablo nigdy nie odmawiał. Niestety ci, co piszą o dobrych uczynkach mojego brata, zwykle twierdzą, że postępował tak w określonym celu - chciał, aby nie zważano na prawdziwe źródła jego dochodów, kupował lojalność i milczenie. Na dowód przytaczają mnóstwo opowieści. Tymczasem prawda jest inna. Dobroć stanowiła taką samą część jego osobowości jak skłonność do przemocy. Bronie mojego brata, bo tak trzeba. Domy, które zbudował, ciągle jeszcze stoją, ludzie, którym zapewnił wykształcenie, nadal mają dobrą pracę, a wielu z tych, którym opłacał pomoc medyczną, nadal żyje w zdrowiu. Pamięć o tym, co Pablo uczynił dobrego, nie powinna zagać. Gdyby nie osiągnął tak ogromnego sukcesu w narkobiznesie, że ściągnął na siebie uwagę całego świata, czyniłby nadal wiele dobrego. Mógłby też zrealizować swoje marzenie i zostać prezydentem Kolumbii, i nie ma wątpliwości, że niezliczone tysiące jego rodaków miałyby się znacznie lepiej. Tak się jednak nie stało.

Zapytano mnie kiedyś, co Pablo fundował sam sobie. Ubawiło mnie to pytanie. Stać go było na wszystko. Pablo i w ogóle cała rodzina żyli na wysokiej stopie. Kiedy czegoś zapragnęliśmy, braliśmy pieniądze i już. Ani Pablo, ani ja nie pobieraliśmy pensji. Gdy potrzebowaliśmy pieniędzy,

sięgaliśmy po nie i tyle. Braliśmy z konta albo z calety. Kiedy nosiłem się z zamiarem większego wydatku, bo na przykład chciałem kupić apartament albo coś takiego, mówiłem bratu, że będzie to kosztować tyle i tyle. Nigdy nie zgłaszałem zastrzeżeń.

Pablo dbał o rodzinę. Pamiętam, jak kiedyś w toku pewnej transakcji miast gotówki zaproponowano mu świeżo zbudowany dom. Tego typu rozliczenia nie należały do wyjątków, ale też nie były zbyt częste. Zwykle zresztą należna suma bywała większa niż wartość nieruchomości. I oto któregoś dnia Pablo towarzyszył naszej mamie. Nie pamiętam już z jakiej to okazji, ale miała chyba wizytę u lekarza. Po drodze powiedział mamie, że musi obejrzeć pewien dom, bo przeprowadza właśnie jakąś transakcję i być może zdecyduje się wziąć ów dom w formie zapłaty. Mama wcale się nie zdziwiła. W jej przekonaniu Pablo zajmował się właśnie handlem nieruchomościami. Kiedy zobaczyła ów dom, z miejsca się nim zachwyciła.

Mama z przyjaciółkami nauczycielkami należała do chóru starszych pań o nazwie Złote Damy z Antioquii. Była jedną z założycielek zespołu. Po sformalizowaniu transakcji i umeblowaniu domu Pablo zaprosił mamę i jej przyjaciółki na uroczyste poświęcenie nowego nabytku. Panie zaśpiewały, ksiądz pobłogosławił i wtedy Pablo wręczył mamie klucze.

- Ten dom należy do ciebie - powiedział z prostotą.

Mama z przyjaciółkami aż się popłakały ze wzruszenia.

Taki był Pablo i zawsze tak postępował.

Na Boże Narodzenie 1981 roku kupił działkę zajmującą cały kwartał w mieście i kazał tam zbudować domy dla całej rodziny Gaviriów. W sumie powstało czterdzieści domów. Pablo chciał, żeby cała rodzina mieszkała blisko siebie. Krewnym stale sprawiał rozmaite prezenty, w tym także samochody. Co prawda nie porsche czy bmw, ale bardzo przyzwoite wozy gwarantujące bezpieczną i komfortową jazdę. Młodsze pokolenie kształciło się przy jego walnej pomocy. Marii Victorii, żonie, nie odmawiał niczego. Dostawała wszystko, czego tylko zapragnęła - piękne stroje, biżuterię, obrazy i liczne rezydencje.

Jego samego nie interesowały kosztowne ubrania. Na co dzień nosił dzinsy i adidas, te ostatnie stale nowe. Ale na własne przyjemności nie szczędził. Miał mnóstwo pięknych aut, wiele farm i domów, w których służba uwijała się dzień i noc. jadaliśmy po królewsku i sporo podróżowaliśmy, kiedy tylko mogliśmy. Pablo uwielbiał wyprawy z rodziną i

przyjaciółmi. W 1982 roku wybraliśmy się całą gromadzi do Europy, a następnie do Hongkongu. W 1983 roku, gdy jeszcze było to bezpieczne, wybraliśmy się w drugą podróż do Stanów Zjednoczonych. Zwiedziliśmy Disney World na Florydzie, Biały Dom w Waszyngtonie i pojechaliśmy do Las Vegas, gdzie poznaliśmy Franka Sinatrę.

W tamtym czasie Pablo nie uchodził jeszcze za osobę wyklętą. Pojechaliśmy, jak już wspomniałem, liczną gromadą: Pablo, Gustavo, ja z rodzinami, a prócz tego siostry i kuzyni z dziećmi i - oczywiście - mama. Zaczęliśmy od Florydy. Zwiedziliśmy Disney World i kilka innych atrakcji turystycznych, odbyliśmy parę spotkań biznesowych. Ale przeżyliśmy też przygodę, która mogła skończyć się tragicznie. Otóż któregoś wieczoru z Pablem, Gustavem i jeszcze kilkoma chłopakami wybraliśmy się na motoshow - taki cyrkowy pokaz wielkich jak smoki ciężarówek. Usiedliśmy na najlepszych miejscach w pierwszym rzędzie i oglądaliśmy, jak wielkie ciężarówki zgniatają zwykle samochody. W pewnej jednak chwili dotknęło mnie dziwne przecucie, jakby ostrzeżenie, żeby natychmiast stamtąd wyjść. Powiedziałem o tym Pablowi.

- Nie bądź głupi - skwitował mój szept, ale dał się namówić i wszyscy wyszliśmy.

W sekundę później jedna z wielkich ciężarówek wymknęła się spod kontroli kierowcy i masa żelaza i stali uderzyła dokładnie w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą siedzieliśmy. Gdybyśmy nie wyszli, zginęlibyśmy na miejscu.

Pablo spojrział na mnie zdumiony.

- Skąd wiedziałeś? Umiesz przepowiadać przyszłość, czy co? - spytał.

Nic nie odpowiedziałem. Po prostu miałem takie przecucie.

Innego znów wieczoru w Miami niemal że zostaliśmy aresztowani. Było tak, że z Pablem i naszymi ochroniarzami Ottonem i Pininą wybraliśmy się do nocnego klubu na spotkanie biznesowe. Miałem przy sobie przynajmniej pięćdziesiąt tysięcy dolarów, bo zawsze nosiłem sporo gotówki. Tym razem pieniądze schowałem w torbie fotograficznej pod aparatem. Na wierzchu położyłem parę pamiątkowych T-shirtów dla dzieciaków. Po wyjściu z klubu wsiedliśmy do auta. Nie ruszyliśmy od razu, bo czekaliśmy na resztę towarzystwa. Przypadek sprawił, że kierowca przysnął, a w każdym razie stracił panowanie nad wozem - a była to dość spora furgonetka - i doszło do stłuczki. Nasz van uderzył w jakieś drogie auto stojące na parkingu. Szkody

były niewielkie, ale zrobiła się awantura i zjawiała się policja.

- Jeszcze tego nam trzeba, zmywajmy się - szepnął Pablo do mnie.

We dwóch daliśmy w długą, co chyba nie było najlepszym pomysłem, bo policjanci zaraz nas dopadli.

- Świadczenie mówią, że panowie brali udział w wypadku na parkingu -- powiedzieli i zaczęli nas rewidować, na szczęście dość pobieżnie, więc pieniędzy nie znaleźli. Pablo oczywiście zaprzeczał, że siedzieliśmy w owej nieszczęsnej furgonetce. Tłumaczył, że jesteśmy zwykłymi turystami z Kolumbii. Niewiele to pomogło. Policjanci zamknęli nas w swoim radiowozie, a sami wrócili na miejsce wypadku. Zrobiło się niemiło. Policjanci co prawda nie sprawdzili jeszcze naszych dokumentów, nie wiedzieli więc, kim jesteśmy, ale była to tylko kwestia czasu. Woleliśmy uniknąć legitymowania, bo nie mieliśmy pewności, czy amerykański wymiar sprawiedliwości już czegoś na nas nie zebrał. Lepiej więc było zniknąć.

Na nasze szczęście jeden z policjantów zostawił w radiowozie swoją pałkę. Skorzystaliśmy z niej, żeby sięgnąć do zamka przy przednich drzwiach, a dalej nie było już problemu. Wskoczyliśmy na zewnątrz i puściliśmy się pędem jak najdalej od miejsca wypadku. Kawalek dalej zatrzymaliśmy taksówkę, kazaliśmy zawieźć się do hotelu, zebraliśmy nasze graty i natychmiast przenieśliśmy się do znajomych. Otto i Pinina zostali na miejscu. Sprawę stłuczki załatwili, wypłacając właścicielowi uszkodzonego auta dziesięć tysięcy dolarów, dużo więcej, niż mu się naprawę należało. Z rana postanowiliśmy, że na wszelki wypadek lepiej będzie opuścić Florydę.

Pojechaliśmy do Waszyngtonu. Zwiedziliśmy siedzibę FBI, pojechaliśmy do Arlingtonu obejrzeć grób prezydenta Johna Kennedy'ego, zrobiliśmy sobie zdjęcia na tle Białego Domu. Pamiętam, że Pablo był wręcz zafascynowany muzeum FBI, zwłaszcza zaś bronią, która kiedyś należała do sławnych gangsterów pokroju Ala Capone i Floyda zwanego Laluchem. Z Waszyngtonu pojechaliśmy do Memphis w stanie Tennessee, żeby obejrzeć Graceland - rezydencję Elvisa Presleya. Pablo Escobar i Elvis Presley - dwaj królowie! Pablo uwielbiał piosenki Elvisa. Cały czas puszczał je z taśmy, a nawet próbował tańczyć jak Elvis. „Patrzcie tylko - mawiał. - Oto kolumbijski Elvis!”. W Memphis kupił sobie całą kolekcję kaset z muzyką Elvisa i wiele lat później, gdy skapitulowaliśmy przed władzami i pozwoliliśmy się zamknąć, zabrał ten zbiór ze sobą do więzienia. Kiedy jednak wyszliśmy na wolność, kaset nie dało się zabrać, ktoś je ukradł, czego

Pablo do końca nie mógł odżalować.

Tymczasem żony z dziećmi i resztą rodziny odleciały do domu, a my z Pablem i Gustavem pojechaliśmy do Las Vegas. Wcześniej załatwiliśmy, że na miejscu będzie na nas czekać milion dolarów w gotówce. Zatrzymaliśmy się w Caesars Palace. Spędziliśmy tam pięć dni. Pamiętam, że wygrałem sto pięćdziesiąt tysięcy w bakarata. Cały pobyt zorganizował nam pewien amerykański znajomy i on też przedstawił nas Frankowi Sinatrze, który akurat występował w naszym hotelu. Ów przyjaciel zajmował się nieruchomościami, uchodził za wielką fiszę w tej branży. Domyślałem się, że Sinatrze powiedział, iż jesteśmy inwestorami z Kolumbii. Sinatra jednak nie dał się zwieść i zaczął nas podejrzewać o związki z mafią, choć nie sądzę, aby wiedział o naszym udziale w narkobiznesie. Nie mam pojęcia, czy Pablo zrobił jakiś interes z Sinatrą. Krążą o tym rozmaite opowieści, ale dowodów nie ma, a przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

Fakty zaś są takie, że zjedliśmy z Frankiem kolację. Przyjęcie było dyskretne, w prywatnym gabinecie w restauracji. Dla nas był to wielki zaszczyt. Szczerze przyznam, że z wrażenia dostałem gęsiej skórki i musiałem się mocno trzymać. W czasie kolacji Pablo oznajmił, że nazajutrz zamierzamy odbyć wycieczkę śmigłowcem nad okolicą, i zapytał Franka, czy nie zechciałby nam towarzyszyć. Frank wyraził zgodę i rzeczywiście nazajutrz przez półtorej godziny pełnił funkcję naszego przewodnika. Polecieliśmy między innymi nad rzekę Kolorado i Wielki Kanion. Sinatra pokazał nam wszystkie ważne miejsca.

Otrzymaliśmy od niego na pamiątkę płyty z autografem. Niestety zaginęły, gdy uciekaliśmy z więzienia, co oczywiście nastąpiło wiele lat później.

Słyszałem, że kiedy o moim bracie zrobiło się głośno, Frank Sinatra zadzwonił do naszego znajomego, który nas z nim poznał.

- Właśnie oglądałem telewizję - miał powiedzieć. - Czy ten Pablo Escobar to ten facet, z którym spotkaliśmy się w Las Vegas?

Nie wiem, co się działo dalej, domyślałem się jednak, że Sinatra stanowczo oświadczył, że nie życzy sobie, aby kojarzona go z Pablem. I tak też się stało.

Wiedliśmy piękne życie. Musieliśmy oczywiście zachowywać należyłą ostrożność, ale wtedy jeszcze nie było to nic wielkiego. A tymczasem w roku 1979 - choć nie byliśmy (ego wtedy świadomi - zaczęła się dla nas wojna. W tym właśnie roku Stany Zjednoczone i Kolumbia zawarły układ, na mocy

którego handel narkotykami uznany został za przestępstwo wymierzone w interesy Ameryki. Postanowiono jednocześnie, że kolumbijscy handlarze narkotyków będą podlegali ekstradycji na teren Stanów Zjednoczonych. Ten akt prawny zmienił wszystko.

Mam świadomość, że w miarę jak gęstniała atmosfera wokół mojego brata, a ci, którym dawał zarabiać, zaczęli go zdradzać, Pablo stawał się coraz brutalniejszy wobec tych, co szkodzili i jemu, i milej organizacji. Musiał przecież chronić rodzinę i bronić interesu. Ale też obok każdego, kto twierdzi, iż Pablo sam zadawał śmierć, stanie ktoś, kto zaświadczy, że mój brat jedynie wydawał rozkazy. Co do mnie, to jestem święcie przekonany, że Pablo nikogo osobiście nie zabił. Lew pamięta, bo był naocznym świadkiem, jak to wyglądało, gdy Pablo podejmował decyzje.

- Zdanie Pabla było rozkazem. Wszyscy wiedzieli, że stanie się rak, jak Pablo mówi. Powiadał po prostu: „Trzeba skończyć z tym facetem”, i tyle. Mówił tak, jakby prosił o podanie szklanki wody. Nigdy jednak nie widziałem, aby Pablo osobiście wykonywał wyrok. Nikt z głównych współpracowników tego nie widział.

Zdarzają się i tacy, którzy opowiadają niestworzone historie o wydarzeniach, jakich rzekomo mieli być świadkami w hacjendzie Nápoles. Na przykład taki Georg Jung - pierwszy wspólnik Carlosa Lehdera - opowiada, że kiedyś, gdy gościł w Nápoles, dwaj ochroniarze przywlekli pewnego człowieka -- ponoć przyłapano go, jak donosił policji. Ów człowiek doskonale wiedział, że jeśli jemu samemu udałoby się uniknąć, wtedy kara śmierci dotknie całą jego rodzinę, więc skapitulował i sam się oddał w ręce ludzi Pabla. Jung twierdzi, że na jego oczach Pablo wstał od stołu, podszedł do owego człowieka i wpakował mu kulę w pierś z odległości metra, a może nawet mniej.

To typowa opowieść o moim bracie. Kursuje takich wiele, ale ja w nie po prostu nie wierzę. Wiem, co świat sądzi o moim bracie, ale wiem też, że złowroga legenda wyrosła na gruncie takich właśnie opowieści jak rzekoma relacja Junga. Ludzie mają swoje powody, żeby rozpowszechniać takie bajki. I wiem również, że każda moja próba sprzeciwu spotka się z ripostą, że staram się wybielić brata. Ja jednak mówię prawdę, mówię to, co wiem.

Przemoc zawsze nam towarzyszyła, ale też przemoc nie stanowiła o duszy Nápoles. Pablo ukochał swoją hacjendę i rzeczywiście była perłą w koronie. Wszyscy zresztą - rodzina i przyjaciele – kochaliśmy Nápoles,

miejsce naprawdę wyjątkowe. Czegoś takiego nikt wcześniej nie stworzył w całej Kolumbii.

Z Medellín do hacjendy Nápoles jechało się kilka godzin samochodem albo leciało samolotem. W każdym razie było to wystarczająco daleko, aby nie docierały tam problemy i ludzie z miasta. Pablo z Gustavem kupili ziemię pod koniec lat siedemdziesiątych i zaraz zaczęli budować swoje wymarzone królestwo. W 1980 roku wszystko było gotowe. Farma liczyła siedem i pół tysiąca akrów, rozpościerała się na terenie dwóch departamentów. Okolice naprawdę przepiękna, z rzeką pośrodku. Wznosiło się tam kilka domów, nie licząc głównej rezydencji. Było tam także zoo otwarte dla zwiedzających oraz parę pasów startowych - samoloty były niezbędne do prowadzenia interesów. Jak na kogoś, kto jak my wywodził się ze społecznych dołów, Pablo naprawdę umiał docenić jakość w każdej sferze życia. Hacjenda Nápoles wydawała się ukoronowaniem wszystkich jego pragnień w sferze dóbr materialnych.

Każdy, kto miał okazję tam gościć, pamięta z pewnością dwie rzeczy. Po pierwsze awionetkę nad główną bramą - pierwszego pipera mojego brata. Pablo uważał, że właśnie ten samolocik zapoczątkował jego fortunę. Bramy oczywiście strzeżono - wszyscy przybysze przechodzili skrupulatną kontrolę. Dalej wiodła kręta droga okoloną tropikalnymi drzewami. Za nimi zaś rozpościerały się łąki, gdzie pasły się tysięczne stada rasowego bydła. Dwie mile dalej zaczynał się ogród zoologiczny - kolejny szalony pomysł mojego brata. Bo kto zakłada sobie zoo we własnym domu?! Ale Pablo miał takie marzenie i marzenie to zrealizował.

I nie był to żaden zwierzyniec, ale najprawdziwsze zoo z mnóstwem wielkich zwierząt, takich jak hipopotamy, nosorożce, żyrafy, strusie i słonie, emu, zebry, małpy i kangur, który lubił kopać piłkę. Był tam różowy delfin i cała kolekcja egzotycznych ptaków, po parce z każdego gatunku. Pablo uwielbiał ptaki, zwłaszcza zaś papugi. Ulubiona nazywała się Chinchón. Potrafiła wymieniać nazwiska niemal wszystkich czołowych piłkarzy w Kolumbii. Niestety uwielbiała też whisky, a kiedy się napiła, to zasypiała, co skończyło się tragedią. Kiedyś bowiem spadła we śnie na stół i tam dopadł ją kot. Po tym incydencie Pablo relegował wszystkie koty z Nápoles, nawet te największe jak tygrysy i lwy.

Zwierzęta odkupywał od treserów występujących w cyrkach Kolumbii i w Stanach Zjednoczonych. W Ameryce tego typu transakcja jest najzupełniej

legalna. Kłopot polegał tylko na tym, że wóz zwierzątko do Kolumbii wymaga specjalnej zgody. Był więc problem, i to nie byle jaki. Bo jak przemyścić nosorożca? Zwykle zwierzęta sprowadzane samolotami. Maszyny lądowały na jednym z naszych biznesowych lotnisk, a stamtąd do Nápoles przewożono je ciężarówkami. Sprowadzanym zwierzętom zawsze towarzyszył weterynarz. Opiekował się nimi po drodze, a na miejscu szkolił personel w naszym zoo. Kiedyś zdarzyło się, że samolot z nosorożcem wylądował w Medellín wieczorem. Lot, a ściślej ładunek, był rzecz jasna nielegalny. Tymczasem było zbyt późno, aby zwierzę transportować do Nápoles. Trasa wiodła bowiem przez teren opanowany przez partyzantów, więc jazda nocą stanowiła zbyt duże ryzyko. Pablo miał więc problem: jak ukryć nosorożca na noc? Nawet w Medellín, gdzie ludzie nawykli do niezwykłych widoków, sprawa była trudna. Ktoś zasugerował prywatny garaż. Tak też uczyniono. Klatkę wstawiono do garażu, z nosorożcem został opiekun. Z garażu musiano oczywiście wyprowadzić samochód właścicieli. Też mieli problem. Bo co mieliby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego trzymają auto nocą na ulicy? Że w garażu jest nosorożec? Następnego ranka klatkę zabrano i jeszcze tego samego dnia nosorożec dołączył do reszty czworonożnego i pierzastego towarzystwa w Nápoles. Zaraz potem zaczęło kursować takie powiedzenie o Pablo: „Skoro potrafi ukryć nielegalnego nosorożca, to nie ma wątpliwości, że potrafi ukryć kokainę praktycznie wszędzie”.

Co do mnie, to w Nápoles trzymałem tylko swoje konie. Piękne zwierzęta! Od małego lubiłem jeździć konno, a kiedy już mogłem sobie na to pozwolić, zacząłem hodować konie. Pablo nie podzielał mojej pasji do wierzchowców. Sam nigdy nie kupił sobie żadnego rumaka do jazdy, co najwyżej do pracy na farmie. Często też ze mnie żartował:

- Wielkie mi co, konie. Wydajesz na nie wszystkie swoje pieniądze. To szaleństwo.

-- Wiesz - odpowiadałem - przynajmniej na nich jeżdżę, a ty? Spróbuj kiedyś dosiąść hipopotama...

Ale w Nápoles Pablo miał czwórkę koni do zaprzęgu. Lubił jeździć srebrną bryczką po posiadłości. Trzymał też kucyki dla dzieci.

Jak już wspominałem, zoo w Nápoles było otwarte dla publiczności. Wstęp nic nie kosztował. W wypowiedzi dla jednej z gazet w Medellín Pablo postawił sprawę jasno: „Zoo w Nápoles należy do społeczeństwa Kolumbii.

Zbudowaliśmy je, aby radowało wszystkich - dzieci i dorosłych, bogatych i biednych. Kolumbijczycy są jego właścicielami, a właściciele nie będą przecież płacić za oglądanie czegoś, co do nich należy”.

Jakieś trzy lata po otwarciu ogrodu zoologicznego wpłynęło do nas oficjalne pismo z Instytutu Zasobów Odnawialnych, stwierdzające, że Pablo posiada osiemdziesiąt pięć zwierząt i że jest ich właścicielem nielegalnie, ho bez odpowiedniej zgody.

- Jak chcecie, to możecie je sobie zabrać - odpowiedział Pablo uprzejmie.

„Ale my nie mamy funduszy ani na karmienie, ani na opiekę nad zwierzętami” - brzmiała odpowiedź władz. „Proszę więc podpisać załączony dokument”.

Pablo podpisał, skutkiem czego była grzywna w wysokości czterech i pół tysiąca dolarów za nielegalny import, ale zwierzęta zostawiono w Nápoles.

Poza żywymi zwierzętami Pablo miał jeszcze pięć cementowych rzeźb zwierząt prehistorycznych w pełnej skali, w tym tyranozaura i mamuta włochatego. Kazał je sporządzić ku uciesze dzieci.

Zaraz za ogrodem zoologicznym wznosiły się domy mieszkalne. Cały teren znajdował się pod ochroną. Część zabezpieczeń była jawna, większość wszelako ukryta. Bez osobistej zgody Pabla nikt nie miał prawa przekroczyć bramy. Tych, którzy zjawiali się bez zaproszenia, ochrona odprawiała bez pardonu. Zaproszenia zaś sprawdzane w taki sposób, że ochrona przesyłała je faksem do Pabla dla potwierdzenia. Za domami rozpościerało się oświetlane nocą lądowisko dla samolotów transportowych. Przy pasie startowym Pablo wystawił swoją kolekcję samochodów obejmującą między innymi wiekowe auto z przestrzelinami, które podobno należało kiedyś do legendarnej pary bandytów Bonnie i Clyde’a, oraz starego pontiaka, którym miał jeździć sam Al Capone. To pierwsze Pablo nabył od tego samego znajomego ze Stanów, który poznał nas z Frankiem Sinatra. Znajomość z Frankiem to fakt, co do aut, to nie jestem pewien, czy rzeczywiście należały do niegdysiejszych celebrytów.

Przy głównym budynku znajdował się oświetlony kort tenisowy, basen, boisko do koszykówki, wydzielony teren na pikniki oraz salon gier. Mieliśmy tak naprawdę wszystkie atrakcje do wyboru, do koloru. Na rzece urządziliśmy sobie wyścigi na skuterach wodnych. Mieliśmy boisko do gry w piłkę nożną i całe hektary wyborych łąk i pastwisk do spacerów i przejażdżek konnych. Mieliśmy nawet arenę do walk byków. Specjalnie

zapraszani toreadorzy występowali u nas ku rozrywce gości. Mieliśmy do dyspozycji auta, motocykle (także z wózkiem), motorówki, a nawet poduszki.

W głównym budynku też nie brakowało atrakcji. Był basen, jacuzzi, wielkie jadalnie, sala kinowa, gdzie oglądaliśmy premierowe filmy, oraz dyskoteka. Profesjonalna kuchnia pracowała dwadzieścia cztery godziny na dobę, tak że nawet pośrodku nocy mogliśmy zamówić coś, na co mieliśmy akurat ochotę. Posiłki serwowano obfite i eleganckie, do każdego przygotowywane drukowane menu. Podczas posiłków Pablo krążył wśród stolików, zagadując biesiadników, racząc ich recytowanymi z pamięci poematami, co uwielbiał, lub śpiewając tanga do wtóru wszechobecnej muzyki z głośników. Pablo lubił śpiewać. Pod prysznicem nucił zawsze arie.

Na pierwszym piętrze głównego budynku znajdowały się sypialnie dla członków rodziny. Każda z własną łazienką. Drugie piętro to prywatne apartamenty Pabla i Gustava. W Nápoles zawsze panował gwar, zawsze działo się coś miłego. Pablo lubił towarzystwo. Siadywał sobie z Gustavem albo Meksykaninem, odpoczywał, a czasami robił zakłady. Padały liczby pięćdziesiąt albo sto. W istocie chodziło o tyleż tysięcy dolarów. A zakładali się nie o to, która drużyna zwycięży, ale w sposób bardziej wyrafinowany. Na przykład, czy przed upływem powiedzmy dwudziestej siódmej minuty meczu drużyna Nacional zdobędzie bramkę albo znajdzie się w posiadaniu piłki. Pieniądze nic nie znaczyły. I tak mieli więcej, niż mogliby wydać.

Przyjęcia wyglądały jak imprezy w Hollywood, albo i lepiej. Sprowadzano najlepsze zespoły śpiewaków z Kolumbii i całej Ameryki Południowej. Zapraszano laureatki konkursów piękności, ludzi biznesu, artystów. A wśród bywalców przewijali się biznesowi partnerzy Pablo. Dla polityków przyjęcia w Nápoles stanowiły najlepszą okazję do zbierania funduszy na kampanie wyborcze. Ale pamiętajmy, że w tym czasie prawdziwe źródło dochodów Pabla pozostawało tajemnicą. Powszechnie uważano, że dorobił się i pomnaża majątek na handlu nieruchomościami.

W Nápoles prowadzono też interesy. Ważnych gości Pablo podejmował na kameralnych przyjęciach. A wśród VIP-ów bywali kolumbijscy politycy, wysocy funkcjonariusze rządowi z sąsiednich krajów i czołowi partnerzy Pabla z branży. W hacjendzie Nápoles czuli się bezpiecznie, korzystali z pełnej dyskrecji. Nasze samoloty przywoziły ich i odwoziły na lotniska z pełną siatką połączeń międzynarodowych i krajowych.

Ze wszystkich wizyt najbardziej utkwiała mi w pamięci ta, kiedy przybył nasz stary znajomy o imieniu Walter. Za tą wizytą kryła się pewna zaszłość. Otóż kiedy Pablo zaczynał karierę i zajmował się jeszcze zwykłym przemysłem, powierzył temu Walterowi dziesięć tysięcy dolarów.

- Zrób mi uprzejmość i zatrzymaj to dla mnie. Odbiorę za kilka tygodni - poprosił. Był to rok 1973.

Po pewnym czasie Pablo chciał odebrać pieniądze, ale Walter znikł. Wyjechał do Stanów. Wrócił do Medellín po dziesięciu latach, o czym oczywiście zaraz Pablowi doniesiono. Wtedy mój brat zwrócił się do wspólnego znajomego.

- Zaproś Waltera na weekend. Powiedz mu, że zabierzesz go na przyjęcie na wieś. Tylko nie mów, że do mnie.

I tak Walter zjawił się w Nápoles. Kiedy zorientował się, że jest u Pabla Escobara, wpadł w dygot. Trząśł się gorzej niż osika na wietrze. Przyprawiono go do jadalni. W sali na pięćdziesiąt osób zasiedliśmy w niewielkim gronie - Pablo, ja, Walter oczywiście, ów wspólny znajomy, którzy go przywiózł, kuzyn Jaime i nasza ciotka z dwiema córkami.

- Dawno cię nie widziałem, Walter. Powiedz, co słyhać u ciebie - zaczął Pablo.

Facet znów zaczął się trząść, co wielce nas bawiło. No cóż, ukradł pieniądze niewłaściwemu człowiekowi.

Z trudem dobywał słowa.

- Przykro mi z powodu tamtych dziesięciu tysięcy - jąkał się. - Postaram się je spłacić. Daj mi tylko trochę czasu.

- Ach to, tym się nie przejmuj - Pablo machnął ręką uspokajająco, ale zawołał jednego z ochroniarzy. - Przynieś mi mojego gnata.

Ulubiona bronią Pabla był wielki sig sauer. Kiedy ochroniarz przyniósł pistolet, Pablo zatknął go za pasek.

Walterowi oczy wyszły z orbit.

- Chcesz mnie zabić?

- Ależ skąd. Nikogo nie zabijam z powodu pieniędzy, a ciebie na pewno. Byliśmy przecież przyjaciółmi. Znaliśmy się od dziecka.

Tak właśnie powiedział, a ja to dokładnie zapamiętałem.

Podano lunch. Walter, co zrozumiałe, prawie nie tknął jedzenia. Po posiłku Pablo zaproponował zwiedzanie gospodarstwa.

- Już widziałem - wzbraniał się Walter.

- E tam. Chodź - upierał się Pablo.

- Wolałbym nie.

Walter zwyczajnie bał się wyjść poza jadalnię.

Ale Pablo nie dawał za wygraną. Wstał i od niechcienia dotknął broni za pasem. Mieliśmy wrażenie, że Walter wyskoczy przez sufit. Wyszli. Pablo pokazał gościowi kolekcję samochodów. Od czasu do czasu muskał dłonią broń. Na zakończenie zaprosił Waltera do swojego pokoju.

- Chodź ze mną na górę. chcę ci coś pokazać.

Walter był pewien, że na piętrze dokona się jego żywot.

Na schodach Pablo dopytywał się, co nasz stary znajomy teraz porabia.

- Jeżdżę na taksówce w Medellín. Kupiłem niedawno dom. Błagam cię, Pablo. Wszystko spłacę, tylko nie od razu.

Kiedy znaleźli się w sypialni, Pablo otworzył walizkę pełną pieniędzy. Nie licząc, dobył plik banknotów.

- Masz, to dla ciebie - wręczył Walterowi. - Tylko pamiętaj, nigdy więcej mnie nie okradaj. bo nie popuszczę.

Walter szlochał rzewnymi łzami i marzył tylko, żeby wynieść się jak najszybciej. Jeszcze nie wierzył, że Pablo nic mu nie robi. Na zewnątrz zaczął wręcz frunąć w kierunku bramy. Wrócił do Medellín bogatszy o prezent od Pabla i słuch o nim zaginął, a przynajmniej my nigdy już o nim nie słyszeliśmy.

Nasze życie zmieniło się radykalnie i na zawsze, kiedy Pablo zdecydował się ubiegać o mandat do Kongresu - kolumbijskiego parlamentu. Traktował to jako początek 'wielkiej kampanii, której ostatecznym celem miała być prezydentura Kolumbii. Nie wyobrażał sobie, aby biznes, jaki prowadził, miał temu przeszkodzić w karierze politycznej. To mu w ogóle do głowy nie przychodziło. Korupcja jest silnie zakorzeniona w życiu politycznym naszego kraju. Wielu polityków bez zmrżenia oka korzystało z pieniędzy Pabla, a on sam z własnego doświadczenia wiedział, że przywódcy innych środkowo- i południowoamerykańskich krajów nie stronią od biznesu. Ba, Ameryka Północna też nie jest bez grzechu. Powszechnie wiadomo, że ojciec ukochanego prezydenta Johna E Kennedy'ego zbił majątek na handlu nielegalnym alkoholem w czasie prohibicji. To, co wspólne dla wszystkich polityków, o których tu piszę, to fakt, że każdy z nich przed startem w wyborach miał już jakąś władzę, był bogaty albo piastował wysokie stanowisko w wojsku. Pablo też. miał władzę, był przecież potentatem

finansowym. Był przekonany, że kiedy zdobędzie władzę polityczną, będzie mógł się wycofać z narkobiznesu. My z Gustavem pomysł wejścia do polityki uważaliśmy za poroniony. Ostatnią rzeczą, jakiej można sobie życzyć w naszej branży, to rozgłos, a w polityce rozgłos jest najważniejszy, bez niego w ogóle się nie istnieje. Ostrzegałem, że sami na siebie sprowadzamy kłopoty.

- Zastanów się, Pablo - błagałem. - Robisz wielki błąd. Lepiej zostańmy w cieniu.

Gustavo też go odwodził, ale Pablo nie dawał się przekonać.

- Zobaczycie, jeszcze zostanę prezydentem Kolumbii - upieraj się. - Pieniądze już mamy. Nie muszę się martwić o to, czy rodzina ma co włożyć do garnka i czy ma dach nad głową. Dorobiliśmy się, a teraz chciałbym pomagać ludziom i robić to zgodnie z prawem, Roberto. A z branży na pewno się wycofam.

Myślę, że mówił szczerze. Zawsze zresztą powtarzał, że zostanie prezydentem. Był pewien, że tak się stanie. Ślubował, że będzie prezydentem biednych, że właśnie w ich interesie będzie działał. W naszym kraju, w Kolumbii, od dawien dawna rządzi jedna i ta sama klasa - „wiecznotrwali”, jak nazywaliśmy jej przedstawicieli. Twarze, owszem, zmieniały się od czasu do czasu, ale polityka ucisku biednych i wykluczonych trwała bez zmian.

Są tacy, którzy uważają, iż za decyzją Pabla o wejściu do polityki stał lęk, że przerażały go nowe przepisy wprowadzone jednocześnie u nas i w Stanach Zjednoczonych, na mocy których dopuszczono możliwość wydawania handlarzy narkotyków amerykańskiemu wymiarowi sprawiedliwości. Przyznaję, że to również ważyło. Pablo często powiadał, że wolałby zgnić w kolumbijskiej ziemi niż wegetować w amerykańskim więzieniu. Zgodnie z naszym prawem jako członek Kongresu korzystałby z immunitetu, nie można by go aresztować. Uważał, że jako deputowany będzie mógł zainicjować kampanię na rzecz zakazu ekstradycji kolumbijskich obywateli do Stanów Zjednoczonych.

Na początek postanowił ubiegać się o fotel w Izbie Reprezentantów. Nasz system ustrojowy odbiega nieco od amerykańskiego, i nie tylko amerykańskiego, w tym sensie, że do Izby Reprezentantów wybiera się jednocześnie posłów i ich zastępców. Ci ostatni sprawują pełny mandat, kiedy poseł zachoruje albo jest nieobecny z jakiegoś innego powodu. Pablo został kandydatem na zastępcą w okręgu Envigado. W zasadzie podzielał i

popierał program swojego partnera, a więc kandydata na posła. Mógł oczywiście ubiegać się o pełny, że tak to nazwę, mandat, ale lepiej się stało, że postanowił zostać zastępcą. Zastępca siłą rzeczy przyciąga mniej uwagi. Pablo zrazu zamierzał wystartować z listy Nowej Partii Liberalnej - ruchu ludowego występującego przeciwko zasiedziałej klasie rządzącej. Wszelako lider tej partii Luis Carlos Galán zaczął rozgłaszać, iż wie o źródłach majątku Pabla, zapewne słyszał plotki. Pablo odmówił wyjaśnień. W tej sytuacji obu, to znaczy ubiegającego się o pełny mandat kandydata i Pabla - zastępcę, skreślono z listy partyjnej. W efekcie obaj wystartowali z listy dawnej Partii Liberalnej. Pablo zachował kamienną twarz, ja jednak wiem, że w głębi duszy był wściekły na polityków, którzy chętnie wyciągali ręce po jego pieniądze, a potem wystawiali go do wiatru.

Najwięcej zwolenników miał wśród biedoty i najwięcej spotkań wyborczych odbywał w najbiedniejszych dzielnicach swojego okręgu. Jego hasła Wyborcze to: „Pablo Escobar - człowiek ludu! Człowiek czynu! Wierny danemu Słowu!”. Na spotkania przychodziły tysięczne tłumy. Bywało, że na zakończenie rozdawano im pieniądze. Spotkania otwierała para naszych młodych kuzynów – siostrzenica Maria i siostrzeniec Luis Lucho. Wznosili pieśń, którą specjalnie na użytek kampanii Pabla napisała nasza mama Hermilda:

*Oto narodziła się istota ludzka, bardzo ludzka.
Jako oddani Pablowi obywatele zgromadziliśmy się tutaj,
Aby okazać nasze poparcie.
Ludzie biegną i biegną, skaczą i skaczą.
Biegną, żeby oddać głos.
A wszyscy szczęśliwi, że mogą oddać głos na Pabla Escobara!*

Pablo z radością prowadził kampanię. Ubierał się zwyczajnie, jak wszyscy, w dżinsy i adidas, ale oczywiście zawsze był starannie ogolony i przystrzyżony. Myślę, że kiedy przemawiał, kiedy zwracał się do wyborców, przenosił się jakby do innego świata, niemającego nic wspólnego z naszym biznesem. Spoglądał w przyszłość. „Mam dość władców, co nami rządzą - mówił. - Oto zaczyna się wojna, wojna biednych i słabych przeciwko możnym. To dopiero początek, bo to nie jest tak, że możny może uciskać biednego”.

Po przemówieniu ochroniarze Pabla stojący wokół podium otwierali kuferki z pieniędzmi i Pablo wspólnie z nimi rozdawał je ludziom. Zwyczajnie z ręki do ręki. Ochroniarzom polecał rozdawać pieniądze wszystkim, ale przede wszystkim starcom i młodzieży. Tłum był zachwycony. Ludzie garnęli się, żeby ucałować rękę Pabla, co nie bardzo mu się podobało. Wolał raczej poklepać kogoś po plecach, przygarnąć do siebie, mówiąc: „Powodzenia”.

Było to dość zabawne. Bywają politycy, którzy kupują sobie glosy, czyniąc to naturalnie w wielkiej tajemnicy. Pablo po prostu i zwyczajnie rozdawał pieniądze, czynił to otwarcie i nie żądał niczego w zamian. Czasami sięgał po inne metody prowadzenia kampanii. Kazał na przykład rozrzucać z samolotu ulotki z hasłem „Głosuj na Pabla!”, a razem z ulotkami pieniądze, co naturalnie wzbudzało zachwyty wyborców.

Jak rasowy polityk, Pablo też zawierał w swoich przemówieniach rozmaite obietnice, na przykład że „zainstaluje oświetlenie na miejscowym stadionie... że odmaluje kościół... postara się o podręczniki dla uczniów... itd. itp.”. Krótko mówiąc, obiecywał wiele, ale od innych polityków różniło go to, że dotrzymywał słowa. Przysyłał swoich ludzi i w kilka dni słowo stawało się ciałem.

W czasie spotkań wyborczych Pablo z całą stanowczością występował przeciwko ustawie o ekstradycji. „To nasz kraj - mówił. - Dlaczego więc pozwalamy, by Amerykanie robili nam politykę? Nie ma potrzeby, aby amerykańscy sędziowie stali na straży kolumbijskiego prawa. Kolumbijczycy sami potrafią uporać się ze swoimi problemami. Niech Kolumbijczyk, któremu zdany się złamać prawo, odpowiada przed kolumbijskim sądem, a nie gdzie indziej!”. W roku 1982 prezydent Ronald Reagan oświadczył, że handel narkotykami stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych, co w Kolumbii przyjęto jako postawienie znaku równości między ludźmi z branży a terrorystami. Ekstradycja oznaczała więc *de facto* dożywotnie więzienie w Ameryce.

Jednym z wybitnych działaczy, który w czasie kampanii okazał wielką pomoc mojemu bratu, był doświadczony polityk Alberto Santofimio. Piastował już mandat senatora i urząd ministra, ale aspirował do prezydentury. Pamiętam wizję, jaką roztaczał przed Pablem, że jako prezydent zniesie przepisy o ekstradycji, a co więcej dawał do zrozumienia, że jeśli mój brat pomoże mu zdobyć urząd, to po zakończeniu jego kadencji

sam może zostać prezydentem. Trafiał celnie. Łechtał ambicje Pabla. Dziś łatwo stwierdzić, że taka wizja nie miała żadnych szans, ale wtedy zdawało się, że tak właśnie sprawy mogą się potoczyć. Polityka w naszym kraju zawsze była brudna, a wyborcy niejednokrotnie zapominali o zaszczytach.

W 2007 roku Santofimio stanął przed sądem i został skazany za zorganizowanie zabójstwa Luisa Galána - kandydata na prezydenta z ramienia Nowej Partii Liberalnej w wyborach w roku 1988. W czasie procesu wyszło między innymi na jaw, że Santofimio pouczał Pabla, że bez morderstwa nie zrobi kariery. To jednak zeznanie z późniejszych lat, a sam Pablo nigdy mi o tym nie mówił.

Jednym z wielkich tematów kampanii wyborczej 1982 roku były tak zwane gorące pieniądze, a więc środki przekazywane do dyspozycji polityków przez kartele narkotykowe. Różne kartele obstawiały kandydatów, którzy im sprzyjali. Nowa Partia Liberalna - ugrupowanie powstałe z rozłamu Partii Liberalnej - oskarżała Pabla i jego partnera w wyborach Jaira Ortegę, że korzystają z poparcia „mafii narkotykowej”, jak wtedy nazywano kartele. To ostatnie określenie pojawiło się dopiero kilka lat później. Właśnie wtedy Pablo po raz pierwszy został publicznie oskarżony o związki z handlem kokainą.

Media traktowały Pabla z niejaką życzliwością, nazywając go czasami „prawdziwym Robin Hoodem”. Przedstawiano go jako filantropa, człowieka, który daje pieniądze potrzebującym. Owszem, pojawiały się spekulacje na temat źródeł jego majątku, ale generalnie nie wspomniano o narkobiznesie. Zresztą ludzi mało obchodziła, skąd się wzięło bogactwo Pabla. Postrzegano go jako tego, który wyszedł z dołów, stał się równy bogaczom, ale nie zapomniał o swoich korzeniach. Za to go kochane. W dniu wyborów wynajęłam autobusy i swoich trzystu pracowników zawiozłem do punktów wyborczych, aby zagłosowali na Pabla. Co do mnie, to szczerze przyznam, że nie głosowałem na niego, w ogóle nie oddałem głosu. Uważałem, że Pablo popełnia wielki błąd, więc go nie poparłem.

Tak czy owak, Pablo wygrał w cuglach i został zastępcą deputowanego do Izby Reprezentantów w Bogocie. Towarzyszyłem mu w podróży do stolicy; ale nie zabawiłem tam długo. Musiałem wyjechać za granicę w sprawach mojej firmy rowerowej. Ale jak pamiętam, Pablo nie był szczególnie podniecony. Jak zawsze emocje trzymał na wodzy. Ale z pewnością był dumny z siebie i uważał, że zaczyna nowy etap życia.

Odwiozłem go do siedziby Kongresu, a sam udałem się na lotnisko. Nie byłem więc świadkiem awantury, jaka zaraz tam wybuchła.

Podkreślę najpierw, że Pablo nigdy nie nosił krawata. Owszem, ubierał się elegancko, nosił markowe ubrania, ale krawata nigdy. Tymczasem wedle regulaminu Kongresu posłowie muszą występować w krawatach. W tej sytuacji straż parlamentarna odmówiła mojemu bratu. prawa wejścia, co Pablo wielce rozsierdziło.

- Wszyscy w Kolumbii wiedzą, że kongresmani stroją się w drogie ubrania i krawaty, i wiedzą też, że są to sami złodzieje. Co do cholery ma krawat do pracy, jaką tu się wykonuje? - wykrzykiwał.

Obecni na miejscu sprawozdawcy radiowi natychmiast nadali wiadomość, że jednego z kongresmanów zatrzymano przy drzwiach, ponieważ nie ma krawata. O sprawie zrobiło się więc głośno. ja tymczasem utknąłem w korku i spóźniłem się na samolot. Specjalnie się tym nie zmartwiłem, wróciłem do hotelu i tam z radia i telewizji dowiedziałem się o awanturze wokół Pabla. Niestety od razu pierwszego dnia zwrócił na siebie niepotrzebna uwagę.

Sprawę załagodził jeden ze strażników.

- Panie Escobar, niech pan weźmie mój krawat - zaproponował.

Pablo skorzystał z uprzejmości i wreszcie przekroczył próg Kongresu, ale gdy tylko zajął swoje miejsce, zdjął krawat, dając wszystkim jasno do zrozumienia, że krawat nie ma znaczenia, że nie będzie go nosił, bo ta część męskiej garderoby nie ma nic wspólnego z robotą, jaką z woli wyborców ma tu do wykonania. Tak oto wyglądała inauguracja Pabla jako członka najwyższych władz państwowych.

Wkrótce potem Pablo został włączony w skład delegacji Kongresu na uroczystość zaprzysiężenia premiera Hiszpanii Felipe Gonzálesa. Brat wziął oczywiście udział w oficjalnym spotkaniu z premierem, a że ta podróż zbiegała się z początkiem naszych operacji w Europie, postarał się poznać także kilku innych wpływowych polityków i osobistości życia gospodarczego, licząc, że mogą okazać się Życzliwi. Nie popełnię większego błędu, jeśli powiem, że niektórzy z najbardziej prominentnych działaczy gospodarczych w Hiszpanii i kilku innych krajach europejskich zawdzięczają majątek mojemu bratu. Z Madrytu Pablo udał się do Monako. Miniaturowe księstwo wywarło na nim wielkie wrażenie. Kiedy kilka lat później Pablo zbudował w Medellín wspaniały nowoczesny budynek, nazwał go „Monaco”.

Zgodnie z kolumbijskim prawem prezydent ma obowiązek oddać pewną liczbę stanowisk ministerialnych przedstawicielom opozycji. I tak z wyboru prezydenta Belisaria Betancura w roku 1983 Ministerstwo Sprawiedliwości przypadło Nowym Liberałom, a ministrem został senator Rodrigo Lara Bonilla. Był jednym z najzagorzalszych przeciwników mafii narkotykowych i krytyków tak zwanych gorących pieniędzy.

W sierpniu 1983 roku, w czasie politycznej debaty na ten właśnie temat, Jairo Ortega pokazał publicznie fotokopię czeku opiewającego na milion peso, czyli blisko dwanaście tysięcy dolarów, wystawionego na rzecz sztabu wyborczego senatora Lary przez jednego z szefów gangu narkotykowego działającego w Leticii, stolicy kolumbijskiej Amazonii. O gangu z Leticii wiadomo, że przemycał pastę z Peru, a szef owego gangu odsiadywał kiedyś wyrok w Peru za przemyt. Pablo akurat go znał i paru osobom dało to pretekst do oskarżenia go o ujawnienie sprawy czeku. Nie można też wykluczyć, że cała sprawa została od początku zmanipulowana, aby rzucić oskarżenie na mojego brata. Tak czy owak, wybuchła sensacja - Lara oskarżony o branie gorących pieniędzy!

Minister oczywiście zareagował. Oskarżył i Pabla, i owego szefa gangu o udział w mafii i w ten sposób mój brat został po raz pierwszy publicznie nazwany handlarzem narkotyków. Kilka dni później, również po raz pierwszy, jedna z gazet w Bogocie ujawniła, że Pablo został w 1976 roku zatrzymany pod zarzutem przemytu trzydziestu dziewięciu kilogramów kokainy. On sam przyznał w rozmowie ze mną, że nie czuje się zaskoczony.

- Ludzie u władzy rzucają mi kłody pod nogi, bo stanowią dla nich zagrożenie. Są przeciwko mnie, bo nawykli do okradania ludzi, a ja chcę to zmienić. Wszyscy w całym Medellín wiedzą, że Zajmuję się nieruchomościami i stąd czerpię fundusze na działalność polityczną. Kocham Kolumbię, chciałbym, żeby rozkwitała. Podziwiam Stany Zjednoczone, ale nie zgadzam się, że mieszają się w nasze sprawy.

Minister Lara oświadczył w prasie, że Stany Zjednoczone postawiły Pabla w stan oskarżenia o handel narkotykami. Ale brat miał na wszystko gotową odpowiedź.

- Nieprawda - powiedział. - Nie dalej jak trzy dni temu dostałem wizę w amerykańskiej ambasadzie - zademonstrował stosowny dokument.

W kilka dni wiza została anulowana, a trzy miesiące później Lara wystąpił oficjalnie do Kongresu o pozbawienie Pabla immunitetu, co

oczywiście oznaczało możliwość ekstradycji. Pablo do Kongresu już nie wrócił, jego kariera polityczna się skończyła.

Prezydent Betancur zrazu sprzeciwiał się ekstradycji. Kwestia w ogóle budziła wiele kontrowersji. Spora część społeczeństwa podzielała zdanie Pabla i innych liderów kartelu, że nie powinniśmy pozwalać Amerykanom narzucać nam swoich praw.

Pablo zachowywał spokój. Przeczył oczywiście zarzutem Lary. Nadal podkreślał, że działa w handlu nieruchomościami. Stało się jednak to, czego my z Gustavem obawialiśmy się najbardziej: wrzawa wokół Pabla rzuciła jaskrawy snop światła na nasz biznes. Ludzie zaczęli stawiać pytania, a policja węszyć.

W rozumieniu wielu Kolumbijczyków sprawa była prosta: Pablo i inni dawali im więcej niż władza. Nawet jeśli skłonni byli uwierzyć w oskarżenia, to i tak uważali, że narkobiznes nie wyrządza im szkód, natomiast mogą ucierpieć, gdy położy się mu kres. Później, kiedy próbowaliśmy układać się z władzami, jedna z ważnych figur kartelu z Medellín jasno wyłożyła tę argumentację: „To biznes jak każdy inny. Kokaina idzie na eksport, z nie na konsumpcję wewnętrzną, zaś eksport daje pracę wielu wieśniakom, którzy nie mają innych źródeł utrzymania. Obecnie około dwustu tysięcy ludzi pracuje na plantacjach koki”.

Tak więc wniosek Lary przyjęto z mieszanymi uczuciami. Ale minister sprawiedliwości nie zaprzestawał ataków na handlarzy narkotyków. Ogłosił listę trzydziestu polityków, którzy rzekomo brali „gorące pieniądze”. Domagał się, aby Aerocivil - urząd lotnictwa cywilnego - cofnął licencję dopuszczającą do lotów trzysta awionetek użytkowanych przez szefów kartelu z Medellín. Doprowadził do aresztowania zastępcy szefa Aerocivil za sprzyjanie handlarzom. A jeszcze później ogłosił, że mafia narkotykowa kontroluje sześć spośród dziewięciu kolumbijskich zawodowych klubów piłkarskich. Nie ma wątpliwości, że kampania ministra odnosiła skutek. Nasze tajemnice stawały się własnością publiczną.

Do tamtego czasu biznes szedł gładko i rozwijał się bez problemów. Stworzyliśmy mocną infrastrukturę w Stanach Zjednoczonych. Podobnie jak w Kolumbii, tak na Florydzie i w Nowym Jorku posiadaliśmy cały szereg magazynów i mieszkań. Zwykle sadowiliśmy w nich jakieś wiekowe, niebudzące żadnych podejrzeń małżeństwo. Żyli sobie normalnie, z tym tylko, że w skrytce spoczywało trzysta, czterysta kilogramów, a czasami

nawet pół tony kokainy. Towar leżał spokojnie, aż przychodził czas na jego upłynięcie. Rynek rósł bez przerwy, więc żeby nadążyć z popytem, wchodziliśmy we współpracę z innymi kartelami, jak na przykład z kolumbijskim Pereirą bądź z „firmami” z Peru i Boliwii. Nasi pracownicy zarabiali nieprawdopodobne pieniądze. Pilot samolotu dostawał nawet trzy miliony dolarów za jeden rejs. Tito Domínguez - nasz główny przewoźnik - dysponował flotą złożoną z trzydziestu samolotów, w tym boeingiem 70z. Miał też dość egzotyczny salon samochodowy oferujący między innymi Wycenionego na sześć milionów dolarów duosenberga należącego kiedyś do Clarka Gable'a. Poza tym był właścicielem osiedla mieszkaniowego złożonego ze stu domów. Do jego osobistego majątku należały cztery wytworne lamborghini, każde w innym kolorze. Na przejażdżki dobierał je sobie do koloru koszuli. Inny znów pilot zeznał po aresztowaniu, że był właścicielem trzydziestu samochodów, trzech domów, kilku magazynów, dwunastu samolotów, a w gotowce miał milion dolarów.

Owszem, miewaliśmy problemy, ale nie wielkiego, choć oczywiście różniły się one od problemów występujących w zwykłym biznesie. Ponosiliśmy na przykład spore straty w czasie transportu. Wspomniałem już, że samoloty zrzucały towar do morza, skąd podejmowały go motorówki. Niestety niezależnie od naprawdę starannego opakowania część ładunku ulegała zawilgoceniu. Poza tym nie mogliśmy, jak w zwykłym przedsiębiorstwie, wywalać na zbity łeb pracowników dopuszczających się kradzieży. Ale Lara sprawił, pojawiły się nowe i znacznie poważniejsze problemy.

Największym sukcesem Lary było zniszczenie Tranquilandii - jednej z największych wytwórni kokainy. Należała do Gachy, ale inni z Medellín też z niej korzystali. Pracowało tam około stu osiemdziesięciu ludzi. Wytwórnie zbudowano głęboko w dżungli, czterysta kilometrów od najbliższej drogi. Jej największą zaletą było właśnie położenie na styku Kolumbii, Boliwii i Peru, i z tych właśnie krajów przywożono surowiec oraz niezbędne odczynniki chemiczne do produkcji kokainy. Gotowy towar ekspediowano samolotami. Moc produkcyjna Tranquilandii to dwadzieścia ton kokainy miesięcznie. Wartość produktu za dwa lata sięgnęła dwunastu miliardów dolarów. O tym, że takie miejsce istnieje, wiedzano powszechnie, władze też wiedziały, tylko że nikt nie potrafił go zlokalizować. Aż do marca 1984, kiedy w Tranquilandzie wylądowały dwa śmigłowce z czterdziestoma dwoma

uzbrojonymi po zęby żołnierzami. I oni dokonali dzieła zniszczenia.

Dopiero wiele lat później dowiedziałem się, jak władzom udało się namierzyć wytwórnię. Otóż jednym z komponentów niezbędnych do produkcji kokainy jest eter. Na każdy kilogram narkotyku potrzeba siedemnastu litrów eteru. Producentów eteru jest niewiele - pięć firm w Ameryce i siedem w innych krajach. Śledczy ze Stanów Zjednoczonych wspólnie z kolumbijskimi, korzystając z podsłuchów, informatorów i zdrajców, ustalili, że głównym dostawcą eteru na potrzeby kartelu jest pewna firma z Phillipsburga w stanie New Jersey. Ustalili także, że owa firma sprzedaje właśnie dziewięćdziesiąt pięć beczek eteru klientowi, którym okazał się przedstawiciel Tranquilandii w Ameryce. W największej tajemnicy w dwóch beczkach zamontowano transpondery - nadajniki radiowe umożliwiające ich lokalizację.

W marcu, kiedy Lara rozwijał swoją akcję, ustalono, że beczki z nadajnikami znajdują się na pewnej farmie. Dwa dni później sygnał wskazywał na dżunglę. I to wystarczyło, by trafić precyzyjnie na miejsce. Wytwórnię spalono, a wraz z nią spłonęło dwanaście tysięcy beczek rozmaitych chemikaliów i piętnaście ton kokainy. Był to rekord w dotychczasowej walce z narkotykami. Strata mocno zważyła na rynku. Po raz pierwszy od trzech lat ceny koki w Miami skoczyły w górę.

Do wielu działań składających się na nasz biznes Pablo mnie nie dopuszczał. Reprezentowałem go na zewnątrz, więc uznał, że lepiej będzie, jeśli o pewnych sprawach nie będę wiedział. Chronił mnie i osłaniał w ten sposób, i w rzeczy samej miał rację. Kiedy w końcu poddaliśmy się i przystaliśmy na osadzenie w więzieniu, nie było mnie o co oskarżyć. Trzeba było wymyślić przestępstwo, aby pasowało do paragrafów. Powiedziałem zresztą wtedy prokuratorom, że moją jedyną zbrodnią jest to, że w moich żyłach płynie krew Escobarów.

Tak więc teraz, kiedy przedstawiam całą i prawdziwą historię Pabla Escobara, muszę miejscami uciekać się do wiadomości poznanych, że tak powiem, z drugiej ręki. Dotyczy to także zabójstwa Lary Bonilli.

Tam, gdzie są wielkie pieniądze, zawsze pojawiają się tacy, którzy chcieliby uszczknąć coś dla siebie. Kolumbii mieliśmy do czynienia nie tylko z normalną, ludzką pazernością, ale także musieliśmy się strzec przed porywaczami. Od początku trzeba było więc wynająć ludzi do ochrony i osób, i pieniędzy. W imię bezpieczeństwa mieli czynić wszystko, co

konieczne, a dobieraliśmy takich, którzy nie wahali się przed użyciem przemocy. I stąd tacy ludzie jak Chopo, Arete, El Mugre, La Yuca, La Kika i jego brat Tyson, który ten akurat przydomek wybrał sobie na cześć znanego amerykańskiego boksera. Z przykrością, ale szczerze powiem, że nie mieliśmy żadnych trudności z werbowaniem młodych ludzi do tych właśnie zadań. Wręcz ubiegali się o taką pracę. Dosadnie opisał to Lew: „Byli to przede wszystkim biedacy z Medellín. Werbunek był łatwy, bo przecież nie mieli nic do stracenia. Bo czego masz żałować, gdy kieszeń pusta, rodzina bez grosza, siostra w ciąży, ojca nie znasz, a do garnka nie ma co włożyć. I oto obiecuję, że od jutra młody człowiek będzie miał motocykl, będzie miał pieniądze, że będzie go stać na przyzwoite mieszkanie, tylko że dziś musi coś dla mnie zrobić. Nikt nie powie «nie». Przeciwnie, powie: «OK, szefie!»,,

Kto żyje w nędzy w Kolumbii, Peru albo jeszcze gdzie indziej w naszej części świata, ten niema dzieciństwa. Albo przeżyjesz, albo nie i tyle. Mężczyźni, a i młodzi chłopcy, bo i ci pracowali w ochronie naszej organizacji, zyskali później miano *sicarios* - zabójców. W mafii mówi się *hit men*, co w istocie znaczy to samo. Byli wśród nich nawet bardzo młodzi. Wielu nie dożyło starości. W biednych regionach Kolumbii pistolet w rękę jedenastolatka nie jest niezwykłością. O broń u nas łatwo. Nawet o maszynową.

Nie tylko Pablo zatrudniał owych młodych wilków. Wszystkie organizacje potrzebowały ochrony. Tak długo, jak porachunki załatwiano wewnątrz i w ramach branży, policja nie interweniowała. A zresztą dostawała za to swoją dolę. W Medellín było to czterysta tysięcy dolarów miesięcznie tytułem wynagrodzenia za życzliwość i osłonę.

W czasie procesu La Kiki w Stanach Zjednoczonych jeden z młodych *sicarios* opowiedział, jak znalazł się w świecie narkotyków: „Pracowałem w warsztacie samochodowym, zarabiając trzysta peso, czyli jednego dolara tygodniowo. Rzuciłem więc tę fuchę i zacząłem chodzić do El Baliska - to taki salon gier, gdzie bywali osiłkowie z Antioquian”. No i jeden z nich zlecił młodemu człowiekowi wyśledzenie pewnego rewolwerowca, który zdradził organizację. Dał mu za to trzysta dolarów. Młodzieniec rzeczywiście namierzył zdrajcę i zawiadomił La Kikę. „Ten powiedział mi, że trzeba z nim skończyć” - zeznawał dalej młody człowiek. „Więc wyszukałem sobie dwóch odpowiednich chłopaków, o których wiedziałem, że nie będą się wahać. Byli to Tribi i Paleo. Mieli po trzynaście, czternaście lat. Powiedziałem im, co i

jak, i poszli. Sam poczekałem przecznicę dalej. Kiedy usłyszałem strzał, poszedłem sprawdzić. Zdrajca leżał na podłodze. Dostałem za to półtora miliona peso. Pół miliona, czyli jakieś trzy, cztery tysiące dolarów, zatrzymałem dla siebie, a chłopakom dałem milion”.

Wokół Pabla zawsze kręciło się mnóstwo chłopaków gotowych zrobić, co im każe. Kiedy brat mówił, że coś trzeba wykonać, nikt nie zadawał pytań, tylko ruszał do roboty. Wobec mnie Pablo nigdy słowa nie powiedział o zabójstwie Lary Bonilli. A ja też wolałem nie wiedzieć. Nadal mieszkalem z rodziną w Manizales i nie codziennie widywałem brata. Ale z mordowanie ministra Lary zmieniło życie całego społeczeństwa Kolumbii. Krąży wiele opowieści, jak to się stało. W czasie procesu Alberta Santofimia w 2007 roku jeden ze świadków twierdził, że Santofimio brał udział w planowaniu zamachu.

A doszło do niego w nocy 30 marca 1984 roku. Kilka tygodni wcześniej głośno było o groźbach adresowanych do ministra, żeby dni sobie spokoj. Miał naprawdę wielu wrogów. W imię jego własnego bezpieczeństwa tego właśnie dnia, 30 marca rano, mianowano go na ambasadora Kolumbii w Czechosłowacji. Miał więc wkrótce wyjechać z całą rodziną.

Tymczasem w naszym kraju zaistniała i upowszechniała się nowa metoda skrytobójczych zamachów. Rychło zyskała nazwę *parrillero*. Polegała zaś na tym, że zamachu dokonywano z pędzącego motocykla. Pasażer uzbrojony w karabin maszynowy ostrzeliwał całą serią ofiarę podróżującą samochodem. Obowiązkowe kaski ochronne zapewniały zamachowcom pełną anonimowość. Metoda ta - jak powiadam - stała się tak powszechna, że władze zakazały motocyklistom używania kasków, aby w ten sposób ułatwić i umożliwić ewentualną identyfikację zabójców. Zakaz niewiele zmienił. Nikt nie chciał świadczyć przeciwko zabójcom z kartelu.

I właśnie w taki sposób, z pędzącego motocykla, zabito Larę. Miał co prawda kamizelkę kuloodporną, ale jej nie włożył, leżała na siedzeniu w aucie. Śmierć ministra sprawiedliwości pociągnęła za sobą tysiące innych ofiar.

W hołdzie dla Lary Bonilli prezydent Betancur podpisał pierwsze wnioski o ekstradycję. I tak oto Kolumbijczycy mieli być wydani amerykańskiemu wymiarowi sprawiedliwości. Na pierwszym miejscu na liście widniało nazwisko Carlosa Lehdera, który tymczasem przebywał w ukryciu. Wiem, że powinienem pamiętać każde zdarzenie, każdy szczegół z tamtych dni. Ale

było zbyt wiele momentów, z których każdy ważył na naszym życiu, i detale umknęły mi z pamięci. Zapamiętałem jakieś strzępy zdarzeń. Pamiętam jednak, że kiedy dowiedziałem się o zabójstwie Lary, czułem, że fundament, na którym wspiera się nasze życie, jął pękać. Miałem wrażenie, że coś się niechybnie stanie, choć jeszcze nie wiedziałem co.

Czwartego maja 1984 roku o szóstej rano wyszedłem z domu i udałem się do hotelu Arizona stanowiącego moją własność. Żona Dora i synek José Roberto zostali pod opieką Hernána Garcíi. Miał on odwieźć synka do przedszkola. Hotel Arizona wybudowałem z legalnych dochodów z firmy rowerowej. Był nowoczesny, oferował apartamenty z pełną kuchnią, telewizją kablową podłączoną do amerykańskiej sieci, wielkimi łózkami (do niektórych apartamentów wstawiłem nawet łóżka wodne) i mnóstwem luster. Zatrzymywali się w nim toreadorzy amatorzy zjeżdżający na doroczny karnawał - Feria de Manizales - odbywający się na początku stycznia. Korzystali z nich bogaci klienci, a czasami nawet drogie, luksusowe prostytutki. Hotel cieszył się powodzeniem, a ja dokładałem starań, by przynosił należyty zysk.

Docierały do nas pogłoski, że władze uważają, iż Pablo był wmieszany w sprawę zabójstwa Lary, tymczasem jednak nic wokół nas się nie działo. Aż do siódmej rano tego feralnego dnia. Właśnie o siódmej do mojego domu załomotała policja. Chcieli przeprowadzić przeszukanie, ale nie mieli stosownej decyzji prokuratora. Kiedy żona poprosiła o okazanie dokumentu, zaarrestowali ją. Wdarli się do domu i zrobili kipisz. Gdy czteroletni synek zaczął płakać, jeden z policjantów uderzył go tak mocno, że niemal złamał mu nos. Hernán García błagał, żeby dać dziecku spokój. Powiedzieli, żeby się nie wtrącał, i też go pobili.

Szukali broni i narkotyków, czegokolwiek, co wskazywałoby na moje związki z narkobiznesem. Niczego oczywiście nie znaleźli, więc podrzucili parę sztuk broni, a także mundur wojskowy i zrobili zdjęcia. Rychło ukazały się w gazetach z podpisem, że współdziałałem z partyzantami, dostarczając im umundurowanie i broń, co oczywiście nie miało nic wspólnego z prawdą.

Podczas przeszukania ukradli mi kilka obrazów pędzla kolumbijskich i latynoamerykańskich twórców. Żonę, jak powiadam, zaarrestowali i zabrali ze sobą na komendę.

Jednocześnie inne grupy operacyjne zajęły pod hotel Arizona i dom Gustava w Medellín. Była to skoordynowana akcja. Kiedy zobaczyłem

nadchodzących policjantów, zadzwoniłem do żony. Nie odpowiadała, zrozumiałem więc, że dzieje się coś złego, i uciekłem z hotelu tylnym wyjściem. Policja tymczasem wdarła się do środka i zaczęła wygarniać gości, budząc ich ze snu albo przerywając upojne chwile w damskim towarzystwie. Przy wtórze krzyków i szlochów wszystkich wygnali na ulicę, nie pozwalając nawet nic włożyć na siebie. I znów zaczęli szukać narkotyków i broni, czegokolwiek, co mogło świadczyć o moim udziale w narkobiznesie. Oczywiście nic nie znaleźli, bo niczego takiego w hotelu nie było.

Na koniec hotel zapieczętowano. Stał pusty przez cały następny rok.

Nie popełniłem żadnego przestępstwa, a jednak szukano mnie z uporem godnym lepszej sprawy. Sprawdzone nawet fabrykę rowerów. U Gustava było podobnie. Porobili fałszywe zdjęcia jak u mnie, zatrzymali żonę. Gustavo zdołał jednak zbiec. Obie nasze małżonki osadzone w areszcie.

Z hotelu przedostałem się na swoją farmę pod Medellín. Sądziłem, że tam będę bezpieczny i w miarę spokojnie zastanowię się, co robić dalej. Rychło jednak i tam zjawiała się policja. I znów udało mi się uciec. Na dętcie samochodowej spłynąłem rzeką do domu pewnego znajomego. Stamtąd zadzwoniłem w parę miejsc, żeby zorientować się w sytuacji. Żona za kratami, synek pobity. Nigdy już nie zaufam policji. Znajomy użyczył mi auta, pojechałem do Medellín skontaktować się z Pabłem. Gustavo też się zjawił. Byłem roztrzęsiony.

- Nie rozumiem, co się dzieje. Trzeba natychmiast wyciągnąć moją żonę z pudła. A w ogóle co z nami będzie?! - wykrzyczałem.

Pablo jak zawsze zachowywał spokój.

- W porządku - zaczął. - Wy obaj musicie zniknąć. Jedźcie na farmę, a ja zobaczę, co się da zrobić.

O farmie, o której wspomniał Pablo, wiedziało niewiele osób. Znajdowała się niedaleko za miastem. Pablo kupił ją właśnie z myślą o takiej awaryjnej sytuacji jak teraz. Uważał, że to niezła kryjówka. No i przedostaliśmy się tam z Gustavem. Naturalnie powinniśmy dochować wszelkich środków ostrożności. ale też obaj martwiliśmy się o rodziny i rozpaczliwie staraliśmy się czegoś dowiedzieć. Gustavo postanowił zadzwonić do zaufanego adwokata, licząc na pomoc w wydostaniu żony z aresztu.

- Nie rób tego - ostrzegałem go. - Nikt nie wie o tym miejscu i lepiej, żeby nie wiedział. A poza tym trzeba dać trochę czasu Pablowi.

Gustavo jednak uparł się, że zadzwoni. Podał adwokatowi namiary na naszą kryjówkę. A ten po dłuższej rozmowie obiecał tylko, że zbada sprawę i skontaktuje się z nami nazajutrz.

Tej nocy znów objawił mi się mały ksiądz. Uprzedził, że grozi mi niebezpieczeństwo. Rankiem powiedziałem Gustavowi, że strzeliliśmy głupstwo z tym telefonem do adwokata.

- Nie mam do tego faceta zaufania. Czuję, że dobiorą się tu do nas.

I rzeczywiście kilka godzin później jeden z ochroniarzy wpadł do mnie do pokoju z wieścią, że właśnie dostał telefon z miasta, że policja i wojsko zmierzają w naszym kierunku.

- A nie mówiłem - powiedziałem do Gustava. - Trzeba się stąd wynosić.

W pobliżu farmy biegi burzowiec odprowadzający ścieki z miasta - wielka rura, w której, owszem, można było dość swobodnie stanąć, ale pełna nieczystości. innej drogi ucieczki nie mieliśmy. Miałem na sobie szorty, Gustavo dzinsy, ale byliśmy boso. wiedzieliśmy, że miejskie kanały to siedlisko szczurów. Żadnego na szczęście nie dostrzegliśmy. Szliśmy dość długo. I właśnie w kanałach pod Medellín dobiegło kresu moje dawne życie, życie mistrza kolarskiego *El Osito*.

Wreszcie dotarliśmy do miasta i wychynęliśmy na ulicę. Wiedzieliśmy, że policja nas szuka, ale oblepieni błotem i nieczystościami czuliśmy się względnie bezpiecznie. Nikt nas przecież nie mógł rozpoznać i nikt by nie chciał - śmierdzieliśmy na kilometr. Rozpaczliwie potrzebowaliśmy pomocy. Postanowiłem, że udamy się do domu jednego z moich zaufanych pracowników.

- Słuchaj - szepnąłem do Gustava - będziemy udawać wariatów.

Z wariatem, a w dodatku tak brudnym jak my, nikt nie chce mieć do czynienia. Na wszelki wypadek zerwałem parę gałązek z drzewa, żeby jeszcze bardziej wyglądać na szaleńca. Udało się.

- Ty, wariat, zjeżdżaj z drogi - krzyczeli na nas ludzie.

Gdy zapukaliśmy do drzwi mojego pracownika, ten zrazu chciał nas przepędzić. Dopiero gdy mnie rozpoznał, zaprosił nas do środka. Najpierw wzięliśmy prysznic. Nigdy w życiu strumień wody nie sprawił mi takiej radości. Dał nam także coś do ubrania. Pierwszy raz w całym swoim życiu byłem zbiegiem, kryłem się przed policją. Dziwne to uczucie, wszelako z upływem kolejnych lat zdążyłem się przyzwycząić.

Oczywiście stało przed nami pytanie, co dalej. Nie wiedziałem, co policja

ustaliła w sprawie zabójstwa Lary, wiedziałem jednak, że spreparowali dowody przeciwko mnie, i mogłem zakładać, że będą chcieli mnie wmieszać w tę sprawę. Osobiście nie ponosiłem żadnej winy, nie wiedziałem jednak, jaką rolę w zamachu mógł odegrać Pablo. Kiedy się z nim skontaktowaliśmy, powiedział, że cała rodzina musi jak najszybciej wyjechać z kraju. Dodał, że wspólnicy w interesach też podjęli taką decyzję i pojedą z nami. Również niektórzy szefowie kartelu postanowili wyjechać za granicę. Mamy się dostać do Panamy. Pablo napomknął, że zawarto już układ z jednym z panamskich wpływowych generałów. Każda z grup zapłaci milion dolarów za prawo pobytu w Panamie. W sumie ów generał dostanie pięć milionów.

Pablo pojechał do Panamy przed nami, żeby wszystko sprawdzić i urządzić. My tymczasem pozostawaliśmy w ukryciu na terenie Kolumbii. Prawnicy starali się u zwolnienie małżonek z aresztu. Moja spędziła za kratami długie piętnaście dni. Traktowano ją fatalnie. Trzymali o głodzie, nie pozwalali na zmianę ubrania, znęcali się nad nią jak tylko mogli, choć przecież nie mieli żadnego powodu. Nie popełniła żadnego wykroczenia.

Wreszcie Pablo dał znać, że wszystko gotowe i mamy szykować się do podróży. Ja miałem zaopiekować się ciężarną Marią Victorią. Umówiony śmigłowiec spóźnił się. Zaczęliśmy się lękać, że stało się coś niedobrego. Baczenie rozglądałem się wokół lądowiska, czy nie nadchodzi policja. Maria Victoria czuła się słabo. Wreszcie śmigłowiec nadleciał. Wdrapaliśmy się na pokład. Po raz pierwszy od dłuższego czasu odetchnęliśmy z ulgą.

Tylko że za chwilę silniki zaczęły się krztusić.

- Mamy awarię. Trzymajcie się! - zawołał pilot.

Maszyna zaczęła gwałtownie opadać, kręcąc się wokół osi. Myśleliśmy, że to koniec, ale jednak wylądowaliśmy bezpiecznie niedaleko małego miasteczka w Chocó. Nie chcieliśmy wierzyć własnemu szczęściu. W ciągu kilku godzin nadleciał drugi śmigłowiec i rychło znaleźliśmy się w Panamie.

Życie, jakie do tej pory prowadziliśmy, skończyło się. Cała Kolumbia wiedziała już o istnieniu kartelu z Medellín. Pabla i pozostałych szefów obciążano odpowiedzialnością za śmierć Lary. Stany Zjednoczone wywierały ogromną presję na władze Kolumbii, aby postawiły tamę rzece narkotyków płynącej do Ameryki. A w Ameryce handlarzem numer jeden obwołano Pabla. Narkotyki miały jego twarz. I w Ameryce, i w Europie oskarżano go o wywołanie epidemii kokainowej, jakby to on i tylko on przemycał wszystkie docierające tam narkotyki.

Tymczasem osiedliśmy w Panamie. Nie miałem pojęcia, na jak długo i co będzie dalej, dokąd znowu pojedziemy. Pieniądze nie stanowiły problemu. Pablo rozpoczął tajne negocjacje z władzami Kolumbii w sprawie naszego powrotu bez groźby ekstradycji.

Byliśmy zbiegami i tak już będzie przez następne siedem lat, a Pablo, mój ukochany brat, stawał się oto największym i otoczonym największą legendą *desperado* na świecie.

W Panamie żyło nam się całkiem przyjemnie. Przebywaliśmy tam za wiedzą i zgodą generała Manuela Noriegi. Zamieszkaliśmy w budynku należącym do pewnego wysoko postawionego funkcjonariusza państwowego. Tuż obok znajdowało się pole golfowe, a w ogóle to rezydowaliśmy jakby w hotelu. Dano nam do dyspozycji auta i dbano o wszystkie potrzeby. Poza czekaniem na wynik tajnych rozmów w sprawie zmiany w prawie o ekstradycji nie mieliśmy nic do roboty. Zabijaliśmy więc czas na boisku, w siłowni i na basenie. Dość często wyprawialiśmy się na posiłki do klubu golfowego. Brano nas tam za bogatych przedsiębiorców z Kolumbii. Nikt bowiem nie miał najmniejszego pojęcia, że w istocie jesteśmy najbardziej poszukiwanymi zbiegami na całym świecie.

Pamiętam, że Pablo codziennie rano zapamiętale robił pompki, a Gustavo w jaskrawym dresie próbował ćwiczyć z cygarem w ustach. Popołudniami grywał w tenisa z Carlosem Lehderem, a w wolnych chwilach namiętnie czytał gazety. Co do mnie, to sporo jeździłem na rowerze, co pozwalało zachować formę i nie myśleć o kłopotach. Mieszkaliśmy - jak wspomniałem - przy polu golfowym, w golfa nie grywaliśmy, ale rankami lub popołudniami, gdy pole pustoszało, graliśmy w piłkę.

Po pewnym czasie Pablo i ja wynajęliśmy osobne domy. Panama robiła sympatyczne wrażenie, spytałem więc Pabla, czy nie powinniśmy kupić czegoś na własność.

- Nie, nie dowierzam Noriedze. Gdyby coś, zaraz przejąłby naszą własność. Lepiej więc wynajmować - odpowiedział.

A tymczasem z kilkoma współpracownikami Pablo odbywał spotkania z przedstawicielami władz naszego kraju, poszukując możliwości bezpiecznego powrotu do Kolumbii. Rozmowy toczyły się w pełnej tajemnicy. Rząd Betancura nie chciał ujawniać, że negocjuje z handlarzami narkotyków. W zamian za amnestię i anulowanie przepisów o ekstradycji Pablo ze współnikami obiecywał wiele: po pierwsze likwidację narkotykowego interesu, po wtóre pomoc na rzecz rozwoju alternatywnych upraw w miejsce marihuany i kokainy, i po trzecie wreszcie - spłatę kolumbijskiego długu publicznego. Nie pamiętam dokładnych liczb, ale

chodziło o sumę rzędu dziewięciu miliardów dolarów Zebranie stosownej kwoty byłoby trudne, ale nie niemożliwe. W umowie musiałyby naturalnie uczestniczyć wszystkie kartele. Nikt o tym głośno nie mówił, ale było oczywiste, że jeśli do porozumienia nie dojdzie, kartel przystąpi do wojny.

Czy Pablo wycofałby się z biznesu? Osobiście sędzę, że tak. Miał tyle pieniędzy, że starczyłoby mu do końca życia, a układ zapewniłby mu spokój i wolność. Nigdy jednak nie dowiemy się, jak byłoby w rzeczywistości. Kiedy bowiem zwolennicy Lary Bonilli dowiedzieli się o rozmowach, zażądali ich przerwania w imię szacunku dla nieżyjącego ministra sprawiedliwości. Przez chwilę łudziliśmy się nadzieją na powrót do domu i normalnego życia. Zerwanie rozmów nadzieje te jednak przekreśliło, i to na zawsze.

Aby zabezpieczyć się przed niespodziankami ze strony władz Panamy, Pablo opłacał paru pułkowników ze sztabu generalnego. Donosili nam o każdym ruchu, jaki Noriega zamierzał uczynić. I właśnie dzięki jednemu z pułkowników informatorów Pablo ustalił, że Noriega planuje rozmowy z Amerykanami, a ściślej z DEA.

- Amerykanie mają Noriegę na widelcu - wyjaśniał nam ów pułkownik. - Układ polega na tym, że jeśli was wyda, dadzą mu spokój.

I pewnie żeby się wykazać wobec Amerykanów, Noriega nakazał swoim podwładnym przejęcie szesnastu tysięcy beczek eteru. Transport miał dotrzeć do nowej wytwórni kokainy budowanej właśnie w Panamie, za wiedzą Noriega, przez Pabla i jego wspólników.

Pablo zdawał sobie sprawę, że w Panamie mamy związane ręce. W największej tajemnicy dał więc sygnał do wyjazdu. Wyjechać mieliśmy wszyscy, i to natychmiast. Pablo zorganizował samoloty i śmigłowce. Część rodziny wróciła do Medellín, inni wyjechali do Europy, a my wylądowaliśmy w Nikaragui.

W rzeczy samej nie mieliśmy większego wyboru, niewiele bowiem miejsc w świecie zapewniało nam jakie takie bezpieczeństwo. Koniec końców zwróciliśmy się o azyl do sandinistów i osiedliśmy w Nikaragui na pewien czas. Pablo wwiózł ze sobą tysiąc sto kilogramów kokainy, a tę stosunkowo łatwo dało się wymieniać na gotówkę.

Część przyjaciół Pabla wyemigrowała do Brazylii. inni do Hiszpanii. Z kierownictwa kartelu większość poszła swoją drogą.

Trudno pisać, jakie myśli kłębiły mi się wtedy w głowie. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej mogłem podróżować po całej Kolumbii, wszędzie witano

mnie z szacunkiem jako znanego sportowca i przedsiębiorcę, a teraz nie mógłbym nawet wyjść na ulicę z obawy przed zatrzymaniem. Zmuszono mnie do ucieczki. Polowano na mnie jak na zwierzynę, a myśl o tym, że nic nie mogę zrobić, raniła mi duszę. Jeszcze więcej bólu sprawiała mi świadomość, że rodzina też cierpi, a ja nie jestem w stanie jej ulżyć. Nie popełniłem żadnego przestępstwa, jednak ścigano mnie, zrobiono ze mnie zbiega, prześladowano tylko za to, że jestem bratem Pabla Escobara. A tymczasem zdani byliśmy na jego pomysłowość. Liczyliśmy, że Pablo znajdzie jakieś rozwiązanie.

Rząd Betancura zaczął wdrażać przepisy o ekstradycji. Jednym z pierwszych czterech Kolumbijczyków wydanych Amerykanom był Hernán Botero Moreno, właściciel klubu Nacional, najpopularniejszej drużyny piłkarskiej w Medellín. Pochodził z bogatej rodziny właścicieli wielkiego hotelu. Oskarżono go o wypranie pięćdziesięciu siedmiu milionów dolarów pochodzących z handlu narkotykami. Aresztowano go w istocie z pogwałceniem prawa, ówczesne bowiem żadne przepisy nie ograniczały transferu pieniędzy. Botero do końca nie wierzył, że zostanie wydany Amerykanom, bo przecież w świetle kolumbijskiego prawa nie popełnił żadnego wykroczenia, nie mówiąc już o przestępstwie. Jednocześnie z ekstradycją Botera ogłoszono, że także Carlos Lehder zostanie wydany, gdy dostanie się w ręce wymiaru sprawiedliwości. Dowiedzieliśmy się również, że policja szykuje dowody przeciwko mojemu bratu, aby przygotować również i jego ekstradycję.

W Nikaragui Pablo starał się na nowo zorganizować biznes. Tysiąc sto kilogramów kokainy, jakie wwiózł ze sobą, podzielił na dwie części, obie przygotował do przerzutu do Stanów. Pierwszy ładunek sześciuset kilogramów miał przewieźć Barry Seal - pilot pracujący wcześniej dla innych dilerów. Miał doświadczenie. Wykonał setki rejsów, przerzucając towar o łącznej wartości od trzech do sześciu miliardów dolarów. Tym razem jednak ładunek został skonfiskowany na Florydzie, co więcej, okazało się, że Seal to były funkcjonariusz CIA i że współpracuje z DEA. Przesłuchującym miał okazać dość niewyraźne fotografie przedstawiające rzekomo mojego brata i kogoś tam jeszcze podczas załadunku towaru do samolotu. Prezydent Reagan zademonstrował później te zdjęcia w telewizji jako dowód, że Pablo Escobar śle narkotyki do Stanów Zjednoczonych z terenu Ameryki Środkowej. Pablo głośno zaprzeczał, twierdząc, że co jak co, ale nigdy osobiście nie zajmował

się załadowywaniem towaru.

Mama ogromnie bolała nad faktem, że jej syn został obwołany królem narkotyków. Zwierzyła mi się, że kiedy usłyszała, że Pablo jest na liście „najbardziej poszukiwanych”, chciała pożegnać się z życiem. Pablo starał się jak mógł, żeby ją uspokoić.

- Nie trzeba wierzyć we wszystko, co pokazują w telewizji - przekonywał. - Nie jestem aniołem, ale też nie jestem szatanem. Muszę się bronić, muszę walczyć. To oni ze mnie zrobili diabła. Ja pomagałem tylko ludziom, a zrobiono ze mnie przestępcę.

Jest wielce prawdopodobne, że cała ta nikaraguańska historia przeciekła do prasy za sprawą pułkownika Olivera Northa - sztabowca w Białym Domu, organizatora tak zwanej afery Iran-Contras. W nielegalny sposób zbroił on nikaraguańskich partyzantów w nadziei, że obalą sandinistowski rząd. Afera z nami w roli głównej była mu bardzo na rękę, nie mówiąc już o tym, że Amerykanom posłużyła jako żelazny dowód, że Pablo Escobar szmugluje narkotyki. W efekcie Amerykanie zażądali ekstradycji mojego brata oraz Gachy. Barry Seal tymczasem miał wystąpić w roli świadka koronnego w procesie przeciwko jednemu z przyjaciół Fabia. Proces miał się rozpocząć, gdy tylko ów przyjaciel znajdzie się na terytorium Stanów Zjednoczonych. Do tego czasu pozostawał w zawieszeniu. Dwa lata później rzecz przybrała jeszcze inny obrót. Otóż Barry Seal został zamordowany. Zabójstwa dokonano w Baton Rouge w Luizjanie. odpowiedzialnością z miejsca obarczono Pabla i kartel z Medellín. Prasa oczywiście pisała o tym na czołówkach, a politycy zacierali ręce. Tylko że jeszcze później okazało się, że zabójstwa dokonali jacyś trzej Kolumbijczycy. W czasie przesłuchania zeznali, że najął ich pewien oficer, chyba w randze pułkownika. Tak czy owak, zostali uznani za winnych i skazani.

Koniec końców Pablo uznał, że powinien wrócić do Kolumbii, bo tam będzie dlań najbezpieczniej, a w każdym razie w kraju będzie miał pełną kontrolę nad otoczeniem. Mógł tak postąpić, jako że wrzawa wokół jego osoby nieco przycichła, co oczywiście nie znaczy, że powrót miał mieć - że tak powiem - charakter oficjalny. Niemniej Pablo uważał, że jakiś układ z władzami jest nadal możliwy.

- Jadę do domu. Przygotuję grunt przed powrotem was wszystkich - zapowiedział. k ja zaś przeniosłem się na krótko do Brazylii, a później wylądowaniem w Madrycie, gdzie prowadziliśmy biznes. Przebywałem tam

w towarzystwie jednego z szefów naszego kartelu. Jednak rychło po przybyciu do Hiszpanii zaczęły mnie ogarniać złe przeczucia. Coś znowu zaczęło mnie ostrzegać, żebym uważał. Miałem wrażenie, że stale ciągnie się za mną ogon. Co więcej, żona też odnosiła wrażenie, że ktoś ją śledzi, nawet na zakupach. Wiedziałem także, że w Madrycie przebywają szefowie kartelu z Cali. W tej sytuacji postanowiłem wyjechać do domu.

- Wiesz - uprzedziłem żonę - kręcą się tu tacy różni. Trzeba mi wyjechać do siebie, do kraju.

Szczerze powiem, że nawet mnie samego zdumiewało, jak ojczyzna zapadła mi w serce. Kolumbia jest piękna i bez względu na grożące mi niebezpieczeństwa zapragnąłem wrócić. Rodzinie kazałem zostać w Hiszpanii do czasu, aż sytuacja się wyklaruje. Sam udałem się w podróż.

Jej ostatni etap to przelot śmigłowcem na farmę zwaną Círculo - Okrąg. Wylądowałem o piątej po południu, akurat wtedy, gdy Pablo rozpoczął konferencję z najważniejszymi ludźmi z branży. Na spotkanie przybyło wiele prominentnych osobistości, wśród nich prezesi oraz właściciele znanych kolumbijskich klubów piłkarskich, nawet księża. W sumie ponad siedemdziesiąt osób w obstawie złożonej z co najmniej dwustu ochroniarzy „ze wszystkimi zabawkami” - jak powiadamy w Kolumbii. Zabawki to oczywiście broń i możecie mi wierzyć, że owych zabawek było całe multum, do wyboru, do koloru. Przed „szczytem” Pablo załatwił z policją, że dadzą znać, gdyby się na coś zanosilo. Mógł więc udzielić gościom pełnych gwarancji bezpieczeństwa.

Brat starał się znaleźć jakieś pokojowe wyjście z sytuacji, jaka się wytworzyła po ekstradycji Botera. Na tym właśnie spotkaniu wypowiedział słynne później słowa, że „woli spocząć w grobie w Kolumbii, niż wylądować w amerykańskim więzieniu”.

„Panowie! Ustawa o ekstradycji nie dotyczy wyłącznie mojej osoby, dotyczy nas wszystkich. Wspólnie więc musimy położyć jej kres” - powiedział i przedstawił następujący plan działania: po pierwsze - kluby piłkarskie ogłoszą strajk. Odmówią udziału w rozgrywkach ligowych do czasu anulowania ustawy o ekstradycji. Społeczeństwo pozbawione ulubionej rozrywki zacznie się burzyć i wymusi na władzy wycofanie ustawy. Po wtóre - wedle Pabla - trzeba stworzyć wspólne siły bezpieczeństwa złożone z *sicarios*. On sam miał oczywiście swoją gwardię przyboczną, chciał wszelako stworzyć wspólnymi siłami coś większego, co czuwać będzie nad

całym Medellín. Miasto podzieli się na cztery do sześciu stref. Każdą z nich kontrolować będzie osobna grupa. W ten sposób ludziom z branży zapewni się należyta ochronę przed ewentualną ekstradycją.

Niestety tylko niewielka część zebranych zechciała z miejsca poprzeć plan. Większość oświadczyła, że musi się zastanowić. W tamtych dniach i miesiącach tylko Pablo i kilku innych kolegów z branży zostało publicznie oskarżonych. Większość zebranych uważała więc - mylnie, co oczywiste - że problem dotyczy wyłącznie mojego brata, oni zaś będą sobie spokojnie funkcjonować nadal. Myślenie nader egoistyczne. Zebrani rozjechali się po kilku godzinach, a ja wreszcie mogłem odetchnąć z ulgą w swoim własnym kraju. Nie na długo, jak się rychło okazało. Tuż po północy na farmę zjechał mercedes. Do drzwi zapukała elegancko ubrana kobieta.

- Kwiaty dla doktora Hernándezza - oznajmiła.

Nazwisko nic nam nie mówiło. Nie znaleźliśmy żadnego doktora Hernándezza.

- Musiała pani pomylić adres - odprawiłem ją.

Przeprosiła i odjechała, a ja poczułem, że coś tu jest nie tak.

- Dziwne. Nigdy nie widziałem posłańca w mercedesie - mruknąłem do Pabla.

Pablo uznał, że po podróży zrobiłem się nerwowy i przesadzam.

- Może to samochód właściciela firmy.

- Niemożliwe. Z miasta jest kawał drogi. Coś mi śmierdzi.

Pablo machnął ręką, ja jednak uprzedziłem ochronę. Poleciałem, że gdyby coś, niech dadzą strzał w powietrze.

Tymczasem usiedliśmy z Pablem przy kawie i ciastkach i przegadaliśmy parę godzin. Mieliśmy sobie sporo do opowiedzenia o tym, co działo się w ciągu ostatnich tygodni.

O drugiej nad ranem rozległy się strzały.

- A nie mówiłem! Musimy się zwijać! - wykrzyknąłem.

Zbiegliśmy przez tylną bramę. Pędziliśmy na łeb na szyję. Dołączyło do nas kilku ochroniarzy. Farmę zaatakowało wojsko albo policja. Znaleźliśmy się pod ostrzałem. Jakaś kula trafiła w kamienny murek tuż obok mnie. Dostałem odpryskiem w twarz. Zacząłem mocno krwawić. Bałem się, że koniec ze mną, że rana jest śmiertelna, ale jakoś biegiem dalej. Kolejna kula musnęła mnie w nogę. Zrobiło się zamieszanie. W ciemnościach rozlegały się jakieś krzyki. Rozglądałem się za Pablem, ale nie mogłem go znaleźć.

Zobaczyłem go dopiero po chwili. Szedł jak to on - z całym spokojem.

- Pozabijacie się, chłopcy, miotając się tak w ciemności - rzekł.

Nie posiadałem się ze zdumienia, że jest aż tak spokojny.

A niektórzy ochroniarze, którzy do nas dołączyli, byli wręcz półnady. Strzelanina wyrwała ich ze snu.

Udało nam się dotrzeć do drogi w pobliżu cmentarza. I mieliśmy szczęście. jeden z naszych ludzi był tam odwiedzić groby i właśnie wracał samochodem. Załadowaliśmy się z Pablem i Gustavem. Reszta naszych ukryła się w lesie, ale niestety ośmiu zatrzymano. Moje rany okazały się powierzchowne. Wystarczył plaster.

Byłem zszokowany tym, co się stało. Uważałem, że doszło do poważnej eskalacji. jako księgowy nie miałem do czynienia z aktami przemocy, a tu znalazłem się pod ostrzałem. Owszem, zdawałem sobie sprawę z ryzyka, wiedziałem, że w naszej branży gra się o wysoką stawkę, ale po raz pierwszy dane mi było poczuć. że chodzi o stawkę najwyższą. Tu już nie idzie o ucieczkę z kraju, o zejście do podziemia, gra toczy się o życie.

Nasuwało się pytanie, jak nas namierzono? Przecież Pablo posmarował, gdzie trzeba, żeby zapewnić nam bezpieczeństwo. Zawsze kiedy coś poszło nie tak, brat domagał się wyjaśnień. Dwa tygodnie później dowiedzieliśmy się, że jeden z uczestników spotkania. człowiek z Cali, zaraz po wyjeździe z okręgu zadzwonił do władz. Uważał, że w zamian za donos - informację o Pablo - zyska gwarancję, że nigdy nie będzie podlegał ekstradycji. Brat dowiedział się także, że atakiem na farmę dowodził pułkownik Casadiego Torrado, którego uważał za przyjaciela i któremu płacił pensję w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów miesięcznie za „życzliwość i wiadomości”. Niewykluczone, iż pułkownik doszedł do wniosku, że jeśli dostarczy Pabla żywego lub martwego, otworzy się przed nim wielka kariera. I rzeczywiście, po jakimś czasie dostał awans na generała i zaczął się mocno liczyć w kolumbijskiej policji. Tymczasem zaraz po ataku przeniesiono go dla bezpieczeństwa do innego miasta. My i tak nie mieliśmy chwilowo żadnych planów wobec niego, zajmowały nas inne sprawy. Dodam jeszcze, żeby zamknąć sprawę, że kilka lat po śmierci Pabla Torrada zabito w pobliżu Cali. Pewnie nie umiał sobie poradzić z własnymi problemami.

Po ataku na Círculo Pablo zmienił zasady prowadzeniu interesów. Skończył ze stałymi pensjami dla pułkowników i generałów. Zapowiedział, że odtąd będzie płacił tylko za konkretne informacje.

Dokładnie w tym samym czasie, kiedy doszło do ataku na Círculo, w Madrycie hiszpańska policja aresztowała Jorge Ochoę, Gilberta Rodriguez; z Cali i jeszcze jednego człowieka zaprzyjaźnionego z tamtymi. Kiedy wyjeżdżałem z Hiszpanii, dałem klucz do mojego mieszkania właśnie Jorge, mówiąc, że może zeń dowolnie korzystać. Myślę jednak, że wpadł niezależnie od tego, za własne winy. A gwóźdź do trumny, że tak powiem, wbił Torrado. Dał znać Hiszpanom, gdzie jego i dwóch pozostałych mogą znaleźć.

Jorge wylądował oczywiście w areszcie. Z żądaniem jego wydania wystąpiły jednocześnie Stany Zjednoczone i Kolumbia. Stany za handel narkotykami, nasz kraj za nielegalny przywóz hiszpańskich byków. Hiszpanie mieli więc problem. Gdyby Ochoę wydali Amerykanom, gniłby w więzieniu do końca życia - szykowano tam przeciwko niemu trzy zarzuty z paragrafów narkotykowych. W Kolumbii czekał go znacznie łagodniejszy wyrok. Rodzina najęła prawników w Hiszpanii i Stanach. Sprawa o to, żeby nie doszło do ekstradycji do Ameryki, toczyła się dwadzieścia miesięcy. Ostateczną decyzję, jak powszechnie wiadomo i w Europie, i w Ameryce Południowej, podjął premier Felipe Gonzales - Jorge wydano Kolumbii. Tu został skazany na dwadzieścia miesięcy więzienia. Ludzie z branży mieli jednak coś do powiedzenia i po wpłaceniu kaucji w wysokości jedenastu i pół tysiąca dolarów Jorge wyszedł na wolność.

Za Pablem, braćmi Ochoa, Carlosem Lehderem, Gachą Meksykaninem i za mną rozpisano listy gończe, musieliśmy więc stosować szczególne środki ostrożności. Poruszaliśmy się zawsze w otoczeniu ochroniarzy. Pablo, a podejrzewam, że także inni, wydał zakaz fotografowania swojej osoby. W Medellín przemieszczał się taksówkami\ - własnymi, miał ich coś ze dwadzieścia. W domach i apartamentach, gdzie się zatrzymywał, miał na wszelki wypadek specjalne kryjówki wbudowane w ściany. Kiedy Jorge Ochoa wyszedł wreszcie z więzienia, też podjął odpowiednie kroki w celu zapewnienia sobie bezpieczeństwa. jeden z pośredników w tajnych negocjacjach dilerów z rządem opowiedział kiedyś przed sądem, jak wyglądała organizacja spotkania z Jorge.

„Najpierw przez jakieś pół godziny wożono mnie autem po całym mieście. Na koniec zawieziono mnie do jakiegoś garażu, gdzie kazano mi się przesiąść do taksówki. I znów kluczyliśmy, by po pewnym czasie dotrzeć do jakiejś obcej dzielnicy, gdzie pełno było magazynów i oczekujących tirów.

Kazano mi wysiąść. Szofer podszedł do jednego z tirów, usiadł za kierownicą, a mnie kazał zająć miejsce obok. Powiedział, żebym niczego nie dotykał, i kazał unieść stopy. Gdy tak zrobiłem, nacisnął jakąś dźwignię i mój fotel jął się przesuwac do tyłu. Jednocześnie ścianka za moimi plecami rozsunęła się i oto znalazłem się we wnętrzu urządzonego ze smakiem jak gabinet. Za biurkiem siedział Jorge Ochoa we własnej osobie: «Chciałbym się upewnić, czy możemy liczyć na pana w sprawie sekretnych rozmów z rządem. Chodzi nam o to, aby władze zaprzestały prześladowań i pozwoliły nam normalnie działać» - powiedział”.

Ciągle jeszcze uważaliśmy, że uda się osiągnąć porozumienie z władzami umożliwiające nam powrót do normalnego życia. Nikt nie zakładał, że obecna sytuacja może trwać długo.

Kiedy bratu nie udało się przeforsować planu walki przeciwko ustawie o ekstradycji, zaczął budować własne siły bezpieczeństwa. W Medellín było mnóstwo młodych ludzi chętnych do pracy u Pabla. Służbę u niego uważano za zaszczyt. To jednak, co się teraz działo, nie miało żadnego precedensu. Kontrabanda, biznes narkotykowy i szmaragdowy, także nielegalny obrót kawą i kwiatami oraz kopalinami od lat stanowiły w naszym kraju uznana część gospodarki. Dawały zatrudnienie wielu ludziom, nie wyłączając policji, wojska i klasy politycznej, nie mówiąc już o tym, że zapewniały napływ pieniędzy z zagranicy. Zjawisko przemocy występowało we wszystkich wspomnianych branżach. W biznesie szmaragdowym - o czym już mówiłem - na znacznie większą skalę niż w narkotykach. Zawsze jednak przemoc ograniczała się do spraw wewnątrz branż, więc władze patrzyły przez palce, a w każdym razie nie dokładały szczególnych starań, aby położyć jej kres. Teraz jednak Stany Zjednoczone zażądały, aby Kolumbia rozwiązała ich własny problem narkotykowy, i nasz rząd musiał na to przystać. Ta decyzja, niedająca zresztą większych korzyści samej Kolumbii, doprowadziła do śmierci wielu osób. Od niej zaczęły się akty przemocy, które wprawiły w osłupienie cały świat.

By móc prowadzić walkę, Pablo ustanowił bazy w czterech strefach miasta. Urządził je w salach bilardowych, w salonach fryzjerskich, słowem w miejscach, dokąd każdy mógł przybyć, nie wzbudzając podejrzeń. Bazy funkcjonowały jako punkty zborne dla *sicarios*. Pierwotnie *sicarios* stanowili rodzaj kartelowej policji wewnętrznej. Zła sława i siła kartelu zasadzała się zresztą nie tyle na aktach przemocy, ile na groźbie, że do takich aktów może

dojść. Z ust do ust przekazywane sobie opowieści o tym, co się stało z jednym czy drugim zdrajcą bądź oszustem, co śmiał sięgnąć po własność kartelu, i to wystarczało, by inni trzymali się z daleka.

Do czasu wejścia w życie ustaw o ekstradycji właśnie *sicarios* zajmowali się donosicielami i zdrajcami. Weźmy na przykład dyrektora lotniska, który dopuścił się zdrady, donosząc do władz o poczynaniach kartelu na jego - nazwijmy to - podwórku. Taki dyrektor nie był ani naiwny, ani niewinny. Z reguły zdążył już zbić niezłą fortunę na współpracy z kartelem i musiał sobie zdawać sprawę z konsekwencji swoich czynów. Jednak decyzja władz zmieniająca niepisane porozumienie między władzami a dilerami poprzez wprowadzenie ustawy o ekstradycji oznaczała w istocie wypowiedzenie wojny całej branży. Pablo i inni z Medellín musieli się bronić. Powołali więc do życia ściśle tajną grupę Los Extraditables. Należeli do niej wszyscy zagrożeni ekstradycją do Stanów. Na czele grupy stanął Pablo. Nie mieli nic do stracenia. W jednym tylko 1986 roku wydano Amerykanom dwudziestu ośmiu naszych rodaków. Dlatego właśnie hasłem Los Extraditables stało się słynne powiedzenie Pabla, że „lepszy grób w Kolumbii niż cela w amerykańskim więzieniu”.

W listopadzie 1985 roku nastąpiło pierwsze uderzenie przeciwko władzy: atak partyzantów spod znaku M-19 na Pałac Sprawiedliwości - siedzibę Sądu Najwyższego. Operacje finansowali Los Extraditables. Znajomość Pabla z M-19 datowała się od czasu pokojowego rozwiązania sprawy porwania Marty Nieves Ochoa. W toku ówczesnych rokowań Pablo spotkał się z komendantem partyzantów Ivanem Marinem Ospiną. Ustalono wtedy, że MAS, czyli żołnierze kartelu, nie będą działać przeciwko partyzantom, a ci w zamian zostawia handlarzy narkotyków i ich rodziny w spokoju. Rozmowy toczyły się na jednej z farm mojego brata w pobliżu Medellín i między Pablem a Ivanem nawiązała się przyjaźń. Dla jej przypiecztowania Ospina opowiedział mojemu bratu niedawne dzieje szabli naszego wyzwoliciela Simóna Bolívara. Jego szabla to dla Kolumbijczyków najświętszy zabytek. Spoczywała w muzeum aż do roku 1974, kiedy została zrabowana przez założyciela M-19 Jaimego Batemana. Oświadczył on wtedy, że szablę zwróci tylko wówczas, gdy dojdzie do zawarcia porozumienia między władzami a siłami partyzanckimi. Dla M-19 szabla stanowiła symbol ich walki. W kolejnych latach przechodziła z rąk do rąk między liderami ruchu partyzanckiego, a na koniec znalazła się w posiadaniu Ivana Ospiny, który

przekazał ją mojemu bratu na znak ugody.

Cały kraj poszukiwał szabli - znaku naszej wolności, a tymczasem wisiała ona na ścianie w jednej z rezydencji Pabla, aż ten wręczył ją naszemu siostrzeńcowi Mario Henao z przykazaniem, aby ukrył ją gdzieś w Medellín.

Szabla pozostawała w posiadaniu Pabla do roku 1991, kiedy doszło do zawarcia rozejmu między rządem a partyzantami. Zgodnie z osiągniętym porozumieniem szabla miała zostać zwrócona stronie rządowej. Pablo tymczasem zapomniał, że Szabla znajduje się u niego. Działo się tyle rzeczy, że naprawdę nie pamiętał, zwłaszcza że szabla raz po raz przenoszona była w inne miejsce. Poszukiwania trwały, a tymczasem z własnej, nieprzymuszonej woli skapitulowaliśmy przed władzami i zostaliśmy uwięzieni w należącym do nas ośrodku zwanym *La Catedral* - Katedra - i tam znów weszliśmy w posiadanie szabli wyzwoliciela - przemycono ją bowiem do naszego więzienia, co uważaliśmy za ważny znak. Pamiętam, miałem ją w ręce, wszyscy zresztą chcieli jej dotknąć. Patrzyłem na nią, była piękna i groźna, tak jak Kolumbia.

W 1991 roku Pablo zwrócił szablę partyzantom - oddał w ręce dwóch ich liderów z Medellín, a oni z kolei przekazali ją władzom.

Ale wróćmy do wcześniejszych wydarzeń. Dowody i akta sprawy przeciwko dilerom narkotyków przechowywane w Pałacu Sprawiedliwości. Najlepszym sposobem zapobieżenia ekstradycji było ich zniszczenie. To, co nastąpiło, przywodzi na myśl głośną akcję sił policyjnych na farmie Waco w Teksasie. I tam, i tu nikt nie zakładał, że atak pociągnie za sobą tyle ofiar. W naszym przypadku chodziło tylko o zniszczenie dokumentacji i taki był plan. W rzeczy samej dilerzy zaoferowali partyzantom dwukrotność sumy, jaką pierwotnie zamierzali przekazać władzom, gdyby doszło do ugody z Betancurem, a suma ta szła w miliony dolarów. Grupa partyzantów przeniknęła do Pałacu Sprawiedliwości w noc poprzedzającą właściwą akcję. Rankiem zasadnicza grupa zajęła pod budynek w skradzionej ciężarówce i wdarła się do środka, zabijając kilku strażników. W gmachu znajdowało się w tym czasie około trzystu ludzi, których partyzanci wzięli jako zakładników. Byli wśród nich sędziowie Sądu Najwyższego. Prawie dwustu zakładników wyszło na wolność w ciągu kilku godzin, potem jednak zaczęło się oblężenie.

Kraj był zszokowany atakiem. Telewizja oczywiście wszystko pokazywała na żywo. Oglądałem to z Pablem. Brat - jak wspominałem -

rzadko okazywał emocje. Trudno więc powiedzieć, co wtedy myślał. Co do mnie, to bolałem, że doszliśmy do takiego punktu.

W pierwszej chwili większość Kolumbijczyków była przekonana, że chodzi wyłącznie o spektakularną akcję rebeliantów. Ci zresztą przekazali jednej z radiostacji nagranie z żądaniem, aby do pałacu przybył prezydent Betancur, bo chcą z nim rozmawiać. Do tego oczywiście nie doszło. Kilka godzin później czwarte piętro pałacu, gdzie znajdowały się archiwa z aktami dilerów, stanęło w płomieniach.

Tymczasem, jak można się domyślać, faktyczną władzę przejęli generałowie, izolując prezydenta. Wokół pałacu rozstawiono czołgi, a następnego dnia przypuszczono szturm. W walkach zginęło ponad sto osób - sędziowie, pracownicy i rebelianci. Nikt nie wie dokładnie, jak przebiegała akcja. Część zakładników zginęła w czasie szturm, inni ponieśli pewnie śmierć z rąk rebeliantów. Do dziś tego nie wyjaśniono. Nie ma oczywiście wątpliwości, że rebelianci uśmiercali niewinnych ludzi, wiadomo jednak także, że wielu spośród tych, którym udało się ujść z życiem z obleganego gmachu - jak choćby sprzątacze, kioskarze i w ogóle ludzie z obsługi - znikło. Ciał nigdy nie znaleziono. Podejrzenie pada na wojsko i policję.

Atak zaszokował nawet ludzi z naszej organizacji, i to do tego stopnia, że niektórzy postanowili wycofać się z biznesu. Na przykład Lew. Działał wtedy w Hiszpanii. Uznał, że interes robi się zbyt ryzykowny, i postanowił dać sobie spokój. Nie on jeden zresztą. Nikt im nie przeszkadzał, jeśli tylko okazywali należyty szacunek dla organizacji.

Tymczasem ataki na przedstawicieli władz trwały. Laska z supernogami przyjaźniła się z panią prokurator Miriam Belles. Należała ona do grupy prowadzącej dochodzenie przeciwko Pablowi. I oto pewnego ranka, wkrótce po tym, gdy kraj zalała fala przemocy, pani prokurator zginęła z rąk jednego z *sicarios*. Zamachu dokonano, kiedy wychodziła z domu, zmierzając do samochodu z eskortą. *Sicario* zastrzelił ją z pędzącego motocykla.

Choć nie miała po temu żadnego dowodu, laska uznała, że za zamachem stał Pablo.

- To nie miało żadnego sensu - mówiła. - Serce mi krwawi. Pablo nie musiał zabijać matki dwojga dzieci.

Później pracowała jeszcze okazjonalnie dla Pabla, ale - jak powiadają - serca do niego już nie miała. Pablo, którego znała i podziwiała, przestał dla niej istnieć.

Więzy, jakie spajały kartel z Medellín, ostatecznie puściły. Poszczególne organizacje wchodzące w jego skład rozeszły się każda w swoją drogę. Organizacja Carlosa Lehdera rozpadła się do cna. Podobnie jak Pablo, Lehder marzył kiedyś o prezydenturze Kolumbii. Założył nawet partię polityczną - Łaciński Ruch Narodowy. Proponował jednak zbyt radykalny program - był entuzjastą Hitlera - więc partia nie zyskała sympatyków i nie odegrała większej roli, a poza tym zaszkodziły mu wieści o udzielnym księstwie, jakie sobie stworzył na Norman's City. Rządził się jak monarcha, biorąc stosowny procent od przeładowywanych tam narkotyków.

Był miliarderem i właśnie pieniądze stanowiły o jego sile. Do czasu kiedy telewizja amerykańska obnażyła korupcję na Bahamach, nie oszczędzając nawet - choć bez twardych dowodów - popularnego premiera Lyndena Pindlinga. Jaka była prawda, tego nie wiem. Wiem wszelako, że łatwo przekupić nawet najwyższych urzędników. Tymczasem właśnie w wyniku owego reportażu telewizyjnego z Bahamów wyspa Norman's Cay skończyła się jako miejsce tranzytu, a Lehder nie mógł już tam wrócić. Co do nas, to zaczęliśmy korzystać z innych lądowisk na Bahamach, takich jak Berry Island i Great Harbor. Nasz biznes kręcił się nadal.

Lehder tymczasem spędzał większość czasu w Kolumbii u boku Pabla. Dotrzymywał mu towarzystwa, podróżował z nim, asystował w biurach. Tylko że to już nie był ten dawny, odważny Lehder. Władze zamroziły mu konta, skonfiskowały majątek. Kiedyś jego fortunę oceniano na dwa miliardy dolarów, teraz był niemal bankrutem. Zbiegając przed wymiarem sprawiedliwości, musiał kryć się w dżungli i tam ciężko zachorował. Na odludziu nie można mu było pomóc. Umierał. Pablo wysłał śmigłowiec i ściągnął go do Medellín. Udało się go uratować, ale jeszcze długo był słaby jak mucha.

Kiedy wreszcie wyzdrowiał, Pablo wziął go do siebie. Praktycznie Lehder został jego zaufanym ochroniarzem, ale nadal otaczano go szacunkiem za dawne dokonania. Po pewnym czasie jednak Lehder postanowił iść na swoje, chciał zacząć na nowo, tym razem jako farmer. Niestety jeden z jego pracowników zadenuncjował go na policji. Carlosa schwytano i wydano Amerykanom. Bardzo mnie to zasmuciło, bo go lubiłem, ceniłem za inteligencję i szanowałem za przyjaźń okazywaną mojemu bratu. A w Stanach skazano go na dożywocie plus sto trzydzieści pięć lat bezwzględnego więzienia.

Rząd odmawiał negocjacji, więc mieliśmy tylko dwa wyjścia: walczyć o zniesienie ustawy o ekstradycji bądź umrzeć z bronią w ręku. A co do Carlosa Lehdera, to nadal gnije w amerykańskim więzieniu, kołacząc o apelację.

W tym czasie często przenosiliśmy się z miejsca na miejsce i mocno zastanawialiśmy się nad każdym krokiem, co nie znaczy, że odczuwaliśmy jakąś wyjątkową presję. Pablo nadal zaglądał do Nápoles, choć już tylko na krótko. I właśnie tam i wtedy wszystko, co uczynił dobrego dla ludzi, zaczęło niebywale procentować. Ludzie nadal go kochali i odmawiali współpracy z wojskiem i policją. W rzeczy samej w Wojsku i policji nadal sporo funkcjonariuszy dostawało od Pabla stałe pensje.

Zawsze mieliśmy solidną ochronę. Zatrudnialiśmy nie tylko chłopów jak dęby, ale - co niejednego może zaskoczyć - także kobiety, i to wyjątkowej urody. W tamtych czasach nikt w Kolumbii nie mógłby sobie wyobrazić, że piękna dziewczyna siedząca przy barze w istocie czuwa nad naszym bezpieczeństwem. Zapamiętałem zwłaszcza jedną wysoką blondynką o cudownych błękitnych oczach. Nazywała się Lorena. Pracowała u mnie dwa lata, a później, przy naszej pomocy, została modelką we Włoszech. Wyglądała naprawdę jak Barbie. Kiedyś przyszło jej uratować mi życie. Była silna i odważna. Uprzedzając ewentualne pytanie, powiem, że nigdy nie dochodziło do żadnych intymnych kontaktów między dziewczynami z ochrony a nami.

Kobiety zatrudnialiśmy dlatego, że mogły pójść wszędzie, nie wzbudzając najmniejszych podejrzeń. Kiedy na przykład umawialiśmy się na biznesowe Spotkanie w restauracji lub hotelu, dziewczyny mogły Sprawdzić miejsce bez zwracania na siebie uwagi. Kiedy wieczorem mieliśmy ochotę pójść do jakiegoś nocnego klubu, wysyłaliśmy przodem parę naszych ochroniarek z dwoma stosownie obranymi chłopakami, żeby sprawdzili, czy nic nam nie będzie grozić. Udawali oczywiście zakochana parę, ale pilnie obserwowali całe otoczenie. Później, gdy takie wyjścia stały się szczególnie ryzykowne, wysyłaliśmy nawet dziesięć takich par, żeby zabezpieczyć teren. Kiedyś - pamiętam - wybierałem się do klubu i jak zwykle wysłałem kilka par z ochrony na sprawdzenie.

- W porządku - zameldowali przez telefon. - Może pan przychodzić.

Na wszelki wypadek ubrałem się jak typowy ochroniarz, a więc bez żadnych złotych bransolet i markowych zegarków. Muszę dodać, że moi

ochroniarze nosili się wyjątkowo bogato. Tak więc ubrałem się skromnie i wiecie, co się stało? Moją ochronę wpuścili, a mnie nie!

Dla większego bezpieczeństwa płaciliśmy ochronie lokalu po pięćset dolarów, żeby nie wpuszczała nikogo z bronią.

- A jak ktoś powie, że ma pozwolenie, to też go nie wpuszczacie - zastrzegali nasi ochroniarze.

Pamiętajcie, że w tamtych czasach nie było komórek. My jednak mieliśmy wojskowe radiotelefony.

Fakt, że stale byliśmy w ruchu, że przenosiliśmy się z miejsca na miejsce, owszem utrudniał prowadzenie biznesu, ale obroty nie spadały. Nasza organizacja miała solidne fundamenty i ustabilizowaną pozycję. Dysponowaliśmy bezpiecznymi kanałami przetransportowania towaru, gwarantowanym transportem i mocną siecią dystrybucji. Popyt nadal przewyższał podaż.

Kiedy DEA zaczęła notować coraz więcej sukcesów, jeśli idzie o ujawniania i konfiskatę towaru na terenie Stanów, niektórzy zaczęli uważać, że oto Amerykanie dobierają się do karteli. Nie była to prawda. DEA przechwytywała więcej transportów tylko dlatego, że coraz więcej towaru wysyłano do Stanów. Powiadano, że osiemdziesiąt procent kokainy lokowanej na rynkach światowych pochodzi z Medellín. Kiedyś DEA namierzyła samolot transportowy z toną kokainy ukrytej w ładunku drewna i ciętych kwiatów. Oceniono - wedle cen detalicznych - że transport wart był dwadzieścia milionów dolarów. Dwadzieścia milionów, i to w jednej tylko przesyłce! Przy takich obrotach i takich kwotach cały biznes był w istocie niezniszczalny, bo zawsze znajdzie się ktoś gotowy do podjęcia ryzyka w nadziei na fortunę.

Prawdziwy problem tymczasem polegał na tym, że rosła również podaż. W każdym razie my byliśmy w stanie rzucać na rynek coraz więcej towaru. W efekcie cena kokainy zaczęła spadać z trzydziestu pięciu, czterdziestu tysięcy dolarów za kilo narkotyku do dziewięciu tysięcy. Przy takiej cenie zysk był marginalny. To jednak nie zatrzymywało rzeki narkotyków. Doszło jednak do pewnej zmiany w systemie rozliczeń. Otóż odeszliśmy od sztywnych stawek za przewóz (płaciliśmy „od kilograma”), a zaczęliśmy proponować przewoźnikom część ładunku. Krótko mówiąc, przewoźnik dostawał jakiś procent przewożonej przez siebie kokainy. Tito Dominguez, nasz główny przewoźnik, zaczął magazynować należącą do niego część towaru. Czekał na dogodną okazję. Ta następowała wtedy, gdy władze

wpadały na trop jakiegoś transportu i konfiskowały towar. Rynek reagował wzrostem cen i właśnie wtedy on i jemu podobni upłynniali swoje zapasy.

Ludziom Pabla zawsze udawało się wyprzedzać władze Stanów Zjednoczonych. Był taki okres, kiedy zwalczaniem narkotyków w Stanach zajmowało się aż osiem różnych instytucji. A więc DEA, Urząd Celny, Straż Przybrzeżna, lokalne policje, policja stanowa oraz wojsko. Domínguezowi, kiedy go w końcu aresztowano, zarzuty postawiło siedem instytucji. Taka sytuacja była nam na rękę. Zamiast bowiem pracować wspólnie, poszczególne instytucje konkurowały ze sobą. Każda starała się o jak największy rozgłos, każda też starała się wytropić jak najwięcej towaru i środków jego transportu. Te ostatnie bowiem przechodziły na ich własność. Tak więc amerykańskie organa ścigania stawały się właścicielami samolotów, motorówek, łodzi rybackich i aut używanych do przemytu narkotyków. Bywało, że skonfiskowane rzeczy wystawiana na sprzedaż. Dochód wzbogacał budżet poszczególnych instytucji.

Mimo to ludziom Pabla nadal udawało się przechytrzać władze.

Jak? Najlepiej wyjaśnia to następująca opowieść Tita Domingueza:

„Otóż na motorówkach udających łódzie do wędkowania władze wystawiały z reguły trzyosobowe załogi. Kiedy szykowaliśmy zrzut, koncentrowaliśmy w okolicy osiem, dziewięć łodzi. Ich załogi pilnie obserwowały wszystkie inne łódzie na danym akwenie. Kiedy stwierdzały coś podejrzanego - jak choćby, że na jednostce rzekomo łowiącej ryby nie ma żadnego wędkarskiego sprzętu - zaraz meldowały mi przez radio: «Tito, teściowa na podjeździe!». Wtedy zwalniałem, zaczynałem krążyć, czekałem, aż «teściowa» zniknie”.

„Mieliśmy naprawdę niezłe rozpoznanie. Kiedy na przykład dowiadywaliśmy się, że władze się zasadzają na motorówki, przerzucaliśmy się na kutry rybackie. Kiedy znów nasze źródła informowały, że władze będą koncentrować wysiłki w rejonie Miami, zmienialiśmy teren. Lądowaliśmy kilkaset mil dalej, jak choćby w Cocoa Beach”.

„Miałem dwie spore rezydencje. Jedną na północy [Florydy], drugą na południu. Domy postawione na samej plaży, każdy z własną przystanią - takie moje prywatne drzwi do Ameryki. Oczywiście oba w bogatych okolicach, gdzie domy stoją na sporych działkach, czyli dość daleko od siebie, co zapewniało niezbędną dyskrecję. Na łodziach przyplływało nawet do stu kilogramów koki. Wyładunek trwał chwilę, i tak w kółko”.

Nie jest moim zamiarem obrona przemocy, wybielanie faktów. Staram się tylko je wyjaśnić. Szefowie kartelu z Medellín uważali, że nie mają innego wyjścia jak tylko wymusić na władzach zmianę ustawy o ekstradycji. Wkrótce władze musiały otoczyć ochroną wszystkich sędziów, co i tak nie gwarantowało im bezpieczeństwa, bo zawsze znajdował się ktoś, kto chętnie na nich donosił. Wreszcie doszło do przełomu. W grudniu 1986 roku Sąd Najwyższy uznał, że ustawa o ekstradycji nie ma mocy prawnej, a to dlatego, że została podpisana przez tymczasowego prezydenta. W sumie więc chodziło o techniczny, że tak powiem, drobiazg. Radość trwała jednak krótko, bowiem nowy prezydent Virgilio Barco rychło naprawił błąd, składając swój podpis pod ustawą. Jednak incydent ten świadczy, że napaści na sędziów odnosiły pewien skutek.

Nie wolno zapominać, że wśród policji też były czarne owce. Nie ma porównania między naszą, kolumbijską policją a jej odpowiednikiem w Stanach Zjednoczonych, gdzie funkcjonariuszom od początku wpaja się zasadę, ich głównym i jedynym zadaniem jest ochrona społeczeństwa. U nas bywało zgoła inaczej, a czasami policjanci zachowywali się bardziej jak rozpasane żołdactwo niż jak strażnicy prawa.

Owszem, do domu Fabia przychodzili na przeszukania policjanci dzentelmeni. Robili, co do nich należy, i wychodzili. Ale zjawiali się i tacy, co robili kipsisz, kradli, rabowali, wyżywali się na niewinnych, grozili. Bywało też, że policja napadała na zupełnie przypadkowych ludzi. Wdzierała się do domów, wyłamując drzwi, siejąc terror, rabując, co się da. Samo posiadanie fotografii Pabla lub czegoś, co się z nim wiązało, uznawano za przestępstwo. Gdy policja lub wojsko znaleźli takie zdjęcie w domu albo w samochodzie, właściciela zatrzymywali, a jego majątek podlegał konfiskacie za „współpracę z przestępcami”. Laska z supernogami wspomina, że spaliła wszystkie pamiątkowe zdjęcia z Pablem. To samo uczyniła jej rodzina. Wspomina także, że co najmniej siedmiokrotnie przeprowadzane u niej rewizje, tak zwane *ayananie*. Przeszukującym towarzyszył zawsze sędzia. Nęcano ją także w inny sposób - zatrzymywano w czasie podróży samochodem. Wiele razy włamywano się do jej auta. Na szczęście nigdy niczego nie znaleziono. Przeszukania i rewizje stały się tak częste i dotkliwe, że ludzie z zemsty czy zawiści zaczęli się nawzajem denuncjować. Wystarczyło donieść policji, że „Pablo Escobar przebywa tu i tu”, aby zaraz zjawiała się uzbrojona ekipa.

Policja nie cofała się przed aktami zabójstwa, jak dowodzi tego tragedia naszego kuzyna Hernanda Gavirii. Otóż przebywał on z rodziną na wakacjach na swojej farmie, gdy nagle zjawiała się policja rzekomo w poszukiwaniu Pabla. Hernando nie miał z Pablem żadnego kontaktu, nie miał pojęcia, gdzie mój brat może się podziewać, co dla policji okazało się żadnym argumentem. Zaczęły się tortury. Hernanda powieszono za nogi, na głowę zarzucono kaptur i zaczęto go razić prądem. Zaczęto także wbijać mu igły w jądra - wszystko przy żonie i dzieciach. Mało tego, zaczęto mu także grozić, że jeśli nie powie, gdzie jest Pablo, to policja zabierze się właśnie do żony i dzieci. Hernando zmarł w czasie tortur na oczach rodziny.

Jednocześnie jednak wielu funkcjonariuszy policji pozostawało nadal na naszych listach płac. W piątki - pamiętam - po tygodniową wypłatę ustawiała się cała kolejka policjantów, niektórzy w mundurach. Za pensje oddawali nam pewne przysługi. Kiedy pod koniec lat osiemdziesiątych wybuchła wojna między kartelami z Medellín i Cali, policjanci zaczęli naprawdę zarabiać na swoje pensje. W obu zresztą miastach, bo w Cali tamtejszy kartel też miał swoje wtyczki w policji. Usługi zaś polegały na tym, że gdy do Medellín wjeżdżał samochód z rejestracją z Cali albo gdy ktoś obcy meldował się w którymś z miejskich hoteli, policja natychmiast sprawdzała, kto to jest. Czasami zatrzymywała takiego gościa. Jeśli okazał się niewinny, wypuszczano go po pewnym czasie, jeśli natomiast stwierdzano, że przyjechał ze złymi zamiarami, wydawano go ludziom z naszego kartelu.

Szałę przeważało zabójstwo Diega Mapasa, przyjaciela i współpracownika mojego brata. Właśnie wtedy Pablo wydał policji wojnę. Mapas, czyli Mapa, to przydomek nadany dlatego, że Diego znakomicie orientował się w terenie. Wszędzie trafiał.

Otóż któregoś dnia Diego z dwoma ochroniarzami wyruszyli taksówką do Bogoty w interesach. Mieli przypieczętować jakiś kontrakt kokainowy. Nie wiadomo dlaczego, ale z Medellín ciągnął się za nimi policyjny ogon. Tuż pod Bogota policja rozpoczęła akcje. Zatrzymała taksówkę. Diega, jego ochroniarzy i taksówkarza potraktowano tak jak Hernanda. Ślady zatarto. ciało nigdy nie znaleziono. I znów poszło o Pabla. Diega torturowano, żeby powiedział, gdzie mój brat się kryje. Rząd Kolumbii wyznaczył nagrodę w wysokości dziesięciu milionów dolarów za dostarczenie Pabla i mnie, żywych bądź martwych, ze wskazaniem na to drugie.

Pablo dowiadywał się o poczynaniach policji od swojego człowieka -

porucznika Porrasa. Porras dostarczał nam informacje w proteście przeciwko wszechogarniającej korupcji w policji. Pablo zachęcał go, aby po prostu poszedł do prokuratury i wskazał skorumpowanych. Porras tak właśnie zrobił, tylko że ku swojemu zaskoczeniu wylądował w więzieniu. Po kilku tygodniach został zastrzelony rzekomo przy próbie ucieczki. Tak więc przynajmniej w tamtych czasach policja wcale nie stała na straży prawa, wręcz przeciwnie. Wiemy o tym na pewno.

Pablo wydał policji wojnę na śmierć i życie. Policja chciała go zabić, więc on zabijał policjantów. Policja wyznaczyła nagrodę za jego głowę, więc wyznaczył nagrody za głowy policjantów. Totalna wojna zaczęła się gdzieś około roku 1988. W Medellín funkcjonowało wtedy całe mnóstwo małych, kilkusobowych posterunków, zwanych Centro de Atención Inmediata - CAI. *Sicarios* przypuszczali ataki na te posterunki, ostrzeliwali je z broni maszynowej, obrzucali ładunkami wybuchowymi. Za każdego zabitego policjanta sprawca otrzymywał nagrodę. Jej wysokość zależała od rangi ofiary. Stawki zaczynały się od tysiąca do dwóch i pół tysiąca dolarów za zwykłego posterunkowego.

W Medellín nie brakowało chętnych za taki zarobek. Rekrutowali się spośród biedoty. Rychło ten sposób zarobkowania stał się popularny i jak to bywa, pojawili się oszuści, którzy zgłaszali się po nagrodę bez podstaw. Powstała więc konieczność stworzenia specjalnego regulaminu, co polegało na tym, że potencjalny zabójca musiał najpierw poinformować szefa *sicarios*, gdzie zamierza przeprowadzić akcję, a następnie na dowód, że operację przeprowadził, musiał okazać wycinek z gazety z jej opisem. Dopiero wtedy otrzymywał nagrodę.

Podaje się różne liczby zlikwidowanych policjantów - od dwustu do dwóch tysięcy. Przemoc nie ograniczała się do jednego miasta, a mimo to całą odpowiedzialność składano na Pabla, bo tak było najłatwiej. Tymczasem wśród zabójców nie brakowało funkcjonariuszy policji - też chcieli zasłużyć sobie na nagrodę. Nie brakowało też osób, które dopuszczały się napaści na policjantów w imię osobistych porachunków.

Policja oczywiście nie pozostawała dłużna. Tajne policyjne szwadrony śmierci zajeżdżały nocami czarnymi samochodami do barrios - dzielnic biedoty - i siały terror. Ludzie przestali wychodzić na ulicę. A takich, co wieczorami wystawali na rogach i skrzyżowaniach, policja miała za złoczyńców bądź agentów Pabla i strzelała do nich bez pardonu albo

wywoziła gdzieś w nieznane. Zdarzało się to co noc.

A oto przykład, jak działała policja. Któregoś wieczoru policjanci weszli do nocnego klubu Oporto w Medellín. Wygarnęli stamtąd około dwudziestu ludzi w wieku od osiemnastu do trzydziestu lat, pod pretekstem, że wśród nich może być syn Pabla. Całą dwudziestkę - a byli to synowie bogatych bądź wpływowych rodzin - wywleczono na parking. Tam kazano się im położyć na ziemi, twarzą w dół, i zamordowano. Rząd przemilczał sprawę, co tylko umocniło policję w poczuciu bezkarności. I niedługo później policja znów dokonała masakry. W ubogiej dzielnicy Castilla w Medellín policjanci zabili dwunastu chłopców w wieku od dwunastu do dwudziestu czterech lat. Ich wina polegała na tym, że wieczorem stali sobie na ulicy.

W innej znowu dzielnicy Aranjuez policjanci ze szwadronu śmierci wtargnęli do jednego z domów, wygarniając stamtąd ośmiu młodych ludzi. Wywieźli ich następnie nieoznakowanym furgonem do Szkoły Policyjnej im. Carlosa Holguina. Tam zaczęli ich torturować, żądając informacji o Pablo - gdzie się ukrywa. Młodzi ludzie tego oczywiście nie wiedzieli, bo niby skąd. Większość z nich poniosła śmierć z rąk policjantów. Paru udało się jednak uciec i właśnie oni opowiedzieli później o wszystkim.

Pablo pisał listy do prezydenta Cesara Gavirii i do prokuratora generalnego, domagając się podania do publicznej wiadomości, że policja dopuszcza się morderstw na niewinnych ludziach. Władze nie reagowały. Co do mnie, to nie bardzo wiem, co władze mogłyby uczynić, aby położyć kres rozpasaniu policji. Pablo natomiast chciał, aby społeczeństwo poznała prawdę. Tymczasem na ulicach Medellín, zwłaszcza w uboższych dzielnicach, trup słał się gęsto, głównie w weekendy.

Zdumiewający był przy tym wszystkim fakt, że Pablo cały czas zachowywał swój zwykły spokój. Godził się z sytuacją, nie wpadał w panikę, rozumiał, co go czeka. Pamiętam jego powiedzenie: „Żaden diler narkotyków nie umarł ze starości”. Faktem jest - powtórzę - że bez względu na presję, jaką musiał przecież odczuwać, bez względu na to, co się działo, i bez względu na to, gdzie zdarzyło się nam przebywać, Pablo zachowywał spokój i praktycznie nie zmieniał trybu życia. Wstawał późno, czasami nawet dopiero po południu. Gustavo przeciwnie, był rannym ptaszkiem. Mijali się ze sobą, ale pospołu czuwali nad interesami okrągłą dobę. Pablo po wstaniu z łóżka poświęcał co najmniej pół godziny na mycie zębów. Miał obsesję na punkcie użębienia i rzeczywiście zęby miał w doskonałym sianie. Zaraz

potem ubierał się, wkładał świeżą koszulę, codziennie nową - trzysta sześćdziesiąt pięć nowych koszul rocznie. Noszoną oddawał w prezencie, a chętnych, żeby mieć koszulę Pabla Escobara, nie brakowało. Jeśli warunki temu sprzyjały, zasiadał do śniadania. Lubił zwłaszcza *arepas* - rodzaj placków kukurydzianych z jajecznicą, siekaną cebulą i pomidorami. Popijał to naszą kolumbijską kawą. Uwielbiał śpiew i często w ciągu dnia śpiewał sobie głośno. Kiedy ze względów bezpieczeństwa przebywał daleko od rodziny, pisał wiersze dedykowane córce Manueli. Czasami nagrywał je na kasecie, aby mogła usłyszeć głos taty. Myślę, że jedyne, czego żałował i czego najbardziej mu brakowało, gdy przyszło nam żyć w ukryciu, to rodzina. Bardzo tęsknił.

Właśnie wtedy, gdy działo się to, co tu opisuję, powstawała i umacniała się czarna legenda Pabla Escobara. Wszyscy dilerzy narkotyków uciekali się do przemocy, wszyscy co do jednego, a jednak cała uwaga koncentrowała się wokół Pabla. W Stanach Zjednoczonych i w ogóle na całym świecie kolumbijska kokaina miała twarz i imię mojego brata. Innym było to na rękę. Im więcej uwagi skupiał na sobie mój brat, tym mniej światła padało na inne karte.

Media tworzyły wrażenie, że kiedy tylko uda się schwytać Pabla Escobara, eksport narkotyków z Kolumbii ustanie jak nożem uciął. Niewykluczone, że do powstania legendy przyczynił się fakt, że Pablo nie udawało się schwytać. Był jednym z najbogatszych ludzi na świecie, zarządzał wielką korporacją narkotykową, walczył z Władzą, a jednocześnie był nieuchwytny jak duch. Pojawiał się i znikał, był wszędzie i nigdzie. Gdy zjeżdżał do miasta, mało kto wiedział, gdzie go szukać, a ci, co wiedzieli, nigdy go nie wydali. Głównie dlatego, że ubodzy mieszkańcy Medellín nadal go wielbili i ochraniali. Owszem, byli i tacy, co się go bali, dla ubogich jednak był po prostu bohaterem. Władze nic dla nich nigdy nie uczyniły, on zaś wspierał ich, dawał pieniądze i dach nad głową. Byli mu za to wdzięczni, odpłacali się lojalnością.

6

Przez wiele lat żyliśmy w ciągłym ruchu, stale przenosiliśmy się z miejsce na miejsca, pilnie bacząc, co się dzieje wokół nas. Na początku tropiły nas tylko kolumbijska policja i wojsko, potem jednak lista naszych prześladowców wydłużyła się o kartel z Cali, Z którym toczyliśmy wojnę, specjalne jednostki policji powołane do schwytania Pabla, amerykańskich żołnierzy z formacji Delta, a także o kolumbijskie oddziały paramilitarne. A jednak Pablo pozostawał nieuchwytny. Walczył i trwał.

Przez większość czasu kryliśmy się na farmach będących jego własnością. Niektóre z nich położone były w górach, skąd roztaczał się widok na ukochane miasto mojego brata. Ale bywało też, że dla własnego bezpieczeństwa musieliśmy zaszywać się głęboko w dżungli. Tylko najbliżsi przyjaciele wiedzieli, gdzie w danej chwili przebywamy. Kiedy Pablo musiał się z kimś spotkać, na przykład z adwokatem, politykiem bądź przyjacielem, wtedy takiego kogoś prowadzono do nas z zawiązanymi oczami i najczęściej jakąś bardzo okreśną drogą. Nawet mama nie знаła naszego miejsca pobytu, a gdy Pablo chciał się z nią zobaczyć, też stosowano odpowiednie środki ostrożności. Tak więc najpierw mamę wieziono do umówionego miejsca, gdzie zwykle czekałem ja. Wręczałem jej ciemne okulary i wiozłem dalej do Pabla. Pamiętam, że kiedyś, gdy jak zwykle wręczyłem jej okulary z prośbą, żeby założyła, mama skrzywiła się.

- Co to za okulary? Pewnie bardzo modne i bardzo drogie, ale nic przez nie nie widzę - poskarżyła się.

- Mamo, nie chodzi o modę, tylko o bezpieczeństwo - wyjaśniłem.

Bezpieczeństwo było najważniejsze. Pablo kupował farmy w odległych regionach i zwykle osadzał tam kogoś w roli gospodarza. Gdy było trzeba, budował dom. Kiedy w pobliżu pokazywała się policja, wojsko czy w ogóle ktoś wrogi, alarmowano nas, abyśmy byli gotowi do ucieczki. Tylko raz, jak pamiętam, policji udało się wejść na jedną z farm zupełnie niespodziewanie, ale i tak nas nie rozpoznało.

Przebywaliśmy wtedy na ranczu położonym przy drodze do Amagá, jakieś sześćdziesiąt kilometrów od Medellín. Było to już pod koniec naszej wielkiej ucieczki, kiedy Pablo uznał, że powinniśmy sobie dawać radę bez

ochroniarzy. Łączyło się to z faktem, że za nasze głowy wyznaczono nagrody w wysokości dziesięciu milionów dolarów. Ochroniarzom płaciliśmy sowicie, ale nie aż tyle, i Pablo stwierdził, że przy takiej stawce możemy ufać tylko sobie. Zaczęliśmy więc chronić się nawzajem - ja jego, on mnie. Sypialiśmy w różnych godzinach, tak aby jeden z nas stale czuwał.

Pośrodku farmy wznosił się piękny dom okolony sadem pełnym jabłoni, pomarańczy i wspaniałych kwiatów. Mieliśmy też do dyspozycji basen. W ogóle było to piękne, pełne ciszy i spokoju miejsce. Pamiętam, że często urządzaliśmy sobie grilla, a potem przy basenie rozgrywaliśmy niekończące się partie domina. Muszę przyznać, że stałem się mistrzem w tej grze - w końcu spędziliśmy tam pełnych osiem miesięcy. Pamiętam też, że kiedy Pablo kupował tę farmę, to pies, którego trzymali właściciele, ugryzł go. Brat mimo to kazał zostawić czworonoga. Nazwał go Hussein. Z czasem pies bardzo się oswoił.

Na tej farmie Pablo osadził zaprzyjaźnione z nami od lat starsze małżeństwo. Ona miała na imię Ilda, on Albertino. Tytuł własności opiewał na ich nazwisko. Oboje byli artystami malarzami. Korzystali oczywiście z domu, który już opisałem, a prócz tego Pablo wyznaczył im stałą pensję i pokrywał wydatki związane z utrzymaniem farmy. Dla bezpieczeństwa stworzyliśmy taki układ, że Albertino malował obraz, ale pozostawiał do uzupełnienia jakiś szczegół, zaś ten konkretny, który zapisał mi się w pamięci, przedstawiał gospodarstwo z pastwiskiem i krową, z tym że pastwisko było ledwie zaznaczone, jeszcze bez zielonej farby. W razie czego to właśnie ja miałem chwycić za pędzel i kończyć dzieło, bo dla bezpieczeństwa występowaliśmy w przebraniu malarzy. Rankiem Pablo wkładał wyświechtany kapelusz, jak prawdziwy artysta, po czym obaj smarowaliśmy ręce i ubranie farbami, na wypadek gdyby policja miała nas zaskoczyć. Pablo, nawiasem mówiąc, zapuścił brodę, a gdy tu i ówdzie na tej brodzie pacnął plamę farby z palety, wyglądał naprawdę jak mistrz pędzla.

Farma, o której tu mowa, miała tę zaletę, że leżała względnie niedaleko od Medellín, co mojemu bratu znakomicie ułatwiało spotkania z adwokatami prowadzącymi z władzami negocjacje w sprawie anulowania ustawy o ekstradycji. Spotkania odbywały się zwykle głęboką nocą. Pablo udawał się na nie w swoim artystowskim przebraniu, Albertino występował w roli szofera. Negocjacje z władzami przeciągały się. Pablo w istocie domagał się zmiany konstytucji. Tymczasem pozostawaliśmy w ukryciu.

I oto któregoś ranka na farmę zajechali policjanci. Ale nie był to oddział specjalny, tylko zwykły patrol - dwóch funkcjonariuszy w radiowozie. Domyśliłem się, że nie przyjechali po Pabla, tylko w jakiejś innej sprawie. Otworzyłem drzwi, powitałem ich na progu. Ilda z Albertinem jedli właśnie śniadanie. Kiedy Ilda zobaczyła mundury, zniknęła dyskretnie, żeby obudzić Pabla. Mieliśmy w tym domu-kilka skrytek na pieniądze i większą dla siebie. Pablo natychmiast się schował, ja zaś grałem swoją rolę malarza, przybrany w okulary połówki i myckę. Wyciągnąłem rękę na powitanie przedstawicieli władzy, po czym lekko zażenowany wycofałem dłoń, dając do zrozumienia, że nie chciałbym ich umorusać farbą.

- Rozmawiamy ze wszystkimi mieszkańcami okolicy, bo właśnie niedaleko przy drodze znaleziono ludzkie zwłoki - wyjaśnili cel swojej wizyty.

W rzeczy samej, jak po chwili dodali, po jednej stronie drogi leżał korpus, a po drugiej głowa.

- Zabójstwa musiano dokonać ubiegłej nocy. Czy nie widzieli albo nie słyszeli państwo czegoś podejrzanego?

- Nie - odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Trup przy drodze nie miał z nami nic wspólnego. - Nic nie słyszałem, choć do późna stałem przy sztalugach.

Zaprosiłem niespodziewanych gości do środka, poczęstowałem kawą. Z podziwem oglądali dom. Kiedy wreszcie wyjechali, zastukałem w ścianę w umówiony sposób, dając znać Pablowi, że niebezpieczeństwo minęło i może wyjść z kryjówki.

Później od ludzi z miasteczka dowiedzieliśmy się, że zabójstwa dokonali pewna kobieta i jej młody kochanek, a ofiarą był jej mąż.

Wszędzie, gdzie przebywaliśmy, mieliśmy odpowiednie kryjówki, w których można było się zaszyć w mgnieniu oka. Wszyscy poszukiwani za narkotyki organizowali sobie takie zabezpieczenia. Kiedyś policja otrzymała zawiadomienie, że jeden z poszukiwanych kryje się w pewnym mieszkaniu - donosiciel podał dokładny adres. Kiedy policja przybyła na miejsce, nie zastała nikogo, choć na stole stało jeszcze gorące jedzenie. Przeszukano mieszkanie centymetr po centymetrze, co trwało kilka dobrych godzin. Niczego nie znaleziono, poszukiwany znikł jak sen złoty. Policjanci nie byli tym szczególnie zdziwieni. Nawykli do fałszywych alarmów. Nie raz i nie dwa dzwonił ktoś na policję, że właśnie widział Pabla Escobara, jak wchodził

do sklepu czy gdzieś tam. Tak więc i tym razem policja uznała, że ma do czynienia z sensatem albo że ktoś świadomie wprowadza władze w błąd.

Tylko że miesiąc później policja otrzymała wiadomość od tej samej osoby, że poszukiwany jest właśnie w tym samym mieszkaniu. Podjeżdżając, policjanci zauważyli, że w mieszkaniu pali się świeca. Wdarli się do środka, wyważając drzwi. Świeca ciągle się paliła, łóżko było ciepłe, ale znów - w mieszkaniu nie było nikogo. Tym razem jednak policja nie dała za wygraną - odkryła tajemnicę, znajdując na ścianie niewielki otwór, ot taki jak czubek długopisu. I właśnie za pomocą długopisu uruchomiła tajemny mechanizm. Ściana się przesunęła, a za nią w schowku siedział poszukiwany. Był przygotowany na dłuższy pobyt - miał ze sobą butlę z tlenem. Oczywiście został aresztowany, a następnie wydany Amerykanom.

Nasze schowki i kryjówki nie były wymyślne, ale skuteczne. Wystarczyła chwila i znikaliśmy za ścianą. Jedną zapamiętałem szczególnie. Otwierało się ją... kurkiem do gorącej wody. Problem polegał tylko na tym, że siedząc w ukryciu, nie miało się pojęcia o tym, co dzieje się po drugiej stronie ściany. Dawaliśmy sobie z tym radę za pomocą umówionych sygnałów.

Najlepsze jednak ukrycia zapewniała dżungla. Z czasem nawet tam, w głuszy, zapewnialiśmy sobie komfort. Przy pomocy ochroniarzy znikaliśmy w gęstwinie, gdzie policja i wojsko już nas nie tropiły, uznając to za zbyt ryzykowne. Dżungli byli naprawdę nieproszonymi gośćmi.

Pamiętam, jak kiedyś zaszyliśmy się na farmie o nazwie Papuga. Spędziliśmy tam kilka miesięcy razem z Gachą, szwagrem Pabla Mariem Henao, Jorge Ochoą z małżonką i jeszcze kilkoma innymi osobami. Żyło nam się tam całkiem spokojnie. Zwykle bywało tak, że ja kładłem się wcześniej, ale też wcześniej wstawałem, o wpół do czwartej rano. Któregoś wieczoru, około szóstej, oglądaliśmy całą gromadą wiadomości w telewizji, a ja poczułem się senny. Zdrzemnąłem się i we śnie znów ukazał mi się mały ksiądz.

- Musicie chłopcy uciekać. Wkrótce zjawi się tu policja - ostrzegł mnie.

Sen był szalenie wyrazisty, ale krępowałem się o nim opowiedzieć całemu towarzystwu, żeby mnie nie wyśmiali. Powiedziałem tylko, że mam takie dziwne przeczucie, że nazajutrz zjawi się policja.

- Skąd wiesz? Ktoś dzwonił? - zdumiał się Pablo.

- Nie, mam tylko takie przeczucie.

Mogłem sobie mówić! Nikt się moimi przeczuciami nie przejął i trudno

jest mieć im to za złe. Ja jednak wierzyłem w swój sen. Kazałem naszym ludziom przygotować jedzenie, spakować trochę odzieży i osiodłać muły.

- Na wypadek gdybyśmy musieli się zmywać - wyjaśniłem.

Farma leżała nad piękną rzeką Cocorná, tak czystą, że widziało się ryby na dnie. Upewniłem się, czy nasza motorówka jest zatankowana i gotowa do drogi. Potem jak zwykle poszedłem spać, ale sen nie nadchodził. I znów ogarnęło mnie złe przeczucie.

Około szóstej rano odezwało się radio - Pablo rozdał takie przenośne radiostacje wszystkim sąsiadom. Wywoływał nas Jose Posada.

Często zresztą łączył się z nami, pytając, czy wszystko jest w porządku. Tym razem jednak chciał nas ostrzec.

- Musicie uciekać. Policja nadchodzi. Mają śmigłowce i ciężarówki. Ruszajcie natychmiast.

Ledwie skończył, kiedy usłyszeliśmy warkot helikopterów.

- Przeklęte moskity - mruknął Pablo, czyniąc gest, jakby odganiał się od irytującego owada. Ale śmigłowce były już tuż nad nami, za późno, żeby biec do motorówki albo dosiadać muły. Z pokładów śmigłowców posypały się serie z karabinów maszynowych. Zaczęliśmy uciekać, ostrzeliwując się z ręcznej broni. Część ludzi pobiegła ku rzece, inni w stronę dżungli. Niczego nie zdążyliśmy zabrać. Mieliśmy tylko to, co na sobie. Pablo w piżamie, nawet butów nie zdążył włożyć, nie mówiąc już o tym, że w domu zostawił dokumenty. Na szczęście już dosyć dawno brat kazał obsadzić farmę wysokimi drzewami i gęstymi krzewami, tak że śmigłowce nie mogły wylądować. Ale cały czas ostrzeliwały nas z powietrza. Słyszałem gwizd kul i głuche odgłosy, gdy pocisk wiązał w ziemi bądź trafiał w pień drzewa. Biegłem tak szybko jak nigdy. Tu nie było przebaczenia. Albo uda się uciec, albo...

Przed laty jeszcze zawarliśmy przymierze krwi - umówiliśmy się, że raczej palniemy sobie w łeb, niż damy się schwytać, a tym bardziej odesłać do Ameryki. Jorge Ochoa był pewien, że właśnie nadszedł czas, aby to uczynić. Wyciągnął nawet swoją trzydziestkęósemkę, gotów popełnić samobójstwo. Powstrzymał go Pablo.

- Jeszcze nie teraz - powiedział.

I rzeczywiście udało nam się umknąć, ale było naprawdę gorąco.

Później dowiedziałem się, że przeklęte „moskity” uśmierciły szwagra Pabla Maria Henao. Dopadły go, gdy biegł ku rzece. Pablo to widział, ja nie.

Brat cały czas ostrzeliwał się z ręcznej broni. Podobno udało mu się trafić jeden ze śmigłowców. Mówię podobno, bo tego też nie widziałem. Strata Maria sprawiła nam ogromny ból. Kiedy dotarło do nas potwierdzenie, że Mario rzeczywiście zginął, Pablo rozplakał się. Po raz pierwszy i jedyny widziałem wtedy, jak z jego oczu toczyły się łzy. Zginął nie tylko Mario, ale także kilkunastu innych naszych ludzi. Czternastu wzięto żywcem. Nie było wśród nich żadnego z przywódców kartelu.

Przeżyliśmy kilka podobnych incydentów w okresie, gdy negocjowaliśmy z władzami. Pamiętam, jak kiedyś kryliśmy się na farmie zwanej Cake. Leżała na wzgórzu w bogatym regionie El Poblado. Pośrodku stał tam stary i bardzo obszerny dom z czternastoma sypialniami. Ale dla siebie i dla bliskich przyjaciół Ottona i Pininy Pablo kazał wybudować osobny domek w stylu alpejskim.

Ochronę zapewniało nam stu dwudziestu uzbrojonych ludzi. Cały teren otoczony został dwoma plotami z drutu kolczastego, a między nimi uganiały się wyjątkowo agresywne psy. Prócz tego wokół farmy wzniesiono dwadzieścia wież, z których nasi ochroniarze obserwowali teren przez całą dobę. Między wieżami zainstalowano system elektronicznych czujników reagujących na każdy ruch. I to jeszcze nie wszystko. bo mieliśmy tam także szerokopasmowe odbiorniki radiowe monitorujące podejścia do farmy, a także system kamer oraz alarmowe dzwonki zasilane z baterii, a to na wypadek, gdyby policja przed atakiem odcięła nam prąd. Nad zabezpieczeniami elektronicznymi pieczę miałem ja. Stale sprawdzałem, czy wszystko gra.

Któregoś dnia Pablo zadzwonił do mnie, korzystając oczywiście z bezpiecznego łącza. z wiadomością, że właśnie zablokowane nasz radiowy kanał łączności ze światem.

- To pewnie gliny - oceniłem. - Trzeba się przygotować.

Chwilę później zaalarmowano mnie, że pod wzgórze zajęły ciężarówki z wojskiem, a po upływie kolejnych dwudziestu minut rozległy się dzwonki alarmowe, co oznaczało, że wojsko otoczyło farmę. Pablo jak zawsze zachowywał spokój. Zwrócił uwagę, że w południowozachodnim sektorze dzwonki milczą, więc pobiegliśmy w tę właśnie stronę. Pablo z pistoletem maszynowym w ręku, Pinina i Otto też z bronią. Poruszaliśmy się pod osłoną eukaliptusów i sosen.

Dotarliśmy w ten sposób do pasa między wieżami trzynastą a szesnastą.

Tam właśnie dzwonki milczały. Pablo wyjął z kieszeni opaski na ramię ze znakami DAS i kazał nam je założyć. Sam wcisnął na głowę wojskową czapkę, a na nos słoneczne okulary. Tak mniej więcej ubierali się funkcjonariusze DAS w czasie akcji. Nad domem, z którego uszliśmy, krążyły śmigłowce. Pablo wezwał do siebie załogę jednej z wież obserwacyjnych. Sznurem przygotowanym w tym właśnie celu związał im ręce z tyłu i zaczął ich gnać przed sobą, jakby prowadził jeńców.

Chwilę później natknęliśmy się na oddział żołnierzy.

- Hej wy - przywołał ich Pablo - chodźcie tutaj. Zajmijcie się tymi drabami. Tylko traktujcie ich po ludzku. To chłopcy Pabla - przekazał im czwórkę „jeńców”, wyjaśniając, że my musimy wytropić jeszcze dwóch „ludzi Pabla”, którzy zdążyli uciec. Żołnierze wykonali rozkaz. jednemu z nich - temu, który dźwigał manierkę z wodą - Pablo kazał iść z nami. Po drodze zaczął go wypytywać o rozmieszczenie atakujących grup. Młody wyśpiewał wszystko, jak trzeba. Wtedy Pablo kazał mu zostać na miejscu i czekać, tłumacząc, że my rozejrzemy się w sytuacji i zaraz wrócimy.

Z daleka jeszcze widzieliśmy, że żołnierz stoi wyprostowany jak struna i czeka, jak mu kazano.

My tymczasem dotarliśmy do niewielkiej farmy. Gospodarz i jego żona zorientowali się, kim jesteśmy, i zaprosili nas do środka. Nakarmili, pozwolili odpocząć, a później pożyczyli Pablowi swój samochód. Synowi kazali jechać przodem na motocyklu i sprawdzać, czy droga jest bezpieczna. Tak zakończyła się jeszcze jedna udana ucieczka.

Dwa dni później Pablo wrócił na gościnną farmę. Miejsce w górach, na odludziu, przy malowniczym wodospadzie wpadło mu w oko. zaproponował gospodarzem, że odkupi od nich ranczo, i zaoferował sumę znacznie większą niż realna wartość ziemi i budynków. Zgodzili się chętnie i tym sposobem Pablo zyskał jeszcze jedną kryjówkę.

Za każdym razem, kiedy zaczynało być gorąco, przenosiliśmy się w nowe, z góry opatrzone i odpowiednio przygotowane miejsce. Interesy tymczasem szły zwykłym trybem, co tylko umacniało Pabla w przekonaniu, że w zamian za położenie kresu aktom przemocy władze przystaną na jego warunki, a mianowicie, że nie dojdzie do ekstradycji do Stanów Zjednoczonych. Gdybyśmy zaś mieli pójść do więzienia, to oczywiście tylko w Kolumbii, na względnie krótki okres. Z gwarancją osobistego bezpieczeństwa, Pogoń za Pablem podzieliła społeczeństwo. Biedota stała za

nim murem, inni przeciwnie. Mnie, podobnie jak Pablowi, najbardziej doskwierała rozłąka z rodziną. Zakładaliśmy - co rozumiałe - że rodziny są pod obserwacją, a telefony na podsłuchu, więc w kontaktach z najbliższymi musieliśmy zachować jak najdalej posuniętą ostrożność. Mnie zaś szczególnie ból sprawił fakt, że moje drugie małżeństwo rozpadło się i nic na to nie mogłem poradzić. Byliśmy zbiegami, ale przecież targały nami zwykłe ludzkie uczucia.

Moja druga żona z naszym synkiem, dziesięcioletnim José Robertem, wyjechała do Kartageny - pięknego, nadmorskiego kurortu. Mieliśmy tam własny dom i łódź. Dom małżonka oddała w użytkowanie krewnym, sama zaś zatrzymała się w hotelu. Któregoś ranka oświadczyła, że czuje się źle, ma gorączkę i zostanie w pokoju, a José Roberto ma jechać na wycieczkę łodzią pod opieką ciotek. Nasz synek miał dobre serce, nie chciał zostawiać chorej matki samej, więc na przystani zaczął płakać, że chce wracać. Ciotki upierały się, że nie, on jednak wyrwał im się i pobiegł do hotelu. Zapukał do numeru, ale nikt nie odpowiadał. Pobiegł więc do recepcji.

- Jestem synem Roberta Escobara - powiedział. - Moja mama jest w pokoju, ale nie odpowiada. Rano mówiła, że ma gorączkę. Boję się, czy coś jej się nie stało.

W głębi swojej dziecięcej duszy żywił pewne podejrzenia.

Ludzie z obsługi poszli z moim synkiem na górę. Otworzyli drzwi do numeru. W środku nie było nikogo.

- Wynajmujemy tu jeszcze jeden pokój, mieszka w nim moja ciotka - malec przypuszczał, że jego mama być może jest właśnie tam.

Na pukanie nikt nie zareagował. Więc znów obsługa otworzyła drzwi służbowym kluczem. Moja żona była w jacuzzi z obcym mężczyzną. José Roberto stanął jak wmurowany.

- Tylko nic nie mów tacie. Jesteś za mały, żeby to zrozumieć - poprosiła go.

José Roberto pary z ust nie puścił, ale miał swój rozum - opisał mi wszystko w liście. Byłem zdruzgotany, ale co mogłem zrobić? Nic! Kobiety są jak pieniądze. Też przechodzą z rąk do rąk. Gdybym zaczął się awanturować, żona mogłaby dać znać policji o naszej kryjówce. Miała dostęp do większości mojego majątku. Znała numery kont i szyfry do sejfów. Co więcej, miała przy sobie mojego synka. Leżałem więc nocami, rozmyślając i cierpiąc. Moja żona była piękną kobietą, ale moje uczucie do niej wygasło.

Do dziś jednak nie potrafię zrozumieć jej motywów. Byłem przecież dobrym mężem. Zapewniłem jej pieniądze i miłość - wszystko, co trzeba do szczęścia.

Tak właśnie wygląda życie zbiega. Daleko od rodziny, bez kontaktu ze światem i bez szans na zmianę. O tym, co się dzieje, dowiadaliśmy się z telewizji i z nielicznych rozmów telefonicznych z bliskimi. Czasami streszczali nam informacje prasowe. Na ich podstawie orientowaliśmy się w poczynaniach władz - gdzie zamierzają nas szukać, gdzie koncentrować wysiłki. Żyliśmy z dnia na dzień, mieliśmy świadomość, że koniec może nastąpić w każdej chwili. Zamieraliśmy, słysząc warkot samolotów. Byliśmy stale gotowi do drogi.

Jakieś trzy miesiące po opisaney wyżej ucieczce, kiedy kryliśmy się w starej chacie wysoko w górach, znów ukazał mi się mały ksiądz. Uprzedziłem Pabla otwartym tekstem.

- Znów mam to dziwne przeczucie. Czuję, że jutro zaczną się tu do nas dobierać.

Tym razem Pablo nie zlekceważył mojego ostrzeżenia. Kazał ludziom przygotować muły, juki z wodą i jedzeniem, a broń trzymać w pogotowiu.

Spaliśmy czujnie. Rankiem dostałem wiadomość od swojego człowieka w policji.

- Namierzyli wasi szycują się do ataku.

Wsiedliśmy na muły i ruszyliśmy w góry, zostawiając na farmie gospodarzy i kilkoro naszych ludzi. Zginęli, gdy policja zaatakowała.

Nie jestem przesądny, nie bardzo wierzę w istnienie tajemnego świata, ale przecież mały ksiądz objawiał mi się i ostrzegał. Dlaczego? Nie wiem. Nie objawiał się zresztą stale. Zdarzały się trudne sytuacje, przed którymi mnie nie ostrzegał. Kiedy jednak pojawiał się, wiedziałem, że musi się stać coś złego.

Tak na przykład było w 1990 roku, kiedy kryliśmy się w dżungli, na farmie zwanej Aquitania, jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów od Medellín. Było nas tam razem około czterdziestu osób i nocą objawił mi się mój ksiądz, a ostrzeżenie, jakie mi przekazał, brzmiało nad wyraz poważnie. I rzeczywiście, około czwartej nad ranem dostaliśmy sygnał od czujek wystawionych na zewnątrz, że silny oddział policji jest jakieś osiem kilometrów od nas i posuwa się błyskawicznie w naszym kierunku. Było nas - jak powiadam - czterdzieści osób i na taką liczbę i taką ewentualność

mieliśmy przygotowany specjalny schron ukryty w dżungli mniej więcej trzy kilometry od farmy.

W okolicy mieszkał człowiek nazwiskiem Godoy. Niewtajemniczeni mieli go za drwala, faktycznie jednak pracował dla Pabla. Służył jako przewodnik i on też zbudował ów schron, w którym gromada ludzi mogła przebywać bezpiecznie nawet przez kilka dni.

Kiedy więc rozległ się alarm, Godoy poprowadził nas do schronu. Słyszeliśmy warkot śmigłowców i strzały. Dla mnie i dla Pabla było jasne, że ktoś musiał nas wydać, że w naszych szeregach jest zdrajca. Przy sumach, jakie wyznaczono za nasze głowy, nie było to zaskakujące odkrycie. Tymczasem dotarliśmy do schronu i rozlokowaliśmy się na noc. Popołudniem następnego dnia Pablo wysłał Godoya na zwiady. Godny wyglądał i nosił się jak człowiek z lasu, mieszkał w okolicy (nawiasem mówiąc, niedaleko naszego schronu), nie budził więc podejrzeń.

Policja tymczasem przeczesywała teren. O szóstej po południu przyszła do gospodarstwa Godoya.

- Mieszkam tu z rodziną. Ścinam drzewa, uprawiam trochę kawy - odpowiadał, gdy zaczęto go wypytywać.

Policjanci kręcili się po gospodarstwie około godziny i wreszcie poszli, niczego nie znajdując, niczego nie podejrzewając.

Gdy tylko zrobiło się spokojniej, Godoy wywołał mnie przez radio.

- Wyszli stąd dziesięć minut temu, ale bądźcie ostrożni, są blisko.

Nasza kryjówka była świetnie zamaskowana, niewiele osób o niej wiedziało. Niemniej rozsądek nakazywał zmianę miejsca. Nie wiedzieliśmy bowiem, kto nas mógł zdradzić i co w istocie policja wie. Schron mógł się zamienić w śmiertelną pułapkę. Zaczęliśmy więc szykować się do drogi, kiedy usłyszeliśmy warkot. Nadlatywał śmigłowiec. Podnieśliśmy wzrok. Przez korony drzew zobaczyliśmy wstrząsający obraz. Z otwartych drzwi maszyny zwisał przywiązany za nogi El Negro - jeden z naszych ochroniarzy. On właśnie pomagał Godoyowi przy budowie schronu. Pojęliśmy, że trzeba błyskawicznie uciekać.

Co się stało - dowiedzieliśmy się znacznie później. Otóż policjanci schwytali El Negra na farmie położonej jakieś dwa kilometry od naszej. Przywiązali go za nogi do śmigłowca, zapowiadając: „Albo powiesz, gdzie jest Pablo, albo cię zrzucimy, ty skurwysynu”.

El Negro nie był zdrajcą, ale zaczął mówić. Śmigłowiec wylądował

niedaleko naszego schronu. El Negra odwiązano i policja zaczęła przeczesywać dżunglę. Na szczęście doszło do nieporozumienia między szturmującymi policjantami a wojskiem w śmigłowcach. Ci ostatni otworzyli ogień w przekonaniu, że sylwetki na ziemi to Pablo i jego ludzie. Policjanci też odpowiedzieli ogniem. Wywiązała się strzelanina, wszyscy zaczęli strzelać do wszystkich. W zamieszaniu udało nam się zbiec w głąb dżungli. El Negro też zdołał uciec. Dotarł do pobliskiego miasteczka, gdzie nikt go nie znalazł i gdzie znalazł schronienie na plebanii. Dwadzieścia dni później wrócił do Medellín.

Przez dżunglę prowadził nas Godoy. Wśród towarzyszącej nam czterdziestki byli Otto - nasz zaufany przyjaciel, Gorodo - kucharz, oraz pewien znakomity piłkarz o nazwisku, które później świeciło blaskiem w argentyńskiej lidze piłkarskiej. Za radą Godoya posuwaliśmy się na przełaj, unikając utartych szlaków i ścieżek. „Bo tu policja nie zajrzy” - powtarzał. Ale wędrówka na przełaj jest wyjątkowo trudna i męcząca. Wspinaliśmy się na zbocza porośnięte krzakami i drzewami. Zapadł zmierzch, szliśmy dalej, aż głęboką nocą znaleźliśmy się na terenie kontrolowanym przez partyzantów. Po drodze połowa naszej grupy gdzieś się zapodziała, liczyliśmy, że wkrótce do nas dołączy, a tymczasem w dwadzieścia osób dotarliśmy do niewielkiej chaty, w której mieszkała starsza kobieta i jej syn partyzant. Przerazili się na nasz widok. Wzięli nas za policjantów. Gdy jednak dowiedzieli się, że Pablo to Pablo Escobar, odetchnęli z ulgą. Wielu naszych rodaków miało powody, by bardziej obawiać się policji niż handlarzy narkotyków.

W czasie przedzierania się przez dzikie ostępy nasze ubrania zmieniły się w łańchmany. Kobieta dała mi coś do włożenia po swoim synu. Ten miał prawie dwa metry, więc żeby w ogóle się poruszać w jego ubraniu, musiałem nogawki i rękawy podwiązać sobie sznurkiem.

Dźwigałem ze sobą dobre pół miliona dolarów w gotowce. Zawsze tak postępowałem w przekonaniu, że w pewnych sytuacjach pieniądze są bardziej przydatne niż broń. Kobieta ugotowała nam zupy, zasiedliśmy właśnie do jedzenia, gdy nadszedł jakiś miejscowy wieśniak. Zaproponowaliśmy mu sto tysięcy dolarów, żeby nas wyprowadził z dżungli. Mieliśmy już wyruszyć, kiedy Pablo zorientował się, że nie ma wśród nas Ottona. Kilkunastu z tych, co zawieruszyli się po drodze, już do nas dołączyło, a Otto nie.

- Nie wyjdę stąd bez Ottona - oświadczył Pablo z mocą. Nie obchodziło go, czy tymczasem nadejdzie policja, czy nie, nie chciał zostawiać wiernego i zaufanego przyjaciela na pastwę losu. Ruszyliśmy na poszukiwania We czwórkę - Pablo, ja, jeden z naszych ludzi i ów wieśniak, co zaszedł do chaty. Wzięliśmy latarki i zaczęliśmy iść gęsiego. Z oddali dobiegał warkot silników i szum łopat śmigłowców. Krążyły nad dżunglą, na ślepo ostrzeliwując teren. Pociski targały koronami drzew. Co kilka minut nawoływaliśmy Otta. W końcu odezwał się. Krzyknął, że jest ranny. Zdążyłem już poznać dżunglę na tyle, żeby wiedzieć, że głos błądzi w gęstwinie i bardzo trudno zlokalizować miejsce, skąd dochodzi. Wieśniak kazał nam zachować ciszę i stanął na czele naszego małego orszaku. Prawie godzinę przedzieraliśmy się przez zarośla, nim wreszcie znaleźliśmy Ottona. Okazało się, że się potknął i wpadł w głęboką rozpadlinę. Rozorał sobie twarz i chyba złamał rękę. I znów godzinę trwało, nim udało nam się wreszcie uwolnić przyjaciela z objęć dżungli.

Opuściliśmy farmę jeszcze tej samej nocy. Dałem gospodarzem pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Nigdy nie widzieli amerykańskich pieniędzy, musiałem więc objaśnić im, co to jest i ile jest warte. Ostrzegłem, żeby odczekali parę miesięcy, zanim pójdą wymienić je na peso, i żeby za każdym razem wymieniali niewielką kwotę, bo w przeciwnym wypadku sprawą może zainteresować się policja, a gdy dowie się, skąd mają pieniądze, może ich zabić. Przed opuszczeniem farmy połączyliśmy się z jednym z naszych ludzi, aby podrzucił nam trochę zapasów i niezbędnych rzeczy. Odpowiedział, że trwa wielka operacja przeciwko nam, że wojsko i policja obsadziły cały teren i lepiej będzie, jeśli zostaniemy w ukryciu w dżungli jeszcze przez kilka dni.

Tak też zrobiliśmy. Krążyliśmy po dziczy już nie pamiętam ile dni, w końcu przewodnik narysował nam mapę z wytyczonym szlakiem do mostu nad rzeką Samaná. Za nią miało być bezpiecznie.

Tymczasem przy jednej z bocznych ścieżek spotkaliśmy się z naszymi ludźmi, którzy przywieźli zaopatrzenie: jedzenie, odzież, śpiwory, lekarstwa - wszystko, co trzeba, żeby przetrwać w dżungli. I znów ruszyliśmy przed siebie. Jako były sportowiec, miałem sporo siły, ale i dla mnie marsz przez dżunglę okazał się wyczerpujący. Dla innych jeszcze bardziej, z trudem nadążali. Po dwóch dniach natknęliśmy się na kolejną niewielką farmę. Mieszkała tam rodzina - gospodarz, jego żona i dwóch dorosłych synów. Kiedy Pablo oświadczył, że należymy do partyzantów, gospodarz przecząco

pokręcił głową.

- Wiem, kim jesteście. Wszędzie o was głośno.

W domu nie było prądu, a więc i telewizora, tylko małe radio na baterię. No i właśnie z radia nasi gospodarze dowiedzieli się, że Pablo z bratem kryją się w dżungli, a rząd wyznaczył nagrody - po dziesięć milionów dolarów - za ich głowy.

- Nie martwcie się - uspokajali nas gospodarze. - Nie chcemy mieć nie wspólnego z władzą.

Zaprosili nas do środka. Kobieta zabrała się do przygotowania posiłku. Uznaliśmy, że możemy tam zostać do jutra.

Obudziłem się o czwartej, akurat wtedy, gdy jeden z synów wychodził cichaczem z domu i znikał w dżungli. Obudziłem Pabla.

- Daj spokój - zbył mnie. - Poczekajmy do rana. Wtedy dowiemy się, gdzie ten chłopak poszedł.

Czułem wewnętrzny niepokój, uznałem, że nie wolno czekać. Wstałem, zacząłem się krzątać, robiąc tyle hałasu, że wszyscy się obudzili.

- A gdzie wasz syn? - spytałem gospodarzy, starając się, aby zabrzmiało to jak pytanie zadane z czystej ciekawości.

W odpowiedzi usłyszałem, że syn poszedł do sąsiadów pożyczyć siekiere, żeby narąbać drewno do kuchni.

- Chcemy wam ugotować coś porządnego, a drewna zabrakło - uspokajali mnie.

W naszej sytuacji nie wolno ufać nieznajomym. Tymczasem udaliśmy się nad pobliskie jezioro, żeby się umyć i odświeżyć. Wracając, zauważyłem ogromny stos drewna za domem. A więc nasz gospodarz kłamał!

- Nic po sobie nie pokazuj - szepnął do mnie Pablo, a głośno zapowiedział, że najpierw coś zjemy, a dopiero potem wyruszymy dalej. Cały Pablo! Zawsze spokojny. Ledwie zaczęliśmy jeść, gdy rozległ się daleki warkot samolotu. Leciał wysoko, ale nie był to szlak rejsowych maszyn. A więc wojsko!

- Leci za wysoko. To nie może być samolot zwiadowczy - ocenił Pablo.

- Chyba jednak tak. Znasz mnie. Czasami mam niezłe przeczucia - odparłem. I miałem rację, bo po chwili dobiegł nas szum łopat śmigłowca. Maszyny jednak nie było widać.

Ponownie zapytałem naszego gospodarza o syna.

Odrzekł, że wróci wieczorem. Dziwne - pomyślałem. Wcześniej mówił,

że syn poszedł narąbać drewno na obiad, a teraz, że wróci dopiero wieczorem?

- Zbierajmy się - ponagliłem Pabla. -- Nie chcę wywoływać wilka z lasu, ale wygląda mi na to, że synalek poszedł do miasteczka na policję i już zaczęli nas szukać.

Chciałem ruszać natychmiast, Pablo jednak wołał poczekać. W tej sytuacji zapytałem, kto chce iść ze mną. Zgłosiło się kilku ludzi. Z Pablem umówiliśmy się na kontakt radiowy. Po mniej więcej godzinie marszu znów usłyszeliśmy warkot śmigłowca. Ukryliśmy się w cieniu drzew. Maszyna - wojskowa - leciała tak nisko, że widać było ludzi siedzących w środku, a między nimi - Widziałem jak na dłoni - siedział synalek naszych gospodarzy.

Wywołałem Pabla.

- Widziałem sukinsyna w śmigłowcu. Dobierają się do nas.

Pablo ze swoimi zdążył czmychnąć w gęstwinę, tak że załoga śmigłowca ich nie namierzyła. Policja zwykła strzelać na oślep, wojsko tylko do widocznych celów. Z Pablem i jego grupą połączyliśmy się tuż przed mostem nad rzeką Samaná. Zostało nas tylko dwunastu. Mieliśmy już ruszyć przez most, gdy zauważyliśmy, że z drugiej strony nadchodzi wojsko. Wycofaliśmy się, nie zwracając na siebie uwagi. Most okazał się niedostępny, jedyne wyjście to przepłynąć na drugi brzeg. Zadanie wyjątkowo nudne. Rzeka płynęła wartko, a my po niedawnej dostawie mieliśmy sporo bagażu. Prąd zepchnął nas dobre pięć kilometrów w dół rzeki. Jeden z naszych, zwany Uszatkiem, bo miał rzeczywiście ogromne uszy, zaczął tonąć. Pablo, znakomity pływak, ruszył mu na pomoc. Uszatek w panice przyłgnął do niego i nieomalże pociągnął na dno, ale udało się, wyszli na brzeg.

Byliśmy przemoczeni i wyczerpani, ale też mieliśmy świadomość, że musimy jak najszybciej iść dalej. W takich opałach jeszcze nie byliśmy. Stale słyszeliśmy warkot śmigłowców. Szukali nas. Maszerowaliśmy do późna w nocy, w końcu rozłożyliśmy się obozem. Rozbiliśmy namioty, maskując je gałęziami i liśćmi. Tymczasem rozpadało się i zrobiło piekielnie zimno. Zasyпалиśmy wtuleni w siebie, żeby nie zamarznąć. Za poduszkę miałem walizkę z pieniędzmi, bo nadał ją dzwigałem. Woń nasiąkniętych wodą banknotów przyprawiała mnie o ból głowy. I wtedy właśnie pomyślałem, jak pieniądze niewiele znaczą. Miałem setki tysięcy, cały majątek, a brakowało mi rzeczy najprostszych: suchego koca i ciepłej strawy. Gotów byłem wzniecić ognisko i spalić banknoty do ostatniego, aby tylko

trochę się ogrzać.

Czas, gdy pławiliśmy się w luksusach Nápoles, zdawał się tak odległy jak początek świata. Teraz walka szła już tylko o życie.

Późno w nocy z półsnu wyrwał nas potężny huk. coś jakby wybuch wielkiej bomby. Zerwaliśmy się na równe nogi, gotowi do ucieczki.

- Bombardują nas! - szepnąłem do Pabla.

Nie odpowiedział, wyszedł z namiotu Zobaczyć, co się dzieje. To nie był wybuch. Deszcz podmył skałę nad nami i wielki odłam potoczył się w dół. Tuż nad naszym biwakiem odbił się w górę i przeleciał łukiem nad nami. Dalej potoczył się do rzeki, niszcząc po drodze sporo drzew. Byłem zdania, żeby natychmiast opuścić obozowisko.

Pablo uznał jednak, że istnieje małe prawdopodobieństwo, aby jakiś inny złom skalny potoczył się tą samą drogą, a dalej może być tylko gorzej. Zostaliśmy więc na miejscu, ale chyba nikt z nas do rana już nie zasnął.

Rankiem znów ruszyliśmy w drogę. Przedzieraliśmy się przez dżunglę. Czmychające na odgłos kroków węże, trujące żaby i inne dzikie bestie przydawały grozy naszej ucieczce. Na szczęście uciekały na nasz widok. Wędrowaliśmy tak przez dwa dni. Wodę do picia czerpaliśmy z napotkanych stawów i jezior. Z jedzeniem było gorzej. Zapasy wyczerpały się. Zostało nam już tylko trochę czekolady i orzeszków ziemnych Koce i namioty zaczęły gnić od wilgoci i nie nadawały się już do niczego. Sytuacja stawała się dramatyczna. Wreszcie znaleźliśmy się na terenie kontrolowanym przez partyzantów spod znaku FARC 47, ale żadnego z nich jeszcze nie spotkaliśmy. Natknęliśmy się natomiast na niewielką bazę z zapasem wody, jedzenia, hamaków i broni. To uratowało nam życie, przynajmniej ja tak uważam. Rzuciliśmy się na jedzenie, a potem po kolei, bo legowisk było mniej niż osób w naszej grupie, podrzemywaliśmy w hamakach. Nie bez kolejnych przygód. Na śpiącego Ottona wpełzła tarantula. Uratował go Pablo. Wziął gałązkę, zwabił olbrzymiego pająka, a gdy ten wczepił się w liście, energicznie strzepnął go w krzaki.

Odpočzęliśmy, odżyliśmy i znów ruszyliśmy w drogę. Dotarliśmy do miasteczka Sama Isabelle opanowanego przez partyzantów. Przyjęli nas przyjaźnie. Wyspaliśmy się, objedliśmy się jak nigdy. Później, w obawie, że ktoś może donieść o nas policji, partyzanci przeprowadzili nas do sąsiedniego miasteczka St. Carlos. Tam czekali już na nas nasi ludzie - Jose Fernando i Gnayabita. Przyjechali ciężarówką i zabrali nas do El Peñol, gdzie Pablo miał

farmę.

Trzydziestodniowa wędrówka przez dżunglę kosztowała nas sporo zdrowia. Wielu z nas zapadło na gorączkę, a ja trafiłem do szpitala. Umieszczono mnie tam pod fałszywym nazwiskiem. Trzy dni leżałem bez zmysłów. Robiono mi zimne prysznice na zabicie temperatury. W malignie krzychałem, że chcę widzieć Pabla. Na szczęście nikt nie skojarzył, że chodzi o najbardziej poszukiwanego Pabla na świecie.

Pablo też chorował, ale został na farmie. Dla bezpieczeństwa najął bandę z Medellín, żeby czuwała nad nami.

To prawda, że w ucieczce straciliśmy kilkunastu ludzi, ale uszliśmy z życiem z wielkiej obławy, do której władze zaangażowały i policję, i wojsko. Kiedy już wydobrzeliliśmy, przenieśliśmy się z Pablem i kilkoma najbardziej zaufanymi ludźmi, jak choćby Otto, do Medellín, uznając, że tam będzie bezpieczniej.

Wkrótce po ucieczce przez dżunglę Pablo postanowił zmienić strategię bezpieczeństwa. Uznał, że zamiast poruszać się w dużej grupie trzydziestu albo i więcej ludzi, łatwiej i rozsądniej będzie mieć przy sobie tylko dwóch ochroniarzy. To zapewni nam także większą dyskrecję. Czasami zatrzymywaliśmy się w domach zaufanych, choć niemających związku z naszym biznesem ludzi. Po mieście chodziliśmy w przebraniu. Od razu dodam, że pogłoski, iż Pablo przebierał się za kobietę, są fałszywe. Owszem, przyklepaliśmy sobie sztuczne wąsy, czasami wkładaliśmy peruki i zawsze odpowiednie stroje. Udawaliśmy na przykład lekarzy, drogowców albo taksówkarzy. Nadal prowadziliśmy konferencje z przedstawicielami władz i prawnikami w sprawie ewentualnego układu. Spotkania te odbywały się z reguły za miastem, a naszych rozmówców dowożono na miejsce z zawiązanymi oczami.

Tego, co zdarzyło się pierwszego grudnia 1990 roku, w urodziny Pabla, nie zapomnę do końca życia. Przebywaliśmy wtedy w bardzo pięknym domu. Ochroniali nas Otto i Tłuscioch (*El Gordo*). Po tym, co przeszliśmy, miło było posiedzieć w ciszy i spokoju. Przy śniadaniu wszyscy złożyli życzenia Pablowi, a był w doskonałym nastroju. Liczył, że już wkrótce dojdzie do porozumienia z władzami.

- Dziś się zabawimy. Wydaje przyjęcie - zapowiedział. - Sprowadzę orkiestrę. Uwielbiam muzykę na żywo.

Wydawało mi się, że żartuje. Co to znaczy sprowadzić orkiestrę? Przecież

zaraz po wyjściu od nas jak nie cała kapela, to któryś z muzyków poleci na policję z donosem, gdzie nas można znaleźć. Policji - nawiasem mówiąc - zależało nie tyle na aresztowaniu Escobarów, co na uśmierceniu nas obu.

- Z całym szacunkiem, braciszku, nie rozumiem. Chcesz sprowadzić orkiestrę?

- Właśnie. Nie wpadaj w panikę, wszystko będzie OK - odparł z uśmiechem.

Nigdy nie kłóciliśmy się, ale tym razem się wściekłem. Czasami miałem wrażenie, że zwyczajnie nie wierzy, aby miał kiedykolwiek wpaść w ręce władz. Ale pomyśl z orkiestrą to tak, jakby kotu powierzyć opiekę nad kanarkiem. Bez sensu. Po południu, kiedy oglądaliśmy telewizję, Pablo zawołał El Gordo i kazał mu sprowadzić kapele.

- Dość tego, Pablo - w końcu nie wytrzymałem. - To przestaje być śmieszne.

Pablo jednak się uparł. Posłał El Gordo po muzyków.

Poszedłem na górę spakować swoje rzeczy. Raz jeszcze spróbowałem przemówić Pablowi do rozsądku.

- Jesteś moim bratem, kocham cię, ale nie rozumiem twojego postępowania. Jak zjawi się tu ta poparzona orkiestra, poczekam chwilę, ale zaraz potem wynoszę się. Jestem spakowany, pieniądze mam, nie będę tu siedział.

Rozmawialiśmy przez godzinę, wspominając wspólne chwile. Na koniec Pablo powiedział tak:

- Też cię kocham, braciszku. Byłeś przy mnie we wszystkich kłopotach, ale daj sobie powiedzieć, że to nieładnie zostawiać brata w dniu jego urodzin - zaśmiał się krzywo.

Byłem pewien, że właśnie nadszedł czas, żeby każdy z nas poszedł własną drogą.

Pablo zszedł na dół. Musiało tam być wesoło, bo dobiegały do mnie głośnie śmiechy. Wziąłem prysznic, przebrałem się, zamknąłem walizkę i też zszedłem na dół. Jakie było moje zdumienie, gdy zobaczyłem kapelę. Sześciu niewidomych muzyków!

Ślepi, cała szóstka! Nie wiedziałem, śmiać się, płakać czy się wściec. Numer w stylu Pabla. Zaskoczył wszystkich. To było wspaniale. A na dodatek zamówił kolację z owoców morza. Jedliśmy homara, kraby, ośmiornicę, popijaliśmy portugalskie porto. Do stołu zasiedli także muzycy.

Co za wieczór!

Pod koniec przyjęcia muzycy chcieli odśpiewać *Happy Birthday*, zapytali w związku z tym o imię solenizanta. Zapadła cisza. Przerwał ją Pablo.

- W porządku - powiedział. - Tylko nie przestraszcie się. Solenizantem jest Pablo Escobar.

Muzycy po prostu nie uwierzyli, ale oczywiście zaśpiewali.

Na zakończenie Pablo kazał wypłacić im po dwadzieścia tysięcy dolarów. Zrobiłem to osobiście. Uwierzyli wreszcie, że grali i śpiewali dla Pabla Escobara. Mieli banknoty w dłoniach. Pablo wytłumaczył im, że to dolary i ostrzegł, żeby nie wymieniali wszystkiego od razu i raczej udali się do kogoś zaufanego, bo w przeciwnym wypadku mogą wpaść w kłopoty.

El Gordo z Ottonem odwieźli ich do domów. Byliśmy spokojni. Ze strony orkiestry nie groziło nam żadne niebezpieczeństwo. Nawet gdyby komuś powiedzieli, że grali dla Pabla Escobara, to i tak nic mogliby wskazać miejsca, gdzie to się odbyło.

Mimo że brzmi to zdumiewająco, wręcz nieprawdopodobnie, to jednak przez cały ten czas biznes stałe się rozwijał, nie nadążaliśmy za popytem. Największym problemem był transport, a ściślej przemysł na teren Stanów Zjednoczonych. Pablo z pilotem Jimmim Ellardem kupili używaną maszynę DC-3. Miała taki zasięg, że mogła z Kolumbii dolecieć do Nowej Szkocji w Kanadzie. Plan był taki, że stamtąd towar przewiezie się lądem do Nowego Jorku. Ale zamiar spalił na panewce. W czasie lotu próbnego w Kolumbii samolot został postrzelany jak sito. Któryś z naszych ludzi zapomniał, żeby uprzedzić - i oczywiście odpowiednio wynagrodzić - lokalną kontrolę lotu. Podniósł się alarm i wojskowe odrzutowce ostrzelały naszą maszynę tuż po lądowaniu. I pomyśleć, że taki wspaniały plan rozbił się o głupie dwadzieścia tysięcy dolarów! W naszym, że tak powiem, przedsiębiorstwie korzystaliśmy z rozmaitych maszyn, od piperów takich jak ten, który Pablo umieścił nad bramą w Nápoles, po wielosilnikowe odrzutowce i własne konstrukcje. Te ostatnie powstawały pod okiem Domingueza jako składaki z różnych części. Flota Pabla liczyła więcej maszyn, niż ma niejeden narodowy przewoźnik. Ellard zaczął nawet kombinować, żeby zdobyć samolot niewidoczny dla radaru. W takiej konstrukcji używa się jak najmniej metalu. I rzeczywiście, kupiliśmy maszynę Rutan Defiant zbudowaną niemal w całości z plastiku. Szykowaliśmy się nawet do wymiany śmigła z metalowego na plastikowe. Niestety, szczęście nam nie dopisało. W czasie pierwszego lotu zerwała się

osłona kokpitu, wpadła w śmigło umieszczone z tyłu kadłuba. Zniszczeń nie udało się już naprawić.

Nadal jednak dochody z biznesu pozwalały gładko przechodzić nad podobnymi stratami do porządku dziennego.

Cały czas żyliśmy w obawie, że za każdym rogiem czai się śmierć. Nie tylko my - wszyscy z Medellín, a Pablo przekonał się o tym dobitnie w grudniu 1989 roku.

Pablo i Gacha Meksykanin pozostawali w zażyłych stosunkach. Nawet się przyjaźnili. Być może dlatego, że byli najpotężniejsi w biznesie i mieli największą władzę. Nikt nie mógł się z nimi równać. I właśnie ich władze umieściły na czele listy poszukiwanych. W rzeczy samej wydały im wojnę i praktycznie tylko im. Wiadomo było, że płynącej do Ameryki rzeki narkotyków nie da się ani zatamować, ani wstrzymać. W tej sytuacji władze uznały, że sukcesem będzie schwytanie obu szefów narkobiznesu. Na ten właśnie cel Stany Zjednoczone dały rządowi Kolumbii ponad sześćdziesiąt milionów dolarów, pomogły wyszkolić wojsko i opracować plan zatrzymania Pabla i Gachy. Kartel z Cali oraz pomniejsze grupy z Bogoty i północnych regionów kraju zostawiano w spokoju. Jednocześnie Ameryka wywierała nacisk na prezydenta Virgilia Barca, żeby wzmógł wysiłki na rzecz zatrzymania przemytu narkotyków. I owszem, władze zajmowały konta bankowe i majątek handlarzy, ale szefowie narkobiznesu ciągle przebywali na wolności. Ameryka spotęgowała presję. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie będzie mogła ogłosić sukces na czołówkach gazet.

Meksykanin, podobnie jak Pablo, zorganizował prywatne wojsko do ochrony biznesu i własnej osoby, a także do zwalczania wrogów. Ochrona osobista była szczelna. Szefów pilnowano jak oka w głowie, stale obserwowano otoczenie, sprawdzane skrupulatnie każde miejsce, gdzie się udawali. Ale obaj, i Pablo, i Gacha, mieli słaby punkt, mianowicie rodziny. Dla bliskich gotowi byli poświęcić wszystko. I władze o tym wiedziały. Pablo zaś nigdy tej lekcji nie odrobił.

Wedle policji operacja przeciwko rodzinie Gachy wyglądała tak, że najpierw we wrześniu w czasie pewnej spektakularnej akcji zatrzymano jego syna Fredy'ego. Oficjalnie oskarżono go o nielegalne posiadanie broni, wiadomo jednak, że chodziło o ojca. Po dwóch miesiącach syna wypuszczono, z tym jednak, że pilnie śledzono każdy jego krok, a Fredy udał się nie gdzie indziej, tylko do ojca, który przebywał wtedy na malej farmie w

Tolu, godzinę jazdy na południe od Kartageny. Wojsko przypuściło atak. Meksykanin zginął, choć do końca nie wiadomo jak - nikt nie ustalił, czy od strzałów żołnierzy, czy z własnej ręki, czy padł w walce, czy w czasie próby ucieczki. Śmierć poniósł także Fredy i piętnastu ludzi z osobistej ochrony Gachy,

W dniu pogrzebu piętnaście tysięcy ludzi wyległo na ulice Pacho - rodzinnego miasta Meksykanina. Wszyscy chcieli oddać mu hołd. Policja musiała otoczyć cmentarz, aby rodzina mogła pożegnać zmarłego bez gapiów i dziennikarzy. Pablo bolał nad śmiercią Gachy. Powtarzał, że uprzedzał Meksykanina, że ma w organizacji kreta. Ten jednak nie chciał wierzyć. Pablo był niemal pewien, że Gachę w istocie wydał wspólnik i przyjaciel. Jeszcze do dziś krążą wieści, że tak naprawdę było.

Ale śmierć zbierała już obfite żniwo i mój brat zdawał się z tym godzić. Czy miał świadomość, że i jego czeka taki los? Myślę, że zdawał sobie sprawę, że przyjdzie mu zapłacić za to, co czynił, ale nie sądzę, aby żywił lęk przed śmiercią. Wobec mnie przynajmniej nigdy nie zrobił żadnego gestu, nie wypowiedział słowa mogącego wskazywać, że się boi. Myślę też, że bitwa w Tolu umocniła go w przekonaniu, że nadal powinien zadawać dotkliwe straty stronie rządowej, aby zmusić władze do poczynienia odpowiednich kroków w celu położenia kresu przemocy w ogóle. Niech władze zmienią konstytucję w sposób wykluczający ekstradycję, wtedy on - Pablo - przyjmie wyrok, odsiedzi swoje, zapłaci choćby nie wiem jaką grzywnę, ale odzyska swobodę. Negocjacje z rządem prowadził w naszym imieniu cały zespół prawników i nie tylko prawników, bo także księży. Rozmowy ciągnęły się od wielu miesięcy.

Trzynastego stycznia 1987 roku wojna nasiliła się jeszcze bardziej i powstał nowy front. Zacznę jednak od tego, że Pablo zbudował dla siebie i rodziny wspaniałą pięciopiętrowy dom w najbogatszej i ponoć najbezpieczniejszej dzielnicy Medellín. Nazwał go Monaco. całe jedno piętro zajmowała jadalnia, inne - małżeńska sypialnia, na ostatnim Pablo kazał urządzić penthouse. Ściany zdobiły obrazy Picassa, Botera, ekwadorskiego mistrza Guayasamina i innych wielkich artystów warte wiele milionów dolarów. Posadzki wyłożono marmurem sprowadzanym z zagranicy. Do budowy i wykończenia użyto najlepszych materiałów.

Monaco było wyjątkowo bezpieczne. Dom wspierał się na konstrukcji ze wzmocnionej stali. Zainstalowana w nim pierwszy w Kolumbii system

monitoringu telewizyjnego. Budowniczym kazano także zbudować we wnętrzu specjalnie zabezpieczone pomieszczenia-kryjówki dla rodziny na wypadek, gdyby ewentualni zabójcy wdarli się do środka. Pablo nazywał Monaco swoim zamkiem.

Tego dnia, o którym tu mowa, Pablo zjadł kolację z rodziną, a gdy dzieci poszły spać, wymknął się z Monaco i w tajemnicy pojechał na położoną jakieś piętnaście kilometrów od miasta farmę. O piątej trzydzieści rano budynkiem wstrząsnęła eksplozja. Wybuchła bomba o ogromnej sile. Monaco legło w gruzach, a huk i wstrząs obudziły pół miasta. Był to pierwszy zamach bombowy w naszym kraju. Ja w tym czasie przebywałem jakieś trzy kilometry od Monaco. Wybuch również i mnie obudził. Natychmiast pośpieszyłem do matki.

- Nikt jeszcze nie wie, co się dzieje w mieście - powiedzieli mi policjanci.
- Tu jest spokojnie, ale ludzie mówią, że gdzieś wybuchła bomba.

Owszem, oglądaliśmy efekty zamachów bombowych w telewizji, ale zawsze daleko od nas, teraz przyszło nam doświadczyć wybuchu bomby na własnej skórze. Od matki pojechałem do Monaco. Policja zatrzymała mnie kilka przecznic przed celem, mówiąc, że w domu Pabla Escobara wybuchła bomba. Zamurowało mnie. Bomba?! Władze nigdy nie uciekały się do takich rzeczy.

Kiedy dotarłem na miejsce, zobaczyłem ogrom zniszczeń. Dołączyłem do policjantów, którzy już zaczęli przeczesać rumowisko. Odnaleźliśmy Marię z dziećmi. Na szczęście nic im się nie stało, ale byli mocno wystraszeni. Sufit załamał się niemal tuż nad kołyską ze śpiącą Manuelą. Trochę trwało, nim ratownicy zdołali ją wynieść. Wezwałem ochroniarzy, kazałem odwieźć Marię z dziećmi w bezpieczne miejsce.

Zaraz potem pojechałem do Pabla.

- Coś się stało, ale nie martw się, wszystko jest w najlepszym porządku - zacząłem.

- Wiem - przerwał mi Pablo. Zdumiałem się. Skąd zdążył się dowiedzieć?
- I wiem, kto to zrobił.

Jak się okazało, pół godziny temu zadzwonił do niego Gilberto Rodríguez Orejuela z kartelu z Cali. Dzwonił oczywiście na specjalny, zastrzeżony numer.

- Pablo? Właśnie dowiedziałem się, że ktoś podłożył bombę u ciebie w domu.

Brat jeszcze niczego nie wiedział, ale nie dał po sobie poznać.

- Wiem - odparł krótko.

- Już wysłałem człowieka, żeby sprawdził, czy czegoś nie potrzebujesz. A jesteś tam na miejscu?

W mieście już pojawiły się pogłoski, że za zamachem stoi DAS, ale Pablo wiedział swoje. Bombę podłożyli ludzie z Cali. Zamach głęboko nim wstrząsnął, ale na razie milczał. Powiedział tylko, że musi najpierw sprawdzić pewne swoje przypuszczenia.

A ja zwyczajnie niczego nie rozumiałem. Pamiętam, że z Cali robiliśmy czasami pewne interesy. Pablo trzymał pieniądze w ich banku. Zналиśmy ludzi, którzy pracowali jednocześnie dla obu karteli i nigdy z tego tytułu nie mieli żadnych kłopotów. Pablo jednak wiedział lepiej. Miał - jak powiedział - swoje przypuszczenia i niebawem miał okazję je sprawdzić.

Znal Kolumbię jak mało kto, wiedział więc, że takiej bomby w kraju nikt nie zdołałby zbudować w tajemnicy przed nim. Wszędzie miał swoich ludzi, wiedział, co, ino i gdzie szykuje. Ładunek z całą pewnością musiał powstać za granicą. Pamiętał także, że pewien jego dobry znajomy - nazwijmy go Reuben - siedział w Hiszpanii w więzieniu razem z Gilbertem Rodriguezem Orejuelą. Zaraz się z nim skontaktował i dowiedział się, że dokładnie w tym samym czasie co Reuben i Rodríguez, w tym samym więzieniu siedział pewien baskijski bojówkarz z ETA - dalej będę go nazywał Producentem. Otóż ów Producent uchodził za wybitnego specjalistę od bomb i ładunków wybuchowych.

- Kiedy wyszedłem z pułki, pojechałem do Cali pomodlić się. I trafił chciał, że w hotelu natknąłem się na Producenta. Nawet okiem do mnie nie mrugnął - relacjonował dalej Reuben.

Na prośbę Pabla Reuben zgodził się odnaleźć Producenta. Jak się okazało, nadal przebywał w Kolumbii, szukając dojsć do handlarzy narkotyków. Chciał kupić towar na użytek rynku hiszpańskiego. Każdy, kto był, a nawet tylko zaczynał w narkobiznesie, miał świadomość pozycji Pabla Escobara. Gdy więc Reuben zaproponował Producentowi wizytę w Nápoles, ten zgodził się z największą ochotą. Na początku Pablo rozmawiał z nim o tym i owym, potem przeszedł do rzeczy.

- Słyszałem, że garowałaś z moim przyjacielem. Chciałbym, żebyś mi oddał pewną przysługę - wyszkolił moich ludzi.

W zamian za „przysługę” Pablo zaoferował Producentowi partie kokainy

po atrakcyjnej cenie.

- ...i gotów jestem podesłać ci więcej *loco* Hiszpania, taniej niż ktokolwiek inny - dodał. - Tylko musisz nauczyć moich ludzi, jak się robi bomby.

Zaraz potem zmienił nieco temat i zapytał, nie dając nic po sobie poznać, czy Producent pracował już dla kogoś w Kolumbii.

- Owszem. Przed laty poznałem kogoś w więzieniu w Hiszpanii i właśnie ów ktoś sprowadził mnie tutaj, aby wyszkolić jego ludzi.

Nauczyłem ich wszystkiego: z czego i jak sporządzić ładunek, jak ukryć - na przykład w samochodzie - jak odpalać.

Pablo zapytał, kogo szkolił.

- Indianina. Tak go zwali. A zlecenie dał mi pewien facet z Cali.

Powiedział, że bomby użyją przeciwko komuś z władz.

- Coś ci powiem. Pomogę ci w sprawie narkotyków, ale musisz wyszkolić moich ludzi. Tymczasem dostaniesz dwieście tysięcy dolarów na koszty pobytu. Dostaniesz więcej, kiedy wyszkolisz moich ludzi. A tę bombę podłożono u mnie.

Producent zbladł jak ściana. Był pewien, że wybiła jego ostatnia godzina.

- Właśnie tak. Próbowano mnie zgładzić za pomocą twojej bomby. Ale nie mam do ciebie pretensji. Przecież nie wiedziałeś, że to o mnie chodzi. Teraz musisz popracować dla mnie.

Producent przystał na propozycję. Zdawał sobie sprawę, że Pablo to poważny człowiek. Rozpoczął szkolenie. Później wrócił do Hiszpanii na fałszywych papierach i rozwinął interes, bazując na dostawach Pabla.

Bracia Orejuela, Gilberto i Miguel, zorientowali się, że Pablo już wie, że Cali zaczęło wojnę. Gilberto zadzwonił do Pabla.

- El Patrón, proszę. Nic takiego nie zrobiłem - błagał.

- Przestań pieprzyć. Sprawa jest oczywista. Nie pamiętasz, że sam zadzwoniłeś do mnie zaraz po zamachu? A pamiętasz tego gościa, z którym siedziałeś? Przyjmij do wiadomości, właśnie z nim rozmawiałem. Wszystko mi powiedział. Zamach na mnie to twoje dzieło. Zaczęłeś wojnę, więc szykuj się na cios z mojej strony.

Cali nie skapitulowało. Parę miesięcy po Monaco przeprowadziła kolejny zamach bombowy. Tym razem celem był dom naszej matki. O czwartej trzydzieści wybuchł ładunek podłożony w samochodzie. Matka leżała w łóżku w sypialni na trzecim piętrze. Od wybuchu wielki obraz Dzieciątka

Jezus wiszący na ścianie tuż za jej wezglowiem spadł na łóżko, szczęśliwie osłaniając mamina głowę i piersi. Ale na nogi posypały się odłamki szkła. Guillermina, przyjaciółka, która stała mamie towarzyszyła, odwiozła ją na pogotowie.

Nasza siostra Marina, mieszkająca ze swoją rodziną w tym samym domu na czwartym piętrze, też trafiła do szpitala. Była w szóstym miesiącu ciąży. Wstrząs wywołał bóle porodowe. Urodził się wcześniak. Przez kilka tygodni lekarze trzymali go w inkubatorze, ale udało się go uratować. Nie obyło się jednak bez tragedii. Od wybuchu zginęła jedna osoba ze służby siostry.

Gloria, starsza siostra, rezydująca na piątym piętrze, została raniona odłamkiem i też trafiła do szpitala. Na szczęście nikt z rodziny nie zginął. Sam budynek legł w gruzach. Mama straciła wszystko, co miała. W okolicznych domach wypadły wszystkie szyby. Pablo potępił zamach w wypowiedzi dla prasy. Rząd jednak wołał zamieść sprawę pod dywan i wydał zakaz publikowania czegokolwiek na temat zamachu, jego skutków i ofiar, więc opinia publiczna o niczym nie wiedziała.

Z początkiem wojny Gilberto Orejuela najął bandę zawodowych zabójców z Medellín znaną jako Los Briscos, z której usług korzystali rozmaici handlarze narkotyków. Szef Los Briscos skontaktował się z Pabłem.

- Jesteśmy z Medellín, więc nie do ciebie nie mamy, ale Orejuela obiecuje mi pięć milionów dolarów za twoją głowę.

Pablo wysłuchał tego z całym spokojem, a potem powiedział, że właśnie organizuje własne wojsko i Los Briscos może do niego przystąpić.

- Masz tu pięć milionów i od tej chwili będziesz pracować dla mnie. A tymczasem udowodnię ci, że z Orejuelą nie warto się zadawać. Facet jest cienki. Idź do niego, powiedz, żeby ci dał milion, bo potrzebujesz na broń, żeby wykonać zlecenie. Pokaż mu parę moich zdjęć. Takich niby zrobionych z ukrycia, żeby go przekonać, że już mnie wysłedziłeś, a reszta to pestka.

Facet trochę się opierał, ale Pablo kazał mu pójść do Orejueli.

I rzeczywiście, facet pojechał do Cali, pokazał Orejueli zdjęcia, ale dostał od niego tylko marne pięć tysięcy dolarów.

- Widzisz - rzekł Pablo - jaki jest cienki. Gdybyś mnie dopadł, dalby ci najwyżej dwa miliony albo i mniej.

I tak Los Briscos zaczęli pracować dla Medellín. Zrozumieli, że Pablo nie będzie skąpił tak jak ci z Cali.

Dla Pabla zaś cały ten incydent z najmowaniem zabójców stanowił

ostateczny dowód, że Cali ma go na muszce. Ale zasadnicze pytanie brzmi - dlaczego kartel z Cali rozpętał wojnę? Jednoznacznej odpowiedzi nie ma. Wedle niektórych teorii chodziło po prostu o biznes. Pablo zarabiał krocie, a Cali też chciało więcej. Zdaniem DEA kartel z Medellín kontrolował osiemdziesiąt procent kokainy przemywanej do Stanów Zjednoczonych. Nie brak jednak opinii, że proporcje układały się wręcz odwrotnie. Cali kontrolowało Nowy Jork i Chicago, Medellín - Miami i Los Angeles, Pablo pragnął wejść na rynek nowojorski. W tym celu wysłał tam Championa, Lwa Jimmy'ego Boya. Niewykluczone, że to właśnie wywołało wojnę.

A może wojna wybuchła dlatego, że Jorge Ochoa wpadł, gdy udawał się do Cali? W odwecie śmierć poniósł Rafael Cardona z Cali.

Nie można też wykluczyć, że wojna wybuchła dlatego, że Gilberto Rodríguez Ochoa miał wyjątkowo korzystne układy z władzami. Faktem jest, że władze nigdy nie dobierały się do ludzi z Cali. W odróżnieniu od ludzi z Medellín miały ich za *los caballeros* - rycerzy narkotyków, podczas gdy tych pierwszych traktowane jako *los hampones* - bandytów, a to dlatego, że Medellín sięgało po broń w swojej obronie. Powiadało się, że Pablo stosuje przemoc, podczas gdy Gilberto tylko przekupuje. W jakiś sposób potwierdził to szef oddziału DEA w Nowym Jorku, mówiąc - co zacytowała prasa - że „bandy z Cali owszem, uciekną się do zabójstwa, jeśli zostaną do tego zmuszone, generalnie jednak wolą nająć prawników”.

Tak czy owak, wojna zaczęła się od zamachów bombowych, a w roku 1987 walczyliśmy już na dwa fronty - z władzą i z wojskiem Cali. Wygrywaliśmy, bo Pablo odpowiadał ostrzej i brutalniej, niż można sobie wyobrazić.

Tak blisko jak w ów niedzielny poranek 1987 roku nie otarłem się o śmierć chyba nigdy, jeśli pominąć zamach bombowy, którego padłem ofiarą sześć lat później. Z synkiem Jose Robertem jechaliśmy skromnym, nierzucającym się w oczy autem na czele kolumny pięciu samochodów z ochroną. W każdym z nich obok kierowcy siedziała kobieta obserwująca otoczenie i każdy wyposażony był w komplet urządzeń zwiadowczych, a w moim, choć jak powiadam, skromnym aucie, miałem instalacje jak z filmów z Jamesem Bondem. Za naciśnięciem guzika mogłem na przykład rozpylić zasłonę dymną uniemożliwiającą pościg, albo rozpylić na szosie warstwę oliwy, albo rozrzucić ładunek ostrych gwoździ niszczących opony czy nawet odpalić sześć granatów łzawiących.

Wyruszyliśmy z mojej farmy, jechaliśmy do Medellín. W pewnym momencie z moim samochodem zrównały się dwa policyjne wozy nissan patrol. W każdym siedziała ośmiu policjantów. Dali znak, żebym zjechał na pobocze i stanął. Jeden zatrzymał się tuż przede mną, drugi już za mną tak, że nie miałem żadnego ruchu. Nie oponowałem ani nie skorzystałem ze swoich bondowskich gadżetów.

Nie widziałem potrzeby. W tamtym czasie nie miałem żadnych problemów z wymiarem sprawiedliwości. Policjanci nie wiedzieli, że jeden z moich ochroniarzy z kolumny rejestruje zajście na wideo. Poproszono mnie o dokumenty, podałem dowód wystawiony na nazwisko Hernán Garcia Toro o numerze 8.282.751. Zastanawiałem się tylko, czy policjanci znają moją prawdziwą tożsamość i wiedzą, że jestem bratem Pabla Escobara. Jeszcze bardziej zastanawiało mnie, czy mam do czynienia z prawdziwymi, rzetelnymi policjantami, czy policjantami kidnaperami albo wręcz przebierańcami. Nie sposób było tego odgadnąć.

Tymczasem wyglądało na to, że zaszła jakaś pomyłka. Jeden z policjantów przeprosił mnie uprzejmie, wyjaśniając, że poszukują kogoś innego, i oddał mi mój dowód. Ale jeden z jego kolegów zaprotestował, zażądał, żebym wsiadł do ich wozu, zapowiadając, że zabiorą mnie „do przyjaciela, który może potwierdzić moją tożsamość”.

Nie okazałem żadnego zdenerwowania, w ogóle jestem raczej spokojny.

Dowód na fałszywe nazwisko wsunąłem synkowi w majtki i kazałem mu się przesiąść do jednego z samochodów ochrony. Wolałem nie ryzykować, za fałszywy dowód można Wylądować w więzieniu. Tymczasem na szosie zrobił się potworny korek, policjanci zaczęli się denerwować. W pewnej chwili Jeden z nich zażądał, abym ponownie dał mu dowód.

- Jaki dowód? Przecież pan go ode mnie wziął - zdumiałem się głośno.

- Ale oddałem.

- Nic podobnego - zaprzeczyłem - i niech mi pan go odda. Jadę właśnie do matki i chciałbym mieć przy sobie dowód.

Wyglądało na to, że chyba wiedzą, kim jestem, a przynajmniej podejrzewają, ale nie są do końca pewni. Wreszcie wpakowali mnie do swojego wozu, a moim towarzyszom kazali odjechać. Dałem im znak, żeby tak zrobili. Kolumna odjechała.

Policjanci nie wiedzieli oczywiście, że moja ochrona sfilmowała ich wszystkich, tak że będziemy mogli ich rozpoznać i zidentyfikować. Lorena - jedna z dziewczyn z ochrony - wsiadła do mojego auta i połączyła się z Pablem za pomocą krótkofalówki ukrytej pod siedzeniem. Zdała raport, podała numery obu policyjnych wozów.

- W porządku - uspokoił ją Pablo. - Spróbujcie jechać za nimi, ale do niczego się nie mieszajcie - nakazał.

Wieźli mnie kilka godzin, a gdy wreszcie przystanęliśmy, do auta, w którym siedziałem, podeszła dwóch ludzi w kominiarkach.

- Tak, to Roberto - stwierdzili.

Kazali mi wysiąść i iść z nimi. To koniec -- pomyślałem.

Prowadzili mnie jakąś ścieżką. Było już około jedenastej w nocy. Dookoła ciemność, nawet skrawka księżycy na niebie. Przemarzałem do szpiku kości i było mi już wszystko jedno. Moi prześladowcy szli w milczeniu. W końcu nie wytrzymałem i zapytałem, co zamierzają ze mną zrobić.

- Zabić - usłyszałem w odpowiedzi.

- To z wami też będzie koniec - odpaliłem. - Brat ma już wasze zdjęcia i numery aut - skłamałem. - Pamiętacie bmw z mojej kolumny? To właśnie z tego wozu filmowano waszą akcję. O tej porze brat ma już wszystkie wasze dane.

Nie mogli wiedzieć, czy blefuję. Zaczęli łączyć się z kimś przez walkie-talkie, zastanawiali się, co powinni zrobić.

- Dobra, nie zabijemy cię, ale dasz nam trzy miliony zielonych.

Zacząłem się targować. W ciemną, bezksiężycową noc negocjowałem z dwoma drabami, ile warte jest moje życie. Zaproponowałem milion, zgodziliśmy się w końcu na dwa.

- Muszę zadzwonić do swojego księgowego - oświadczyłem, gdy już dobiliśmy targu. Zaprowadzili mnie z powrotem do radiowozu, podjechaliśmy pod automat telefoniczny. Wykręciłem specjalny numer Pabla, zastrzeżony wyłącznie dla niego.

- Roberto z tej strony.

- Możesz rozmawiać?

- Mogę.

- Porwali cię?

Opisałem pokrótce sytuację. Pablo powiedział, że ma już dane od Loreny, a teraz wyłuskują dalsze szczegóły z nagrania, a poza tym już dzwonił do naszych ludzi w policji i niebawem powinien dostać nazwiska porywaczy. Zaklinał mnie, żebym niczego nie próbował, bo pieniądze nie są warte mojego życia, a na koniec kazał oddać słuchawkę porywaczom.

Ci byli pewni, że odezwie się mój księgowy. Patrzyłem, jak z każdą sekundą bledną. Domyślałem się, że usłyszeli: „Tu Pablo Escobar. Znam wasze nazwiska. Odpowiadacie głową za mojego brata”.

Zaczęliśmy krążyć po wiejskich drogach w oczekiwaniu na okup. W jakimś momencie paru z eskortujących mnie policjantów wysiadło z auta pod pretekstem, że idą podjąć okup. Zastanawiałem się jednak, czy rzeczywiście, czy też raczej woleli się zmyć, dochodząc do wniosku, że uprowadzenie brata Pabla Escobara to nie najszczęśliwszy pomysł. Potem znów połączyłem się z Pablem. Powiedział mi, że Carlos Aguilar - El Mugre - organizuje przekazanie pieniędzy. I znów dwóch policjantów wysiadło. Zostałem z trzema.

Zawiązał się między nami rodzaj komitywy. Kiedy zatrzymaliśmy się, żeby coś zjeść, pozwolili mi skorzystać z toalety. Szukałem możliwości ucieczki, na razie bez skutku. Lękałem się, że po podjęciu okupu porywacze jednak mnie ukatrupią.

O czwartej nad ranem zaparkowaliśmy w umówionym miejscu, przy szosie z mojej farmy do miasta. Zresztą osobiście zaproponowałem to miejsce w toku rozmów z policją i Pablem. Staliśmy już jakieś pół godziny, gdy policjant siedzący po mojej prawej przysnął. Odczekałem jeszcze chwilę.

Kierowca zaczął ziewać. To była moja szansa. Rzuciłem się na śpiącego. Wyrwałem mu pistolet maszynowy, wycelowałem w pozostałych i kazałem wysiadać. Teraz ja byłem górą. Rozkazałem moim prześladowcom wczłogać się pod auto, wypaliłem dwie krótkie serie w powietrze i dałem w długą, kierując się do pobliskiej rzeki. Drogę znałem. Magazynek wrzuciłem do wody, pistolet w krzaki. przebiegiem rzeką w bród i zagłębiłem się w dżungli. Byłem uratowany, a ściślej uratowałem się sam.

Około południa dotarłem do zaprzyjaźnionej farmy. Zadzwoniłem do Pabla.

- No więc gdzie mamy dostarczyć pieniądze? - zapytał.

Opowiedziałem mu, co się stało. Zwymyślał mnie za ryzykowanie życia dla głupich paru milionów, ale był wdzięczny losowi, że jestem cały i zdrowy.

Co się później stało z moimi porywaczami, tego nie wiem.

Generalnie jednak wtedy jeszcze akty przemocy mnie nie dotyczyły. Ani nie bywałem ich ofiarą, ani - tym bardziej- osobiście nie zadawałem gwałtu. Ale dla bezpieczeństwa podróżowałem zawsze z ochroną, i to dość liczną, trzydziestoosobową.

Mój brat wyrósł na wodza prywatnej armii toczącej wojnę z władzami Kolumbii oraz kartelem z Cali. Robił, co trzeba, aby osiągnąć zwycięstwo, a to czasami wymagało aktów bardzo brutalnych. Wojna pochłonęła wiele ofiar, zbyt wiele. Ginęli niewinni ludzie - kierowcy, ochroniarze, kucharze i pokojówki, przechodnie, prawnicy, kobiety na zakupach. Tysiące ludzi straciły życie w zamachach bombowych. Ale pamiętajmy, bo to ważne, to nie Pablo zaczął, nie on podłożył pierwszą bombę. Tymczasem ludzie z Cali i policja nadal dokonywali zamachów bombowych wymierzonych przeciwko nam. W jednym obrócono w perzynę wspaniałą farmę Pabla zwaną Manuela. Położona w El Peñol, wyposażona była we wszystko, co można sobie zamarzyć - boisko do piłki, korty tenisowe, stajnie, obory, a nawet basen ze sztuczną falą do jazdy na desce. No i któregoś dnia zjawiała się policja. Najpierw zrabowała całe wyposażenie, z rodzinnymi fotografiami włącznie, potem spętała dozorców, a na koniec wysadziła wszystko w powietrze. Pablo złożył formalną skargę w stolicy. Bez efektu.

Mama za własne oszczędności i pieniądze z nauczycielskiej emerytury kupiła sobie skromne siedlisko na wsi zwane Cristaliną. Tam również zjawiała się policja. Spętała dozorcę, jego żonę oraz dzieci i na ich oczach wysadziła

dom w powietrze. Pablo miał dworek w pobliżu klubu wiejskiego w El Poblado. Nasi wrogowie zabili dwoje dozorców, a pod dom podłożyli bombę. Poszedł z dymem razem z dość poważną sumą pieniędzy, które tam były schowane. I znów Pablo złożył formalną skargę u władz, a te nawet palcem nie kiwnęły. Wspominałem już o kolekcji samochodów w Nápoles. W istocie Pablo miał dwie takie kolekcje, drugą w specjalnym magazynie w Medellín. Zgromadził tam około sześćdziesięciu naprawdę cennych egzemplarzy - fordów i chevrolety z lat dwudziestych, między innymi wóz, który podobno należał kiedyś do samego Ala Capone. Wrogowie zamordowali strażników, a halę z zabytkowymi samochodami podpalili. Nic nie dało się uratować.

Pablo przystąpił do wojny we własnej obronie. Z *sicarios* i innych sformował wojsko. Wyszkolił je należycie. Pilot Jimmy Ellard zeznał przed sądem, że kiedyś zwrócił uwagę, że system bezpieczeństwa stworzony przez Pabla pozostawia jego zdaniem sporo do życzenia.

- Powinieneś nająć amerykańskich komandosów z Zielonych Beretów - poradził, dodając, że może w tej sprawie pośredniczyć, bo ma odpowiednie kontakty.

Pablo uprzejmie podziękował, mówiąc, że już najął specjalistów do szkolenia. Jak się później okazało, rolę instruktorów w wojsku Pabla spełniali najemnicy z Izraela i Wielkiej Brytanii.

Pierwszym celem były drogerie z sieci La Rebaja - własność kartelu z Cali. Sieć tysięcy sklepów pokrywała całą Kolumbię. Wkrótce potem jak nas zaatakowano, bomby eksplodowały w osiemdziesięciu pięciu drogeriach. Za sprawą Cali wojna przeniosła się na ulice. Na drodze z Medellín do Cali nikt nie mógł się już czuć bezpiecznie, bo wszyscy przyjezdni i przejezdni byli podejrzani. Bywało, że ktoś, kto trafił w niewłaściwe miejsce, zniknął na zawsze.

W wojnie z handlarzami narkotyków policja i wojsko skupiały się wyłącznie na Medellín. Policyjne tajne szwadrony śmierci terroryzowały miasto. To właśnie na nie spada odpowiedzialność za śmierć tysięcy, także niewinnych, ludzi. Szwadrony krążyły po barrios, strzelając do przechodniów. Kto nie ginął na miejscu, tego wleczono do Szkoły Policyjnej im. Carlosa Holguína, a tam torturami zmuszano do wyjawienia, gdzie kryje się Pablo Escobar. Tylko że większość młodych ludzi - a takich właśnie zatrzymywano - nigdy nawet nie zetknęła się z Pablem, więc skąd mogli wiedzieć, gdzie go znaleźć. Okaleczone ciała porzucano później na ulicach.

Ludzie ginęli tylko dlatego, że byli biedni. Za granicą zastanawiano się zapewne, skąd się bierze to spontaniczne, społeczne poparcie dla baronów narkotykowych walczących z policją. To, co powiedziałem wyżej, wyjaśnia wszystko.

Ludzie ginęli. Często tylko dlatego, że wychynęli na ulicę. Oto przykład: brat laski z supernogami pożyczył auto od znajomego. Nie wiedział, że ów znajomy jest na liście poszukiwanych przez policję, a ta na widok tego właśnie samochodu otworzyła ogień. Miody, niewinny człowiek zginął na miejscu. Wojna przybierała coraz brutalniejszy charakter.

Uważam, że władze skorzystały z otwartej wojny między kartelami z Medellín i Cali, aby oskarżać Fabia o zbrodnie, których nie popełnił. Obciążano go odpowiedzialnością za zamachy bombowe, z którymi nie miał absolutnie nie wspólnego. Medellín oskarżano o zabójstwa, których nasz kartel ani nie dokonał, ani nie zlecił. Pablo mówił wtedy tak: „Skoro rząd obarcza mnie odpowiedzialnością za coś, z czym nie mam nic wspólnego, to równie dobrze ostrze oskarżeń można skierować w inną stronę”. Miał oczywiście na myśli Cali.

W interesie władz leżało podsycanie sporu między dwoma kartelami. Im zacieklej walczyliśmy ze sobą, tym lepiej dla rządu. W 1989 roku na lotnisku w Bogocie dokonano zamachu na ówczesnego kandydata na prezydenta Ernesta Sampera. Oddano do niego siedem celnych strzałów, ale przeżył i kilka lat później został prezydentem. Powiadało się, że Samper sprzyja szefom kartelu z Cali, stąd teza, że za zamachem miał stać Pablo. Mój brat tymczasem nie miał w tym żadnego udziału. Rzeczywistych sprawców nie ustalono, ale winą władze obarczyły Pablo.

Pierwszy wielki atak na przedstawicieli władz, który w efekcie wpłynął na istotną zmianę polityki rządu, miał miejsce w sierpniu 1989 roku podczas kampanii prezydenckiej. O najwyższe stanowisko w państwie ubiegało się sześciu kandydatów. Największe szanse na sukces dawano Luísowi Carlosowi Galánowi, jednemu z założycieli partii Nowych Liberałów. To właśnie on jako pierwszy publicznie oskarżył Pabla o handel narkotykami, kiedy brat zasiadał w Kongresie.

Na wiec z udziałem Galána w mieście Soacha leżącym mniej więcej trzydzieści kilometrów od Bogoty przybyło około dziesięciu tysięcy ludzi. wśród nich ukryli się zamachowcy. Otworzyli ogień. Galán dostał postrzał w klatkę piersiową, zginął na miejscu. Zamach porównywano do zabójstw na

braciach Kennedy.

Wiele osób mogło sobie życzyć śmierci Galána. Występował stanowczo przeciwko handlarzom narkotyków, zapowiadał, że jako prezydent będzie energicznie wdrażał ustawę o ekstradycji. W Kongresie zablokował wniosek o jej wycofanie. Tak więc branża miała powody, żeby nie dopuścić do jego wyboru. Wedle DAS zamach miał zorganizować Gacha. Nazwiska Pabla nie wymieniane. Gacha zginął cztery miesiące po zabójstwie Galána.

Ale Galán zapowiadał także ostrą walkę przeciwko lewicowym partyzantom, tak więc również lewacy mieli powody, by życzyć sobie jego śmierci. Arystokratyczne rody kolumbijskie, które tradycyjnie kontrolowały życie publiczne w kraju za pośrednictwem popieranych przez siebie polityków. też były nastawione wrogo do Galána. Nie podobało im się, że chce otworzyć stanowiska rządowe dla ludzi pracy. Warto też podkreślić, że Galán zapowiadał głębokie reformy polityczne mające na celu ograniczenie wszechogarniającej korupcji. Obiecywał, że zatamuje rzekę pieniędzy płynącą od karteli narkotykowych i przemysłu szmaragdowego do niektórych polityków i funkcjonariuszy policji. Tak więc naprawdę wiele osób zainteresowanych było wyeliminowaniem Galána z wyścigu prezydenckiego.

Dopiero osiemnaście lat później ustalono, że winnym zabójstwa był jeden z ówczesnych rywali Galána do fotela prezydenckiego, a mianowicie Alberto Santofimio Botero. O wyroku zadecydowały zeznania jednego z głównych *sicarios* Pabla. Oświadczył on, że Santofimio głęboko wierzył, iż likwidacja Galána otworzy mu drogę do prezydentury. „Muszę usunąć politycznego wroga ze swojej drogi” - miał powiedzieć. Wybór Santofimia byłby na rękę ludziom z branży, bo nie zgodziłby się na ustawę o ekstradycji.

Nie były to sprawy, o które wypytywałbym mojego brata, a on i tak niczego by mi nie powiedział, chyba że zaistniałby jakiś specjalny powód. Ale i tak wiem, że wielu ludziom i instytucjom zależało, aby odpowiedzialność za zabójstwo Galána przypisać mojemu bratu. W oczach świata i tak już uchodził za bezwzględного mordercę, więc jedno zabójstwo mniej czy więcej niczego nie zmieniało.

Pablo zdawał sobie sprawę, że śmierć Galána wywoła ostrą reakcję władz. Dzwonił do mnie wieczorem tego dnia, uprzedzając, że policja zacznie nas szukać, więc powinienem zabrać rodzinę i zaraz wyjechać. Umówiliśmy się w hotelu w Kartagenie. Gdy tam dotarliśmy, Pablo z Gustavem byli już na miejscu. Pablo uznał, że nasze rodziny muszą

natychmiast wyjechać z Kolumbii.

Doskonale wiedział, co się będzie działo. Prezydent Virgilio Barco ogłosił stan wyjątkowy. Policja i wojsko zaczęły przeczesywać cały kraj. Aresztowano tysiące ludzi, sekwestrowano majątki. Władze przejęły prawie tysiąc nieruchomości - kamienic i farm, skonfiskowały siedemset samochodów i ciężarówek, ponad trzysta pięćdziesiąt samolotów oraz siedemdziesiąt trzy jednostki pływające, nie mówiąc już o pięciu tonach kokainy. Gasze Meksykaninowi zabrano cztery farmy, Pablowi apartamenty i biura w Medellín. Akcja zainicjowana przez prezydenta dała policji i wojsku wygodny pretekst do załatwienia rozmaitych własnych porachunków. Nikt nie śmiał zaprotestować, bo każdego można było oskarżyć o udział w zamachu na Galána. Zatrzymano - jak powiadam - tysiące ludzi, ale nie było wśród nich żadnego z szefów naszej branży.

Prezydent Barco reaktywował także ustawę o ekstradycji, którą Sąd Najwyższy zawiesił kilka miesięcy wcześniej. W odpowiedzi kartel ogłosił, że za każdego wydanego Amerykanom Kolumbijczyka zada śmierć dziesięciu sędziom. Natychmiast ponad stu sędziów złożyło rezygnacje z zajmowanych stanowisk. Medellín nasilił działania wojenne w sposób wręcz niewyobrażalny. W ciągu kilku dni dokonano siedemnastu zamachów bombowych na banki, sklepy i siedziby partii politycznych. Niektóre były dziełem naszych wrogów - chcieli wywołać jeszcze większe zamieszanie - ale odpowiedzialność za wszystkie składano na mojego brata.

Stany Zjednoczone wyraziły gotowość wysłania do Kolumbii oddziałów wojskowych do walki z biznesem narkotykowym. Ustami prezydenta Busha zaoferowały też pomoc w postaci specjalistycznego sprzętu za sumę stu pięćdziesięciu milionów dolarów. Tak oto do wojny przeciwko Pablowi dołączyła Ameryka, z przeciwieństwem mój brat nigdy nie walczył ze Stanami Zjednoczonymi, bronił się tylko przed atakami ze strony władz własnego kraju.

Po dziesięciu dniach rządowej ofensywy szefowie kartelu z Medellín zaproponowali rozejm. Za pośrednictwem prasy Gacha oświadczył, że w zamian za amnestię zrzeknie się majątku - odda wszystkie swoje farmy i samoloty. Ojciec braci Ochoa - Fabio Ochoa Restrepo - zwrócił się z posłaniem do prezydenta Barca: „Niech nastąpi kres handlu narkotykami, skończmy z wojną, z zabójstwami, zamachami bombowymi i podpaleniami... Niech zapanuje pokój. Ogłosmy amnestię”.

Również burmistrz Medellín wzywał władze do rozpoczęcia rokowań. „Taka jest wola wielu ludzi, którzy uważają, że władze powinny rozpocząć rozmowy pokojowe” - powiedział.

W odpowiedzi prezydent Barco oświadczył: „Nie wolno nam spocząć, dopóki nie zniszczymy organizacji zajmujących się handlem narkotykami”.

Pablo wspominał, że podobne apele zgłaszane po śmierci Lary. Na łamach dziennika „La Prensa” napisał: „Po rozmowach w Panamie można było uniknąć przelewu krwi. Chcemy pokoju, domagamy się tego głośno, ale błagać nic będziemy”.

„Środki prawne zostały wyczerpane. Pozostaje krew” - napisał w zakończeniu.

We wrześniu zmaistrowana amatorskim sposobem rakietą trafiła w gmach ambasady amerykańskiej. Nie wybuchła, nie spowodowała większych fizycznych szkód, ale w wyniku tego incydentu Amerykanie postanowili ewakuować rodziny dyplomatów. Jeszcze ostrzej zareagował prezydent Bush. Zmienił obowiązującą dotychczas dyrektywę i od tej pory Amerykanie mieli prawo likwidacji osób podejrzanych o terroryzm bez względu na ich przynależność państwową, a jak wiadomo, handlarzy narkotyków obwołano terrorystami. Atak rakietowy na ambasadę nie był dziełem Pabla. przeciwnie, był pułapką zastawioną i na niego. i na Amerykanów. Tych ostatnich wmanipulowano w sytuację, w której musieli wystąpić przeciwko niemu.

W sobie człowiek z reguły nie dostrzega zmian. Sądzi, że w części przynajmniej jest taki, jaki był. Ja na przykład widziałem siebie jako mistrza roweru. Nie zastanawiałem się nad przebytą drogą. nad zaszłościami, które ze mnie - reprezentanta umiłowanego kraju, zawodnika w ukochanej dyscyplinie - uczyniły zbiega, który krył się w dżungli i do którego strzelano jak do zwierzyny. Pewnie trudno to zrozumieć, ale tak właśnie było - nie zastanawiałem się. Być może dlatego, że nie chciałem spojrzeć prawdzie w oczy.

Nie rozmawiałem z Pablem o tym, co się dzieje. Nie zwracałem mu uwagi, że działania policji, że przemoc dotyka naszych rodzin, i naszych przyjaciół i naszych pracowników. Wiedziałem, że to się na nic nie zda. Droga, jaką Pablo wybrał, uczyniła go jednym z najbogatszych ludzi na świecie, nie widział więc powodów, aby wątpić, że czyni słusznie. Uważał, jak sądzę, że władze nie pozostawiły mu innego wyjścia, jak tylko walczyć. Uważał także, że pewne czynniki rządowe świadomie sprzymierzyły się z

Cali przeciwko Medellín, aby przejąć jego biznes. A że tak naprawdę było, świat dowiedział się dopiero w roku 1996, za sprawą *Proceso 8.000* - śledztwa, które wykazało, że kartel z Cali opłacał wielu polityków, nie wyłączając kandydatów do prezydentury. W zamian oczekiwał, że władze użyją wszelkich środków prawnych, aby wyeliminować ich konkurencję z branży narkotykowej. Nawet nasz prokurator generalny przyznawał, że „korupcja, jakiej dopuszcza się kartel z Cali, jest znacznie groźniejsza niż terror koncernu z Medellín”.

Pablo uważał, że musi walczyć na wielu frontach. Był to jednak ledwie początek. Rychło liczba wrogów miała wzrosnąć jeszcze bardziej.

Dwudziestego siódmego listopada 1989 roku samolot Aerovías del Continente Americano - Avianca - wykonujący lot nr HK 1803 z Bogoty do Cali eksplodował w powietrzu nad górami w pobliżu stolicy. Śmierć poniosło sto siedem osób. Nie byłem szczególnie zaskoczony, kiedy winę za zamach, który wstrząsnął całą Kolumbią, przypisano mojemu bratu. Jak wykazało śledztwo, niewielki ładunek wybuchowy podłożono pod jednym z foteli w kabinie pasażerskiej, mniej więcej w połowie kadłuba. Odpalenie ładunku spowodowało wtórną eksplozję zbiorników paliwa i całkowite zniszczenie samolotu.

Podobnie jak w wielu innych zamachach z tego okresu, również i za tym można się dopatrzeć wielu motywów.

Po pierwsze, samolotem tym miał podróżować César Gaviria - szef kampanii wyborczej Galána i jego następcą w wyścigu prezydenckim. Gaviria wszelako uszedł z życiem. W ostatniej chwili zrezygnował z samolotu rejsowego i zaplanowana podróż odbył na pokładzie prywatnej maszyny. Tak czy owak, wydaje się, że to on był celem zamachowców. Jednocześnie jednak - to po wtóre - chodziły słuchy, że bombę podłożono dlatego, że samolotem tym miał lecieć ktoś z Cali, a wedle innej wersji dwóch ludzi, którzy mieli zeznawać przeciwko kartelowi z Medellín. Po trzecie wreszcie, we wrześniu i w październiku władze Stanów Zjednoczonych wpadły na trop i skonfiskowały ponad trzydzieści ton kokainy wysłanej przez Medellín. Informacje u ładunku lub ładunkach miał Amerykanom przekazać ktoś z Cali. Wśród pasażerów samolotu na miejscu 10B podróżowała narzeczona Miguela Rodrígueza Orejuela - bossa Cali - Martha Lucia Echaverria. Jej śmierć miała być aktem zemsty.

Powiem tylko jedno - gdybym wiedział o planach zamachu, uczyniłbym

wszystko, co w mojej mocy, aby temu zapobiec.

O tym, jak dokonano zamachu, krąży wiele różnych opowieści. Są także raporty ze śledztw prowadzonych przez DAS i FBI. Stany Zjednoczone skorzystały z faktu, że w zamachu zginęło dwóch ich obywateli, aby wziąć udział w sprawie i wystąpić z formalnym aktem oskarżenia. Akt ten ogłoszono dwa lata po zamachu, a w stan oskarżenia postawiono Pabla i La Kikę. Ten ostatni stał się pierwszym oskarżanym i skazanym z mocy ustawy z roku 1986 o ściganiu obcokrajowców winnych zabójstwa na obywatelach Stanów Zjednoczonych.

Na podstawie raportów ze śledztwa i innych źródeł można z grubsza odtworzyć przebieg wypadków. Podobno zaczęło się od narady z udziałem Pabla, Gachy, Kika Moncady, Fernanda Galeana i Albeira Areiza. Mówię podobno, bo do końca nie wiadomo, a przynajmniej motywy zamachu pozostają niejasne. Wspomniana piątka dysponowała dokładnym rozkładem zajęć Césara Gavirii, więc wiedziała, że będzie on podróżował tym właśnie samolotem. Ładunek wybuchowy przewieziono na lotnisko w trzech częściach, trzema samochodami. Bomba zawierała pięć kilogramów dynamitu. Plan polegał na tym, że ładunek odpali *suizo* - nieświadomy samobójca, nie powiedziano mu bowiem, że to, co ma zrobić na pokładzie, zakończy się także jego śmiercią. Bilet dla *suizo* opiewał na fałszywe nazwisko Mario Santodomingo. *Suizo* siedział na miejscu 15F, pakiet z ładunkiem umieścił pod fotelem 14F. Podobno wytłumaczono mu, że pakiet zawiera urządzenie nagrywające, a chodzi o zarejestrowanie rozmowy dwóch ludzi z Cali siedzących tuż przed nim.

Wkrótce po starcie *suizo* zgodnie z otrzymaną instrukcją przełączył dźwignię w rzekomym urządzeniu nagrywającym na „zapisywanie”. Bomba wybuchła. Eksplozja rozerwała podłogę i ścianę w kabinie pasażerskiej oraz spowodowała zapłon oparów paliwa w pustym już zbiorniku. Katastrofy nie przeżył nikt z pasażerów i załogi, a spadające szczątki spowodowały śmierć trzech osób na ziemi.

Ktoś podający się za przedstawiciela Los Extraditables zadzwonił zaraz po wypadku do jednej ze stacji radiowych w Bogocie i oświadczył, że to właśnie jego organizacja podłożyła bombę. Cztery lata później człowiek, który twierdził, że to właśnie on skonstruował bombę, zeznał wobec DAS, że od Kika Moncady - jednego z szefów kartelu z Medellín - otrzymał milion peso tytułem zwrotu poniesionych kosztów. Wynika z tego, że za zamachem

stało co najmniej kilka osób, ale świat słyszał tylko o Pablu.

Amerykanie skierowali do Kolumbii swoją supertajną jednostkę zwiadowczo-wywiadowczą Centra Spike [2], która prowadziła zmasowany podsłuch elektroniczny, przede wszystkim z powietrza. Wyposażone w stosowne urządzenia niewielkie samoloty krążyły nad miastami, śledząc rozmowy telefoniczne wedle wypracowanej metody. A więc najpierw rejestrowane połączenia telefoniczne Pabla z dziesięcioma osobami, z którymi kontaktował się najczęściej. W następnej fazie identyfikowano dziesięciu najczęstszych rozmówców każdej z osób z pierwszej dziesiątki. W ten sposób rozpoznano strukturę kartelu z Medellín. Działania Centra Spike prowadzono w najściślejszej tajemnicy, ale i tak nasze źródła ostrzegały Pabla, że Amerykanie podsłuchują jego rozmowy telefoniczne. jako specjalista elektronik wiedziałem, że to możliwe i prawdopodobne. Pablo wszelako nie przejmował się. Uważał, że nawet jeśli go podsłuchują, to i tak nie są w stanie ustalić jego miejsca pobytu - dzwonić może bowiem zewsząd.

W celu spożytkowania danych zebranych przez Centra Spike władze Kolumbii powołały do życia specjalną jednostkę policyjną o nazwie Bloque de Búsqueda - Blok Poszukiwań. W jej skład weszło siedmiuset najbardziej zaufanych funkcjonariuszy policji, którzy zostali przeszkoleni przez fachowców z amerykańskich sił specjalnych Delta. jedynym ich zadaniem było schwytanie Pabla oraz innych przywódców kartelu z Medellín. W odpowiedzi nasza strona przystąpiła do ofensywy bombowej wymierzonej w Blok. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Władze zrazu nosiły się z zamiarem ograniczenia operacji Bloku, w efekcie jednak zdecydowały o zwiększeniu sił jednostki.

Doszło do ponad stu zamachów bombowych. Zaczęła się totalna wojna. Ofiarami zamachów padali sędziowie, redakcje gazet opowiadających się za ekstradycją. Żaden policjant nie mógł się czuć bezpiecznie. Funkcjonariusze w Medellín, w obawie o bezpieczeństwo swoje i swoich rodzin, przenieśli się do koszar. Zamachy bombowe wpłynęły na życie w mieście, a w istocie w całym kraju, dotykały wszystkich. Jak? Przykładem może być historia naszej kuzynki - dziewczyny z pięknymi włosami. Studiowała wtedy w college'u. Zarejestrowała się pod przybranym nazwiskiem i tylko jej najbliższa przyjaciółka знаła prawdę o jej związkach rodzinnych. Tak się wtedy złożyło, że jedną z bomb podłożono pod samochód policyjny w pobliżu miejskiego stadionu. W wybuchu zginęły bądź zostały ranne setki ludzi. To

było straszne, do dziś nie mogę się z tym pogodzić, nie mogę pojąć, jak w ogóle mogło dojść do takiej rzezi. Wtedy jednak nikt nie był w stanie odwrócić biegu wydarzeń. W zamachu przy stadionie zginęli między innymi dziadkowie owej bliskiej przyjaciółki naszej kuzynki. I kiedy kilka dni później ogłoszono, że bombę podłożyli ludzie Fabia, przyjaciółka podeszła do kuzynki - rzecz działa się w studenckiej kafeterii na oczach tłumu młodych ludzi - zaczęła szarpać ją za włosy, układać pięściami i krzyczyć: „Twój kuzyn zabił moich dziadków”.

Nasza kuzynka zalała się łzami, nie z bólu i żalu nad sobą, ale z żalu za zabitym starszym małżeństwem i w ogóle z żalu nad tym, co się stało z naszym krajem. Złapała przyjaciółkę za łokieć, pociągnęła w kąt.

- Przestań rozpaczać i zrozum, że ja nie mam z tym nic wspólnego. To prawda, że noszę to samo nazwisko, ale nie mam nic wspólnego z tym, co się stało. Nie jestem taka. Ale też nie mogę pójść do Pabla i powiedzieć mu, żeby wreszcie przestał. Po prostu nie mogę.

Później jednak poszła do Pabla, pytając, dlaczego robi takie okropieństwa.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, ilu bliskich mojemu sercu ludzi zginęło w tej wojnie, a ja robię to, co muszę - odpowiedział.

Odparła, że jej zdaniem Pablo ma dwie dusze. Bywa przecież miły i uprzejmy, a innym znów razem „bezlitosny i bezwzględny”.

- To wszystko przez nich. Muszę być silny. Muszę walczyć, bo oni odwrócili się ode mnie. I wiem, że nie zginę jak zwykły handlarz narkotyków.

Gdyby wskazać największego osobistego wroga, to za takiego Pablo uważał generała Miguela Mazę Márqueza - szefa DAS. Maza poprzysiągł, że nie spocznie, póki nie zniszczy karteli. Tymczasem w czasie procesu przed amerykańskim sądem jeden z pilotów, który woził narkotyki, zeznał, że Maza też był umoczony w handel kokainą. Powiedział, powołując się na wiarygodne dla siebie źródło, że Maza miał udział w każdym transporcie i za każdym razem przerzucał dwadzieścia do dwudziestu pięciu kilogramów narkotyku. Osobiście nie na ten temat nie wiem i nie mogę wykluczyć, że znów w nadziei na lepszy wyrok pilot zwyczajnie łągał przed sądem. Z drugiej jednak strony powstaje pytanie, czy to w ogóle możliwe, żeby ktoś na takim stanowisku maczał palce w narkotykowym biznesie. No cóż, w tamtym czasie w naszym kraju wszystko było możliwe i wszystko mogło się zdarzyć.

Do czasu kiedy władze zaczęły dobierać się do Medellín, interes szedł bez zakłóceń, a pieniądze - chciałyby się powiedzieć - leżały na ulicy, łatwo było je zarobić, VIP-ów nikt nie śmiał dotknąć. Ryzyko ponosili w istocie tylko ci, co fizycznie zajmowali się transportem. Dość powszechnie wiadomo, że wielu spośród znamienitych uczestników kolumbijskiego życia politycznego też brało udział w interesach, na małą skalę, ale jednak. Wystarczyło, że Pablo wyraził zgodę na włączenie czyjejś „działki” do transportu, aby ów ktoś mógł liczyć na sowity, a co najważniejsze gwarantowany zysk. Nie można też wykluczyć, że niektórzy agenci służb bezpieczeństwa brali pieniądze od karteli.

Biedota w tym czasie nie tyle szanowała, ile zwyczajnie lękała się DAS tak samo jak policji. Nie bez powodu. Zwyczajni ludzie również nie uważali DAS za kolumbijskie FBI, ale za policję w najgorszym wydaniu, taką, co po nocach nachodzi niewinnych ludzi.

Maza powiedział, że Pablo za pośrednictwem pewnego adwokata zaproponował mu łapówkę za ewentualną współpracę z kartelem, ale on - Maza - odrzucił ofertę. Nie słyszałem o tym z innych źródeł, ale nie wykluczam, że tak mogło się zdarzyć. Tylu polityków i funkcjonariuszy policji brało - wręcz z ochotą - pieniądze od handlarzy, że taka oferta nie byłaby niczym nadzwyczajnym.

Pablo darzył Mazę nienawiścią. Nienawidził go za całe zło, jakie wyrządził mu on i jego instytucja. Brat wiele razy obnażał akty naruszania prawa przez Mazę, ale władze nie reagowały. Maza twierdzi, że Pablo co najmniej siedmiokrotnie próbował go zabić. Też tego nie wykluczam. W tym czasie dokonywano mnóstwa zamachów bombowych. I był co najmniej jeden przypadek, kiedy zasadzono się właśnie na Mazę. Zginęło wtedy siedmiu jego ochroniarzy, on jednak wyszedł cało. Miał doprawdy wiele szczęścia. W grudniu 1989 roku powstał plan wysadzenia w powietrze siedziby DAS, byle tylko zlikwidować Mazę. Tę próbę można by przyrównać do próby wysadzenia siedziby FBI w Waszyngtonie.

Ładunki wybuchowe o łącznej wadze pięciuset, a może nawet czterech tysięcy kilogramów - dokładnie nie wiem - ukryto w autobusie. Do holu w siedzibie DAS wysłano obserwatora. Miał dać sygnał zamachowcom w autobusie, kiedy Maza z ochroną zjawią się w gmachu. Autobus miał wtedy ruszyć i, taranując przeszkody, wjechać do holu. Plan jednak zawiódł. Po pierwsze, obserwator w budynku nie zauważył przybycia Mazy - bo ten

akurat skorzystał z innego wejścia niż zwykle. Po dłuższym oczekiwaniu obserwator zdecydował się wyjść z budynku. Na jego widok zamachowcy zdetonowali ładunek. Obserwator ledwo uszedł z życiem.

Był to chyba największy ładunek odpalony w czasie całej wojny. Autobus nie wjechał do środka - na przeszkodzie stanęło jakieś przypadkowe auto - ale i tak zniszczenia były ogromne. Cała frontowa ściana opadła na ziemię jak zwolniona z zaczepów kurtyna. Silnik autobusu odrzuciło o kilka przecznic - wylądował na dachu budynku, który też został zniszczony. Poważnych uszkodzeń doznały nawet gmachy stojące o dwadzieścia przecznic dalej. W samym gmachu DAS i w pobliżu zginęło co najmniej pięćdziesiąt osób, około tysiąca odniosło rany. W gazetach pisano później, że ściany wewnątrz DAS spływały krwią, a ludzkie tkanki znajdowano nawet daleko od miejsca wybuchu. Gdyby autobus zdołał wjechać do wnętrza budynku, jak planowano, zniszczenia byłyby jeszcze większe.

Maza wyszedł z zamachu bez szwanku. Jego gabinet zabezpieczały stalowe ściany. Opowiadał, że z jego piętra uratował się chyba tylko on.

Kochałem brata, ale przecież nie byłem ślepy. Objawiały się w nim nieznane mi wcześniej cechy. A tymczasem znów, a może jeszcze bardziej niż dotąd, żyliśmy ot tak, z dnia na dzień. Każdą podróż, bliższą czy dalszą, trzeba było starannie planować i otaczać największą tajemnicą. Nie było już mowy o wyprawach do Nápoles i innych lubianych przez nas miejsc. Spotkania z rodzinami też nastęrczały wiele trudności, domyślaliśmy się bowiem, że nasi bliscy są pod obserwacją. A jak takie spotkania aranżowano, opowiem na przykładzie Gustava. Otóż w przebraniu i charakteryzacji - a wtedy wszyscy zapuszczaliśmy sobie wąsy, wkładaliśmy okulary, nosiliśmy kapelusze, a bywało, że również peruki - Gustavo przybywał bez zapowiedzi do któregoś z zaprzyjaźnionych domów. Przez pośredników dawał znać rodzinie, że jest i czeka. Żona i dzieci przyjeżdżali pojedynczo, każde innym samochodem. Wypijali z Gustavem filiżankę czekolady, wiedząc, że każda minuta jest na wagę złota. Po krótkim czasie trzeba było się żegnać. Gustavo płakał. Nie wiedział, jak zresztą każdy z nas w tamtych czasach, czy jeszcze kiedyś dane mu będzie ujrzeć bliskich.

Nie sposób ocenić, ile ofiar pochłoneła wojna narkotykowa. Śmierć zbierała tak obfite żniwo po obu stronach frontu, że dokładne liczby nie są znane. Zginęło wielu sędziów, polityków i policjantów. W 1990 roku zabito trzech spośród ówczesnych pięciu kandydatów do prezydentury. Ale wojna

kosztowała też życie wielu członków kartelu, naszych krewnych i przyjaciół. Kiedy po raz drugi oddałem się w ręce władz i zostałem osadzony w najpilniej strzeżonym więzieniu Itagüi, wspólnie z innymi sporządziłem w hołdzie dla poległych przyjaciół i krewnych wielką tablicę z ich imionami i nazwiskami. Wojna zabrała naprawdę wielu wspaniałych ludzi. Zabrała też wielu niewinnych, którzy zginęli bez żadnego powodu. Prawdziwa tragedia! A można było jej uniknąć.

Los Extraditables rozpoczęli tymczasem inną operację - zaczęli u prowadzać członków kolumbijskiej elity. Uliczne zamieszki i zamachy nie dotyczyły możnych i bogatych, a że to właśnie oni pociągali za sznurki władzy, stało się oczywiste, że im też trzeba się dobrać do skóry, bo inaczej nic się nie zmieni. Wedle doniesień prasowych uprowadzeń miano dokonywać dla okupu. Nie jest to prawda. Pieniądze nie stanowiły problemu, nigdy ich nie brakowało. Chodziło o co innego - o wywarcie nacisku na elity, aby one z kolei wymusiły na władzy wycofanie ustawy o ekstradycji. Chodziło także o obnażenie całej korupcji aparatu władzy. Porwań dokonywano na ulicy. Bogaczy wyciągano z samochodów, a ich kierowców zwykle likwidowano na miejscu, aby dać jasny sygnał, że sprawa jest poważna.

Uprowadzanie członków elity przyniosło większy skutek niż wszystkie akty przemocy. Rząd przystąpił do rozmów z Los Extraditables. Negocjatorami ze strony rządowej zostali trzej byli prezydenci. W moim przekonaniu Pablo też chciał położyć kres wojnie.

Miał świadomość, że tak dalej żyć się nie da. Stawiał tylko jeden warunek, żeby skończyć z ekstradycją. We wszystkich innych sprawach gotów był na kompromis. Tak więc gotów był zamknąć interes, oddać część majątku i samemu oddać się w ręce władz oraz odsiedzieć swoje w więzieniu. Gotów był rozmawiać o wszystkim poza kwestią ekstradycji. Tu nie szedł na żadne ustępstwa. Rozmawialiśmy o tym nie jeden raz i znam jego stanowisko.

Kraj pogrążył się w chaosie. Zanim to wszystko się zaczęło, szara strefa funkcjonowała w Kolumbii równolegle z legalnym biznesem. Panowały pokój i spokój. Rząd godził się z istnieniem nielegalnego handlu szmaragdami i podziemiem marihuanowym, ba - tu i ówdzie szedł na współpracę z szarą strefą. Na ulicach nikt na nikogo nie czyhał, wszyscy zarabiali, a ludziom spoza biznesu nic w zasadzie nie groziło. I to się niestety

zmieniło. Atakując kartel z Medellín, a zwłaszcza Pabla, który ujawniając swoje aspiracje do prezydentury, stał się osobistością polityczną, rząd wywołał zrozumiałą reakcję. Atakowani musieli się bronić, musieli stanąć do walki. I tak zaczął się dramat.

Za poparcie dla politycznej linii Pabla aktywiści z ubogich dzielnic płacili życiem, Osobiście uważam, że wojnę przeciwko mojemu bratu wydano nie za sprawą jego biznesu, ale właśnie działalności politycznej. Kiedy Pablo występował na wiecach, kiedy przemawiał do tysięcznych tłumów w całym kraju, to wizję, jaką kreślił, porównywano z ideałami Jorge Eliécera Gaitána. I rzeczywiście, zamordowany w 1948 roku, ówczesny kandydat na prezydenta Kolumbii Gaitán był politycznym idolem Pabla. W swoich wystąpieniach brat mój zapowiadał działania na rzecz likwidacji obszarów ubóstwa, na rzecz szerokiego dostępu do oświaty i opieki zdrowotnej. Mówił, że każdy Kolumbijczyk powinien mieć prawo do przyzwoitej pracy. Był dumny z faktu, że swoimi zdobyczami dzielił się zawsze z najuboższymi spośród swoich rodaków.

W wojnie z nami władze odnosiły wiele zwycięstw. Mnóstwo naszych ludzi poległo z rąk policji, płatnych morderców z Cali i z rąk elitarnych oddziałów Bloku Poszukiwań. Hernando, zarządca Nápoles, spędzał właśnie weekend z rodziną na wsi, gdy farmę najechali wrogowie. Hernando zdążył jeszcze odesłać synów do kryjówki, ale sam padł ofiarą brutalnej napaści. Połamano mu wszystkie kości do najdrobniejszych kości w ramionach i dłoniach, przypalano go cygarami. Zmarł w męczarniach. Życie straciło wielu naszych współpracowników, w tym Ricardo Prisco i jego brat Armando. Ten ostatni poruszał się na wózku inwalidzkim, ale i tak policja go nie oszczędziła. Polegli dwaj bracia Marii Victorii, szwagrowie Fabia. Zginął nasz kuzyn Luís Alfanso, a jego rodziców - Lucy i Amanda - najpierw skatowano, a potem wrzucono do ognia. Inny kuzyn - Rodrigo Gaviria - zginął od serii z karabinu maszynowego wymierzonej w głowę. Jego mózg wręcz eksplodował od kul. Jeszcze inny krewny - John Jairo Urquijo Gaviria - zginął podczas ucieczki. Zabito także jego ojca Luisa Enrique Urquijo, osiemdziesięcioletniego, niezwykle pobożnego i absolutnie niewinnego starca. Mojego kuzyna José Gavirię spętano i zakłuto na oczach żony i dzieci. Także na oczach dzieci zastrzelono naszą kuzynkę Lucilę Restrepo Gavirię i jej męża. Dziś wszyscy spoczywają na cmentarzu u boku Pabla.

Siódmego sierpnia 1990 roku prezydentem został César Gaviria. Z

miejsca ogłosił swoje polityczne credo: władze nadal będą zwalczać narkoterroryzm, będą przeciwdziałać zamachom, porwaniom i zabójstwom, Kolumbia wszelako nie da rady zlikwidować handlu narkotykami bez współpracy międzynarodowej. „Handel narkotykami to problem światowy, którego rozwiązanie wymaga współdziałania wszystkich dotkniętych tą plagą państw... Handlu narkotykami nie da się ograniczyć, jeśli nie ograniczy się popytu w krajach będących celem przemytu” - oświadczył, dodając, że tego właśnie ważnego aspektu, a więc ograniczenia popytu, wielu nie rozumie. Wystąpienie przyjęto jako zapowiedź, że może dojść do jakiegoś porozumienia, jeśli tylko ustaną akty przemocy. Posianie zdawało się jasne: nowy prezydent dąży do zmiany zastanej sytuacji.

Ale nadzieje na rzeczywiste zmiany rozwiąły się już cztery dni później, kiedy funkcjonariusze z Bloku Poszukiwań namierzyli Gustava w strzeżonym domu w Medellín i zastrzelili go w walce. Gustavo był z Pablem od samego początku i naprawdę niewiele brakowało, aby doczekał się zwycięstwa w wojnie z władzami. I nad tym właśnie brat mój szczególnie bolał.

Trzy tygodnie po śmierci Gustava uprowadzono córkę byłego prezydenta Kolumbii Dianę Turbay. Trudno powiedzieć, jak fakt ten wpłynął na rząd - być może wcale. Pablo jednak raz jeszcze wykazał, że rodziny nawet najwyżej postawionych osób też nie mogą czuć się bezpiecznie. Tydzień później prezydent zgodził się, aby handlarze narkotyków, którzy oddadzą się w ręce władz, zostali potraktowani w sposób szczególny. Owszem, otrzymają wyroki, odsiedzą jakiś czas w więzieniu, potem wszelako wyjdą na wolność.

Z takiej właśnie drogi skorzystali trzej bracia Ochoa. Oddali się w ręce władz, otrzymali łagodne wyroki pozbawienia wolności. Pablo trwał przy swoim. Powiedział, że się nie podda, dopóki rząd nie zmieni zapisów konstytucji i nie wprowadzi nowych przepisów. Miał w pamięci wyrok wydany przez Amerykanów na Carlosa Lehdera - dożywocie plus sto trzydzieści pięć lat w więzieniu o najsroźszym rygorze. Lepszy grób w Kolumbii niż cela w Stanach Zjednoczonych.

Dzisiaj sytuacja wygląda zupełnie inaczej i handlarze narkotyków też prowadzą inną politykę. Wyroki ferowane przez kolumbijskie sądy są generalnie surowsze niż te, które zapadają w Stanach Zjednoczonych. W Ameryce można negocjować, a za pieniądze i dodatkowe informacje o innych przemytnikach można uzyskać łżejszy wyrok. Tak więc wielu spośród

dzisiejszych baronów narkotykowych godzi się odsiedzieć swoje, by później, na wolności, móc się cieszyć zgromadzona fortuną. Tylko że na taki układ mogą liczyć wyłącznie grube ryby.

Rokowania z władzami trwały blisko rok. Spotkania odbywały się zazwyczaj głęboką nocą na którejś z farm Pabla w pobliżu Medellín. W roku 1990 partyzanci spod znaku M-19 - ci sami, z którymi Pablo kiedyś walczył, gdy porwali siostrę jego przyjaciela Marthę Nieves - zawarli porozumienie z władzami. Zgodzili się na zaprzestanie walk i oddanie broni. W zamian zostali objęci amnestią, a ich ugrupowanie uzyskało status legalnej partii politycznej. Pablo uważał, że władze powinny zaoferować mu coś podobnego, bo dlaczego by nic? Na M-19 ciążyła odpowiedzialność za liczne akty przemocy - to właśnie oni przeprowadzili atak na siedzibę Ministerstwa Sprawiedliwości - a mimo to rząd umożliwił im powrót do społeczeństwa. Więc czemu nie wypracować podobnego rozwiązania wobec Pabla i jego współpracowników? Zanim jeszcze rozmowy z władzami zaczęły się na dobre, Pablo dokładnie wiedział, czego oczekuje i co gotów jest zaoferować w zamian.

Prawników i przedstawicieli władz biorących udział w rozmowach dowożono z umówionych miejsc w furgonetkach bez okien. Kazano im także wkładać ciemne okulary, aby nie mogli śledzić drogi. Wożono ich oczywiście okrężnymi trasami, aby zatrzeć wszelkie ślady. Uczestnicy rozmów z naszej strony też nie wiedzieli, gdzie się kryjemy, a z Pablem mogli się kontaktować wyłącznie przez pośredników.

Tymczasem, o czym wtedy nie wiedzieliśmy, amerykańskie samoloty nadal krążyły nad Medellín, starając się namierzyć Pabla. Także kartel z Cali czynił wszystko, aby ustalić jego miejsce pobytu. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że ludzie z Cali wiedzieli o naszych negocjacjach z władzami, starali się więc dopaść Pabla, zanim zapadną konkretne uzgodnienia. Jeśli chodzi o mnie, to władze nie wysuwały pod moim adresem żadnych zarzutów, nie groził mi więc ani areszt, ani zatrzymanie. Niemniej z naszych źródeł dowiedzieliśmy się, że Cali wydało na mnie zlecenie. Choć brzmi to wręcz nieprawdopodobnie, to w tej sytuacji jedynym dla mnie bezpiecznym miejscem było... więzienie, oczywiście z Pablem.

W rozmowach z władzami ważną rolę odgrywał Kościół. Choć obarczony wieloma grzechami, Pablo był człowiekiem głęboko religijnym. Naszej mamie - jak już wspominałem - życie uratował obraz Dzieciątka Jezus

z Atochy. Pablo niemal zawsze wieszał sobie w sypialni na ścianie rysunek bądź malowidła przedstawiające Jezusa. W czasie rozmów telefonicznych z mamą często wspólnie odmawiali modlitwę. W tamtym czasie w telewizji niż przed siódmą wieczorem nadawana program „Minuta z Bogiem” z udziałem ojca Rafaela Garcíi Herrerosa. „Chciałbym porozmawiać z Pablem Escobarem, spotkać się z nim tu, nad brzegiem morza” - głosił publicznie, a jednocześnie - o czym telewidzowie nie mogli wiedzieć - przekazywał nam zaszyfrowane informacje o postępie w rozmowach z władzami. Kiedy na przykład oświadczał na wizji, że właśnie na rzecz jego programu wpłynęła darowizna w wysokości miliona trzystu siedemdziesięciu tysięcy peso, oznaczało to, że następna runda rozmów odbędzie się trzynastego o siódmej.

Rozmawiając przez telefon, Pablo też korzystał z szyfrów. W najcięższych czasach używał imienia Theresita, aby wprowadzić w błąd podsłuchujących. Prawdziwa Theresita była naszą nianią, chodziła zawsze boso. Opiekowała się nami, gdy leżeliśmy w kołyskach, przewijała nas i karmiła. Była z nami aż do śmierci - umarła na raka. Bardzo to przeżyłem. Zacząłem się zastanawiać, dlaczego uczeni nie wynaleźli jeszcze żadnego leku na chorobę nowotworową. Tak się zaczęły moje badania. Zacząłem kupować książki na temat raka. Czytałem wszystko, co tylko zdołałem znaleźć. W 1987 roku jeden z moich ulubionych wierzchowców padł na końską anemię - to choroba dość podobna do AIDS. Zacząłem więc czytać także i na ten temat. Kiedy jednak zaczęły się ciężkie czasy, musiałem niestety zrezygnować ze swoich ambicji odkrycia leku na tę okropną chorobę.

Jedną z ważnych osobistości mających udział w negocjacjach był arcybiskup Dario Castrillón z Pereiry. Miał specjalne kontakty z prezydentem - kiedyś udzielił mu ślubu. Pabla też łączyły z arcybiskupem mocne więzy przyjaźni. Brat w ogóle działał na rzecz wielu parafii w Medellín i Antioquii - nie szczędził darowizn i w pieniądzu, i w innej formie. Arcybiskup odgrywał naprawdę ważną rolę w rozmowach i w osiągnięciu porozumienia. Dziś pracuje w Watykanie. Pablo nader często odwiedzał małe wioski w Chocó i Urabá. Udawał się tam śmigłowcem. Nawet w najcięższych dla nas czasach pomagał wykluczonym mieszkańcom tych zapomnianych przez władze miejscowości. Pamiętam nasze spotkanie z arcybiskupem w domu w najwyższym punkcie El Poblado. Udaliśmy się tam specjalnie, aby prosić o przekazanie posłania nowemu prezydentowi.

- Zdecydowałem się oddać w ręce władz - powiedział Pablo - ale muszę mieć pewne gwarancje. Chciałbym, aby ekscelencja osobiście przekazał to prezydentowi, tak aby nie było żadnych nieporozumień.

Dalej przedstawił swoje warunki zakończenia wojny. Przede wszystkim żadnej ekstradycji, a dalej gotów jest przyjąć wyrok trzydziestu lat więzienia, z tym jednak, że uwzględniając przyznanie się do winy i dobrowolne poddanie się władzom, wyrok ten zostanie zredukowany do lat dziesięciu. To mniej więcej tyle, ile wynosiła kara wymierzana innym. Pablo obliczał, że nominalny wyrok trzydziestu lat oznaczać będzie w istocie siedem lat w więzieniu.

Kiedy słuchałem tam i wtedy jego wywodu, po raz pierwszy zacząłem wierzyć, że być może jest szansa, że horror się skończy, a my wrócimy do normalnego życia.

Rozmowy nie oznaczały końca polowania na Pabla. Ścigano go przez cały czas i przez cały czas dochodziło do dalszych zamachów bombowych i porwań. Diana Turbay, o której wspomniałem, wzięta jako zakładniczka, zginęła najpewniej od policyjnej kuli w czasie akcji na dom, w którym wtedy przebywała. Pablo potępił te akcje w posłaniu do władz. Kilka dni później prezydent Gaviria oświadczył, że Pablo będzie mógł skorzystać z możliwości złagodzenia wyroku, jeśli przyzna się do popełnionych przestępstw. A więc - uznał brat. - prezydent jest otwarty na rozsądne rozwiązanie problemu. Odbyły się dalsze rozmowy, strony poszły na mnóstwo kompromisów, w końcu jednak uzgodniono porozumienie o naszej kapitulacji. Czas był najwyższy. Ameryka przeznaczyła miliony dolarów, udzieliła walnej pomocy wojskowej na rzecz walki z handlem narkotykami, a w istocie, żeby schwytać Pabla. W tej kwestii prezydent George Bush zajmował bardzo stanowcze stanowisko. Na mocy ustaw o ekstradycji władze Kolumbii wydały Stanom Zjednoczonym czterdzieści jeden osób, w tym Carlosa Lehdera. Na szczęście jednak, na szczęście dla nas, Kolumbia została właśnie wtedy wybrana do Rady Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych. Amerykański prezydent starał się o międzynarodowe poparcie dla swoich planów akcji przeciwko Irakowi, a przede wszystkim chciał przepędzić Saddama Husajna z Kuwejtu. Delegacja Kolumbii głosowała przeciwko Ameryce i Bush za wszelką cenę chciał przeciągnąć Gavirię na swoją stronę. Nie mogę wykluczyć, że właśnie za cenę zmiany naszego stanowiska w Radzie Bezpieczeństwa Waszyngton nie zgłosił protestu przeciwko osiągniętemu u nas w kraju porozumieniu, a w

każdym razie nasi politycy powiadali, że wojna w Zatoce przyniosła Kolumbii pokój.

Tak więc Pablo zawarł układ z władzami. Pamiętam dzień, kiedy upewniliśmy się ostatecznie, że władze przystały na kompromis. Pablo jak zwykle nie okazywał szczególnych emocji. Na pewno był szczęśliwy i usatysfakcjonowany, ale zachowywał się powściągliwie, nigdy zresztą nie manifestował uczuć w głośny sposób. Widziałem jednak, że się cieszy. Wyglądało na to, że wreszcie wyjdziemy na prostą. Gaviria dostał to, o co zabiegał najbardziej - ustaną zabójstwa, ustaną porwania, ustaną zamachy.

A co z narkobiznesem? Położenie temu kresu okaże się znacznie trudniejsze.

Po załatwieniu sprawy najważniejszej - zmiany przepisów o ekstradycji - pozostałe kwestie uzgodniono w ciągu kilku miesięcy. Pablo i pozostali mieli się przyznać do jednego przestępstwa, a postępowanie w sprawie innych zarzutów zostanie zawieszona. Brat zachowa większość majątku. Uzgodniono dalej, że najzacieklejsi jego wrogowie trzymeni będą na dystans. W ramach tego porozumienia Maza miał ustąpić ze stanowiska szefa DAS. Władze chciały osadzić Pabla w najpilniej strzeżonym więzieniu w Medellín, takie żądanie nie wchodziła jednak w rachubę. Pablo chciał sam sobie wybrać i kupić więzienie. Otrzymał także prawo weryfikacji strażników więziennych. Po kilku tygodniach poszukiwań brat zawiadomił władze, że najodpowiedniejszym miejscem na więzienie będzie opuszczony w tym czasie budynek położony na szczycie góry nieopodal Medellín. Obiekt ten wyglądał jak niewielka szkoła otoczona wysokim parkanem pod napięciem. Powstał z myślą o stworzeniu tani ośrodka rehabilitacji i resocjalizacji. Znany był jako *El Catedral* - Katedra.

Obiekt i otaczający teren należały do Pabla, z tym że papiery opiewały oczywiście na kogoś innego - przyjaciela rodziny, właściciela sklepu żelaznego. Uzgodniono, że „właściciel” przekaze obiekt władzom miasta Envigado w zamian za mniejszą, ale znacznie bardziej atrakcyjną działkę. Oczywiście nazwisko Pabla nigdzie się nie pojawiło i nie sposób było dociec, że w istocie chodzi o jego własność. Działka, na której wznosiła się Katedra, liczyła około trzydziestu tysięcy metrów kwadratowych.

Pablo bardzo starannie wybierał miejsce osadzenia. Władze sugerowały dwa inne, w tym więzienie Itagüi, gdzie przebywali bracia Ochoa. Katedra miała wiele zalet, a przede wszystkim położenie. Wznosiła się na szczycie

liczącej ponad dwa tysiące metrów góry, dzięki czemu widziało się, kto zmierza na szczyt. A na górę wiodła dość długa droga, więc w razie czego pozostawała nam spora rezerwa czasu. Poza tym z Katedry roztaczał się wspaniały widok na ukochane miasto Pabla.

- Wystarczy lornetka, żeby oglądać całe Medellín - zauważyłem kiedyś, gdy staliśmy na szczycie.

Dla większego bezpieczeństwa Pablo kupił także niewielką karczmę położoną u stóp góry, przy wejściu na drogę wiodącą na szczyt. Oddał ją w posiadanie jednemu ze swoich pracowników imieniem Tato - dał mu ją w prezencie ślubnym. W środku, w karczmie, zainstalowano telefon z bezpośrednią linią do więzienia, tak aby ostrzegano nas, kto zmierza na górę. Oprócz tego osobiście skonstruowałem i zainstalowałem pod powierzchnią okolicznych dróg dojazdowych specjalne czujniki monitorujące ruch. Budynek na szczycie otaczały drzewa. Dawały dobre schronienie przed zagrożeniem z powietrza, a poza tym las stanowił dogodny szlak ewentualnej ucieczki, a z taką koniecznością liczyliśmy się od samego początku, więc Pablo opracował odpowiednie plany. W umowie z rządem Gavirii zastrzegł, że nie wolno ścinać drzew. Dodatkowym atutem Katedry były także... mgły skrywające górę świtem i o zmierzchu. Pablo nie wykluczał, że Cali bądź inni wrogowie mogliby zechcieć zbombardować obiekt z powietrza. Całość otaczał wysoki parkan, drutami przepływał prąd pod napięciem dziesięciu tysięcy woltów. Płot pełnił dwojaką funkcję - z jednej strony uniemożliwiał więźniom nielegalne wyjście, z drugiej strzegł ich przed nieproszonymi gośćmi.

Po uzgodnieniu wszystkich warunków do załatwienia została jeszcze ustawa o ekstradycji. Stosowną zmianę w konstytucji ogłoszono w czerwcu 1991 roku. Od tej chwili winni przestępstw popełnionych w Kolumbii odpowiadali wyłącznie przed kolumbijskimi sądami. I tak to zostało aż do śmierci Pabla.

Niezależnie od porozumienia z rządem Pablo zawarł układ z handlarzami narkotyków. Uważał, że idzie do więzienia niejako w interesie i w zastępstwie pozostałych ludzi z branży, którzy korzystać będą z nowych rozwiązań prawnych. W ramach tego układu ustalono, że za czas pobytu w więzieniu branża będzie wypłacać Pablowi stosowne wynagrodzenie. Tak zresztą zawsze było w naszym środowisku, gdy ktoś poświęcał swoją wolność za innych.

- Moja osoba to cena za pokój - oświadczył Pablo. - Poświęcam się dla was, więc należy mi się rekompensata.

Aby znaleźć się w więzieniu, każdy z nas musiał oświadczyć, że popełnił przynajmniej jedno przestępstwo, i oczywiście przyznać się do winy. Pablo na przykład oświadczył, że brał udział w przemyśle czterdziestu kilogramów kokainy do Stanów Zjednoczonych. Oprócz Pabla i mnie do więzienia poszło dwunastu naszych ludzi. Pablo osobiście instruował ich, co mają zeznać przed sądem. Tak więc trzej z nich oświadczyli, że brali udział w transporcie czterystu kilogramów narkotyków.

- Ty powiesz, że oddałeś do dyspozycji niebieskiego chevroleta, ty, że pakowałeś towar, a ty, że prowadziłeś samochód. Tylko pamiętajcie: niebieski chevrolet - kładł im do głowy Pablo.

Bez skutku. Przed sądem każdy inaczej opisał kolor samochodu, co zresztą nie miało znaczenia. Znaczenie miało, że każdy każdego w jakiś sposób formalnie obciążył - też wedle instrukcji. Dzięki temu każdemu można było złagodzić wyrok za „współpracę z wymiarem sprawiedliwości”.

Ja byłem ostatnim, który oddał się w ręce władz. Niechętnie, bo przede wszystkim nie widziałem powodu, żeby pójść do więzienia. Nie ścigano mnie za żadne przestępstwo, zostając na wolności, mógłbym być bardziej użyteczny dla wszystkich, mógłbym zadbać o rodzinę, dopilnować procedur. Ale Pablo wybił mi to z głowy.

- Chcą cię zabić - powiedział wprost. Zakładam, że miał na myśli Cali, ale równie dobrze mógł mówić o wielu innych naszych wrogach. - W więzieniu będziesz bezpieczny, więc ruszaj. Zgłoś się bez zwłoki.

Tak też zrobiłem. Kiedy zapytano mnie, do jakiego przestępstwa zamierzam się przyznać, odparłem: „Do Rh”

Przesłuchujący zrobili zdziwione miny. Prokuratorka sądziła, że mam na myśli jakiś paragraf z kodeksu karnego.

- Nie kojarzę, o jaki artykuł panu chodzi - powiedziała.

- O żaden. To nie paragraf. Moja zbrodnia polega na tym, że mam tę samą krew, co mój brat Pablo.

Nasza kapitulacja w 1991 roku była początkiem końca historii Pabla Escobara. Ostatnie trzy miesiące przed poddaniem się spędziliśmy na farmie o nazwie Chudy Pies. Taką właśnie nazwę nadał jej Pablo, a wzięła się od wychudzonego ponad miarę psa poprzedniego właściciela - dosłownie skóra i kości. Pablo uparł się, że zwierzak należy mu się razem z farmą, i tak już zostało. Gospodarstwo leżało na górze w Envigado. Roztaczał się z niej widok na całą okolicę. Mieszkało nam się ram spokojnie i na tyle długo, żeby pies porządnie przytył.

W dniu, kiedy miał się oddać w ręce władz, Pablo wstał znacznie wcześniej niż zwykle, bo już o siódmej. Zjedliśmy śniadanie w towarzystwie marny i brat zaraz zaczął się szykować do podróży. Do Katedry planował odlecieć śmigłowcem. Formalna kapitulacja miała nastąpić w momencie, kiedy Zgromadzenie Narodowe przegłosuje ustawę o zniesieniu ekstradycji. Nastąpiło to tuż po południu. Wojna wygrana. Mogliśmy ruszać.

Na ten moment czekał chyba cały kraj.

Ruszyliśmy kolumną samochodów na stadion w Envigado. Czekał tam już tłum złożony z naszych ludzi zabezpieczających miejsce. Pablo ubrany był jak zwykle, w dżinsy, granatowe skarpetki, adidas i zwykłą białą koszulę. Na ręce miał wytworny zegarek od Cartiera, a przy sobie broń - wielkiego sig sauera - oraz radio Motorola z dwoma zakresami i dwudziestoma pięcioma kanałami. Gdy dojeżdżaliśmy do stadionu, śmigłowiec właśnie lądował. Brat uściskał mnie na pożegnanie i wspiął się na pokład. W kabinie siedzieli już ojciec Garcia z dziennikarzem Luísem Aliriem Calle. Obaj mieli towarzyszyć Pablowi w podróży, a w istocie zapewniać mu bezpieczeństwo. Nadał bowiem istniało zagrożenie ze strony przeróżnych ugrupowań niezadowolonych z faktu, że Pablo na własną rękę dogadał się z rządem. Minister obrony zamknął przestrzeń powietrzną dla wszystkich innych maszyn. Pisał później w pamiętniku, że „tego dnia nawet ptakom nie wolno było latać nad Medellín”.

Kiedy śmigłowiec wylądował przy Katedrze, Pablo wysiadł i ruszył prosto do budynku. Strażnikowi przy wejściu oddał pistolet na znak, że oto następuje koniec wojny. Wiem jednak od ludzi, którzy byli na miejscu, że

gdy tylko brat wszedł do środka, dostał drugi pistolet. Kilka dni trwało, nim reszta z nas trafiła do Katedry. Oficjalnie siedziało nas tam czternaście osób.

Przez pierwsze dni mieliśmy mnóstwo zajęć, a wśród pierwszych odwiedzających była nasza mama, ojciec Garcia i przyjaciele Pabla, a wśród nich sławny wtedy piłkarz René Higuita. Mama przywiozła różaniec i domowe jedzenie. Ojciec Garcia wypowiedział nas - prosiliśmy Boga, aby wybawił nas z sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, i otoczył opieką nasze rodziny. Z wizyty Higuita media próbowały zrobić skandal. Pablo odkrył kiedyś jego talent i sprawił, że zawodowe kluby zwróciły na niego uwagę. Higuita nigdy mu tego nie zapomniał, pozostał wiernym przyjacielem mojego brata, a próba wywołania skandalu spełzła na niczym. Nikt się nią nie przejął, Higuita nie stracił ani jednego kontraktu reklamowego.

Wiele spraw trzeba było załatwić możliwie szybko. Ludzie Pabla oczywiście ciągnęli biznes i wręczali łapówki, komu trzeba, ale zależało nam na tym, żeby mieć własną gotówkę. Dostaliśmy ją wkrótce. Około dziesięciu milionów dolarów upakowanych w dziesięć konwi po mleku. Ładunek zakamuflowano workami z mąką, solą, ryżem, cukrem i fasolą; a nawet paroma skrzynkami świeżych ryb. Strażom powiedzieliśmy, że to nasza tygodniowa racja żywnościowa, i transport swobodnie wjechał na teren Katedry. Większość gotówki zakopaliśmy na boisku, a resztę umieściliśmy w piwniczkach pod sypialniami, do których wchodziło się przez klapę pod łóżkiem. Broń niezbędna do obrony trafiła do nas w podobny sposób.

Łączność ze światem zapewniało nam siedem specjalnie zainstalowanych linii telefonicznych. Mieliśmy także komórki - w Kolumbii powstawała właśnie niezbędna dla nich sieć - jak również radiotelefony i urządzenia przywoławcze. Opowiadano później i pisano, że korzystaliśmy z gołębi pocztowych, ale to nie była prawda. System oświetlenia został dostosowany do naszych potrzeb. W każdej chwili - na przykład w razie nalotu albo gdybyśmy chcieli niepostrzeżenie opuścić teren - mogliśmy wyłączyć wszystkie światła specjalnym zdalnym wyłącznikiem, który sam zmagistrowałem.

Kwestie bezpieczeństwa były dla nas najważniejsze. Poza posterunkiem zainstalowanym w karczmie, o której wspominałem, przy drodze na szczyt funkcjonowały jeszcze cztery punkty kontrolne z wojskową załogą. Żołnierze nie mieli prawa wstępu na teren Katedry. Jeśli idzie o strażników, to połowę dobraliśmy sami, a o drugą zadbał burmistrz Envigado, przyzwoity człowiek.

W istocie większość strażników rekrutowała się spośród życzliwych nam ludzi. Rząd płacił im niewiele, więc łatwo było ich namówić do współpracy z nami, za co dostawali pieniądze, lepsze jedzenie i kolorowe papierki kupony. Mieliśmy układ z kilkoma sklepami w Envigado - kto przyniósł kolorowy papierek od nas, ten mógł dostać coś z elektroniki, sprzętu gospodarstwa domowego, ubrań, za nawet gotówkę. Nasi ludzie opłacali rachunki.

Po załatwieniu spraw bezpieczeństwa. zaczęliśmy się urządzać. Katedra nie przypominała normalnego więzienia w tym sensie, że nie było cel i krat, ale też nie była specjalnie wygodna. Z pomocą mojego syna Nica zaczęliśmy to zmieniać. Nico postarał się o samochód do rozwożenia napojów orzeźwiających i załatwił sobie pozwolenie na dostarczanie wody i soków do więzienia. I owszem, przywoził całe skrzynki. Ale w ciężarówce, za skrzynkami, przemycał wszystko, czego potrzebowaliśmy - wanny, jacuzzi, telewizory, materiały wykończeniowe - bo chcieliśmy mieć normalne sypialnie - a także... kobiety. Później wiele przedstawicielek płci pięknej zwyczajnie mieszkało z nami w Katedrze. Budowa - żeby to tak nazwać - szła przez cały czas i rzeczywiście udało nam się zmienić więzienie w całkiem przyjemne miejsce.

Ja sam przywiozłem ze sobą do Katedry dwa rowery - stacjonarny do ćwiczeń i turystyczny -- mojej własnej marki Ositto - aby nie tracić formy. Pablo natomiast przywiózł ze sobą ogromną kolekcję płyt, w tym muzykę klasyczną, komplet nagrań Elvisa Presleya zakupiony kiedyś w Graceland oraz płyty Franka Sinatry z autografem, które dostaliśmy od niego w Las Vegas. Do czytania sprowadził całą bibliotekę - od Biblii w pięciu egzemplarzach po dzieła laureatów Nagrody Nobla. W moim natomiast zbiorze książek były między innymi podręczniki o doskonaleniu pamięci, koniach, chorobach nowotworowych, AIDS i kolarstwie. Mieliśmy także spory zbiór kaset wideo, w tym wszystkie części *Ojca chrzestnego* oraz filmy ze Stevem McQueenem na czele z *Bullitem*.

Z czasem przemieniliśmy więzienie w całkiem wygodny dom. Mieliśmy wszystkie niezbędne urządzenia elektroniczne - komputery, kino domowe z wielkim ekranem, system audio, mieliśmy także dobrze zaopatrzony bar z markowym szampanem z najlepszych roczników i whisky. Do dyspozycji mieliśmy także boisko piłkarskie, ścieżki spacerowe pod drzewami - żeby nie można nas było namierzyć z powietrza - i place do ćwiczeń. W ciągu paru miesięcy powstał bardzo wygodny ośrodek.

Pisano wtedy, że pławimy się w luksusie, że w łazienkach mamy szczerzółote kurki. Nie jest to prawda. Katedrze daleko było do Nápoles. Owszem, żyliśmy w miarę wygodnie, bezpieczniej niż wtedy, kiedy trzeba było przenosić się z miejsca na miejsca, ale tak czy owak, siedzieliśmy w więzieniu, nie zwyczajnym, ale zawsze. Nie byliśmy panami samych siebie, nie mogliśmy wychodzić, nie mogliśmy przyjmować, kogo chcemy. O wszystko trzeba było zabiegać, wszystko starannie planować. Rychło jednak wszystko się ułożyło. Urządziliśmy kuchnię, sprowadziliśmy dwóch kucharzy - Braci Żołądków, jak ich zwano. Mieliśmy wystarczająco dużo rozrywek, czuliśmy się bezpiecznie, a pieniędzy nam nie brakowało.

Trudno jednak mówić o luksusach. Część z nas sypiała na materacach ułożonych wprost na betonowej posadzce. Meble mieliśmy siermiężne. Zamiast obrazów - a przecież Pablo posiadał parę naprawdę pięknych płócien - na ścianach wisały plakaty. Garderobę też mieliśmy skromną. Pablo - dzinsy, koszule i sporo adidasów - niektóre z kolcami, na wypadek gdybyśmy musieli uciekać.

Różnica między Katedrą a światem, w którym obracaliśmy się przez kilka ostatnich lat, polegała na tym, że teraz nasi wrogowie wiedzieli dokładnie, gdzie przebywamy. Prawda, że nie mogli nas osiągnąć. Władze, które nas stale tropiły, teraz odpowiadały za nasze bezpieczeństwo. Politycznie sytuacja przedstawiała się jednak nie najlepiej.

Gaviria chciał sprowadzać do Kolumbii obcy kapitał, zagranicznych inwestorów. Najpierw wszelako musiał zapewnić bezpieczeństwo w kraju, zaprowadzić spokój na ulicach. Bez tego nikt do Kolumbii nie zechciałby przyjechać. Zakończenie wojny było ledwie początkiem nowego etapu.

Przez pierwszych parę miesięcy siedziałem w Katedrze, nie mając nawet postawionych zarzutów o dokonanie przestępstwa. Wreszcie zjawił się prokurator.

„Roberto Escobar posiada wielomilionowe konta za granicą” - brzmiał zarzut.

Problem w tym, że w tamtym czasie żaden kolumbijski przepis prawny nie zabraniał lokowania pieniędzy w zagranicznych bankach.

- Nie zrobiłem nic nielegalnego - oświadczyłem sędziemu - a jeśli Wysoki Sąd zechce wczytać się w paragrafy, to stwierdzi, że mam prawo do zawarcia ugody. Gotów więc jestem zrzec się połowy swojego majątku zgromadzonego w bankach, jeśli Wysoki Sąd uzna drugą połowę za moją

legalną własność.

Sędzia odmówił, a rząd postarał się zamrozić moje konta za granicą. Część nadal ma taki właśnie status.

Tymczasem na wolności narkobiznes działał jak przedtem. Aresztowanie legendarnego Pabla Escobara niczego nie zmieniło. Członkowie naszej organizacji nadal prowadzili interesy, Cali działało na poważną skalę, inne kartele też funkcjonowały normalnie. Tak to już jest - gdy ktoś polegnie, inny zajmuje jego miejsce. Jedyna różnica polegała na tym, że ustały akty przemocy.

My tymczasem staraliśmy się usilnie zmienić własną sytuację. Pablo zatrudniał nie mniej niż trzydziestu prawników, którzy szukali rozwiązań w ramach systemu politycznego. Piłkarz Higuaita zaoferował swoje usługi, żeby doprowadzić do porozumienia z kartelem z Cali. I rzeczywiście, korzystając z dobrych usług ojca Garcíi, dotarł do braci Orejuela. Nie wskórał jednak niczego. Bracia byli uparci.

- Nie mam do nich krztyny zaufania - mówił Pablo i jak się miało później okazać, miał absolutną rację. Otóż jeden z agentów DAS zabezpieczających nasze więzienie ustalił, że Cali kupiło w Salwadorze cztery dwustupięćdziesięciofuntowe bomby i rozglądało się za samolotem do przeprowadzenia bombardowania. Na szczęście nie udało się. Ale jednak zdarzało się, że w pobliżu Katedry krążyły jakieś samoloty. Strażnicy odstraszały je strzałami.

Czas biegł wolno. Ćwiczyłem, jeździłem na rowerze, czytałem wszystko, co tylko mogłem, o AIDS, prowadziłem dalej swoje badania, no i oczywiście pracowałem z Pablem. Pablo spędzał dni na rozmowach telefonicznych, czytaniu i naradach z adwokatami. Zaczął się uczyć chińskiego. Wieczorami siadywał w bujanym fotelu i patrzył na światła Envigado. Ogarniała nas wtedy tęsknota za normalnym życiem, domem, za rodziną.

Nadal też brat starał się pomagać ludziom w potrzebie. Codziennie dostawał setki listów. Cały świat wiedział, że Pablo oddał się w ręce władz, więc ludzie pisali do więzienia, zwracając się do mojego brata z najrozmaitszymi prośbami. Listy przychodziły dosłownie z całego świata - z Europy, Azji, zewsząd. Głównie z prośbami o pieniądze bądź prośbami o radę, jak je zarobić. Sortowaniem listów zajmowało się czterech bądź pięciu pracowników. Układali je w stosy. Osobno korespondencję od rodziny, osobno od przyjaciół, od ludzi w potrzebie, zwłaszcza chorujących na raka,

od studentów proszących o pieniądze na naukę i osobno korespondencję biznesowa. Pablo czytał większość listów i nierzadko wysyłał swoich ludzi, aby zweryfikowali prośby. Gdy ktoś rzeczywiście był w potrzebie, przedstawiciele Pabla wręczali takiemu komuś odpowiednią sumę pieniędzy.

Zapamiętałem kilka dziwnych zgoła listów. Kiedyś napisał do Pabla pewien człowiek z Afryki. Przedstawił się jako właściciel słonicy - matki słoniątka, które trafiło do nas, do Nápoles. Chciał, żeby słonica dokonała żywota u boku swej progenitury w Nápoles. Dołączył zdjęcie zwierzęcia i oczywiście prośbę o pieniądze.

Korespondent z Australii oświadczał, że ma siedem różnych rachunków bankowych i że chętnie ukryje majątek Pabla na swoich kontach.

Trafił się też list adresowany do nas obu, znaczy do Pabla i do mnie. Do listu dołączone było zdjęcie ładniej, siedemnastoletniej blondynki w ślubnej sukni. Pisała mniej więcej tak:

„Jestem przyzwoitą dziewczyną. Właśnie zrobiłam maturę. Chciałabym studiować prawo i zostać adwokatką. Ale nie mam pieniędzy. Jestem - jak powiadam - skromną dziewczyną, ale chciałabym się oddać jednemu z Panów. Byłby to dla mnie zaszczyt. Poza własnym dziewictwem nie posiadam niczego. Niczego więc innego nie mogę zaoferować. Nie jestem prostytutką. Potrzebuję pieniędzy na studia”.

Pablo wysłał ludzi, żeby sprawdzili. Ani on, ani ja nie skorzystaliśmy z oferty, ale Pablo opłacił jej studia. Typowe dla niego. Listy z prośbami bywały wręcz przejmujące: umieram, a moje dzieci nie mają niczego... muszę poddać się operacji, żeby móc chodzić i zarabiać na utrzymanie rodziny... właśnie zabierają mi dom... Takim ludziom władze nie pomagały, ich jedyną nadzieją był Pablo.

U stóp góry, przy pierwszej bramie, stale gromadziły się setki ludzi. Przez strażników przekazywali ręcznie pisane prośby - boletas. Niektórzy błagali o pieniądze, inni o radę, jak rozwiązać życiowe problemy. Uważali, że Pablo był jednym z nich, z tą tylko różnicą, że jemu udało się wspiąć na szczyt.

Najbardziej cieszyliśmy się z faktu, że mogliśmy codziennie przyjmować gości. Nie było to zbyt legalne. Oficjalnie mieliśmy prawo do dwóch widzeń tygodniowo - w środy i soboty. Wtedy przyjeżdżała do nas rodzina. Ale tak naprawdę to przez pozostałe dni zawsze było u nas tłumnie. Kupiliśmy ciężarówkę Chevroleta i furgonetkę marki Mazda. Oba wozy kazaliśmy

przerobić w taki sposób, że przestrzeń ładunkową podzieliliśmy na dwie części sztucznymi ściankami. Powstały w ten sposób ukryte przedziały - schowki na dwadzieścia w sumie osób. Nazywaliśmy je tunelami. I z tych tuneli korzystali ci, którzy z rozmaitych powodów chcieli nas odwiedzić, ale nie życzili sobie rozgłosu, albo goście obarczeni prokuratorskimi zarzutami, którzy z tego tytułu nie mieli prawa do oficjalnych wizyt. Zwykle odbywało się to w taki sposób, że chętnych nasze wozy zabierały z umówionych miejsc i wiozły do karczmy u stóp Katedry. Tam ci, którym nie zależało na tajemnicy i nie musieli obawiać się władz, zajmowali miejsca w zwykłej kabinie pasażerskiej, a reszta mościła się w tunelu. Na punktach kontrolnych padało zwykle pytanie:

- Co wieziecie?

- Materiały - brzmiała odpowiedź będąca jednocześnie hasłem, że goście przybywają za naszą zgodą.

Poza rodziną i przyjaciółmi odwiedzali nas politycy, partnerzy biznesowi, księża, znani zawodnicy piłkarscy i... najpiękniejsze kobiety świata. Nie wszystkie oczywiście, ale jednak. Odbywało się u nas wiele przyjęć z udziałem laureatek konkursów piękności krajowych i zagranicznych, znanych aktorek, celebrytek, modelek i atrakcyjnych studentek. Jak jakaś laska wpadła nam w oko w telewizji albo zainteresowało nas czyjeś zdjęcie w gazecie, wysyłaliśmy zaproszenie. Naszym damskim gościom nic nigdy nie groziło, a za wizytę dziewczyny dostawały drogie prezenty. Często z własnej nieprzymuszonej woli zostawały na noc. Między sypialniami mieliśmy zresztą sekretne pomieszczenie, gdzie dziewczyny mogły się schować. Odjeżdżały po śniadaniu, oczywiście w tunelu.

Nikogo wszelako nie zmuszaliśmy do odwiedzin. Jak któraś nie chciała, to nie przyjeżdżała.

A jak wyglądało zaproszenie, najlepiej opowiada pewna studentka. Otóż - wspomina - podszedł do niej kiedyś pewien znajomy i spytał, czy chciałaby pójść na eleganckie przyjęcie, dodając, że za udział otrzyma spore honorarium.

- A czego się ode mnie oczekuje? - spytała przezornie.

- Niczego, tylko tego, żebyś ładnie wyglądała.

Mamy w Kolumbii kolorowy magazyn „Cromos” pełen zdjęć pięknych kobiet. Korzystaliśmy z niego, dobierając sobie uczestniczki naszych przyjęć. Jedną z pierwszych, którą, nawiasem mówiąc, ja wybrałem, była

dwudziestojednoletnia zdobywczyni w miejsca w konkursie o tymi Miss Universum. Przyjechała do Katedry i została na całe pięć dni. Mogę tylko dodać, że przyjęcia u nas zaowocowały kilkoma małżeństwami, nie mówiąc już o romansach. Ja na przykład zakochałem się w pewnej miss. Spłodziliśmy trójkę wspaniałych dzieci, ale małżeństwo niestety się rozpadło. Jak się okazało, moja miss zakochała się nie tyle we mnie, ile w moich kontaktach bankowych.

Nie będzie zaskoczeniem, jeśli powiem, że w Katedrze seks wręcz kipiał. Byliśmy młodzi, bogaci, a jednocześnie zamknięci w czterech ścianach więzienia. A kto mógł zapewnić damie lepszą ochronę niż mężczyzna pokroju Pabla Escobara?! Najlepszym przykładem niech będą nasze przyjęcia, ze wszech miar przyzwoite - przyjemna muzyka, towarzyskie tańce.

Już po naszej ucieczce w kolorowych magazynach publikowane zdjęcia znalezione w Katedrze z dmuchanymi sekslalkami i mężczyznami przebranymi za kobiety. Chodziło o to, żeby nas skompromitować. Tymczasem w tych zdjęciach nie było nic nieprzyzwoitego, pochodziły z balu maskowego, jaki sobie wyprawiliśmy.

Damskich wizyt nie przyjmowaliśmy w dniach, kiedy odwiedzały nas rodziny. Kiedy byliśmy zbiegami, z rodzinami spotykaliśmy się rzadko i zwykle na bardzo krótko. W więzieniu było inaczej. Było bezpiecznie i mogliśmy spędzać ze sobą znacznie więcej czasu. Pablo kazał nawet wstawić do swojej sypialni trzy łóżka właśnie z myślą o rodzinie. Na dziedzińcu kazał wybudować domek dla córki, a dla syna sprowadził gokarta.

Równoległe z rodzinami przybywało do nas mnóstwo innych gości. Pablo urzędował w swojej sypialni i tam przyjmował tych, którzy mieli sprawy do załatwienia. jednocześnie zaufani ludzie rozdawali pieniądze członkom rodziny. Wśród odwiedzających nas w - że tak powiem - rodzinnym trybie była siedemnastoletnia kuzynka Pelolindo - dziewczyna z pięknymi włosami. Za pierwszym razem przyjechała z matką i siostrami, ubrana w szkolny mundurek. Podobnie jak wszyscy z dalszej rodziny, nie widziała Pabla od lat - w czasie gdy byliśmy zbiegami, nie było mowy o rodzinnych spotkaniach. Mała dziewczynka wyrosła na piękną pannę.

- Kiedy wprowadzono nas do środka - wspominała później - poczułam na sobie wzrok Pabla. Niby patrzył na wszystkich, ale tak naprawdę tylko na mnie. Onieśmiał mnie.

Pablo też pewnie był zaskoczony. Nie pamiętał ani jej, ani jej sióstr z dawnych lat.

Pelolindo zjawiała się w Katedrze ponownie kilka dni później. Tym razem ubrana jak panna. Pablo poprosił ją do siebie razem z siostrami. Każda przedstawiła jakąś prośbę, tylko nie ona. Po posłuchaniu wróciły do reszty towarzystwa. Kiedy już miały wyjeżdżać, Pablo raz jeszcze zaprosił Pelolindo do siebie. Siostry ruszyły za nią.

- Was nie zapraszam - zmroził je.

A Pelolindo, gdy już znaleźli się sami, zapytał, dlaczego o nic go nie prosiła.

- Wszyscy zawsze mnie o coś proszą - zauważył.

- Ale ja nie jestem jak wszyscy - odpowiedziała rezolutnie. - I nie przyjechałam tu, żeby cię o cokolwiek prosić.

Ujęty tą odpowiedzią Pablo zafundował jej w nagrodę za maturę wycieczkę na San Andreas - kolumbijską wyspę na Karaibach - a w zamian poprosił tylko, żeby go odwiedziła po powrocie.

Tak też się stało. Tym razem przybyła w towarzystwie swojego kuzyna. Z karczmy na dole wjechali na górę ukryci w tunelu.

- Pojechałam, bo darzyłam go szczególnym uczuciem i wiedziałam w duszy, że on mnie też, a jednocześnie bardzo mnie szanował. Katedra nie sprawiała na mnie wrażenia więzienia. Przeciwnie, czułam się tam, jakbyśmy na świecie byli tylko we dwoje, on i ja. Byłam oczywiście podenerwowana i zaintrygowana. A później zaczęłam tam bywać coraz częściej, nawet cztery albo pięć razy w tygodniu. Jeden dzień z nim wydawał się tygodniem.

I tak to trwało przez kilka następnych miesięcy.

Chcę podkreślić, bo taka jest prawda, że ich związek nie miał żadnych seksualnych kontekstów. O Pablu i młodych kobietach napisano tomy. On sam milczał na ten temat. Zawsze był dżentelmenem, a związek z Pelolindo był kryształowo czysty. Chodzili na spacer i godzinami rozmawiali ze sobą. Sama wspomina, jak wieczorami wyprawialiśmy się we trójkę na boisko. Pablo stawał na bramce, a ja próbowałam strzelić gola.

- No strzelaj! - wołał i bronił jak szatan. Nie było na niego rady. Bramkę zdobywałam tylko wtedy, kiedy on na to pozwolił.

- A czasami wtulaliśmy się w siebie i po prostu oglądaliśmy telewizję - wspomina Pelolindo swoje wizyty u Pabla. O seksie nie było mowy. - Gdyby nie zginął, to pewnie z czasem do czegoś by doszło - dodaje.

Ale związek pozostał platoniczny.

To właśnie Pelolindo wymyśliła, żeby zrobić albumy z politycznymi karykaturami Pabla. Zaczęli wspólnie nad tym pracować. Zrobili paręset egzemplarzy, z tego dziesięć od początku do końca ręcznie. Te Pablo ozdobił swoim autografem i odciskiem palca w zlocie na okładce. Pewnego wieczoru, kiedy pracowali nad albumami, Pelolindo powiedziała:

- Jesteś taki miły i słodki. Nie mieści mi się w głowie, że możesz być inny, że to, co opowiadają, to prawda.

Pablo uśmiechnął się.

- A czy ty w ogóle wiesz, kim ja jestem?

- Wiem, ale dla mnie tu i teraz jesteś po prostu Pablem Escobarem.

Dość często dopraszała się o prezenty. Kiedyś Pablo zafundował jej nowe auto. Dwaj jego ludzie dostarczyli jej wóz, gdy wychodziła ze szkoły. Pablo przyrzekł jej także, że użyje swoich znajomości, żeby została piosenkarką. Żona Pabla wiedziała o jej wizytach w Katedrze i nie była z tego powodu zadowolona. Ale cóż mogła zrobić. A zresztą był to tylko niewinny flirt i nic innego.

Pablo nigdy nie mówił jej, że ją kocha, tęskni i w ogóle. Zawsze jednak przy pożegnaniu domagał się, żeby powiedziała, kiedy znów go odwiedzi.

Nabrał do niej takiego zaufania, że zdradził jej nawet szyfr do sejfku, w którym trzymał gotówkę - nie muszę dodawać, że sporą. Pozwalał jej także zaglądać do piwniczki pod łóżkiem. Jak sama wspominała, stale z niej czerpał, ale też ciągle leżało tam mnóstwo pieniędzy.

Nie minęło dużo czasu, kiedy Pelolindo zaczęła strzyc Pabla i dbać o jego paznokcie. Któregoś dnia Pablo postanowił ufarbować włosy na blond. Zaraz zjawiała się Pelolindo z zapasem odpowiedniej farby. Na wszelki wypadek przyniosła też czarną, gdyby się sobie nie spodobał jako blondyn. I rzeczywiście, Pabla zbrzydziło to, co zobaczył w lustrze, nie mówiąc o tym, że jako blondyn stanowiłby znacznie łatwiejszy cel niż jako brunet.

- Pomaluj mnie z powrotem na ciemno - polecił, uznając, że z jasnymi włosami wygląda niezbyt męsko.

W miarę jak coraz bardziej zbliżali się do siebie, w ich rozmowach pojawiły się poważniejsze tematy.

- A jeśli mnie zabiją, to co zrobisz? - spytał Pablo.

Zdumiała się. Pablo nie zwykł myśleć o śmierci, stale snuł plany na przyszłość. Któregoś dnia pokazał jej zdjęcie - on z synem Juanem Pablem

przed Białym Domem - i zapewniał solennie, że w przyszłości będzie robić interesy z amerykańskim prezydentem.

- Kiedy wyjdę na prostą, zostanę prezydentem Kolumbii - zapowiadał, więc Pelolindo nie spodziewała się pytania o śmierć. Zbyła go uśmiechem.

- Och, Pablo, nigdy cię nie zabija. A jak przeniosą cię do innego więzienia, to uciekniesz. Masz tyle siły, że wszystko możesz.

- No cóż, na pewno spróbuję. Ale gdyby coś mi się stało, jak będziesz mnie wspominać?

- Będę pamiętać o twoich oczach, o rym, jak na mnie patrzyłeś, wcale nie jak na kuzynkę.

Pablo zmilczał.

Ich związek zmienił się jednak za sprawą innego kuzyna. Otóż wpadł on w ręce naszych wrogów, a że nie poszedł na współpracę, ci go zabili. Wydarzenie to przepoiło Pelolindo głębokim lękiem. Przesiała nas odwiedzać, wymawiając się byle czym. Kiedy Pablo starał się do niej dodzwonić, telefon odbierała matka: „Córki nie ma, poszła na przyjęcie”. Po tygodniu wymówek Pablo oświadczył stanowczo, że musi się z nią natychmiast rozmówić. Przyjechała, ale widać było, że coś się zmieniło.

- Boisz się? - spytał.

Przyznała, że tak. Pablo zapewniał, że nie powinna się niczego lękać, przyrzekał, że zapewni jej całkowite bezpieczeństwo i że ułatwi jej karierę piosenkarki. Dał jej złoty grzebień z wygrawerowanym imieniem „Pelolindo”.

- I wtedy - wspominała później - po raz pierwszy zostałam na noc. Nie, nie było żadnych namiętności, ale wiele głębokiego uczucia. Czułam, że Pablo darzy mnie miłością. Powiedziałam mu, że miłość to nie tylko seks i że ukocham go na swój sposób. Całowałam jego ręce i twarz. Widziałam łzy w jego oczach. Dlaczego? - spytałam.

- Widzisz - odpowiedział - po tym wszystkim, co przeżyłem, pragnę już tylko miłości. Wiem, że moja żona mnie kocha, ale to nie to samo. Czy jesteś gotowa? - spytał.

- Gotowa na co?

- Żeby założyć rodzinę.

- Nie, zwariowałeś.

- Myślę jednak, że w innym czasie i innym miejscu na pewno zostalibyśmy kochankami.

Rankiem opuściła Katedrę. Z przyjacielem pojechała odebrać dwa tysiące dolarów - honorarium za jej piosenkarski recital. Na drodze zwanej Las Olmos zatrzymała ich czwórka policjantów poruszających się taksówką. Zabrali pieniądze i samochód.

Gdy wieczorem tego samego dnia ludzie Pabla zjawili się w domu Pelolindo, aby zabrać ją do Katedry, matka oświadczyła, że nic widziała córki od rana.

Pablo z miejsca przystąpił do akcji.

Przez pośredników dano sygnał porywaczom, że ośmielili się podnieść rękę na kuzynkę samego Pabla Escobara. Natychmiast ją uwolnili, oddali zrabowane pieniądze oraz samochód i postarali się zniknąć.

Gdy tylko Pelolindo wróciła do domu, Pablo połączył się z nią telefonicznie, żądając, aby natychmiast przyjechała.

Przyjechała i zdała mu relację z tego, co się wydarzyło. Pablo ze swej strony opowiedział o swoich działaniach.

- Jesteś moim Supermanem - skomplementowała go. Pablo tylko się uśmiechnął. Zapamiętała to, bo uśmiech rzadko gościł na jego obliczu. - Tej nocy widziałam go po raz ostatni - wspomina. - Ani on, ani ja nie wiedzieliśmy, że władze zamierzają go przenieść z Katedry.

Działo się to 20 czerwca 1992 roku.

Spędziliśmy w Katedrze trzysta dziewięćdziesiąt sześć dni. Obchodziliśmy tam święta, liczne urodziny, wyprawialiśmy nawet wesela. Właśnie w czasie odsiadki Pablo kończył czterdziesty drugi rok życia. Z tej okazji urządziliśmy wielkie przyjęcie z kawiozem i łososem. Gościom przygrywała orkiestra, a Pablo w prezencie od mamy dostał niską czapkę. Była właśnie z wycieczka w Rosji i przywiozła tę czapkę specjalnie dla niego. Ze wszystkich wydarzeń najbardziej pamiętne były jednak wizyty ulubionych drużyn piłkarskich Pabla.

Jako pierwsza przybyła drużyna Nacional Rene Higuita. Okazja było święto Las Mercedes (Maryi Panny Miłosierdzia) - patronki więźniów. Pablo zapragnął rozegrać prawdziwy mecz. Lojalnie ostrzegł przybyszów, że w Katedrze mecze trwają po trzy, a nawet cztery godziny, że dopuszcza się tylko dwie zmiany, a w przypadku remisów o zwycięstwie decydują rzuty karne. Zawodnicy Nacional wystąpili w oficjalnych strojach klubowych, my włożyliśmy barwy niemieckiej reprezentacji narodowej. Pablo był naprawdę niezłym piłkarzem. W tym jednak meczu miał „anioła stróża” w osobie

Leonela Alvareza, a ten nie pozwalał mu rozwinąć skrzydeł.

- Tak się, bracie, gra w piłkę - rzucił, gdy Pablo próbował się skarżyć.

W pewnym momencie nasi przeciwnicy prowadzili 3:0, ale mecz zakończył się remisem 5:5. Nastąpiły rzuty karne i Rene chyba jednak nam pomógł. Sam spudłował, a później pozwolił Pablowi strzelić zwycięskiego gola z lewej nogi. Niewykluczone, że przeciwnicy dawali nam fory, ale liczy się wynik. Wygraliśmy.

Wkrótce potem graliśmy w Katedrze przeciwko zawodowcom z Medellín i Envigado i też nie daliśmy się pokonać. Po spotkaniach na więzienny maszt wyciągano klubową flagę gości, z tym że Pablo nocą zawsze zamieniał ją na flagę swego ulubionego klubu.

Mój brat uważał, że odsiadując wyrok za wszystkich członków kartelu. Oddał się w ręce władz w zamian za zniesienie ustawy o ekstradycji, co oczywiście dotyczyło wszystkich. Osadzając Pabla Escobara w więzieniu, władze mogły głosić, że oto wygrały wojnę z narkobiznesem. To jednak mijało się z prawdą.

Nasze uwięzienie w Katedrze wcale nie oznaczało kresu handlu narkotykami. Pablo miał pełną wiedzę o poczynaniach branży w Medellín i całej Kolumbii. Dzwoniono do niego z raportami, co się dzieje. Wiedział o każdej partii towaru. Ale wiedza kosztuje. Ludzie, których opłacał, nadal oczekiwali wypłat. Zdarzało się więc, że na więziennym dziedzińcu lądował śmigłowiec z Medellín, żeby zabrać pieniądze na wypłaty. Interes musiał się kręcić, a kręcił się dlatego, że ludzie z branży odpalali Pablowi stosowny udział, oczywiście w gotówce.

Dwie spośród największych organizacji płacących Pablowi procent od obrotów należały do jego przyjaciół Fernanda Galeana i Kika Moncady. Obaj zarabiali krocie, eksploatując szlak przerzutu przez Meksyk, zwany Fany. Nie muszę dodawać, że ów szlak przetarł mój brat, stanowił on więc niejako jego własność, podobnie jak nie muszę dodawać, że dzięki mojemu bram ani wspomniana dwójka, ani nikt nie musiał się lękać ewentualnej ekstradycji Tymczasem do Pabla dotarło, że obaj wysłali pięć ładunków, nie przekazując mu należnego udziału. Inaczej mówiąc, próbowali go orznąć na kilka milionów dolarów. Z biznesowego punktu widzenia działali bezsensownie. Te kilka milionów to był naprawdę drobiazg w porównaniu z tym, co wpłynęło do ich kieszeni. Pablo potraktował incydent jako bardzo poważny. Nie tyle chodziło o pieniądze, ile o brak szacunku dla jego osoby, a nawet

więcej - o próbę przejęcia kontroli nad branżą. Jak już wspomniałem, obu - i Galeana, i Moncadę - mój brat uważał za przyjaciół, ufał im i wedle własnego przekonania także dla nich poszedł do więzienia.

Od swoich źródeł Pablo dowiedział się, gdzie Galeano ukrył pieniądze, i wysłał swoich ludzi, żeby je przejęli. Było tego ponad dwadzieścia milionów dolarów. Galeano i Moncada zaczęli domagać się zwrotu, argumentując, że nie jest prawdą, jakoby nic zapłacili Pablowi należnego udziału. Brat kazał im się stawić w Katedrze.

Przyjechali, uważając zapewne, że w więzieniu nic im nie może grozić. I rzeczywiście, zabito ich dopiero po wyjeździe z Katedry. *Sicario* Popeye przyznał później, że Moncada zginął z jego ręki, a drugiego - Galeana - zabił Otto. Nie ma znaczenia, który naprawdę zabił którego, ważne, że zlikwidowano obu. Rodziny dopraszały się później o ciała i owszem, powiedziano im, gdzie można wygrzebać zwłoki. Co do mojego brata, to dał sygnał księgowym obu organizacji, że odtąd podlegają jemu, i zaraz cały majątek Galeana i Moncady łącznie, samoloty i gotówkę - przekazano w ręce lojalnych współpracowników Pabla.

Nie koniec na tym. Pablo kazał stawić się w Katedrze najważniejszym pozostałym przy życiu ludziom z obu organizacji. Większość przywieziono w „tunelach”.

- Wprowadzam stan wyjątkowy -- oświadczył Pablo, podkreślając, że choć przebywa w więzieniu, to nadal jest szefem - El Patron - kartelu z Medellín. Co prawda kartel w dawnym kształcie przestał istnieć, ale Pablo pozostaje szefem wszystkich ludzi z branży i jeśli nie będą rozrabiać i będą regularnie mu płacić („podatek” określono w miesięcznych kwotach), nic im się nie stanie.

Pablo uważał, że nie miał innego wyjścia. Musiał podjąć takie właśnie kroki w swoim dobrze pojętym interesie, bo przecież próbowano go okraść. Biznes to biznes. Ludzie, z którymi miał do czynienia, nie byli niewinni, nie mogli liczyć na ochronę ze strony władz. Rzecz jednak miała także inne konsekwencje. Władzom dała wygodny pretekst do podjęcia działań zgodnych z postulatami Stanów Zjednoczonych.

Pablo nie zamierzał uciekać z Katedry. W więzieniu byliśmy bezpieczni, a za drutami czyhali na nas wrogowie. Dziś wiem, dlaczego prezydent Gaviria zdecydował nagle o podjęciu działań przeciwko nam - ludzie z Cali naciskali na władze, korzystając z układów politycznych. Wiemy, że Cali

słało pisma do ministra obrony, opisując, co się dzieje w Katedrze - że stale przyjmujemy rozmaitych gości, że żyjemy jak pączki w maśle, że mamy mnóstwo pieniędzy i broń i że Pablo nadal prowadzi interesy. Trudno uwierzyć, żeby władze o tym wszystkim nie wiedziały, ale donos jest donosem. Kiedy wybuchła sprawa zabójstwa Galeana i Moncady, podniosły się głosy, że władze są za miękkie. Takie opinie źle rzutowały na pozycję Gavirii i pewnie dlatego uznał, że powinien pokazać twardą rękę. Mówiono później, że władze zostały zmuszone do działań, bo Pablo ponoć chciał uciekać z Katedry. Brat takiego zamiaru nie miał. Na sytuację wpływały także naciski ze strony Stanów Zjednoczonych. Kapitulacja i uwięzienie Pabla wcale nie zmniejszyły rzeki narkotyków płynącej z Kolumbii do Ameryki, a gdy jeszcze w prasie amerykańskiej zaczęto pisać, jak nam się wiedzie w więzieniu, władze Stanów Zjednoczonych zgłosiły protest i zaferowały zwiększenie pomocy dla władz Kolumbii w walce z narkobiznesem. W takiej sytuacji, w lipcu 1992 roku, prezydent Gaviria zdecydował, że Pabla należy przenieść do solidniejszego więzienia.

Takiej ewentualności brat lękał się stale. Uważał, że amerykańska Agencja do Walki z Narkotykami będzie chciała uprowadzić go do Stanów. Twierdził nawet, że niektóre przynajmniej samoloty przelatujące nad Katedra zostały wysłane przez DEA, aby zrobić zdjęcia wywiadowcze. Pamiętam, że czytał nawet w książce autorstwa prokuratora, który swego czasu ścigał Charlesa Mansona, że Ameryka powinna wysłać do Kolumbii komandosów w celu fizycznej likwidacji handlarzy narkotyków.

Ja zaś już od dwóch dni wiedziałem, że coś się szykuje - objawił mi się bowiem mały ksiądz. I wtedy po raz pierwszy opowiedziałem Pablowi całą historię o tym, jakie miałem objawienia i co się potem działo. Tym razem brat uwierzył mi całkowicie.

- A więc to prawda, że będą się do nas dobierać? - upewniłem się. Wiedziałem bowiem, że Pablo uruchomił swoich informatorów w wojsku i we władzach, a ci potwierdzili, że coś się szykuje. Ktoś z wysokiego szczebla w strukturach wojskowych poradził nawet, że powinniśmy uciekać. Inni zaś ujawnili, że Waszyngton postawił ultimatum: albo nasz rząd doprowadzi do ekstradycji Pabla, albo Amerykanie wejdą do Kolumbii.

W ciągu paru następných dni prowadziliśmy gorączkowe przygotowania do ucieczki. Atmosfera gęstniała, robiło się nerwowo jak przed nadejściem spodziewanego tornada.

Zorganizowaliśmy specjalny system łączności, żeby zapewnić stały kontakt z Pablem ś ze mną. Nad naszymi łózkami zawiesiliśmy nawet głośniki. I oto któregoś dnia kwadrans po dziesiątej rano dostaliśmy wiadomość, że w stronę Katedry zdążają cztery ciężarówki pełne wojska. Wkrótce potem poinformowano nas oficjalnie, że jedzie do nas specjalna delegacja rządowa.

Obaj z Pablem przyszykowaliśmy się do ucieczki. Mieliśmy świadomość, że przy świetle dziennym mamy niewielkie szanse, ale co innego mogliśmy zrobić. Jedno było pewne, a mianowicie, że Pablo nie da się wywieźć z Katedry bez walki. Około południa przed bramą Katedry stanął zastępca ministra sprawiedliwości Eduardo Mendoza i dyrektor więzień - pułkownik Hernando Navas. Oświadczyli, że z rozkazu prezydenta Gavirii wojsko ma przeszukać nasze sypialnie.

Pablo zachował spokój. Uprzejmie zaprosił obu delegatów do środka na rozmowę.

- Przykro mi - oświadczył - ale na mocy porozumienia zawartego z rządem Gavirii policja i wojsko nie mają prawa wstępu na teren Katedry. Jeśli panowie chcą nalegać na przeszukanie, proszę sprowadzić funkcjonariuszy służby więziennej. Wojsku, a tym bardziej policji, nie pozwolę tu wejść. Proszę pamiętać, panowie, że z policją toczyłem wojnę, a ustalenia, jakie przywołuję, są jej efektem.

Wiceminister był skonsternowany. Żeby rozładować sytuację. Pablo oświadczył, że może ewentualnie zgodzić się na wejście żołnierzy, ale bez broni. Delegaci przystali na te propozycję, kiedy jednak skontaktowali się z prezydentem, ten stanowczo ją odrzucił. Łamiąc porozumienie, oświadczył, że o żadnym kompromisie nie może być mowy i że wojsko wejdzie na teren więzienia w pełnym uzbrojeniu. Osobiście sędzę, że Gaviria lękał się, iż przystając na propozycję Pabla, okaże słabość i straci twarz.

Ale Pablo też nie ustępował.

A Nie ma mowy, aby wojsko weszło tu z bronią. Nie wejdzie tu nikt z bronią. Niki nie będzie mnie zabijał.

Delegaci próbowali załagodzić sytuację, ale Pablo nie dawał się przekonać.

- Nie wiem, jakie są ich zamiary, nie ufam im, nie będę ryzykował życia - mruknął.

Nastąpił pat. Czekaliśmy na dalszy rozwój wydarzeń. I doczekaliśmy się.

Rząd wysiał dodatkowe oddziały, zmobilizował śmigłowce i samoloty. Nasze źródła doniosły, że z Bogoty do Medellín odlatują właśnie dwa transportowce typu Hercules pełne wojska, a na szczyt naszej góry maszerują oddziały mające zluzować patrole z garnizonu z Medellín.

O zmierzchu delegaci postanowili odjechać.

- Prześpijmy się, wrócimy rano i wtedy wspólnie zastanowimy się, jak rozwiązać sprawę.

Tymczasem Pablo dostał wiadomość od zaufanego generała, że władze są zdeterminowane, chcą go wziąć żywego albo martwego, a gdy go wezmą żywcem, będzie podlegał ekstradycji. Powiedział mi o tym, biorąc mnie na bok, i tylko my dwaj mieliśmy pełny obraz sytuacji. Co robić? Wybór był ograniczony. Na początek postanowiliśmy, że obu delegatów zatrzymamy jako zakładników.

- Przykro nam, ale nie będą panowie mogli odjechać. Musicie zostać tutaj w imię naszego bezpieczeństwa.

Kryzys mógł rozwiązać tylko prezydent Gaviria, ten jednak nie podchodził do telefonu. Prawnicy Pabla dzwonili wiele razy, bez skutku. Widać, że Gaviria miał inny plan. Pablo nie chciał uciekać z Katedry, ale też nie miał innego wyjścia. Mieliśmy świadomość, że wojsko może przypuścić atak i pozbawić nas życia. Musieliśmy uciekać, i to zaraz. Mieliśmy broń, to znaczy wszyscy poza mną.

Ukrywaliśmy ją od dawna, także karabiny maszynowe. Pablo zarzucił sobie uzi na ramię, a za pas wetknął sig sauera. Ja tymczasem wymknąłem się niepostrzeżenie z budynku, żeby przygotować szlak ucieczki. Noc była chłodna, Katedrę skrywała mgła, co zapewniało nam pewną osłonę. Już dawno obeszliliśmy z Pablem cały teren, szukając sposobnego miejsca na zrobienie wyłomu w ogrodzeniu otaczającym więzienie. Znaleźliśmy takie i wtedy właśnie - kilka miesięcy temu - zagrzebałem w pobliżu obcegi do przecinania drutów. Najbliższy posterunek znajdował się dobre osiemdziesiąt metrów od tego miejsca, a co ważniejsze, zaraz po drugiej stronie znajdowało się zagłębienie, rodzaj rowu, któredyś kiedyś płynął strumień. Druty okazały się solidniejsze, niż myślałem. Miałem kłopoty z ich przecięciem, tym bardziej że musiałem działać możliwie cicho. Poważną przeszkodę stanowiły kable pod wysokim napięciem. Wszyscy lękali się porażenia. Już lepiej zginąć od kuli, niż dać się usmażyć prądem. Ale poradziłem sobie, pomogło moje techniczne wykształcenie. Koniec końców wyciąłem w ogrodzeniu

dziurę, przez którą będzie można się wymknąć, i wróciłem do budynku.

Zakładnicy trzęśli się ze strachu. Znaleźli się we władzy Pabla Escobara i zapewne spodziewali się najgorszego. Zbledli jak płótno. Pułkownik Navas nalał sobie whisky.

- To pewnie moja ostatnia szklanka - powiedział, wziął Biblię i zaczął czytać Psalm 91. Na koniec poprosił o telefon, aby pożegnać się z rodziną. Powiedział przy tym, że dopiero po przylocie do Medellín powiedziano mu, jakie ma zadanie.

Pablo kazał odprowadzić zakładników do swojej sypialni. Nadal próbował skontaktować się z prezydentem, ale Gaviria odmawiał przyjęcia telefonu, nawet od ojca Garcíi. Jedynym wyjściem była już tylko ucieczka.

- Albo uda się nam uciec, albo zginiemy tu wszyscy – powiedział Pablo. We dwójkę udaliśmy się do skrytki, żeby zabrać pieniądze. Z góry dobiegał warkot samolotów. Nacisnąłem przycisk, który kiedyś zamontowałem w więziennej sieci, i cała Katedra pogrążyła się w ciemności. Zadrżeli wszyscy, zwłaszcza zakładnicy. Wyjaśniliśmy im, że to dla bezpieczeństwa, ale chyba nam nie uwierzyli.

Na zewnątrz panowała cisza przerywana tylko świergotem ptaków, bzyczeniem owadów i - czasami - nawoływaniem żołnierzy. W budynku mieliśmy radio i właśnie zaczęto nadawać sensacje o Katedrze, zresztą zupełnie nieprawdziwe. Jedna ze stacji podała, że wojsko opanowało Katedrę i że są ofiary w ludziach. Inna obwieściła, że Pablo został schwytany i jest już na pokładzie samolotu lecącego na Florydę. W jednym tylko stacje były zgodne, a mianowicie, że wojsko przypuszcza atak. Pablo zadzwonił z komórki do rodziny. Wiadomości radiowe przepełniły wszystkich przerażeniem.

- Nie martwcie się - uspokajał Pablo. - Nie słuchajcie bzdur. Prezydent szuka rozwiązania.

Ja też zadzwoniłem do dzieci z podobną wiadomością. Następnie obaj zadzwoniliśmy do mamy.

Wiele razy zastanawialiśmy się, jak to będzie, gdy dojdzie do tego, co właśnie się stało. Pablo nigdy nie sznurował adidasów i zwykliśmy mówić półżartem, że gdy zawiąże sznurówki, będzie to znak, że zaczęły się prawdziwe problemy. Katedrę oblegało jakieś dwa tysiące żołnierzy. Nasz człowiek z kontroli lotów doniósł, że śmigłowce z Bogaty już wylądowały w Medellín. Wydarzenia nabierały tempa. Pablo zebrał nas wszystkich,

wyznaczył tych, którzy zostaną, i tych, co będą uciekać. Dobrał najbardziej sprawnych fizycznie, bo przecież czekał nas trudny marsz. Zaraz potem schylił się i zasznurował adidas.

- Roberto, nastawiamy krótkofalówki na tę samą częstotliwość - polecił. Udaliśmy się jeszcze do zakładników. Nakazaliśmy im zachować spokój, mówiąc, że rozwiążemy sprawę bez przelewania krwi. Pablo poradził im, żeby się zdrzemnęli, i zapowiedział, że porozmawiamy rano. O naszej ucieczce pisano później niestworzone historie, że przekupiliśmy strażę i wyszliśmy z Katedry przez bramę przebrani za kobiety i że kosztowało nas to ponad milion dolarów. Wierutna bzdura. Jak moglibyśmy przekupić taką masę żołnierzy, tym bardziej że wielu przysłało tu z Bogoty? Pablo postanowił, że będziemy się wymykać przygotowanym przejściem w ogrodzeniu w odstępach pięciominutowych. Tymczasem zaczęło mżyć, mgła zgęstniała, mieliśmy więc dobrą osłonę. Pablo poszedł pierwszy. Ja zostałem jeszcze chwilę z zakładnikami, potem pożegnałem się, mówiąc, że idę się położyć. Poszedłem do siebie.

Włożyłem buty, wymieniłem baterie w radiotelefonie na świeże, wziąłem tranzystor, żeby móc słuchać wiadomości, na koniec włożyłem płaszcz przeciwdeszczowy, a na głowę starą kolarską czapkę z napisem *Bicicletas El Ositto*. Nie było co zwlekać. Z rzeczy ważnych w więzieniu zostawialiśmy tylko Pablowe płyty z Elvisem i Sinatrą, moje rowery oraz minilaboratorium do badań nad rakiem i AIDS. Ogarnęło mnie dziwne uczucie. Zatręknęliśmy do światła Medellín, które nocami widywaliśmy z góry, ale teraz miasto skrywała mgła.

Po omacku skierowałem się w stronę ogrodzenia. ku miejscu, gdzie powinien czekać Pablo z całą naszą grupą. Ale w ciemności straciłem orientację. Poczujęm się opuszczony i bezradny, wpadłem w panikę, nie wiedziałem, co robić. Nie mogłem zawołać - żołnierze byli zbyt blisko. Jak podczas wyścigu, wziąłem kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić i opanować. Wiedziałem przecież, że Pablo mnie nie zostawi - zawsze mi to powtarzał. Zacząłem posuwać się wolno i wreszcie w mroku dostrzegłem jakiś ruch. Znalazłem swoich.

Zdążyli już przedostać się na drugą stronę ogrodzenia. Podążyłem za nimi. Dochodziła druga w nocy. Z ciemności dobiegły jakieś trwożne okrzyki. Przemknęło mi przez myśl, że to mój mały ksiądz znów mnie ostrzega i ponagla. Ruszyliśmy w drogę, w dół stromym zboczem, ostrożnie

stawiając kroki. Najmniejsze potknięcie groziło śmiercią.

Droga wiodła przez prostopadłą niemal skałę. Przodem poszedł najsprawniejszy i najsilniejszy z nas. Przystanął pod skałą. Kolejny stanął na jego ramionach, tworząc jakby żywą drabinę, po której zeszli pozostali. Pod skałą zaczynało się zbocze posyty ciernistymi krzewami. Szliśmy, trzymając się za ręce, żeby nie pogubić się w ciemnościach. Po jakichś dwóch godzinach dotarliśmy do polanki. Mgła zaczęła opadać. Zorientowaliśmy się, że pokonaliśmy ledwie kilkaset metrów od punktu wyjścia. W ciemnościach zatoczyliśmy niemal pełne koło. Świtało. Gdyby ktoś z załogi więzienia spojrział teraz w naszym kierunku, miałby nas jak na dłoni.

Na szczęście siedmiu z nas miało na sobie wojskowe, maskujące stroje, z daleka więc nasza grupa mogła wyglądać jak patrol sił rządowych. Pablo obliczał, że mamy co najwyżej dwie godziny, żeby znaleźć jakąś bezpieczną kryjówkę. Ruszyliśmy więc znowu w drogę. Z perspektywy zbocza Katedra jawiła się jak wielka twierdza, jakby żywcem przeniesiona z jakiegoś filmu. Już za dnia dotarliśmy do El Salado. Podmiejskie osiedle budziło się do życia. Dzieci szły do szkoły, dorośli śpieszyli się do pracy. Dla nich rozpoczynał się dzień jak co dzień, nas zaś czekał bardzo niepewny los. Znowu zostaliśmy zbiegami.

Byliśmy brudni, przepoceni, umazani błotem. Przechodnie brali nas zapewne za bezdomnych lumpów. Od ponad roku nie publikowano żadnych zdjęć Pabla, a on sam przez ostatni rok przybrał na wadze i w ogóle zmienił się. Nikt z przechodniów go nie rozpoznał, a twarze reszty nikomu nic nie mówiły. Pablo postanowił, że udamy się na farmę Mema Péreza, starego przyjaciela, który pracował dla niego i miał dość wysoką pozycję.

Otworzył nam zarządca. Chwilę trwało, nim nas rozpoznał. Wpuścił nas do środka. Mogliśmy wreszcie odpocząć. Byliśmy przemoczeni i wyczerpani. Po mniej więcej godzinie ktoś załomotał do drzwi. Chwyciliśmy za broń, spodziewając się najgorszego. Raúl - służący - poszedł otworzyć. Okazało się, że to tylko sąsiedzi. Widzieli nas na drodze i przynieśli nam gorący posiłek. Wystawili też czujki w okolicy, żeby zapewnić nam jakie takie bezpieczeństwo. zabrali nasze rzeczy do prania, my w tym czasie obmyliśmy się i ogoliliśmy. Odświeżeni poczuliśmy się znacznie lepiej.

Z radia dowiedzieliśmy się, co tymczasem działo się na szczycie góry. Około siódmej rano Gaviria polecił generałowi Gustavowi Pardo Arizie, dowódcy w Brygadzie, przypuścić atak na Katedrę. Wedle relacji reportera

wojsko wdarło się do środka przez główne wejście z okrzykami, żeby wszyscy padli na ziemię. Komendanta straży więziennej, który próbował stawiać opór, zastrzelono. Jak było naprawdę, dowiedzieliśmy się kilka miesięcy później. Komendanta zabito w istocie przez pomyłkę, gdy chciał otworzyć drzwi. Wojskowa falanga przeszła przez cały teren, strzelając na oślep, siejąc zniszczenie. Strzelanina nie ustala nawet wtedy, gdy w sypialni Pabla znaleziono zakładników. Pięciu naszych, którzy zostali na miejscu, schwytano. Aresztowano także dwudziestu siedmiu strażników pod zarzutem współpracy z nami. Wedle relacji radiowych operację zarządzono wyłącznie po to, aby przenieść Pabla do solidniejszego więzienia.

Racząc się aromatyczną kawą, słyszeliśmy warkot śmigłowców krążących nad miastem. Mieliśmy świadomość, że w dalszą drogę będziemy mogli ruszyć dopiero po zmroku. Tymczasem cieszyliśmy się z udanej ucieczki. Uciekać musieliśmy, bo władze złamały porozumienie. Nic innego nie mogliśmy zrobić.

Za pomocą radiotelefonu połączyłem się z Nicholasem - moim synem. Dałem mu znać, żeby mnie wywołał na innej, bezpieczniejszej częstotliwości. Kiedy się odezwał, poleciłem mu, żeby skontaktował się z Radiem Caracol nadającym na cały kraj i żeby powiedział, iż Pablo kryje się w tajnym tunelu pod Katedrą, że jest uzbrojony i przygotowany nawet na miesiąc oblężenia. Reporterowi Dariowi Arizmendiemu syn powiedział także, że Pablo gotów jest wyjść z ukrycia i oddać się w ręce władz pod warunkiem, że te zapewnią mu bezpieczny powrót do Katedry i będą honorować poprzednie porozumienie.

Gdy tylko informacje te ukazały się na antenie, w Katedrze zaczęto szukać rzekomej kryjówki Pabla. Sprowadzono nawet ciężki sprzęt. Rozkopywano cały teren, a nawet usuwano ziemię za pomocą ładunków wybuchowych.

Pablo zza firanki obserwował chaotyczną krzątaninę na szczycie.

- Jedyne, co znajdą, to dziesięć milionów dolarów w beczkach - prychnął. Miał na myśli pieniądze, które zakopaliśmy na boisku. Pieniądze mało go obchodziły, zastanawiał się nad kolejnymi krokami. Gotów był znów oddać się w ręce władz, ale tylko na tych samych warunkach, co poprzednio.

Pozostaliśmy w ukryciu cały dzień, śledząc wiadomości radiowe. Sensacja goniła sensacje, bzdura bzdurę. Ktoś oświadczył, że Pablo wydał zlecenie na głowy prokuratora generalnego, ministra obrony i kilku innych

wysokich urzędników państwowych, że zostaną zamordowani, jeśli władze nie zaprzestaną pościgu. Ktoś inni twierdził, że szykujemy serię zamachów bombowych. Absolutny nonsens. Wieczorem osobiście zadzwoniłem do radia, wyjaśniając, że Pablo nie wysuwa żadnych gróźb przeciwko nikomu, że jedyne, na czym nam zależy, to powrót do uzgodnionych wcześniej warunków. Nie to nie pomogło. Panika ogarniała cały kraj. W Bogocie przeprowadzono w szkołach próbne alarmy bombowe. Zaczął się run na sklepy. Ludzie gromadzili zapasy, bojąc się, że wszystko będzie zamknięte. Wieczorem prezydent wystąpił w telewizji z apelem o spokój. Nas wezwał do poddania się, gwarantując bezpieczeństwo. Powtórzył jednocześnie, że każdy handlarz narkotyków, który odda się w ręce władz, może liczyć na w miarę łagodne traktowanie. Nie wspomniał jednak o zawartym porozumieniu.

W amerykańskich gazetach pisano tymczasem, że z Katedry wydostaliśmy się z bronią w ręku, że szturmem utorowaliśmy sobie drogę z więzienia. Cytowano członków Senatu domagających się, aby administracja amerykańska podjęła zdecydowane kroki. A wysłała do Kolumbii komandosów w celu schwytania Pabla i postawienia go przed sądem w Stanach Zjednoczonych.

W ciągu dnia sprecyzowaliśmy plany. Zadzwoniłem do jednego z naszych zaufanych pracowników i szyfrem poleciłem mu, aby skontaktował się z pewnym moim znajomym, z którym biegaliśmy wspólnie przed kapitulacją, polecił mu przygotować trzy auta i zajechać w nocy pod farmę. Ów znajomy znał miejsce, bo tu zwykle kończyliśmy nasze przebieżki. Po zmierzchu ruszyliśmy w drogę. Wstąpiliśmy na chwilę do sąsiedniego gospodarstwa, skąd zadzwoniliśmy do rodzin, żeby je uspokoić, uprzedzić, żeby nie dawały wiary doniesieniom radiowym, a jednocześnie żeby potwierdzić, że czekamy na zamówione auta. Z Katedry dobiegały nas głuchoe odgłosy wybuchów - dalej szukano tam podziemnej kryjówki Pabla.

I znów ruszyliśmy dalej. Przy jednej z farm napadła na nas sfora owczarków niemieckich. Fatalnie pogryzły El Mugre. Zaczął krwawić. Nie mogliśmy bestii zastrzelić, bo trzeba było zachować ciszę. Na szczęście Pablo miał jakieś łakocie w kieszeni i udało mu się psy uspokoić. O wpół do drugiej stawiliśmy się w umówionym miejscu. Samochody już czekały.

Dwie godziny później zajechaliśmy do pewnego zaprzyjaźnionego gospodarstwa. Pablo zaraz przeciął kable telefoniczne. Łączność ze światem mieliśmy utrzymywać za pomocą nowiutkiej, anonimowej komórki. Nie

chcieliśmy jednak dzwonić do mamy, lękaliśmy się, że jej telefon jest na podsłuchu. Ustaliliśmy z Pabłem, że ja po prostu do niej pojedę. Moje oblicze nie było tak rozpoznawalne jak Pabla.

Jeden z kierowców zawiózł mnie przed świtem.

- Mamo, to ja. Przyjechałem powiedzieć, że z nami wszystko w porządku.

Objęła mnie serdecznie, a ja przygarnąłem ją do siebie. I przez tę chwilę znalazłem się jakby w innym świecie.

Zależało mi zwłaszcza, aby upewnić mamę, że sensacje o podziemnej kryjówce są nieprawdziwe, że sami to wymyśliliśmy, żeby skierować wojsko na fałszywy trop. Nie mogłem zostać dłużej. Mama jednak uparła się, żebym poczekał, bo musi nam przygotować wałówkę, jak kiedyś, gdy małego Roberta z jeszcze mniejszym Pabłem wyprawiała do szkoły. No cóż, poczekałem. Zerkałem nerwowo na zegarek, spoglądałem przez okno, bojąc się, że lada chwila może zjawić się policja. Miasto budziło się do życia. Mama zapakowała jedzenie - kurczaka z ryżem. Dała mi liścik do Pabla, upomniała, żebym się modlił, i ucałowała dwa razy.

- To dla ciebie, to dla Pabla - powiedziała.

Kiedy wróciłem na formę, kilku z naszych już wyjechało. Pablo postanowił, że dla większego bezpieczeństwa lepiej będzie poruszać się w mniejszych grupach. Zostaliśmy na miejscu jeszcze kilka dni, łudząc się, że jesteśmy bezpieczni. Oglądaliśmy telewizję, słuchaliśmy radia, śledząc wiadomości. Same bzdury. Bez przerwy mówiono, że ktoś nas gdzieś wysledził. Pablo nagrał wypowiedź dla telewizji. Powtórzył, że gotowi jesteśmy oddać się w ręce władz, jeśli tylko otrzymamy gwarancję bezpieczeństwa i możliwość powrotu do Katedry. Ostrzegł jednocześnie, że w przeciwnym wypadku podejmie kroki odwetowe. Zakończył słowami, że wysyła to posłanie z „kolumbijskiej dżungli”. Rezultat był taki, że rząd zaczął na nas polować właśnie w dżungli.

Polowano na nas z całą zaciekłością. Wojsko przeczesywało ogromne tereny. Prezydent niemal codziennie pojawiał się w telewizji, wyjaśniając, co się dzieje. I znów wszystkich ogarniał lęk, że zaczną się akty przemocy. My tymczasem siedzieliśmy cicho, obserwowaliśmy sytuację, czekając, żeby sprawy uspokoiły się na tyle, abyśmy mogli powędrować dalej. Nasi prawnicy czynili starania o nowe porozumienie z rządem. Ale władze pozostawały głuche. Tym razem nie chciano już wtrącać Pabla do więzienia, chciano go po prostu zabić.

Przez wiele lat hodowałem konie. Czas jakiś zajmował się nimi człowiek zwany Lalką - tak go przezywano, bo miał nader gładkie rysy i nosił długie włosy. Był miły i uprzejmy i jak wszyscy marzył o dużych pieniądzach. Chciał więc, żebym mu umożliwił wejście do branży.

- Daj sobie lepiej spokój - ostrzegałem go. - Znasz się na koniach, jesteś w tym dobry i zostań przy tym.

- Nie - odpowiadał - muszę mieć więcej pieniędzy.

Takie rozmowy toczyliśmy stałe i siałe mu odmawiałem, co ogromnie go złościło. Pod koniec zdarzyło się rak, że musiałem z Pablem kryć się w dżungli. Ale zanim jeszcze zbiegłem do lasu, kupiłem Lalce motocykl.

I oto dwadzieścia dni później Lalka zajechał na tym motocyklu na farmę, na której przebywaliśmy w ukryciu. I znów zaczął swoje, że chce zrobić pieniądze. Prosił mnie, żebym go wziął na swojego ochroniarza i w ogóle człowieka do wszystkiego.

- Jak chcesz tu zostać, to zostań - zgodziłem się.

Nazajutrz zaczęło się oblężenie. Około pięciu tysięcy wojska otoczyło farmę, nadleciały śmigłowce, rozpętało się piekło. Musieliśmy uciekać. Dwanaście dni wędrowaliśmy po dżungli. Sypialiśmy w hamakach pod gołym niebem, a pościg trwał. Bombardowano nas z powietrza. Gdy wreszcie znaleźliśmy się w bezpiecznym miejscu, zapytałem Lalkę, czy nadal chce wejść do interesu.

- Nie - odparł zdecydowanie.

Wrócił do koni, a ja roztoczyłem nad nim opiekę jak nad własnym synem. Życie zbiega jest trudne. Przekonaliśmy się o tym na własnej skórze. Pablo nie chciał tak żyć. Liczył, że uda się wynegocjować warunki nowej kapitulacji. Tymczasem Ameryka wyznaczyła wielomilionową nagrodę za jego i moją głowę. Pablo zdał sobie sprawę, że o powrocie do Katedry nie ma mowy, dał więc znać władzom, że przystanie na osadzenie w „najpodlejszym nawet więzieniu” w Antioqui, jeśli tylko władze zagwarantują, że nie wydadzą go Amerykanom i nic będą przynosić z miejsca na miejsce. Zadzwoił nawet do prasy, mówiąc, że zgodzi się na osadzenie w jakiejś bazie wojskowej, gdziekolwiek, byle nie w obiekcie należącym do policji. Ze

sobą nigdy o tym nic rozmawialiśmy, myślę jednak, że Pablo miał pełną świadomość, że tylko więzienie stanowi szansę na jako tako unormowane życie. Rzeczywiście, więzienie dawało nam gwarancję przeżycia. Tylko że Gaviria nie chciał już Pabla w kajdanach.

Tym razem ścigał nas cały niemal świat. Nigdy dotychczas tak wiele różnych organizacji i instytucji nie zasadało się na jednego kryminalistę. Powiadano, że pościg za nami to największe polowanie na ludzką zwierzynę w historii. Kosztowało wiele ofiar. już później dowiedzieliśmy się, że Gaviria otworzył wszystkie drzwi przed Amerykanami, pozwolił, aby US Army weszła do Kolumbii. Mam na myśli elitarne oddziały formacji Delta, ale nie tylko. Delta działała wspólnie kolumbijskim wojskiem. W tajemnicy trwały operacje grup Centra Spike i Bloque de Búsqueda. Agenci FBI i DER przeczesywali Katedrę, szukając tropów. Przeciwno sobie mieliśmy także Cali, a z kartelem sprzymierzyli się ludzie Galeana i Moncady. Ci znali ulubione kryjówki Pabla, a co więcej, znali jego Współpracowników. I wreszcie w pościg za nami ruszyła nowa grupa popierana przez Cali, zwana Los Pepes [3]. Ci byli najgorsi i najgroźniejsi.

Pod znakiem Los Pepes gromadzili się najzacieklejsi wrogowie Pabla, ludzie, którym kiedyś dokuczył i których zwalczał. Przewodzili im bracia Castaño - Carlos, Fidel i Vincente - oraz handlarz narkotykami Diego Murillo Bejarano, znany także jako Don Berna. Niemal wszyscy pracowali kiedyś z Pablem i za jego sprawą uniknęli ekstradycji. Historia Los Pepes zaczęła się, gdy partyzanci uprowadzili ojca braci Castaño. Ci zaczęli mieć tak dość uprowadzeń dla okupu, że - tak jak Pablo wiele lat wcześniej - zorganizowali sobie prywatne wojsko do walki z porywaczami. Z czasem formacja rozrosła się do pięciu tysięcy ludzi i działała na obszarze całej Kolumbii. Carlos Castaño był pewny, że Pablo zamierza go zlikwidować w przekonaniu, że ten chce przejąć jego laboratoria w dżungli. Dlatego zaczął współdziałać z wojskiem i przyłączył się do pościgu za nami.

Naszą sytuację pogarszał fakt, że współdziałające ze sobą jednostki i organizacje zaczęły się dzielić informacjami wywiadowczymi. Jednocześnie do Kolumbii zjechało wielu zawodowców z Ameryki, Izraela. Anglii i - jak mówią - Rosji. Liczyli oni na nagrodę za wytropieni: Pabla. Kilka milionów dolarów to łakomy kąsek dla każdego.

Tak więc za Pablem ruszyła potężna siła wyposażona w najnowocześniejszą technikę i nieograniczone zasoby finansowe. A jednak

nikt nie potrafił go schwytać, mnie zresztą też nie.

Wrogowie byli przekonani, że Pablo zbiegł do dżungli i tam się kryje. Brat tymczasem uznał, że najbezpieczniejszym dla nas miejscem będzie... centrum Medellín. To przecież nasze miasto. Ja zainstalowałem się w apartamencie na czternastym piętrze. Kupiłem to mieszkanie po cichu kilka lat wcześniej. Dobra lokalizacja i całkiem wygodny dom. Na co dzień mieszkała tam pewna kobieta z pięcioletnim synkiem. Mnie towarzyszył ochroniarz. Posługiwałem się fałszywymi papierami na nazwisko Alberto Ramirez. Po czterech spokojnych dniach musiałem wyjść na miasto. Oczywiście w przebraniu. Włożyłem perukę, okulary, przykleiłem brodę i ubrałem się na czarno. Wyglądałem jak rabin. Na nogach miałem zabarwione też na czarno adidas. Pasowały do stroju, a jednocześnie, gdyby coś, mogłem swobodnie puścić się biegiem. Ochroniarz też oczywiście wystąpił w stosownym przebraniu. Wyszliśmy w towarzystwie kobiety i dzieciaka, żeby tym bardziej nie budzić podejrzeń.

Przywołałem windę. Gdy drzwi się otworzyły, wyszedł z niej dobrze znany mi facet, też poszukiwany przez władze. Chyba mnie nie poznał. Wymieniliśmy tylko uprzejmości jak dwóch obcych sobie ludzi w jednej windzie. On wysiada, my wsiedliśmy.

Oddychałem pełną piersią. Co za radość chodzić po tętniącym życiem mieście! Po raz pierwszy od ponad roku. Nawet w przebraniu, nawet jako zbieg, czułem się wspaniale. jak wolny człowiek. Ufałem, że nikomu nawet do głowy nie przyjdzie, że jeden z najbardziej poszukiwanych w całej Kolumbii ludzi idzie sobie ulicą i liże lody.

Niestety, nie mogliśmy wrócić do mieszkania na czternastym piętrze. Zajmowałem znacznie wyższą pozycję na liście poszukiwanych niż człowiek, który wyszedł z windy. Musiałem się liczyć z tym, że jeśli mnie rozpoznał, to może będzie chciał mnie wydać w zamian za łagodniejszy wyrok dla siebie. Nie mogliśmy też pójść do nikogo z rodziny, bo domy były pod obserwacją. W tej sytuacji wylądowaliśmy w jakimś obskurnym hotelu, gdzie nikogo o nic nie pytają. Przebywający z nami dzieciak okazał się niestety ponad miarę ruchliwy. Nie potrafił usiedzieć na miejscu i w parę dni później rozbił sobie głowę tak solidnie, że matka musiała zabrać go do szpitala. Tymczasem przez zaprzyjaźnione osoby postarałem się o kilka mieszkań. Niektóre kupiłem, inne wynająłem. W sumie zorganizowałem sobie pięć kryjówek w różnych dzielnicach Medellín. Pablo, jak się później dowiedziałem, postąpił

podobnie. Na stałe towarzyszyli mu Popeye i Otto.

Tymczasem postanowiłem wysłać anonim do faceta z windy, z informacją, że policja jest na jego tropie. Chciałem go wystraszyć i zmusić w ten sposób do opuszczenia budynku. Czekaając na efekt, wybrałem się z moją towarzyszką i jej synem na wycieczkę za miasto. Rozłożyliśmy się w górach nad brzegiem strumienia. Tylko ktoś, kto był w więzieniu, potrafi zrozumieć uczucie, jakie mnie ogarnęło na widok roztaczającego się przede mną krajobrazu. Nie ma na świecie nic piękniejszego od naszych gór. Wypoczywałem jak nigdy.

List dotarł do adresata i facet zmył się z miejsca. Mogliśmy wracać do siebie. Nie siedziałem tam długo. Wolałem przenosić się co parę dni w inne miejsce, bo tak było bezpieczniej. W mieszkaniach, które miałem do dyspozycji, zainstalowałem porządnych ludzi. Dbali, żeby wszystko było w porządku i żebym mógł się wprowadzać w każdej chwili. Po pewnym czasie spotkałem się z Pablem. Zapuścił brodę, zgolił wąsy, chodził w peruce i okularach. Umówiliśmy się w pewnym prywatnym mieszkaniu. Adres znało tylko pięć osób, licząc z gospodarzami. Plan polegał na tym, żeby przycupnąć tam do czasu osiągnięcia jakiegoś porozumienia z władzami.

Pablo ustanowił ścisły regulamin. Kto wychodzi z domu, ten melduje, na jak długo, i wraca o ściśle określonej porze. W razie czego pozostali w domu mają poczekać maksimum dziesięć minut, a potem muszą uciekać. Pablo bał się, że jak któryś z nas wpadnie w ręce policji, to poddany torturom może się złamać i wskazać, gdzie się kryją pozostali. Przed powrotem do domu należy obejść budynek co najmniej trzy razy i upewnić się, czy nikt go nie obserwuje.

Pablo wiedział oczywiście, że nie może być mowy o bezpośrednich kontaktach z rodziną. Telefony też były wykluczone. Zaczął więc pisać długie listy, zastrzegając, aby je spalić natychmiast po przeczytaniu. Wysyłał je swoją prywatną pocztą. Najał kilku młodych ludzi z rowerami. Przekazywali sobie kopertę z rąk do rąk - każdy z nich znał tylko jeden odcinek pocztowego szlaku. Ostatni doręczał przesyłkę albo Alvarowi, albo Limónowj - dwóm naszym zaufanym ludziom. Chłopcóm na rowerach przykazano, że mają jeździć ulicami „pod prąd”, bo w ten sposób łatwiej można się zorientować, czy nie jest się śledzonym. Pablo nie tylko pisał, ale nagrywał także na taśmie jakby pogadanki dla dzieci. Udzielał im rad, opowiadał bajki, śpiewał kołysanki, mówił, jak bardzo je kocha.

Zapamiętałem taką jedną opowieść specjalnie dla Manueli, jego ukochanej córeczki, o koniu, na którym jechał na jakimś etapie ucieczki.

Wychodzenie na miasto było niebezpieczne, czasami jednak pokusa okazywała się zbyt silna. Pamiętam, kiedyś na wieczornym spacerze przechodziliśmy obok siedziby gubernatora, Pablo chciał się popisać. Wziął od Ottona papierosa i podszedł do wartownika, prosząc o ogień. Ten uprzejmie podsunął mu zapalniczkę. Pablo podziękował i zapytał jeszcze o godzinę.

- Widzicie - powiedział, gdy odeszliśmy kawałek - mogą nas schwytać tylko wtedy, gdy ktoś nas zdradzi albo popełnimy jakąś szaloną nieostrożność - i dla ilustracji tej tezy zaczął snuć opowieści o spryciarzach, którzy wpadli na skutek zdrady. Powiedział też, że w miejscach publicznych trzeba chodzić jak gdyby nigdy nic, nie okazywać lęku, to wtedy nie budzi się podejrzeń.

Po mieście poruszaliśmy się taksówkami należącymi do Pabla. Każda miała antenę do rozmów przez radiotelefon. Pablo zawsze dzwonił z taksówki w ruchu, bo w ten sposób podsłuchujący nic mogli go namierzyć.

Przemieszkaliśmy wspólnie trzy tygodnie, potem każdy zaczął się kryć gdzie indziej, z tym że spotykaliśmy się wieczorami mniej więcej co trzy dni. Graliśmy w karty, gadaliśmy, urządzaliśmy sobie grilla. W tym właśnie czasie Pablo przeżył jeden z najgroźniejszych momentów. Opowiedział mi później, jak to było. Otóż jego ochroniarz Godoy wyruszał co kilka dni na miasto z pocztą. Jeździł nierzucającym się w oczy autem. Pocztę przekazywał chłopakom na rowerach. Zwykle wyprawiał się około siódmej wieczorem, w porze największego ruchu. Tak też było tego feralnego dnia. Wracając do domu, Godoy dał sygnał klaksonem. Pablo jak zwykle zbiegł na dół, żeby otworzyć garaż. Godoy wjechał, a za nim na motocyklu dwóch młodych ludzi, nieledwie dzieci. Jeden z nich wyciągnął pistolet, wymierzył w Godoya.

- Wyłaź z auta, sukinsynu - rozkazał.

Pablo zamarł. Nie mógł wiedzieć, czy napastnicy go rozpoznali, czy też ma do czynienia ze zwykłymi bandytami, jakich w mieście pełno.

- Rób, co ci każą - polecił Godoyowi. - Zostaw wszystko i wychodź.

- Nie ruszaj się! - krzyknął drugi z napastników do Pabla. - Też jesteś na muszce - ostrzegł.

Dwaj zwykli chuligani zrobili to, czego ani policja, ani wojsko, ani

Amerykanie, ani Cali, ani nawet Los Pepes, nie mówiąc już o zawodowych łowcach nagród, nie zdołali zrobić - przystawili pistolet do głowy Pabla Escobara.

Tylko że nie wiedzieli, że to on

Wsiadli do auta i odjechali.

Pablo zarządził natychmiastową ewakuację. Nigdy już do tego miejsca nie wrócił, a na incydent machnął ręką. Zaszył się z rodziną w lesie. Spędził tam kilka dni. Dłużej nie dało rady i w ogóle w taki sposób nie dało się żyć.

Najgroźniejszymi z naszych wrogów byli ludzie z Los Pepes. Kiedyś pracowali z nami i dla nas, wiedzieli więc o nas więcej niż ktokolwiek inny. Twardych dowodów nie ma, ale wiele wskazuje na to, że Los Pepes ściśle współpracowali z władzami. Potwierdza to artykuł opublikowany w kolumbijskim wydaniu „Caracol News” z 22 grudnia 2007 roku. Gazeta powołuje się na niejakiego Salvatore Mancusa, byłego spadochroniarza. Otóż przed ekstradycją do Stanów Zjednoczonych miał on zeznać, że prezydent Cesar Gaviria zawarł układ z Los Pepes w celu fizycznej likwidacji Pabla i innych członków naszej organizacji.

Innym argumentem przemawiającym za tym, że Los Pepes współpracowali z władzami, jest fakt, iż rząd nigdy nie próbował powstrzymać ich działalności. Więcej nawet - mordercy spod znaku Los Pepes działali zwykle w maskach i wiadomo było, że członkowie organizacji rządowych przywdziewali maski Los Pepes i dołączali do ich szeregów. Los Pepes, jednostki rządowe i szwadrony śmierci dzielili się informacjami. Potwierdza to fakt, że znane tylko władzom miejsca pobytu naszych rodzin stawały się celem ataku bojówek z Los Pepes. Przykładowo - o miejscu pobytu żony Pabla i jego dwojga dzieci wiedział tylko były prokurator generalny doktor Gustavo de Greiff, a jednak Los Pepes dokonali zamachu na apartament na czwartym piętrze, ostrzelali go z granatnika. Na szczęście nikt nie zginął. Niemniej Pablo był zdruzgotany. Zamach w istocie przekreślał możliwość bezpiecznej kapitulacji wobec władz.

Pablo zaczął brać odwet. Stało się to, czego wszyscy najbardziej się obawiali. Kraj znów stanął w ogniu. Na nowo też zaczęły się uprowadzenia. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Kolumbia znalazła się w stanie obłączenia. Ludzie bali się wychodzić z domu. A wszystko dlatego, że polowano na jednego jedynego człowieka. Władze nie były już w stanie położyć kresu aktom przemocy.

Los Pepes nie potrafili jednak namierzyć i schwytać Pabla, mnie też nie, zaczęli więc likwidować naszych współpracowników, nie tylko *sicarios*, ale także ludzi, którzy nigdy nie występowali z bronią w rękę. Pozbawiono życia kilku moich księgowych. Zamordowano Guida Parrę - najważniejszego adwokata Pabla, człowieka, który prowadził negocjacje z władzami. Zabito go razem z piętnastoletnim synem. Na zwłokach mordercy spod znaku Los Pepes zostawili kartkę dla Pabla: „No i co o tym myślisz, Pablo? Czy to dobra odpowiedź na twoje bomby?”.

Los Pepes eliminowali prawników pracujących dla Pabla, torpedując wszelkie próby wypracowania kompromisu z władzami. Zabijali *sicarios*. Mordowali naszych partnerów w interesach, ludzi pracujących w Nápoles - wszystkich, których podejrzewali o związki z Pablem lub ze mną, i to niekoniecznie biznesowe. Moi najbliżsi przyjaciele - Gnayabita, El Negro, Chocolo i mój dawny trener w drużynie kolarskiej Halaix Buitrago - nie mieli nic wspólnego z branżą, tyle tylko, że odwiedzali mnie w Katedrze, pomagając zabijać czas. A jednak Los Pepes tropili ich wszystkich. Po naszej ucieczce Halaix wyemigrował do Europy, bo w kraju nie mógł się czuć bezpiecznie. Tak samo El Negro. Z żoną, rodziną i moimi krewnymi wyjechał do Argentyny. Ricardo i Guayabita wpadli jednak w ręce Los Pepes. Torturami chciano od nich wydobyć informacje o miejscu pobytu Fabia, a zwłoki porzucono później na ulicy nad rzeką Medellín. Chocolo - psycholog z wykształcenia - zginął w Kartaginie. Spędzał tam wakacje z żoną i sześcioletnią córeczką. Zabito go w jego własnym samochodzie, gdy zatrzymał się na światłach. Mordercy na motocyklach ostrzelali auto z dwóch stron. Chocolo zginął na miejscu. Rodzina cudem ocalała.

Los Pepes działali z zaskoczenia, głównie nocą. Pięciu *sicarios* związanych z Ottonem kryło się kiedyś w pewnym domu. Był z nimi gospodarz meliny, też twardy człowiek i jak oni zaprawiony w wielu bojach. Miejsce otaczała najgłębsza tajemnica. Feralnego wieczoru zabawiali się z pięcioma panienkami. Gospodarz, będący akurat na piętrze, wyrzwał przypadkiem przez okno. Zobaczył, że pod dom zajeżdża dziesięć albo i więcej samochodów, wysiadło z nich około czterdziestu mężczyzn. Wyważyli drzwi, wtargnęli do środka. Wszyscy w kominiarkach na głowach. Gospodarz, ratując własne życie, schował się na dachu. Słyszał strzelaninę. Dwóch *sicarios* zginęło na miejscu, pozostałych ludzie z Los Pepes zawlekli do aut i odjechali. Gospodarz jeszcze pięć godzin przesiedział na dachu,

dopiero potem zszedł do środka. Znalazł spętane dziewczyny.

Nie ma wątpliwości, że *sicarios* torturowano, usiłując dowiedzieć się o miejscu pobytu Pabla. Ich ciała porzucono rankiem na ulicy.

Typowe - niemal codziennie porzucano na ulicy około sześciu martwych ciał. Zwykle z kartkami, że to dzieło Los Pepes i wyzwaniem pod adresem Pabla. Los Pepes dobierali się do wszystkich i do wszystkiego, co mogło mieć związek z Pablem. Brat wielokrotnie obnażał i potępiał te akty przemocy, ale władze milczały.

Ja rozumiem, że trwała wojna, ale w moim przekonaniu nawet wojna nie może usprawiedliwić czynów niemających żadnego sensu. Miałem wspaniałego konia. Nazywał się Terremoto – Trzęsienie Ziemi. Był oczkiem w głowie moich rodaków. Kolumbijczycy są dumni ze swoich pięknych koni, a Terremoto pochodził z naszej własnej hodowli. Tylko ja go dosiadałem. Niósł tak miękko jak naj lepszy rolls royce. Wart był jakieś trzy miliony dolarów, ale jego wartość jako czempiona i reproduktora była jeszcze większa. Wiem, że policja starała się wytropić Terremota, aby zarekwirować go, jak zresztą cały mój majątek. Ukrywałem go więc na farmie w Manizales. Któregoś wieczoru trener Terremota wybrał się do restauracji na kolację. Tam dopadli go bandyci. Przystawili pistolet do głowy, żądając odpowiedzi na pytanie, gdzie jest mój koń. Mój człowiek wzbraniał się, ale uległ pod groźbą, że jeśli nie powie, to zabija całą jego rodzinę. Więc powiedział im o farmie. Ale i tak go nie oszczędzili, zamordowali na miejscu.

Konia uprowadzili. Kilka dni później się jednak odnalazł. Stał przywiązany do słupa na ulicy Las Vegas. Tylko że zagłodzony i wykastrowany. Stracił swoją wartość, a mógł przecież dać początek całemu pokoleniu czempionów.

Zniszczyli coś pięknego zupełnie bez sensu. Cieszyłem się tylko, że zwierzę przeżyło. Ale to, co Terremoto mógł dać z siebie całej branży hodowlanej w Kolumbii, zostało bezpowrotnie stracone.

Najważniejszym jednak celem Los Pepes stały się nasze rodziny. Nie mogąc dopaść Pabla, bandyci z Los Pepes zasadzali się na jego najbliższych, na tych, których najbardziej kochał. Dwa domy należące do naszej mamy stały się celem ataków bombowych. Dom siostry podpalono - ogień strawił między innymi bezcenne płótno Pabla Picassa. Mama lękała się tak bardzo, że zaczęła sypiać w wannie, bo łazienka dawała jaką taką osłonę przed ładunkami wybuchowymi.

Najbardziej wierni z naszych *sicarios* starali się dawać odpór, ale krąg ludzi otaczających Pabla szczupłał z każdym dniem. Dla nas też było bezpieczniej poruszać się mniejszą grupą. Kiedyś miałem trzydziestu ochroniarzy, teraz był przy mnie tylko jeden. Najwięcej życzliwości okazywali nam ubodzy mieszkańcy Medellín, ci, którzy w Pabla święcie wierzyli. Znajdowaliśmy u nich schronienie, dzielili się z nami wszystkim, co mieli, a mieli naprawdę niewiele. Slumsy stały się naszą bezpieczną ostoją. Pamiętam, że kiedyś Pablo był właśnie u kogoś w ubogiej dzielnicy, gdy nagle rozpoczęła się obława. Wojsko otoczyło parę kwartałów i zaczęło sprawdzać dom po domu. Pablo zachował spokój, Usiadł z gospodarzem na balkonie, nad szachownicą. Falanga żołnierzy zbliżała się coraz bardziej. Pablo miał na głowie kapelusz z szerokimi skrzydłami, dla ochrony przed słońcem, a poza tym jak zawsze był w peruce, okularach i miał gęstą brodę. W ostatnich czasach sporo przytył - mało ćwiczył, a jadł sporo ryżu i bananów. Wyglądał więc inaczej niż na znanych zdjęciach:

- Co się dzieje? - rzucił do żołnierza przechodzącego tuż pod balkonem.
- Dostaliśmy sygnał, że Pablo Escobar jest gdzieś tutaj.
- Escobar? - zaśmiał się Pablo, - Mam nadzieję, że nic nam nie zrobi.
- Nie ma obawy. Jeśli tu jest, to go złapiemy.

Dowiedzieliśmy się później, że w Obliwic wzięło udział ponad siedmiuset żołnierzy, że przeszukali ponad tysiąc domów i mieszkań.

Centra Spike, Bloque do Búsqueda i Amerykanie z formacji Delta monitorowali rozmowy telefoniczne w mieście, zwłaszcza zaś śledzili połączenia do i z naszych rodzin, Pabla jednak nie potrafili namierzyć. Tymczasem rzeka narkotyków płynęła do Stanów jak dawniej, z tym tylko, że przemysł prowadzili już inni. Ale Pablo Escobar pozostawał symbolem narkotykowej zarazy.

Czy się bałem? O siebie - nie. Pogodziłem się z sytuacją. Już tak długo żyłem w nieustannym zagrożeniu, że przestałem się przejmować. Ale lękałem się o rodzinę. Los Pepes zasadzali się teraz na absolutnie niewinnych ludzi, a rząd nawet palcem nie kiwnął. Staraliśmy się osłaniać rodzinę, jak tylko mogliśmy. W listopadzie 1992 roku powstał plan, żeby rodzinę przenieść w bezpieczne miejsce do Bahía Solano nad Pacyfikiem. Pablo załatwił śmigłowiec. Rodzina załadowała się z najpotrzebniejszym dobytkiem. Śmigłowiec wystartował. Mogę sobie wyobrazić westchnienia ulgi na pokładzie.

I wtedy nastąpił dramat. Śmigłowiec trafił w przewody telefoniczne, zaczął spadać. Rozpętało się piekło. Maszyna uderzyła o ziemię. Pojawił się płomień, poląła się krew. Lada chwila ogień mógł sięgnąć zbiorników paliwa, a wtedy nie byłoby ratunku, nastąpiłby wybuch. Ale udało się, wszyscy pasażerowie wydostali się z płonącego wraku. Nikt nie wiedział, co się stało, czy to Los Pepes albo policja ostrzelali maszynę tuż po starcie? Mój syn Nico zatrzymał przejeżdżającą obok śmieciarkę. Kazał wszystkim wsiadać. Stalowe burty mogły dać ochronę przed ostrzałem. Kierowca śmieciarki wystraszy się tak ogromnie, że zlał się w spodnie, ale ruszył z miejsca i zawiózł naszych, gdzie mu kazano. Nico dał mu później trzy tysiące dolarów.

- Jeśli kiedyś znajdą się państwo w tej okolicy, a ja będę mógł pomóc, dajcie mi tylko znać - zawołał uszczęśliwiony kierowca.

Już później udało mi się wyprawić żonę z częścią rodziny do Argentyny, innych do Chile, a jeszcze innych do Niemiec.

Pablo miał świadomość, że sytuacja uległa zmianie. Prezydent nadal głosił, że jeśli skapitulujemy, zaprzestaniemy aktów przemocy, to zagwarantuje nam bezpieczeństwo. Uznaliśmy więc obaj, że najlepiej będzie, jeśli ja oddam się w ręce władz i spróbuję wynegocjować warunki dla niego. W sekrecie prowadziliśmy rozmowy z wysokimi przedstawicielami rządu.

- W porządku, Roberto - zapewniali. - Będziemy cię ochraniać. Dostaniesz, co trzeba, a potem się zobaczy.

Obiecywano mi także, że będę traktowany z całym szacunkiem.

Plan polegał na tym, że ja ujawnię się jako pierwszy, a dwa dni później Pablo uczyni to samo. W noc poprzedzającą moją kapitulację razem z Pablem spotkaliśmy się z najbliższą rodziną na farmie La Piñata w pobliżu Medellín. Chcieliśmy z bratem przedstawić naszą decyzję, żeby nie byli zaskoczeni, gdy sprawa pojawi się w radiu i gazetach. Rodzinę przywieziono w furgonetce z logo piekarni.

- Tak będzie najbezpieczniej dla nas wszystkich - powiedziałem. - W więzieniu będziecie mogli nas odwiedzać bez tych wszystkich cyrków.

Kiedy rodzina odjechania, dokonaliśmy przeglądu majątku i pieniędzy ukrytych w *caletas*.

Miałem się oddać w ręce władz razem z Ottonem. Ostatnie godziny poranka spędziłem z Pablem. Gdy nadszedł czas, poszliśmy razem do garażu. Obaj byliśmy przekonani, że rozstajemy się tylko na kilka dni i że wkrótce

spotkamy się w areszcie. Wręczyłem bram dwie komórki. Objęliśmy się serdecznie. Była czwarta rano, gdy przepojony smutkiem ruszyłem w drogę. Z bratem byliśmy nierozłączni. Nie chciałem go zostawiać samego i myślę, że i on nie chciał, żebym odjeżdżał sam. Ale nic nie mogliśmy na to poradzić. Wtedy widziałem go po raz ostatni.

Oczywiście musiałem się liczyć z tym, że władze, zamiast przyjąć moją kapitulację, będą chciały mnie zabić. Wedle nieformalnego porozumienia miałem się ujawnić i oddać w ręce władz w pewnym miejscu, jakieś sto kilometrów od Medellín. Tego planu jednak nie zamierzałem się trzymać. Poprzedniego dnia zadzwoniłem do dziennikarki Marceli Durán, prosząc, żeby czekała na mnie w sklepie meblowym Deco.

- Spotkasz tam wysłanników prokuratora generalnego. Zabiorą cię i przywiozą w umówione miejsce. Chciałbym, żebyś była świadkiem.

Przedstawiciele prokuratury udali się na wspomniane miejsce sto kilometrów od miasta, a ja tymczasem skierowałem się do sklepu meblowego. Marcela zdumiała się na mój widok, ale zachowała się uprzejmie, komplementując mnie za wygląd. Zawsze starałem się dbać o siebie. Nosilem markowe ubrania i w ogóle dbałem o elegancję. Był siódmy października 1992 roku. W towarzystwie Marceli Durán udałem się do oddalonego o jakieś półtora kilometra aresztu. Była moim świadkiem.

Chciałem z miejsca porozmawiać o warunkach ujawnienia się Pabla, ale nikt nie chciał o tym nawet słyszeć. Bez porozumienia Pablo oczywiście nie skapitułuje, bo wie, co go czeka.

Przez dziesięć dni trzymane mnie w obskurnie izolatce i traktowano gorzej niż psa. Spałem na gołej posadzce. Jedzenie na szczęście było dość przyzwoite. O danym słowie jakoś nikt nie pamiętał. Gdyby nie komórka, którą przemyciłem do aresztu w tranzystorze, nie miałbym żadnej możliwości porozumienia się z Pablem, a tak zadzwoniłem do niego z wiadomością, że sprawy wzięły w łeb. Nasz system nie pozwala aresztowanemu na wzięcie adwokata, pomogła dopiero interwencja w sądzie. Dość długo trwało, nim zdecydowano o tym, jakie postawić mi zarzuty. Wszyscy wiedzieli, że jedyne moje „przestępstwo” to fakt, że jestem bratem Pabla Escobara. Nigdy przecież nikt mnie nie oskarżył o coś, co widnieje w kodeksach, ani o narkotyki, ani o przemoc. W końcu postanowiono mnie oskarżyć o... kradzież konia wykorzystanego później do zamachów terrorystycznych, co oczywiście nie miało najmniejszego sensu. Po co miałbym kraść, skoro

posiadałem ponad setkę koni? Oskarżono mnie także o nielegalne posiadanie broni i wreszcie o czyny z przyjętej właśnie, po raz pierwszy w historii Kolumbii, ustawy nakładającej na obywateli obowiązek wykazania źródeł dochodu. Na koniec postawiono mi także zarzut ucieczki z Katedry. Tylko to ostatnie miało ręce i nogi, cała reszta zarzutów została wzięta z sufitu. Z Katedry - chcę podkreślić - musieliśmy uciekać w obliczu zagrożenia. A na dowód, że nie chodziło o nic innego, świadczy fakt, że z miejsca przecież przystąpiliśmy do targów o warunki ponownego oddania się w ręce władz. Najpierw grożono mi dwudziestoma pięcioma latami więzienia, później podniesiono stawkę do pięćdziesięciu ośmiu lat. Nie miałem wyjścia, musiałem znów walczyć o życie.

Po miesiącu przeniesiono mnie do więzienia o zaostrzonym rygorze i zaczęto traktować jak normalnego osadzonego. Pozwolono mi mieć telewizor w celi. Dostarczył go adwokat Enrique Manceda. W odbiorniku ukryto dla mnie komórkę. Niestety, zanim moja sprawa trafiła na wokandę, Enrique został zamordowany. Mając komórkę, często dzwoniłem do Pabla. Byłem jednym z niewielu, którym mógł ufać. Przez większość czasu Pablo poruszał się sam, bez kierowcy, ochrony, bez przyjaciół. Zbyt wielu tych, którzy mieli z nim kontakt i byli z nim blisko, traciło życie. Pablo pojawiał się jak duch albo zjawa, ale pojawiał się i władze dobrze o tym wiedziały. Musiał się trzymać z daleka od znanych nam miejsc, bo te były pod stałą obserwacją. Z tych samych przyczyn nie mógł kontaktować się z rodziną. Ale pisał codziennie, a rodzina też słała listy. Przekazywano je w skomplikowany sposób, w najgłębszej oczywiście tajemnicy, posługując się szyframi. Listy dostarczał dawny przyjaciel Gustava imieniem Carieton. Przysłał on do Pabla po śmierci Gustava i zajmował się niemal wyłącznie pocztą. Tylko on wiedział, gdzie przebywa rodzina. Kiedy miał coś do przekazania od Pabla, dzwonił do adresata i mówił na przykład: „Spotkajmy się u twojej mamy”, co oznaczało cmentarz, jako że rodzicielka adresata dawno już nie żyła. Innym częstym miejscem przekazywania poczty było wejście do największej destylarni rumu w Kolumbii. Te spotkania Carieton też zapowiadał szyfrem. „Napijmy się rumu o trzeciej” - dawał znać. No i właśnie dzięki Carietonowi Pablowi udawało się kontaktować z rodziną.

Krążył - powiadam -- jak zjawa, pojawiał się wśród ludzi, ale pozostawał niewidzialny. Któregoś dnia, w przebraniu oczywiście, wybrał się na mecz. Jechał taksówką. Wiekowy kierowca skarżył się, że ledwo wiąże koniec

końcem, że ma sporą rodzinę na utrzymaniu, a teraz grozi mu odebranie wozu, bo zalega ze spłatami.

- Niech mi pan da numer telefonu i adres. Proszę się nie obawiać. Po prostu znam kogoś, kto mógłby panu pomóc - powiedział Pablo i zaraz następnego dnia podesłał owemu kierowcy pieniądze na pokrycie długu.

Pablo Escobar, który kiedyś rezydował w Nápoles i latał nad Wielkim Kanionem z samym Frankiem Sinatrą, pomieszkiwał teraz wśród zwykłych ludzi, a u nikogo nie dłużej niż dzień albo dwa. Uprzedził kiedyś jednego ze swoich pomagierów, którego nazwisko w uznaniu dla jego zasług zachowam dla siebie, żeby się nie zdziwił, jeśli któregoś dnia zjawi się właśnie u niego.

- Nie ma sprawy - zgodził się ów człowiek i tylko uprzedził żonę, że Pablo Escobar może przyjść do nich w gości i żeby się nie bała.

I rzeczywiście, jakiś tydzień później Pablo zapukał do drzwi, zresztą pod nieobecność gospodarza. Gdy ten wrócił, zastał Pabla przed telewizorem w towarzystwie swojej siedmioletniej córki. Tuż po kolacji w telewizji nadano komunikat o nagrodzie w wysokości pięciu milionów dolarów za pomoc w ustaleniu miejsca pobytu Pabla Escobara i pokazano jego zdjęcia.

- Pan wygląda dokładnie tak jak on! - zawołała dziewczynka, uśmiechając się do Pabla.

Dorośli też się roześmiali, a gospodarz wyjaśnił córce, że Pablo to jego dawno niewidziany wujek i żeby nikomu o nim nie mówiła.

Takich niebezpiecznych momentów było sporo. Gdy Pablo krył się na przedmieściach Medellín, amerykańskie samoloty namierzyły go, kiedy rozmawiał przez komórkę. Oczywiście natychmiast wysłano specjalny oddział, żeby go pojmać. Pablo z ochroniarzem zdołali uciec do lasu i kiedy z wysokości wzgórza obserwowali, jak wojsko przeszukuje dom, Pablo włączył tranzystor i zaczął słuchać sprawozdania z meczu Medellín - Nacional. Nagle stuknął ochroniarza w ramię i szepnął: „Posłuchaj”, a ten aż się wystraszył. Pablo cieszył się, że Medellín zdobyło bramkę.

Innym znów razem Pablo krył się na farmie. Przebywał tam już od kilku dni. Uprzedzałem go, żeby przez komórkę rozmawiał krótko, ale często o tym zapominał. W tych dniach niemal codziennie łączył się ze mną albo synem - Juanem Pablem - w sprawie warunków kapitulacji. Pamiętał jednak, aby nie korzystać z komórki z miejsca, w którym się krył. Tym razem udał się do pobliskiego lasu i właśnie wtedy dom otoczyło wojsko. Pablo, jak to było w jego zwyczaju, słuchał jednocześnie transmisji z meczu Medellín -

Nacional. Kiedy ochroniarz ponaglał, że trzeba uciekać, bo policja jest już blisko, sprawozdawca radiowy podał, że sędzia orzekł rzut karny dla Medellín.

- Jedną chwilę - zbył Pablo ochroniarza i dopiero wtedy, gdy Medellín strzeliło gola, rozejrzał się. - Więc gdzie ta policja?

Wiele razy Pablo uciekał przed obławą w ostatniej chwili i kompletnie bez niczego. W gazetach pisano, że agenci Bloque de Búsqueda deptali mu wręcz po piętach, że natrafiali na niedojedzony, gorący jeszcze posiłek, że Pablo uciekł na bosaka, bo nie zdążył wzuć butów. Niby byli blisko, a jednak nie potrafili go schwytać. Rok minął od mojego uwięzienia - a Pablo Escobar pozostawiał nieuchwytny.

Za więziennych krat niewiele mogłem mu pomóc, zwłaszcza że cały czas trzymano mnie pod lupą w nadziei, że powiem albo zrobię coś, co pozwoli zidentyfikować kryjówkę Pabla. Ja tymczasem borykałem się ze swoimi problemami - walczyłem o siebie, a jednocześnie starałem się zabezpieczyć rodzinę.

Najgorsze było to, że nie byłem panem swojego losu. W Katedrze, choć też za kratami, mogliśmy robić, co nam się żywnie podobało. W więzieniu podlegałem rygorom, cały czas mnie kontrolowano.

Gryzłem się, że nie mogę pomóc bratu, a w zupełną rozpacz popadłem, gdy porwano mojego wspaniałego syna Nicholasa.

Nico pozostawał poza branżą, nie brał udziału w naszych interesach. Dopiero później, gdy sprawy się zaostrzyły, próbował - ryzykując życie - doprowadzić do rozejmu z Cali i Los Pepes. Ale to - jak powiadam - później. Tymczasem chcę opowiedzieć o tym, co zdarzyło się pewnego majowego dnia w 1993 roku. Otóż Nico z żoną, synem, jednym ze swoich pracowników i ochroniarzem jechali z farmy do Medellín. Po drodze wstąpili do restauracji Kachotis i tam niemal natychmiast zaczęła się obława. Do środka wpadli policjanci, kazali wszystkim paść na podłogę i grożąc bronią, zabrali mojego syna. Nikogo innego, tylko jego, było więc oczywiste, że od początku chodziło tylko o niego.

Ja naturalnie o niczym nie miałem pojęcia, a i tak niewiele mógłbym zrobić, ale szlag mnie trafił, gdy się później o tym wszystkim dowiedziałem.

Tymczasem Nica zawlekli do radiowozu. Co działo się dalej, najlepiej opowiem jego słowami:

„Kilka minut później radiowóz zatrzymał się przed posterunkiem

drogowym, gdzie sprawdzana wszystkie auta. Kiedy przyszła nasza kolej, zacząłem krzyżeć: «Porwali mnie, uprowadzają». Nikt jednak nie zwrócił uwagi na moje krzyki, co znaczy, że policjanci z posterunku też należeli do spisku. Samochód ruszył dalej. Staralem się nie myśleć, co mnie spotka. Zawieźli mnie na jakąś farmę w Caldas - miejscowości w pobliżu Medellín - i tam zaczęli mnie bić, zadając informacji o wujku Pablo. Na początek przywiązali mnie do krzesła i kopali. Nie miałem pojęcia, gdzie wuj się obraca, więc nic ze mnie nie mogli dobyć. Daję słowo, że nie bałem się nic a nic, Może mam to we krwi, ale po prostu nie boję się śmierci. Po jakimś czasie zawieźli mnie z powrotem na miejsce, skąd mnie uprowadzili. Nie umiem wytłumaczyć, dlaczego zostawili mnie przy życiu. Ale zaraz po uwolnieniu zadzwoniłem do Pabla. Przysłał po mnie ludzi. Rozmawiałem z nim dobre dwie godziny. Wypytał mnie o wszystko”.

Pablo starał się chronić rodzinę za wszelką cenę. Wtedy właśnie ustaliliśmy, że przynajmniej moja rodzina powinna wyjechać za granicę. Nico z ciężarną żoną, dziećmi i siedemdziesięcioośmioletnią ciotką żony pojechali do Chile. I znów opowiem słowami syna:

„Sprawa była trudna. Kiedy bowiem policja chilijska dostała wiadomość od władz Kolumbii, że my to my, odmówiła nam prawa wjazdu. Ale w końcu wpuścili nas, gdy posmarowałem, gdzie trzeba. Tylko że już wyjeżdżając z lotniska, zauważyłem, że mamy ogon. Ruszyły za nami aż trzy samochody. Gdy dodałem gazu, oni też, jak w filmie. Wystraszyliśmy się nie na żarty. Nie mieliśmy pojęcia, czy chcą nas deportować, czy zwyczajnie zabić. Nieważne, że nie mieliśmy nic na sumieniu, że nie braliśmy udziału w wojnie między Pablem a kartelami i rządem. Mogli chcieć wykorzystać nas do schwytania Pabla. Zobaczyłem jakiś wielki parking. Zajechałem między stojące tam wozy. Kazałem wszystkim przycupnąć na podłodze. Kątem oka widziałem, jak te trzy auta krążą po całym placu. Na szczęście zgubili ślad i po kilku godzinach odjechali. Oczekałem jeszcze trochę i ruszyłem. Okazało się, że czekali na nas za rogiem. Spostrzegłem komisariat policji. Zatrzymałem wóz. Lepiej dać się deportować, niż zginąć”.

Koniec końców Nico postanowił z rodziną opuścić Chile i lecieć do Brazylii. Tam jednak też nie chcieli ich wpuścić. Odesłali ich do Hiszpanii. W Madrycie nie pozwolono im opuścić samolotu. Władze Kolumbii wydały bowiem ostrzeżenie, że przeciwko mojej rodzinie toczy się śledztwo. Z Madrytu Nico z bliskimi odleciał do Frankfurtu.

„Studiowałem w Niemczech, więc znałem język. Rozmawiałem z urzędnikiem imigracyjnym. Właśnie od niego dowiedziałem się, że rząd Kolumbii uprzedza wszystkich, że rodzina Pabla Escobara zamierza ukryć się w Europie, i prosi, aby nie wyrażać na to zgody.

Zacząłem błagać. Przekonywać, że jesteśmy niewinni, że dla wszystkich będzie lepiej, jeśli pozwolą nam zostać. W Kolumbii grozi nam śmierć. Długo to trwało, ale urzędnik okazał się ludzkim człowiekiem. Uratował nas”.

Pablo nie miał tyle szczęścia. Ani Marii Victorii, ani Juanowi Pablowi, ani nawet małej Manueli nie wydano zgody na wyjazd z Kolumbii. Umieszczono ich w hotelu podlegającym władzom bezpieczeństwa. Podobno mała Manuela chodziła po korytarzach, nucąc piosenki o tym, że przyjdą ludzie z Los Pepes i ją zabija.

W tym czasie niemal codziennie rozmawiałem z Pabłem przez komórkę. Dzwonił zawsze z taksówki. Czuł się bardzo osamotniony. Do sporej części ukrytych pieniędzy nie miał już dostępu, wielu jego współpracowników zginęło albo oddało się w ręce władz. Z rodziną z oczywistych przyczyn nie mógł się kontaktować. Od informatora w Bloque de Búsqueda dowiedział się, że władze dysponują nową, bardzo dokładną aparaturą do monitorowania połączeń telefonicznych. Rząd już nie chciał negocjować. Po mieście Pablo poruszał się zawsze w przebraniu. Musiał unikać znanych miejsc. Zasiadał więc w małych restauracyjkach na uboczu z kawą i ciastkiem. Wyglądało teraz na to, że jedynym w miarę bezpiecznym dla niego schronieniem będzie dżungla i oddziały Antioquia Rebelde - Powstańców z Antioquii. Ruch o tej nazwie zaczął się formować w listopadzie 1993 roku.

W tym czasie zatrzymał się w pewnym mieszkaniu w Medellín w pobliżu stadionu piłkarskiego im. Anastasia Giradota. Usługiwała mu nasza kuzynka Luzmilla, a za towarzysza miał Limóna - jednego z najlepszych moich ludzi. Z bliskiej rodziny nikt nie wiedział o nowej kryjówce. Luzmilla wyjaśniła swoim synom, że właśnie znalazła nową pracę, że opiekuje się pewnym starszym panem i będzie nieźle zarabiać. Limóna osobiście poleciłem Pablowi, każąc mu wcześniej zaopatrzyć się w „czystą” komórkę. Z komórkami w ogóle był kłopot. W niedzielę 29 listopada pewna kobieta, na której mogłem polegać, przyniosła mi do więzienia list od jednego z naszych informatorów z ostrzeżeniem, żeby Pablo przestał rozmawiać przez komórki, bo go złapią. Kobieta przemyciła list w specjalnej skrytce w bucie.

Natychmiast napisałem do Pabla;

„Kochany Bracie, pozdrawiam Cię serdecznie i mam nadzieję, że kiedy ten list do Ciebie dotrze, będziesz bezpieczny. W najbliższy czwartek przypadają Twoje urodziny - każdy kolejny rok to wielki dar, jaki dostajemy od Boga. Jestem, drogi Bracie, ogromnie zaniepokojony. Dostałem właśnie wiadomość, że Twój telefon jest na podsłuchu, a co więcej - namierzą Cię, jeśli będziesz dalej dzwonił. Więc błagam: NIE ROZMAWIAJ PRZEZ TELEFON... NIE ROZMAWIAJ PRZEZ TELEFON... NIE ROZMAWIAJ PRZEZ TELEFON”.

List ten przekazałem mamie w czasie widzenia razem z dokładną instrukcją, co ma z nim zrobić dalej. Podkreślałem, że sprawa jest bardzo pilna. Mama domyślała się, że chodzi o Pabla. Bardzo się niepokoiła. Nie chciałem jej mówić wszystkiego, ale też nie chciałem kłamać. Powiedziałem więc:

- Podsłuchują telefony Pabla, co jest nam bardzo nie na rękę. Lepiej, żeby nikt nie wiedział, z kim Pablo rozmawia, bo znów prowadzimy negocjacje z rządem Gavirii.

Pablo tymczasem martwił się o rodzinę. Pragnął za wszelką cenę wysłać swoich bliskich za granicę, gdzie nie sięgają szpony Los Pepes. W kwietniu zaczął przygotowywać wyjazd do Stanów Zjednoczonych, ale DEA postawiła szlaban. Zatrzymała rodzinę Pabla w Bogocie, wydając ją praktycznie na pastwę Los Pepes. W listopadzie Pablo zadzwonił do mojego syna Nico, który w tym czasie mieszkał w Hiszpanii. Prosił, żeby Nico udał do Frankfurtu, żeby odebrać przylatującą tam Marię Victorię, Juana Pabla i pozostałych bliskich.

- Wujku, nie sądzę, aby to było bezpieczne. Mieliśmy sporo kłopotów z wjazdem do Europy - odparł Nico.

- Nie mam innego wyboru, a ty musisz mi pomóc. Musisz. zająć się moją rodziną, dopóki nie ułożę spraw tutaj, w Kolumbii.

Nico oczywiście posłuchał. Pojechał do Niemiec, stawił się na tym samym lotnisku we Frankfurcie, na którym sam lądował kilka miesięcy wcześniej. Na próżno. Marii Victorii, Juanowi Pablowi i Manueli nie pozwolono nawet wysiąść z samolotu. Zupełnie bez podstaw. Byli przecież absolutnie niewinni. Nie wieźli narkotyków ani nic. Cały samolot był czysty. Jedynym ich „przestępstwem” było to, że w żyłach dzieci płynęła krew Escobarów. Kazano im wracać do Kolumbii, mówiąc jednocześnie, że wjazd

do Europy możliwy będzie tylko wtedy, kiedy Pablo odda się w ręce władz.

Ale dla Pabla kapitulacja oznaczała śmierć. Według informatorów postanowiono już, że gdy znajdzie się w areszcie, zostanie zlikwidowany.

Po deportacji z Niemiec rodzinę Pabla z rozkazu władz umieszczono w słynnym hotelu w Bogocie kontrolowanym przez policję. Nastąpiło coś zdumiewającego - rząd wziął całą rodzinę jako zakładników. Władze Salvadora zaoferowały pomoc, ale nasz rząd nie podjął nawet rozmów. Tak więc rodzina pozostawała pod okiem policji, o której wiadomo było, że działała ramię w ramię z Los Pepes. Jeszcze później rząd zagroził pozbawieniem rodziny także i tej, iluzorycznej skądinąd ochrony.

Pablo nie pozostawał bezczynny. Dzwonił do ludzi, zapowiadał odwet, gdyby rodzinie stała się krzywda. Poza tym niewiele w istocie mógł zrobić. Pod koniec listopada ciągle jeszcze wychodził na ulice, wybrał się nawet na mecz piłkarski. Ale pętla nałożona przez Bloque de Búsqueda, Centra Spike, Deltę, policję, Los Pepes i Cali nieustannie się zacieśniała. Rodzinę już osaczono, doskonale wiedząc, że dla swoich bliskich Pablo poświęci wszystko, nawet własne życie. Nad miastem cały czas krążyły samoloty z aparaturą monitorującą połączenia telefoniczne, wojsko przeczesywało ulice, polowano na Pablo dzień i noc.

Limón, towarzyszący Pablowi w tych dniach, należał do przesądnych. Wierzył w czarownice, zaklęcia, klątwy, a także w to, że czterolistna koniczyna przynosi szczęście. Pablo traktował to z pobłażaniem, Ostatniego dnia listopada siedział nad gazetą, gdy nadleciała obrzydliwa, wielka mucha. Zwinął gazetę, próbując zabić natręta, ale nie udało się. Znow zaczął czytać, a mucha swoje. Wreszcie przysiadła mu na lewym uchu.

- Szefie, to niedobry znak. Ani chybi stanie się coś złego - zaczął wieszczyć Limón.

Pablo znow zamachnął się na dokuczliwego owada i znow chybił. Tym razem mucha wylądowała mu na nodze. Limón otworzył w końcu okno i przepędził zły - jak powiadał - omen. Wyobrażam sobie, że Pablo musiał się uśmieć.

Wieczorem tego samego dnia brat posłał Luzmillę do sklepu po prezent dla mnie. Umyślił sobie, że podaruje mi *Księgę sportowych rekordów Guinnessa*. Pablo znał się na sporcie, a jeśli idzie o piłkę nożną, nie miał sobie równych. Wiedział Wszystko o mundialach, pamiętał wszystkie finały i często zadawał mi zagadki z tej dziedziny, testując moją wiedzę. Pochwałę

się, że nie przegrałem ani razu. Kiedy Luzmilla wróciła z książką, napisał dedykację i kazał jej wysłać prezent do więzienia.

Nazajutrz, pierwszego grudnia, przypadały jego czterdzieste czwarte urodziny. Teraz, kiedy o tym piszę, nie potrafię opędzić się od wspomnień o wspaniałych uroczystościach, jakie w Pabla urodziny wyprawialiśmy w rodzinnym domu, a potem w Nápoles, z udziałem setek gości. Ale tego pierwszego grudnia Pablo siedział niemal sam. Luzmilla przyrządziła mu ulubione dania na śniadanie, potem brat zabrał się do przeglądania poczty. Dostał między innymi liścik od Manueli, napisany zapewne z pomocą Marii Victorii. „Kochany Tatusiu, chociaż nie ma Cię tu z nami, to mamy dla Ciebie miejsce w kąciku naszych serc. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin”.

Maria Victoria też dołączyła życzenia od siebie, a na znak miłości odcisnęła na liście usta.

W poczcie był także list ode mnie. Pisałem o braterskiej miłości i życzyłem mu długich lat życia. Po lekturze Pablo wsunął wszystkie listy do papierowej torby, polecając Luzmilli, żeby je spaliła. Kuzynka nie pamięta, czy zdążyła je spalić, czy nie.

Kolację zjedli we trójkę, racząc się *frutos del mar* - owocami morza - z najlepszej restauracji w Medellín i butelką szampana Veuve Cliquot. Zrazu próbował ją otworzyć Limón, ale nie udało mu się, dopiero Pablo stuknął szyjką butelki o ścianę i korek wystrzelił, trafiając Limóna w pierś.

- Bogu dzięki, że to nie kula - zaśmiał się służący.

Pablo zażądał czterech kieliszków.

- Niech czwarty symbolizuje moją nieobecną rodzinę - powiedział. - I wypijmy za nich. Niech im zdrowie dopisuje.

- A ciebie niech Bóg błogosławi- zawtórowała Luzmilla.

- A ja dziękuję Bogu, że połączył nasze drogi - dodał Limón, dziękując, że Pablo wziął go do siebie.

Wzniesli jeszcze jeden toast i potem - jak wspomina Luzmilla - stało się coś dziwnego. Limón wypuścił kieliszek z ręki, a ten, zamiast się potłuc o podłogę, wylądował nietknięty na nóżce, co Limón - jak to on - uznał za zły omen.

- Mówię wam, coś musi się stać.

Pablo owszem, słuchał gderań, ale na pewno nie brał ich na serio.

- Nie umiera się, gdy nie jest to przeznaczone - pocieszył Limóna.

Po zmierzchu Pablo włożył przebranie i poszedł na miasto. Świtem odwiedził naszą mamę. Mieszkała w bezpiecznym miejscu, załatwionym oczywiście przez niego, ale tak czy owak, wizyta u mamy była ryzykowna. Pablo jednak chciał ją odwiedzić, żeby się pożegnać.

Uświadomił sobie bowiem w końcu, że władze nie przystaną na żadne targi, że nie ma mowy o powtórzeniu porozumienia, które doprowadziło nas do Katedry. Nie miał więc już nic do roboty w Medellín, ale chcąc doprowadzić do uwolnienia Marii Victorii i rodziny, musiał odzyskać siłę i wpływy. Zamierzał więc zaszyć się w dżungli i Lam stworzyć nowe ugrupowanie.

- Tu, w Medellín, widzimy się po raz ostatni - uprzedził mamę.

Jego plan polegał na tym, że stanie na czele Antioquia Rebelde i zacznie walczyć o wolność.

- Ustanowimy nowe państwo - Antioquia Federal - tłumaczył mamie. - Ja zostanę prezydentem, a jako szef obcego państwa nie będę podlegał jurysdykcji Kolumbii.

Mama wysłuchiwała tego ze spokojem. Nie uroniła łzy. Uściskała syna i odprowadziła go do drzwi. Po chwili Pablo znikł w ciemności.

Nasza mama była piękną kobietą o niebieskich oczach, wrażliwą, a zarazem silną. Była głęboko wierząca, miała wiele serca dla najbiedniejszych mieszkańców Medellín. Za miodu pracowała jako nauczycielka. Miała wspaniale pióro, co do dziś pamiętam. Po zakończeniu kariery nauczycielskiej stworzyła rodzaj klubu dla nauczycielek emerytek, gdzie panie mogły rozwijać swoje zainteresowania.

Pablo miał świadomość, że nie powinien rozmawiać przez telefon dłużej niż dwie, trzy minuty, ale przestawał się pilnować. W swoje urodziny zadzwonił do jednej ze stacji radiowych, aby obwieścić rodakom, że rząd wziął członków jego rodziny jako zakładników. Zaraz potem zadzwonił do syna. Amerykanie zdążyli tymczasem namierzyć dzielnicę, skąd Pablo telefonuje. Krąg zaczął się niebezpiecznie zacieśniać.

Tej nocy znów przyśnił mi się mój mały ksiądz. Tym razem jednak nie był to zły sen. Nie pamiętam szczegółów, ale drugiego grudnia obudziłem się dziwnie podekscytowany, jakby wszystko miało się ułożyć po naszej myśli. Przepajała mnie miłość do rodziny i radość życia.

Pablo wstał, jak to on, koło południa. Dzień był szary. powietrze wilgotne. W radiu podano, że Gustavito, syn Gustava, zginął z rąk policji.

Pablo posłał Luzmillę do sklepów po rzeczy, jakich będzie potrzebował w dżungli: pióra, ołówki, papier listowy, pastę do zębów - poprosił o spory zapas, bo zużywał jej mnóstwo - po krem do golenia i jakieś lekarstwa. Przestrzegł ją, żeby wróciła najpóźniej o trzeciej i że poczeka najwyżej pół godziny, potem będzie się ewakuował zgodnie z zasadami bezpieczeństwa.

Dla Luzmilli dzień zapowiadał się jak każdy inny. Po jej wyjściu Pablo z Limónem wsiedli do taksówki, żeby przeprowadzić kilka rozmów telefonicznych. Bloque de Búsqueda monitorował te rozmowy. Oddział interwencyjny czekał w pogotowiu. Jako że Pablo rozmawiał z taksówki w ruchu, nie dało się go dokładnie namierzyć. Najpierw rozmawiał krótko z Marią Victoria, potem z Juanem Pablem. jedno z niemieckich czasopism zwróciło się z prośbą o wywiad i przekazało juniorowi listę około czterdziestu pytań. Podejrzewam, że Pablo postanowił skorzystać z okazji i za pośrednictwem owego czasopisma zwrócić się do władz RFN o przyznanie prawa pobytu jego rodzinie. Chciał też opinii publicznej Niemiec uświadomić, jak nieludzko władze Kolumbii traktują jego najbliższych. Przy pomocy Limona zaczął w taksówce spisywać zadane pytania: Dlaczego rodzina zdecydowała się jechać do Niemiec? Jak została potraktowana? Dlaczego władze odmówiły jej prawa wjazdu?

Sądzę, że Pablo czuł się dość pewnie. bo po powrocie do apartamentu znów zaczął dzwonić. Nigdy wcześniej nie był tak nieostrożny. I tym razem Bloque de Búsqueda namierzył jeszcze nie mieszkanie, ale ulicę. Zaczęła się obława. Najpierw przeczesano sąsiedni blok, potem już ten właściwy. Pablo nie orientował się w sytuacji.

Tylko ci, którzy byli tego dnia, drugiego grudnia, tam na miejscu, wiedzą, co się działo dalej. Ja oczywiście znam oficjalną wersję wydarzeń, ale mam też swoją własną, w którą głęboko wierzę.

W czasie, kiedy krąg wokół Pabla zacieśniał się, siedziałem w celi, rozpakowując książkę - prezent od niego. I właśnie czytałem dedykację: „Mój drogi Bracie, duszo moja, mój najlepszy przyjacielu. Ofiarowuję ci tę książkę, abyś pogłębił swoją wiedzę o sporcie... Być może kiedyś okażesz się lepszy ode mnie, jeśli idzie o fakty. Ściskam cię, Twój V.P.”.

Do dziś dnia nie potrafię sobie wyjaśnić, co owe końcowe inicjały miały oznaczać. Zazwyczaj na końcu listów do mnie Pablo pisał „Dr Echaverria“ albo „Teresita”. „V.P.” - nigdy, i doprawdy nie wiem, co chciał powiedzieć. Mam dwa przypuszczenia, a mianowicie, że „V.P.” to „Victoria Pablo” albo

„Viaje Profundo”, co znaczy daleka podróż. Konsultowałem się z wieloma osobami, w tym także z moim nauczycielem angielskiego Jayem Arangiem, co te dwie litery mogą oznaczać. Nikt jednak nic potrafił dać przekonującej odpowiedzi.

A tymczasem, gdy ja siedziałem w celi, w Medellín zapisywała się historia.

Wedle oficjalnej wersji Pablo z Limónem mieli usłyszeć hałas, gdy policja wkroczyła do budynku, a policjanci mieli otworzyć ogień dopiero wtedy, gdy Pablo z Limónem zaczęli się ostrzeliwać. W to akurat nie wierzę. Nikt mnie nie przekona, że chciano wziąć Pabla żywcem, ryzykując, że kiedyś jednak wyjdzie na wolność. Chciano go zabić tam, na miejscu.

Wedle oficjalnej wersji dramat miał się dopełnić na dachu budynku. Strzały najpierw dosięgły Limóna i ten spadł na ziemię. Pablo, uzbrojony w dwa pistolety, uciekał na dach sąsiedniego budynku, ale i jego postrzelono. Obu trafiono po trzy razy. Pablo dostał postrzał w plecy, w nogę i w głowę, tuż nad prawym uchem. O trzeciej kuli krąży wiele wersji. Wedle jednej strzelali ludzie z Bloque de Búsqueda, wedle innej strzał miał paść z broni amerykańskiego snajpera z sąsiedniego budynku. Zaraz potem, jak mój brat padł, Amerykanie z Delta Force zrobili sobie zdjęcie z jego ciałem, jak ze zdobyczą na polowaniu z nagonką.

W oficjalną wersję nie wierzę. Mam swoją. Otóż uważam, że kiedy policja wdarła się do budynku. Pablo kazał Limónowi zobaczyć, co się dzieje. Limón zszedł na dół, został trafiony i zginął od razu, przy wejściu do budynku. Pablo tymczasem postanowił uciekać przez dach. Tam jednak zorientował się, że nie ma żadnych szans, że jest otoczony. Nigdy nie pozwoliłyby się schwytać. Zawsze powtarzał, że nie dopuści do tego, aby miano go zawlec do Ameryki, więc w moim największym przekonaniu w chwili, gdy zobaczył, że nie ma już ucieczki, przyłożył sobie pistolet do głowy. Zrobił tak, jak mówił, nie dopuścił do tego, żeby władze nad nim zatriumfowały. Zawsze powtarzał, że lepsza mogiła w Kolumbii niż Więzienna cela w Ameryce. Walczył do końca jak prawdziwy wojownik i wierzę, że zginął z własnej ręki.

A na dole policjanci zaczęli strzelać na wiwat, krzycząc: „Wygraliśmy, zwycięstwo!”.

Luzmilla tymczasem wracała z zakupów. Jak zawsze kazała taksówkarzowi zatrzymać się kilka przecznic wcześniej. Końcowy odcinek

zawsze pokonywała pieszo. Zaskoczył ją tłum biegnący w stronę jej domu. Zatrzymała jakiegoś przypadkowego policjanta.

- Co się tu dzieje?

- Pablo Escobar! Właśnie go złapali.

Pakunki wypadły jej z ręki. Usiadła na krawężniku i zapłakała.

Rychło na miejsce przybyły nasza mama i siostra. Zaprzyjaźniony policjant przepuścił je do budynku. Zobaczyły ciało Limóna na ziemi i przez sekundę żywiły jeszcze nadzieję, że Pablo jednak żyje.

- Leży tam, na dachu - wyprowadził je z błędu policjant.

Zaprowadzono je na górę, żeby zobaczyły ciało syna i brata.

Ja w celi dowiedziałem się o wszystkim z radia. Podano, że Pablo Escobar zginął z rąk agentów amerykańskiej DEA i kolumbijskiej policji. Oczywiście nie chciało mi się w to wierzyć. Włączyłem telewizor. Pablo Escobar nic żyje - głośiły wszystkie kanały. Nadal nie mogłem uwierzyć. Tyle przecież przetrwał! Wszyscy jesteśmy śmiertelni, ale śmierć bliskich zawsze dotyka nas bardziej niż śmierć innych, choćby było ich wielu. Nie chodzi o to, abym sądził, że Pablowi uda się w ogóle oszukać śmierć, sądziłem jednak, że jeśli już, to odejdzie znacznie, ale to znacznie później. Nie potrafiłem się pogodzić z tym, co słyszałem. W końcu zacząłem szlochać.

Pablo przygotowywał się na śmierć. Zostawił nagranie dla Manueli. Mówił w nim, że miłosierny Bóg pragnie zapewnić mu wieczny żywot i dlatego wzywa go do siebie. I on, tata, udaje się do nieba, zostawiając córce takie oto posłanie: „Bądź dobrym dzieckiem, bądź dobrą córką i nie lękaj się śmierci, bo żyć będziesz tysiąc lat, a twój tata będzie baczył na ciebie z niebios”.

Wieczorem radio nadało rozmowę z Juanem Pablem. Nadal, co naturalne, był zaszokowany i pełen złości, i - niestety - dał temu wyraz, niewybrednie atakując policję i zapowiadając zemstę. Połączyłem się z nim zaraz potem i uświadomiłem mu, że używając takiego języka, może przysporzyć sobie i rodzinie masę kłopotów. Wezwałem go, żeby zadzwonił do radia i wyraził skruchę. Tak też uczynił. Przeprosił za wypowiedź, tłumacząc, że był ogromnie zdenerwowany.

Musimy zachować spokój - pouczałem go. Przypomniałem, że jego ojciec nawet w najbardziej dramatycznych chwilach zachowywał kamienną twarz, że nigdy nie okazywał ani złości, ani gniewu, ani - tym bardziej - strachu.

Zgodnie z procedurą, już po złożeniu ciała Pabla w trumnie, należało potwierdzić jego tożsamość. To zadanie przypadło Pelolindo - dziewczynie z pięknymi włosami. Wspominałem, że w Katedrze robiła mu manikiur; przy identyfikacji zwłok zwróciła uwagę na jego charakterystyczny palec wskazujący, krótki, kanciasty. W czasie uroczystości pogrzebowych trumna pozostała otwarta. Rodzinie nie pozwolono odziać ciała w świeże ubranie, więc brat leżał w zakrwawionej koszuli. Pelolindo podeszła do trumny, ujęła dłoń Pabla. Tak, to był Pablo Escobar.

W pogrzebie wzięły udział tysiące ludzi. Zgodnie z naszym obyczajem przy pochówku śpiewa się sześć pieśni. Pablo poprosił kiedyś dziewczynę z pięknymi włosami:

- Jeśli zginę, chciałbym, abyś zaśpiewała nad moją trumną. Nikt inny, tylko ty.

Takie było jego życzenie. Pelolindo, choć w szoku, zaśpiewała: „jesteś bratem w moim sercu... jesteś przy mnie w czasie całej mojej ziemskiej podróży, jesteś zawsze i ja to czuję”.

Z domu pogrzebowego tłum wyniósł trumnę na ramionach. W kondukcje, który przeszedł ulicami Medellín, szło około dziesięciu tysięcy osób.

Trzeciego grudnia „The New York Times” obwieścił o śmierci Pabla na czołówece. „Pablo Escobar - człowiek, który wyrósł z nędzy i stał się najgroźniejszym i najmajątniejszym handlarzem narkotyków, zginął od kul... Jego śmierć raczej nie wpłynie na ograniczenie rzeki kokainy płynącej do Stanów...”.

Czas mi się dłużył, dni ciągnęły się bez końca. Czasami wydawało mi się, że unoszę się w nicości, nie zmierzając donikąd. Siedziałem w więzieniu już od czternastu miesięcy, a przy życiu trzymała mnie tylko nadzieja, że Pablo znajdzie jednak jakiś sposób, abyśmy znów byli wolni. Z jego odejściem umarły wszelkie moje nadzieje. I teraz każdy kolejny dzień zdawał się dłuższy niż Wszystkie poprzednie razem wzięte.

Przez tyle lat cały mój świat obracał się wokół Pabla i teraz ciężko było znaleźć jakiś punkt oparcia. Myślałem o nim cały czas. W bezsenne noce wspominałem wspólne dzieciństwo, nasze brawurowe ucieczki i cudowne czasy w Nápoles. Wspominałem ojca i nasze życie na jego farmie, kiedy miałem siedem lat. Bywało, że Pablo objawiał mi się jak żywy i toczyłem z nim długie rozmowy.

- Pamiętasz, co robiliśmy? - pytałem, mówiąc, jak bardzo mi go brakuje i że cały czas modlą się za niego. „Zostań z Bogiem, bracie”.

Cały czas miałem wrażenie, że Pablo jest ze mną, że mi towarzyszy jak zawsze.

Przez pierwsze tygodnie po jego odejściu byłem zbyt przybity i przygnębiony, by zastanawiać się nad własną sytuacją, za dni -- jak powiadam - dłużyły się bez końca. Osiemnastego grudnia poszedłem do Więziennej kaplicy, żeby pomodlić się za brata, a potem wdałem się w rozmowę z księdzem.

- Panie Escobar, muszę panu coś szczerze powiedzieć. Otóż przyśnił mi się pański brat i we śnie powiedział mi, żebym obstawił numer dwadzieścia jeden w loterii, w której losowano motocykl. Tak też zrobiłem i... wygrałem!

Losów było sto, ale wygrana księdza wywarła na mnie wrażenie, przede wszystkim dlatego, że w moim przekonaniu dwadzieścia jeden nie było przypadkową liczbą. Fabio urodził się pierwszego grudnia, a zginął drugiego.

Myślałem o tym także, wracając do celi, Po drodze zatrzymał mnie strażnik.

- Panic Escobar, dostał pan pismo od prokuratora.

- I gdzie jest?

- Tam może je pan przeczytać - strażnik wskazał niewielkie

pomieszczenie obok.

Wszedłem do środka. Strażnik wręczył mi kopertę ze znakami INPEC - zarządu zakładów karnych - oraz pieczętką więziennej cenzury. Ze względów bezpieczeństwa nigdy sam nie otwierałem poczty adresowanej do mnie - najmowałem do tego ludzi. Tym razem jednak byłem święcie przekonany, że chodzi o odpowiedź na mój wniosek o apelację. Wziąłem więc kopertę do ręki. Zdawała mi się jakaś ciężka i przez chwilę ważyłem ją w dłoni, ale zaraz rozerwałem. Kątem oka zdążyłem jeszcze dostrzec jakiś zielony drucik. Być może przemknęło mi jeszcze przez myśl, że w środku jest bomba, ale nie jestem pewien. Nastąpił wybuch i nic już nie pamiętałem.

Ładunek eksplodował mi prosto w twarz. Straciłem wzrok. Wybuch był tak potężny, że rzuciło mną o sufit. Głową wybiłem kilka kafelków pokrywających sklepienie. Nic nie widziałem, tylko przerażającą ciemność. Czuję woń krwi. Boże jedyny - myślałem - nie pozwól mi umierać.

Nikt nie pośpieszył mi na pomoc. Zacząłem czołgać się do drzwi. Gdy jednak spróbowałem wstać, wspierając się prawą ręką, zorientowałem się, że dłoń też jest w fatalnym stanie. Skóra z palców schodziła jak skórka z banana. Wybuch zerwał wszystkie paznokcie. Ale wiedziałem, że muszę walczyć o życie, i znów, z największymi trudem, zacząłem się czołgać. I wtedy usłyszałem, że ktoś wykrzykuje moje imię - Roberto, Roberto. Głos jednak dobiegał jakby z oddali. Później mówiono mi, że wybuch uszkodził instalację elektryczną i zgasło światło. Nie wykluczam jednak, że ktoś mógł je celowo wyłączyć, aby utrudnić ratowanie mnie. W każdym razie przez dłuższą chwilę leżałem sam, w końcu jednak ktoś się zjawił. Zawleczono mnie do jakiegoś innego pomieszczenia i tam zostawiono nadal bez pomocy. Sądzę, że czekano, że umrę. Trwało to dobrych kilka godzin. Rankiem tego samego dnia miałem wizytę zaprzyjaźnionego lekarza. Zwierzyłem mu się, że zamierzam na nowo wziąć się do badań nad AIDS, za co mnie bardzo pochwalił, i właśnie teraz, po kilku godzinach, ten sam doktor zaczął mnie opatrywać. Oczyszczył rany, zaaplikował jakiś środek przeciwbólowy, bo bolało mnie wszystko. Do szpitala trafiłem dopiero po trzech długich godzinach. Poprosiłem o lusterko, nic jednak nie byłem w stanie zobaczyć i niewiele słyszałem - wybuch uszkodził mi także słuch. Ale zajęto się mną, wkrótce też zjawiła się mama z rodziną, ale kazałem im wyjść, lękając się o ich bezpieczeństwo. Nie chcieli mnie słuchać.

- Jak masz umrzeć, to my z tobą - powiedziała mama.

Lekarze dawali niewielką nadzieję. Po badaniu powiedzieli rodzinie, że nie odzyskam już wzroku. Gałki oczne miałem ponoć czarne jak rodzyunki.

- Nie ma wyjścia, trzeba amputować gałki. Nie da się ich uratować, a w tym stanie, w jakim są, może wdać się infekcja - orzekli.

Twarz i ręce miałem poparzone, nos połamany, małżowiny uszne naderwane i mnóstwo odłamków w całym ciele.

Mama nie wyraziła zgody na wyjęcie gałek ocznych. Mówiła, że pójdzie na koniec świata, ale znajdzie kogoś, kto mi pomoże. Rzeczywiście z miejsca zaczęła szukać specjalistów, i tak trafiła do doktora Hugo Péreza Villarreala, lekarza wojskowego, który w swojej klinice leczył żołnierzy rannych w starciach z partyzantami. Zgodził się zająć moim przypadkiem, ale też nie dawał większych nadziei na wyleczenie.

Dwa czy trzy dni później zabrano mnie do Bogoty na pierwszą z dwudziestu dwóch - jak się miało okazać - operacji. Taki był początek najokropniejszych lat w całym moim życiu.

Nigdy nie ustalono, kto przysłał list z ładunkiem wybuchowym. Siedziałem w więzieniu o superrygorze, najpilniej strzeżonym. Żeby wejść do środka, trzeba było przejść przez pięć posterunków kontrolnych, każdy z inną załogą - jeden z wojskiem, inny z policją, jeszcze inny obsadzony przez funkcjonariuszy DAS. Przy każdym posterunku stała bramka pirotechniczna i aparatura prześwietlająca, cały teren monitorowała telewizja. Dalej przechodziło się przez liczne kuloodporne bramy i drzwi. I mimo tych wszystkich zabezpieczeń ktoś wniósł do środka kopertę z ładunkiem wybuchowym. A kto? No cóż, władze były tak skorumpowane, że mógł to zrobić każdy. Wrogów mieliśmy licznych i wielu dybało na moje życie.

Nie było dla mnie ani nadziei, ani przyszłości. W więzieniu, jak się okazało, wrogowie mieli mnie jak na widelcu. Brata, który mógłby ewentualnie zapewnić mi ochronę, nic było wśród żywych. Sam byłem bezradny. Pamiętam, że prezydent Gaviria miał gwarantować moje bezpieczeństwo, ale - jak widać - skończyło się na słowach. W grudniu 1994 roku Kolumbia przyjmowała byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych George`a H. W. Busha. Chciano, aby wyjechał pod wrażeniem skuteczności naszego wymiaru sprawiedliwości, i skazano mnie na karę pięćdziesięciu ośmiu lat pozbawienia wolności; choć nasze kodeksy stanowią, że maksymalny wymiar kary nie może przekraczać trzydziestu lat więzienia. Dwadzieścia osiem lat różnicy to dla tych, co podejmowali taką decyzję,

bagatela, dla mnie to więcej niż dożywocie. Walczyłem jak lew o skrócenie wyroku i po dłuższych targach orzeczono najpierw dwadzieścia dwa lata więzienia, a po kolejnych rozmowach wyrok złagodzone do czternastu lat i ośmiu miesięcy.

Wiele z tych długich lat wyryło się w mojej pamięci, choć wolałbym ich nie pamiętać. Dwa miesiące po pierwszej operacji lekarze zaordynowali przeszczep rogówki. Moje nadzieje znów odżyły. Zabieg jednak się nie powiódł. głównie dlatego, że zaraz po operacji zawleczono mnie znów do celi, choć powinienem był zostać w szpitalu na co najmniej miesiąc rehabilitacji. W więzieniu z kolei stałe brakowało dla mnie stosownych kropli. Ale odzyskanej nadziei nie traciłem. Wiedziałem, że muszę żyć nie tyle dla siebie, ile dla rodziny. Rodzina zawsze polegała na moim bracie, a teraz, gdy Pabla zabrakło, cała odpowiedzialność spadła na moje barki.

Cierpiałem strasznie. Po pierwszym zabiegu przeszczepienia rogówki pielęgniarka świadomie albo przez niechłujstwo wkropiła mi alkohol do oka. Bólu nie da się opisać żadnymi słowami. Bywały dni, gdy czułem, że dłużej nie wytrzymam, że to już koniec, i wcale mnie to nie przerażało, przeciwnie - wyczekiwałem śmierci jak zbawienia. Gdy wieziono mnie do więzienia po drugiej operacji, strażnicy upuścili nosze na ziemię. Zaległem jak martwy, bojąc się, że najmniejszy ruch może zniszczyć przeszczep. Władze tymczasem czyniły wszystko, żeby mnie zdruzgotać nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. Wspominałem już, że po targach złagodzone mi wyrok do czternastu lat i ośmiu miesięcy, ale to okazało się dla władz za mało. Pamiętam, że dzień przed przybyciem Busha dostałem oficjalne pismo. Odczytał mi je strażnik. Informowano mnie, że nie ma mowy nie tylko o złagodzeniu wyroku, ale w ogóle o niczym - ani o karze śmierci na krześle elektrycznym, ani - tym bardziej - o wypuszczeniu mnie na wolność. Żadnej nadziei, mam gnić za kratami do końca swoich dni.

Poza nadzieją nic już nie miałem, ale i jej zostałem pozbawiony. Do stracenia nie miałem więc już nic i dlatego nie chciałem się poddać. Tymczasem stale wożono mnie z więzienia w Medellín do szpitala w Bogocie. Każda podróż była niebezpieczna. Dla moich wrogów mało było, że oślepiłem i stałem się kaleką. Pragnęli mojej śmierci. Strzegła mnie wtedy nie policja, ale wojsko, co nie stanowiło właściwie żadnej różnicy. Po Robercie Escobarze i tak nikt nie będzie płakał. Wrogowie szukali tylko okazji, aby mnie uśmiercić. Na przykład kucharz w szpitalu przyznał, że oferowana mu

sto tysięcy dolarów za dosypanie trucizny do mojej porcji.

Trzech rzeczy lękałem się w życiu najbardziej: operacji, więzienia i okularów (jako sportowiec byłem ogromnie dumny ze swojego wzroku), i oto dotknęły mnie wszystkie trzy nieszczęścia. Jestem głęboko wdzięczny moim lekarzom, doktorowi Juanowi Bernardo i doktorowi Lulu - chirurgom plastycznym. To właśnie oni dokonali cudu, rekonstruując mi dłonie, palce, paznokcie i twarz, i zrobili to doskonale.

Trzymano mnie w więzieniu na specjalnym oddziale, w którym osadzano również partyzantów. Nie było wśród nich dowódców, ale było wiele ważnych osób. Sporo im zawdzięczam. W istocie przeżyłem dzięki nim. Pomagali mi się ubierać, robili nawet zastrzyki. No i oczywiście czuwała nade mną moja wspaniała mama, kobieta naprawdę nadzwyczajna.

Wiem, że oddałaby za mnie życie. Kiedy wyszła na jaw próba otrucia mnie w szpitalu, zażądałem, aby przynoszono mi jedzenie z zewnątrz.

- Nie martw się, synku - powiedziała marna. - Właśnie przyniosłam i sama spróbowałam. Możesz jeść spokojnie.

Zezłościłem się. Przecież mama miała nie tylko mnie na głowie, ale całą naszą rodzinę. Nie powinna była ryzykować.

- Mam już swoje lata i dobiegam kresu. Nie chciałabym przeżywać śmierci drugiego syna - odpowiedziała. Właśnie dla mnie zaryzykowała własne życie.

Nie ten jeden raz próbowano pozbawić mnie życia. Pamiętam, kiedyś siedziałem na werandzie z jednym z partyzantów, kiedy usłyszałem głuchy odgłos. W ścianę obok mnie trafiła kula. Huku nie słyszałem, widać strzelano z broni z tłumikiem. Mój towarzysz pchnął mnie na ziemię. Strażnika, który oddał strzał, nie schwytano. Wątpię, czy w ogóle wdrożono jakieś śledztwo. Dowiedziałem się później, że strażnika przekupili wrogowie Pabla.

Zdarzały się też noce pełne trwogi. Dwa dni po kolejnej operacji w szpitalu wojskowym w Bogocie leżałem w swoim pokoju. O siódmej wieczorem wszyscy odwiedzający powinni opuścić szpital. Łatwo się domyślić, że za łapówkę ktoś, kto chciał zostać, nie miał z tym problemu. U mnie też był ktoś z rodziny i właśnie wyszedł przynieść coś do jedzenia. Leżałem więc sam w pokoju. Pograżony w ciemności, bo przecież nic nie widziałem, słuchałem radia.

I wtedy rozległ się strzał. Przeszedł mnie dreszcz. Strażnik na korytarzu krzyczał wniebogłoso, zrozumiałem, że znów ktoś próbuje mnie zabić.

Wyrwałem kable monitorujące i kroplówkę z żyły, zwlokłem się z łóżka i opierając się o ścianę, po omacku doszedłem do łazienki. W napięciu, bo lada chwila ktoś mógł znów strzelić, odszukałem drzwi, wślizgnąłem się do środka, przekręciłem klucz w zamku. Przyłgnałem do podłogi i czekałem.

Po jakiejś chwili usłyszałem głos.

- Rany boskie, Roberta też zabili!

Zawołałem, że jestem w łazience.

- Bogu niech będą dzięki - usłyszałem westchnienie ulgi.

Jak się później dowiedziałem, tuż przy mojej sali dwóch młodych wartowników grało sobie w karty. Jeden ni stąd, ni zowąd wyciągnął pistolet, przyłożył sobie do krtani.

- Jak złapie jakiegoś skurwysyńskiego partyzanta, to tak go właśnie załatwię - powiedział żartem i - pewnie przez nieuwagę - pociągnął za spust. Zginął na miejscu.

Tymczasem ja strasznie krwawiłem po wyrwaniu kroplówek i strażnicy, widząc krew, pomyśleli, że mnie też zabito.

Problem polegał na tym, że tego typu incydenty zdarzały się zbyt często. Nie brakowało ludzi, którzy uważali, że skoro nie chroni mnie już tarcza Pabla Escobara, mogą mnie bezkarnie wyeliminować. Władze, poczuwając się do winy za rany, jakie odniosłem w wyniku wybuchu bomby, zgodziły się wreszcie, żebym resztę wyroku odbywał w szpitalu. I tak od roku 1994 do 2001 przebywałem w klinice.

Mogę opowiedzieć o jeszcze jednym incydencie. Pamiętam podróż do Bogoty na trzeci przeszczep rogówki. Transportowano mnie prywatnym samolotem. Lądowaliśmy w stolicy o siódmej wieczorem. Zgodnie z umową na lotnisku miała czekać eskorta wojskowa z karetką, żeby dowieźć mnie do kliniki. Ale lotnisko było jak wymarłe. Nikt nie czekał. Na pokładzie było nas sześcioro: pilot, drugi pilot, dwóch strażników, moja mama i ja. Piloci z jednym ze strażników poszli do telefonu, żeby dowiedzieć się, co się stało. Byłem kompletnie ociemniały, na przeszczep nie wolno było dłużej czekać - rogówka gniła, gałka oczna kurczyła się, ratowano mnie... gazem pozyskiwanym z koguciego grzebienia. Opiekował się mną doktor Hugo Pérez Villarreal, chirurg o jedwabnych rękach. Tymczasem siedziałem w samolocie razem z mamą, a na fotelu przed nami strażnik z nudów chyba bawił się bronią i nagle pistolet wypalił. Kula o milimetry minęła zbiornik z paliwem. Mama pchnęła mnie na podłogę i osłoniła własnym ciałem. Po

chwili to samo zrobił strażnik osłupiały tym, co się stało.

Tymczasem ów przypadkowy strzał uratował mi chyba życie. Myślę, że specjalnie nikt na mnie nie czekał na płycie lotniska i również celowo zostawiono mnie praktycznie samego. Chciano stworzyć dogodną okazję do zamachu. Tymczasem strzał zaalarmował lotniskową służbę bezpieczeństwa i natychmiast przybyło kilku funkcjonariuszy. Zobaczyli, że leżę na podłodze, a matka osłania mnie własnym ciałem. Usłyszałem, że meldują przez radio, doszło do próby zamachu na moją osobę.

Rychło przyjechała szpitalna karetka. Zawieziono mnie do kliniki wojskowej, gdzie miałem przejść kolejną operację. Pięć dni po przeszczepie, kiedy poczułem się nieco lepiej, zjawiała się pielęgniarka, żeby mnie obmyć. Pamiętam, jak zamknęła starannie drzwi i szeptem zaczęła mówić, że wiele zawdzięcza mojemu bratu - Pablo podarował dom jej matce. Jednocześnie, dygocąc ze strachu, powiedziała mi, że próbowano ją namówić, żeby wstrzyknęła mi jakąś śmiertelną substancję.

Tej nocy ksiądz, który stale mi towarzyszył, powiedział tak: „Roberto, czeka cię jeszcze wiele cierpień, ale przeżyjesz, a ja zawsze będę przy tobie”.

W 1995 roku zawarłem układ z władzami. Na jego mocy, dla mojego bezpieczeństwa, oddano do mojej wyłącznej dyspozycji całe piętro w szpitalu w Medellín. Strzegło mnie dwunastu funkcjonariuszy - sześciu ze służby bezpieczeństwa i sześciu wojskowych, a obok nich sześciu moich osobistych ochroniarzy. Tak więc przez całą dobę na okrągło osiemnastu ludzi czuwało nad moim bezpieczeństwem. Piętro liczyło czternaście sal. Za wyłączność płaciłem tysiąc czterysta dolarów dziennie. No cóż, bezpieczeństwo nie ma ceny, a poza tym raz po raz poddawane mnie kolejnym zabiegom.

Tymczasem uświadamiałem sobie coraz wyraźniej, że nie ma innego wyjścia jak zawrzeć pokój z wrogami. Wojna się skończyła, Pablo zginął, także Gustava i Gachy nie było już wśród żywych. Bracia Ochoa siedzieli w więzieniu, a kartel z Medellín należał do historii. Niemniej wrogowie nadal zasadzali się na naszą rodzinę. Rozumowałem tak - życie w ciągłym lęku nie ma żadnego sensu. Ja sam mogę zginąć, ale chodzi o życie mamy, moich dzieci i dzieci Pabla. Starłem się więc usilnie nawiązać kontakt z szefami z Cali. Słałem listy za pośrednictwem mojego adwokata Enrique Mancedy, rozmawiałem z ludźmi mającymi stosowne kontakty. Ale druga strona nie reagowała.

Enrique Manceda był jednym z tych prawników, którzy z wojny z Cali

wyszli cało. W czasie, o którym teraz piszę, mieszkał na jednej z Farm nadal jeszcze stanowiących własność naszej rodziny. Przebywał tam oczywiście pod ochroną, bo stale groziło niebezpieczeństwo ze strony Los Pepes. Do telefonów nie miałem zaufania, więc wysłałem mu faks: „Czy miałby pan odwagę stanąć oko w oko z kartelem z Cali?”.

„Też mam rodzinę. Jestem tu na farmie od ponad sześciu miesięcy. Stanę oko w oko z Cali. Jeśli mają mnie zabić, to chcę na to patrzeć” - odpowiedział.

Dzielny, odważny człowiek! Pojechał do Cali, biorąc za świadka i towarzysza pewnego znanego dziennikarza sportowego. W eleganckiej restauracji spotkali się z prawnikiem kartelu z Cali. I pomyśleć tylko - tyle lat, w czasie których Cali i Medellín zmieniały świat, toczyły ze sobą wojny, zarobiły i wydały miliardy dolarów, i oto dwaj prawnicy zasiadają naprzeciw siebie w eleganckiej restauracji, żeby napisać ostatni rozdział historii.

Adwokat Cali - Vladimir - na razie tylko słuchał, zapowiadając, że postara się wszystko przekazać szefom. zaproponował kolejne spotkanie za tydzień.

Ze swej strony, żeby podkreślić wagę sprawy, zasugerowałem, żeby w spotkaniu wziął udział mój syn Nicholas. Kiedy rzecz dotarła do 'mamy, oświadczyła ona stanowczo, że jeśli Nico ma jechać, to ona też. Życie z wyrokiem śmierci to nie życie. Trzeba sprawę załatwić raz na zawsze - powiedziała. Kiedy mama raz coś postanowiła, to nie było przebacz. Nikt nie zdołałby jej zawrócić z wybranej drogi. Mój syn i mama zajmowali wysokie, jeśli nie pierwsze miejsca na liście celów kartelu z Cali. Nasze przesłanie nie mogło być bardziej oczywiste: dość już wzajemnych mordów.

Jakież było zdumienie w Cali na widok mamy! Ale doszło do spotkania z braćmi Orejuela, z José Santacruzem i Spatchem. Zareagowali chłodno, tylko ten ostatni zdawał się przychylić do ewentualnego rozejmu. Mama nie okazywała strachu, przeciwnie, śmiało stawiała sprawy. „Co się stało, to się nie odstanie, ale zginęło już zbyt dużo ludzi. Nie chcemy więcej ofiar. Roberto jest poważnie chory. Podrzuciono mu list z ładunkiem wybuchowym i ledwie wyżył” - mówiła, niczego nie ukrywając.

„Macie dwa wyjścia - albo powiecie w porządku, niech będzie pokój, albo zabijcie mnie tu i teraz, bo oto jestem. i jest ze mną moi wnuk Nico, syn Roberta. A więc albo albo. Nasza śmierć albo pokój”.

Kartel z Cali też miał powody, by poważnie myśleć o pokoju. Niektórzy

szczerze przyznawali wobec mojej mamy, że nie powinni byli iść na współpracę z władzami, nie powinni byli przekazywać informacji, które ułatwiły wytropienie Pabla, bo łatwiej było, gdy świat tylko jego obwinił o cały handel narkotykami.

- Zrobiliście wielki błąd - powiedziała mama. - Pablo chciał położyć kres ustawie o ekstradycji, a to leżało w interesie wszystkich. Chciał w tym kierunku wpływać na władze.

- Tak, to nie było rozsądne - odpowiedział Santacruz. - Teraz, gdy Pabla nie ma, o wszystko, co się dzieje w kraju, obwiniają nas. DAS zaczyna się do nas dobierać.

Święte słowa. Gdy Medellín przeszło do historii, władze skoncentrowały się na Cali. Wyznaczyły nagrody za głowy szefów. Musieli się kryć, a w takich warunkach trudno nawet myśleć o zemście. Sprawę podsumował Spatcho.

- Mam dla pani wiele szacunku, *señora*. Też mam matkę i wiem, jak się o mnie martwi. Koniec z wojną. Daję pani na to moje słowo. Kto wie - dodał, zwracając się do pozostałych - czy nie powinniśmy byli zrobić tego znacznie wcześniej.

Zakończono uściskami i pocałunkami jak w kinie. całe spotkanie trwale ledwie pół godziny. I tak oto wojna z Cali dobiegła kresu. Dwa tygodnie później dostałem list od jednego z przywódców Cali z żądaniem dwóch milionów dolarów tytułem „przypieczętowania porozumienia”. Zezłościłem się. Nie było przecież o tym mowy. Wysmażyłem odpowiedź: „A więc łamiecie słowo. Obiecywaliście pokój, a teraz żądacie pieniędzy. Chcę, żeby dwie sprawy postawić jasno: po pierwsze - nie dam ani Centa, a po wtóre, jeśli chcecie dalej prowadzić wojnę, to proszę bardzo - wymordujcie nas wszystkich. My walczyć nie zamierzamy”. List ten przekazałem pewnemu członkowi kartelu z Medellín w więzieniu z surowym przykazaniem, żeby nie podejmował walki. Spatcho pogadał z nim i załatwił sprawę. Potem zadzwonił do mnie do kliniki z wieścią, że wszystko jest w porządku.

Spatcho miał rację, twierdząc, że po śmierci Pabla władze wezmą się za ich kartel. Czwartego lipca 1995 roku, a więc dwa lata później, José „Chepe” Santacruz Londoño, jeden z trzech przywódców Cali, znalazł się pod kluczem. W styczniu 1996 roku zbiegł z więzienia w Bogocie, w marcu zabito go w Medellín.

Policja od początku próbowała zrzucić odpowiedzialność za śmierć

Chepe na Medellín. Oczywiście nie była to prawda, ale pomówienie niosło ze sobą groźbę - pokój był bardzo kruchy. Jedną z pierwszych osób, które dowiedziały się o śmierci Chepe, był Nico. Ktoś mu o tym doniósł, a Nico ze swej strony potwierdził wiadomość w zaprzyjaźnionej gazecie. Zaraz też zadzwonił do Cali - właśnie od mojego syna żona Santacruza dowiedziała się o tragedii. Powstał pewien problem, otóż Cali nie mogło ot tak sobie przysłać kogokolwiek po ciało, bo w dalszym ciągu było to zbyt niebezpieczne - po latach wojny pozostała wzajemna nienawiść. W tej sytuacji Nico postanowił, że osobiście dostarczy ciało Chepe do Cali. Uznał, że będzie to wspaniały gest i manifestacja dobrej woli z naszej strony. Gest ten jednak wymagał niemało odwagi, bo - jak powiadam - wielkie były pokłady nienawiści.

W Medellín mieliśmy pewną kobietę, która od lat zajmowała się przygotowywaniem ciał naszych współpracowników do pogrzebu. Zrobiła na tym zresztą wcale niezły majątek idący w setki tysięcy dolarów. Nico zwrócił się do niej z prośbą, żeby zajęła się Santacruzem.

- Nie wielkiego, ale chcemy sprawę załatwić dyskretnie - powiedział.

Opierała się.

- Dlaczego? - pytała. - Przecież to wasz największy wróg.

Lękała się, że wieść o nici dotrze do Cali i że ludzie stamtąd przyjadą z bronią w rękę.

Nico przekonał ją jednak, że nic jej nie grozi, i w końcu zgodziła się, żeby przywieźć ciało. Powstał wszelako problem trumny. Chepe był wyjątkowo roslym mężczyzną. Kobieta owszem, miała na składzie odpowiednio dużą trumnę, ale bardzo kosztowną. Nico oświadczył, że nie ma sprawy, że kupuje. Wyłożył żadaną sumę, jakby chodziło o kogoś z rodziny.

Co do mnie, to pochwaląłem zamysł. Wojnę należało zakończyć, a plan Nica znakomicie temu służył.

Syn opowiadał mi później, co czuł, gdy zobaczył ciało. Nawiasem mówiąc, ciała Pabla nie widział, bo w tamtym czasie był za granicą.

- Dziwne uczucie - zwierzał mi się. - Pamiętałem o wszystkich okropieństwach, jakie nam wyrządzili, gdy jednak zobaczyłem ciało Chepe, ogarnął mnie wielki smutek. Taki potężny kiedyś człowiek, taki bogaty, zawsze w licznym otoczeniu, a tu leżał sam jak palec. Rozpłakałem się.

Powstał kolejny problem z ubraniem zwłok.

- Człowiek z zakładu pogrzebowego - opowiadał mi później Nico - powiedział, że potrzebne jest jakieś ubranie, bo to, co Chepe miał na sobie w

chwili śmierci, nie nadaje się do niczego. Miał zresztą tylko dzinsy i podkoszulek. Wszystko podarte i pokrwawione, a butów nie miał wcale. Była trzecia rano. Gdzie o tej porze można kupić ubranie, a w dodatku na tak roślego chłopca? Ja też nie jestem ułomkiem, więc przyszło mi na myśl, że wezmę coś z własnej garderoby. Zrazu myślałem o jakichś spodniach i koszuli, potem jednak wpadłem na inny pomysł. Przypomniałem sobie swój strój weselny - jeden raz w życiu wystąpiłem w krawacie, właśnie na własnym ślubie. Wyciągnąłem tamto ubranie - marynarkę smokingową wyprasowałem własnoręcznie - i zaniósłem do zakładu pogrzebowego. Pasowało jak ulał. Chepe pojedzie do domu w moim smokingu! O czwartej trzydzieści nad ranem - mówił dalej Nico - do zakładu pogrzebowego przybyła nieznana, niezwykle piękna kobieta. Cała we łzach, szlochała, że musi zobaczyć Chepe. Nie wierzyła, że zginął. Mówiła, że Chepe zawdzięcza wszystko, że wspomagał jej rodzinę, a jej samej opiacie szkołę. Kiedy wpuściłem ją do środka, zaczęła rozpaczać jeszcze bardziej. Całowała zwłoki, błagała, żeby Chepe nie zostawiał jej samej. Przyłgnęła do ciała w trumnie, krzycząc, że nikomu go nie odda.

A dlaczego Chepe krył się w Medellín? No cóż, podejrzewam, że przybył specjalnie na spotkanie z ową piękną nieznajomą.

Powstał tymczasem kolejny problem - jak przetransportować zwłoki do Cali? Nikt w całym Medellín nic chciał nam wynająć samolotu z obawy przed zemstą ze strony Cali. W końcu jednak udało się, za ogromne pieniądze i pod warunkiem, że Nico osobiście przekaze ciało Santacruza jego małżonce.

Zaczęło świtać. Do zakładu pogrzebowego zaczęli zjeżdżać dziennikarze. Nikt jednak nie wiedział jeszcze, że pogrzebem naszego najbardziej znienawidzonego wroga zajmuje się Nico, który zresztą starał się nie zwracać na siebie uwagi. Dla bezpieczeństwa i dla zmylenia dziennikarzy Nico wynajął aż cztery limuzyny-karawany. Do każdej kazał wsunąć trumnę. Kiedy dwa z tych samochodów ruszyły spod domu pogrzebowego, korowód dziennikarzy pociągnął za nimi. Trafili donikąd, bo samochody zaczęły krążyć po mieście. Nico tymczasem ukrył się w jednym z pozostałych wozów - położył się obok trumny z ciałem Chepe i kazał się wieźć prosto na lotnisko. Przy bramie policja oczywiście zatrzymała auto, żeby - zgodnie z procedurą - sprawdzić ładunek. Policjanci dostali niemal zawału na widok Nicholasa Escobara. Policja naturalnie zaraz dała znać dziennikarzom, zrobił

się chaos. Urzędnicy nie chcieli wpuścić Nica do samolotu i jak zawsze ulegli, gdy Nico odpowiednio posmarował.

Lot do Cali, choć krótki, też nie obył się bez przygód. Jakiś liniowy samolot podleciał zbyt blisko i awionetka wpadła w turbulencje. Nico z wisielczym humorem pomyślał sobie, jaka byłaby to sensacja, gdyby miał zginąć, siedząc przy trumnie Chepe Santacruza. Ale wylądowali szczęśliwie. Na lotnisku w Cali zgromadził się tłum dziennikarzy. Nico rozglądał się za małżonką Chepe, ale nie było jej w zasięgu wzroku. Wtedy podszedł do niego jakiś taksówkarz.

- Przyszyła mnie pewna dama. Proszę za mną.

Tak oto ciało Chepe wróciło do rodziny, a pokój między Medellín a Cali został przypieczętowany.

Nico z mamą doprowadzili również do zakończenia wojny z Los Pepes. Po śmierci Pabla Los Pepes działali dalej, przekształcili się nawet w prawdziwe wojsko. Nico mieszkał w pięknym apartamencie w Medellín. Nawiasem mówiąc, apartament ten został później zarekwirowany przez władze, choć mój syn nie miał przecież nic wspólnego z nielegalnymi interesami. Otóż któregoś dnia do tegoż apartamentu zadzwonił ktoś z informacją, że szykuje się porwanie syna sąsiada mojego syna. Nico z miejsca poszedł ostrzec owego sąsiada. Ten z kolei podzielił się tą informacją z trzecią osobą, a ta udała się do samego Carlosa Castaño - założyciela Los Pepes, a wcześniej współpracownika Medellín - i jak w głuchym telefonie oświadczyła, że „Nico zamierza uprowadzić tego i tego”. Kilka dni później Carlos zadzwonił do Nica.

- Muszę z tobą porozmawiać.

Nico z Carlosem znali się od lat, umówili się, ale kiedy mama dowiedziała się o zamierzonym spotkaniu, oświadczyła, że pójdzie razem z wnukiem. Nico wziął jeszcze ze sobą owego sąsiada, którego ostrzegł na samym początku.

Do spotkania doszło na farmie Carlosa w Monterí.

- Nie jestem kidnapierem - oświadczył Nico. - W ogóle nie wierzę w takie działania. Wuj nie żyje, a my chcemy tylko spokoju i pokoju.

Na dowód, że nie planował żadnego porwania, Nico odwołał się do sąsiada, którego przywiózł ze sobą.

Tak więc sprawa została wyjaśniona, a wtedy moja mama oświadczyła, że chciałaby porozmawiać z Carlosem. Ten wyraził zgodę, ale - powiedział -

życzy sobie, aby najpierw Nico rozegrał z nim partię w bilard. Wiedział, że Nico uchodzi w Medellín za mistrza w tej dziedzinie, pragnął więc się z nim zmierzyć.

Rozegrali dwie partie, obie wygrał Nico. Wtedy Carlos usiadł do rozmowy z Hermildą.

Zwróciła się do niego jak do syna, mówiąc łagodnym głosem:

- Nawet sobie nie wyobrazasz, ile przecierpiałam przez tę wojnę, a ja z kolei nie wyobrażam sobie bólu twojej matki. Proszę cię, zacznijmy żyć normalnie, jak ludzie. - Łzy cisnęły jej się do oczu, ale starała się panować nad sobą.

Carlos zgodził się. Wspólnie odmówili modlitwę, po czym moja mama ucałowała go w policzek. Uściskała człowieka, który walnie przyczynił się do śmierci jej syna! Wybaczyła mu i zaufała, uwierzyła, że Carlos też chce położyć kres wojnie.

Kartel z Medellín odszedł do lamusa historii. Nie ma już Pabla. Wrogowie zaczęli toczyć inne wojny, a ja zostałem w więzieniu sam, ociemniały i cały w ranach.

Trudno w więzieniu wypełnić czas, a puste godziny ciągną się w nieskończoność. jedynym moim zajęciem były rozmowy z prawnikami i - oczywiście - kuracja. Przeszedłem - jak już wspomniałem - ponad dwadzieścia operacji. Po którejś z nich otworzyłem oczy i po raz pierwszy zobaczyłem światło. Tylko, a może aż tyle. Co za wspaniałe uczucie, jakbym wreszcie stanął przy otwartym oknie. Rozróżniałem kształty, widziałem ruch. Ale - choć to dziwne - nie czułem szczególnego podniecenia. No cóż, tyle przeżyłem, że nic już mnie nie radowało ani nie smuciło. Nauczyłem się zachowywać spokój bez względu na okoliczności. Owszem, byłem szczęśliwy, że widzę, ale nie aż tak, jak ktoś mógłby sobie wyobrazić.

Tego samego dnia mój dziwny ksiądz znów objawił mi się we śnie. Był ze mną na dobre i złe, był zawsze, a dlaczego - tego nic wiem.

W więzieniu nauczyłem się alfabetu Braille'a. Odnowiłem wiedzę z zakresu elektroniki i zacząłem naprawiać radia, telewizory i odtwarzacze CD przynoszone przez strażników. Skonstruowałem nawet system sygnalizacji ulicznej zasilany z baterii. Naturalnie przy drobniejszych detalach musiano mi pomagać z uwagi na słaby wzrok, ale i tak mogę się pochwalić, że mój system sygnalizacji zdobył pierwszą nagrodę na więziennej wystawie.

Zająłem się także robieniem świec. W naszym systemie wymiaru

sprawiedliwości za naukę lub pracę w więzieniu można zyskać złagodzenie kary. Tak więc kazałem swoim ochroniarzom - Sanderowi i Germánowi, którzy byli dla mnie prawdziwymi aniołami Stróżami w szpitalu - kupić, co trzeba, do produkcji świec i zabrałem się do roboty. Lepienie czy odlewanie świec to żadna sztuka i rychło moi aniołowie stróże też zaczęli się tym bawić, a po nich wszyscy inni, łącznie z pielęgniarkami. Gotowe świece przekazywaliśmy do kościołów, stamtąd trafiały do biednych, a ci sprzedawali je za chleb i mleko. Nie wiedzieli, że świece wyszły spod rąk brata Pabla Escobara. Kilka zresztą proboszczowie zachowali sobie na pamiątkę.

W Kolumbii 8 grudnia każdego roku palimy świece na ulicach na znak zbliżającego się Bożego Narodzenia. Pamiętam, jak setki naszych świec zamigotały wokół kliniki. Trochę już widziałem, mogłem więc podziwiać wspaniały widok. I modliłem się.

W czasie pobytu w klinice z pomocą bakteriologa oraz doktora Juana Carlosa Tirada ze szpitalnego zespołu, z którym się zaprzyjaźniłem, nadal prowadziłem swoje badania nad AIDS. Wszyscy byli dla mnie bardzo mili.

Nie traciłem nadziei, że któregoś dnia wyjdę na wonność, że znów będę wolnym człowiekiem. Moi prawnicy toczyli spór z władzami, a tymczasem moja rodzina stała się liczniejsza. W czasie pobytu w więzieniu doczekałem się trojga nowych dzieci, dwóch córeczek i synka. A rzeka kokainy płynęła do Ameryki, jak płynęła wcześniej. Tylko już inni zbijali na tym majątek.

Pablo nie odszedł w zapomnienie. Stał się legendą - największym przestępcą w historii. W Kolumbii w rocznicę jego śmierci gromadzą się tysięczne tłumy. Idą później w pochodzie na cmentarz, by oddać mu cześć i modlić się za jego duszę. Nasza mama, aż do swojej śmierci, zasypiając, zawsze kładła na poduszce jedną z jego koszul. Nigdy nie wstydziała się syna, który jeszcze jako dziecko zapewniał ją: „Poczekaj, aż dorosnę, sprawie ci wszystko, czego chcesz”.

Nikt wszelako nie mógł sobie wtedy wyobrazić, jaką cenę przyjdzie zapłacić za spełnienie tego przyrzeczenia.

Odsiadywałem swój wyrok i stale myślałem o Pablo, ale o jego czasach wolałem nie myśleć. Nie dlatego, że siłą rzeczy były to bolesne wspomnienia, ale dlatego, że zawsze lepiej patrzeć do przodu, myśleć o przyszłości. Kiedy mój Wyrok dobiegał końca, wezwano mnie do sędziego.

- Panie Escobar - usłyszałem - wkrótce może pan wyjść na wolność,

trzeba więc, żebyśmy porozmawiali. Chcielibyśmy wreszcie usłyszeć, kogo we władzach pański brat przekupił, żeby zmienić konstytucję i znieść prawo o ekstradycji. Chcielibyśmy też wiedzieć, kogo pański brat miał w policji i wojsku.

W czasie gdy odsiadywałem wyrok, mnóstwo różnych ludzi składało mi wizyty. Z Nowego Jorku przyjechała specjalnie Cheryl Pollack - prokuratorka, która oskarżała La Kikę. Z DEA przybył Sam Trotman. Rozmawiałem z nimi wszystkimi, odpowiadałem na pytania na tyle, na ile potrafiłem. Nigdy jednak nie wymieniłem z nazwiska nikogo z tych, którzy pomagali mojemu bratu.

- Nie, proszę pana, tego zrobić nie mogę - oświadczyłem sędziemu.

Władze tymczasem za cenę współpracy zaproponowały mi bezpieczny azyl za granicą, Nie tylko mnie, ale i rodzinie.

Znów odmówiłem, wtedy zagrożone mi poważnymi konsekwencjami. I sędziemu, i prokuratorowi oświadczyłem stanowczo, że nie zdradzę żadnego z licznych generałów i pułkowników, żadnego sędziego, żadnego polityka, którzy sprzyjali mojemu bratu i innym udziałowcom kartelu z Medellín.

W tej sytuacji na dzień przed upływem wyroku w szpitalu zjawił się urzędnik z dwiema kopertami. W pierwszej znajdowało się oficjalne zawiadomienie o odbyciu przeze mnie kary i informacja, że nazajutrz mogę opuścić więzienie. Po tylu latach! Co za wspaniała nowina. Mama aż się rozpląkała i ucałowała mnie z radości. Nawet urzędnik uronił łzę.

Ale w drugiej kopercie znajdował się... akt oskarżenia. Zarzucano mi, że ponoć 18 sierpnia 1991 roku pozbawiłem wolności człowieka zadłużonego u mnie na jakąś sumę i że przetrzymywałem go, aż odzyskałem wierzytelność. Za czyn ten grozi mi kara od czterech do sześciu lat więzienia.

Mama zemdląa.

Akt oskarżenia był oczywiście zmanipulowany. Osiemnastego sierpnia 1991 roku siedziałem w Katedrze, a poza tym rzekome przestępstwo i tak już uległo przedawnieniu. A jednak postawiono mnie przed sądem. Nie od razu. Cztery lata trzymano mnie w areszcie. Kiedy wreszcie sprawa weszła na wokandę i przeczytano oficjalny akt oskarżenia, okazało się, że w istocie dotyczy... Pabla. A ja cóż? Ja jestem bratem Pabla Escobara - terrorysty, handlarza narkotyków, mordercy i człowieka winnego wielu innych przestępstw.

Oświadczyłem więc, że sądzić mnie można za to, czego sam się

dopuszciałem, a nie za nic innego.

- Stoję przed Wysokim Sądem, żeby odpowiedzieć za swoje czyny, nie mogę jednak ponosić konsekwencji za to, co uczynił mój brat. Apeluję więc do wymiaru sprawiedliwości Republiki Kolumbii: sądźcie Roberta Escobara, ale nie pociągajcie do odpowiedzialności brata Pabla Escobara za to, że jest jego bratem.

Prokurator upierał się jednak, żebym nadal siedział, ja zaś przedstawiałem dowody na swoją niewinność. Wreszcie w lutym 2004 roku wypuszczono mnie na wolność. Owszem, miałem do spłacenia ogromną grzywnę, odebrane mi majątek, ale byłem wolny.

W kwietniu 2008 roku otrzymałem z prokuratury zawiadomienie przyznające, że więziono mnie bezprawnie i że z tego tytułu przyznano mi czterdzieści tysięcy dolarów odszkodowania.

Dziś mieszkam na wsi i tak jak ojciec hoduję bydło. Mam też trochę ziemi. Wojna to odległa już przeszłość, a z tamtych czasów, kiedy Pablo zdawał się rządzić światem, niewiele mi zostało znajomości. Wielu znajomych nadal odsiaduje wyroki albo w Kolumbii, albo w Stanach Zjednoczonych. Nie wyjdą chyba nigdy. Ci zaś, co wyszli, rozpiechli się po świecie.

Z majątku Pabla zostało niewiele. Z drobiazgów, jakie miał w Katedrze, zwrócono mi parę rzeczy. Zwrócono mi także pewną liczbę rowerów wyścigowych z mojej własnej wytwórni. Owszem, siadam czasem na rower, ale L uwagi na słaby wzrok jeżdżę zawsze za autem, które mnie prowadzi. Sporo spaceruje dla zdrowia. Nie palę i nie piję. cały czas poświęcam rodzinie, a badania nad AIDS, które zresztą nadal prowadzę, przyniosły pewne owoce. Mam podstawy ufać, że wielu pacjentom ulżyły w cierpieniach. Pewne prace, jakie zapoczątkowałem, i pewne odkrycia, jakie poczyniłem, zostały też przejęte przez profesjonalne placówki badawcze.

Do Nápoles nie wróciłem już nigdy, a zresztą nic tam nie zostało - trochę ruin, w których zagnieździli się bezdomni. Z Pabla kolekcji zabytkowych samochodów też zostały już tylko rdzewiejące szkielety. Co dało się wymontować i zabrać, wymontowano i zabrano na pamiątkę po moim bracie. Przetrwały tylko nosorożce, a nawet rozmnożyły się, i spore ich stado mieszka sobie na wolności nad rzeką. Niektóre powędrowały nawet trzysta kilometrów w górę rzeki. W pewien sposób przypominają swego dawnego właściciela - są zbyt potężnie zbyt niebezpieczne, aby je schwytać i

okiełznać. Władze w istocie nie wiedzą, co z nimi zrobić.

Na koniec słowo o pieniądzach. Trudno ocenić, a nawet wyobrazić sobie, ile ich pozostaje w najprzeróżniejszych skrytkach. I pewnie nikt nigdy ich nie odkryje. Ci, co zawiadywali milionami, zginęli, nic mówiąc nikomu o ukrytych skarbach. Inni, po śmierci Pabla, zgarnęli, co się dało, i też znikli. Jestem pewien, że *caletas* pełne pieniędzy są wszędzie, nie tylko w Kolumbii, ale także w Nowym Jorku, Miami, Chicago, Los Angeles i wielu innych miastach, gdzie kartel z Medellín miał interesy. Jestem też pewien, że w licznych bankach istnieją konta, których numery zostały zagubione bądź zapomniane, więc nikt nigdy do nich nie sięgnie.

Są wreszcie pieniądze zakopane w najprzeróżniejszych miejscach.

Dla mnie sprawa jest zamknięta. Nadal odczuwam bóle. Boli mnie ciało po ranach odniesionych w zamachu, a wspomnienia uwierają duszę. Żyję na uboczu, mam niezbędną pomoc, a nade wszystko mam przekonanie, że mój brat, niezależnie od tego, co myślą ci, którzy go kochali, i ci, którzy darzyli go nienawiścią, zajął już trwale miejsce na kartach historii.

Podziękowania

Język i trudności natury logistycznej sprawiły, że książka ta nigdy nie powstałaby bez pomocy wielu życzliwych ludzi. Z oczywistych przyczyn niektórzy z nich prosili, by nie wymieniać ich nazwisk.

Te prośby uszanowaliśmy, ale też do nich przede wszystkim kierujemy słowa wdzięczności za nieocenioną pomoc.

Chcemy też w sposób szczególny podkreślić ogromny wkład pracy, jaki do naszego projektu wniósł Alex Orozco. Poświęcił nam dużo czasu, zarwał wiele nocy, a m połączenia telefoniczne związane z projektem musiał z pewnością zapłacić duży rachunek. Zasługą Michaela Planita jest złożenie w jedną sensowną i koherentną całość wielu skomplikowanych składowych. On też stworzył odpowiednią strukturę biznesową, dzięki której każdy mógł wnieść do projektu wkład na miarę swoich możliwości.

Nasz agent literacki- Ian Kleinert - pracujący najpierw z bardzo kompetentnym Frankiem Weimannem z Literary Group, a następnie nowo utworzoną Objective Entertainment, nie szczędził sił, aby polecić nas najodpowiedniejszemu wydawcy. Oddał nas w efekcie w ręce znakomitego redaktora Ricka Wolffa z Grand Publishing of America i Jacka Fogga z brytyjskiego wydawnictwa Hodder & Stoughton. Obaj czuwali nad nami cały czas, a gdy trzeba było, ponaglali.

Wśród tych, którym pragniemy publicznie wyrazić podziękowanie, wyrazy szczególnej wdzięczności kierujemy do niestrudzonej prokurator i szanowanej sędzi Cheryl Pollack, która podzieliła się z nami swoimi wspomnieniami i zapiskami, a także do agenta DEA Sama X. Trotmana, który kierował amerykańskim śledztwem w sprawie Pablo Escobara. Jego doświadczenia i odwaga mogą stać się kanwą odrębnej książki.

Dziękujemy też prawnikom z Florydy: Fredowi A. Schwartzowi oraz Alwinowi Entinowi, Guylaine Cote, Ronowi Cloosowi, Robertowi Zanklowi i Patowi Mitchellowi za ich wkład w powstanie tej książki, a Richardowi Cantonowi dziękujemy za osobiste przypowieści.

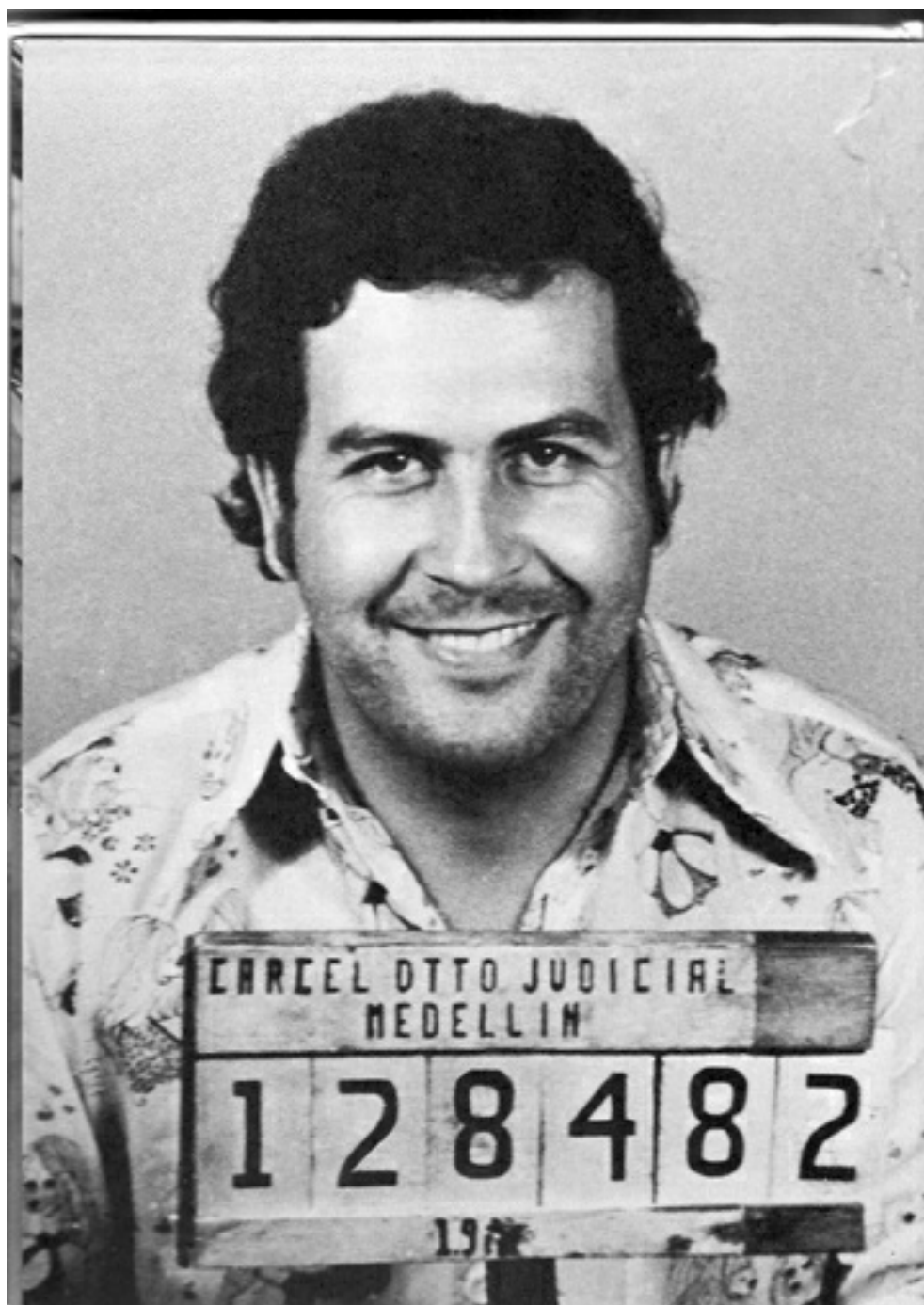
Chcemy też podziękować Jerry'emu Sternowi i Penny Farber za gościnę, a Geek Squad of Cross County Mall w Nowym Jorku za wybawienie z opresji.

Książki tej nie udałooby się ukończyć bez pomocy Tita Domingueza, który zawsze służył odpowiedziami na pytania, wyszukiwał nam rozmówców i pracował z nami jako tłumacz. Tito też ma o czym opowiadać - z niecierpliwością czekamy na film.

Praca w dwóch językach jest szczególnie trudna, nie wolno nam więc pominąć w podziękowaniach Suzanne Copitzky i jej zespołu z Karmen Executive Center w Seattle w stanie Waszyngton.

David Fisher pragnie wyrazić osobiste podziękowania Robertowi Escobarowi. To, czego się podjęliśmy, było niezwykle trudne, ale Roberto bardzo pragnął przedstawić tę historię. Jestem dumny, że dane mi było z nim pracować.

I jak zawsze David pragnie podziękować swojej pięknej małżonce Laurze, która sprawia, że każdy dzień jest słoneczny, oraz synom Beau Charlesowi i Taylorowi Jessemu.



Pablo - zdjęcie z kartoteki policyjnej



Roberto Escobar (pośrodku) i synowie: Jose Roberto (z lewej) oraz Nicholas (z prawej). Fotografia wykonana w więzieniu w Itagui w roku 1994.



„Wznoszę toast” - połowa lat osiemdziesiątych.



Pablo w najlepszym swoim okresie - przemawia na wiecu w czasie kampanii wyborczej.



W odróżnieniu od innych polityków Pablo zawsze dotrzymywał słowa - jeśli obiecał, że coś zbuduje, coś dostarczy, przysyłał ludzi, żeby słowa zamieniali w

czyn.



Pablo z niektórymi z naszych kuzynów



Przed świętami Bożego Narodzenia w 1996 roku, w czasie pobytu w szpitalu, produkowaliśmy świece dla biednych. Dzięki temu nieco złagodźono mój wyrok.



Pablo w dobrych czasach - na skuterze wodnym na jeziorze Penol.



Nasza siostra Marina na balu kostiumowym.



Kolumbia nie zapomniała o licznych dobrych uczynkach
mojego brata - parada wdzięczności za nowy stadion
piłkarski.



Pierwsza komunia mojej córki Laury. Po lewej - moja mama, a po prawej siostra Marina z mężem.



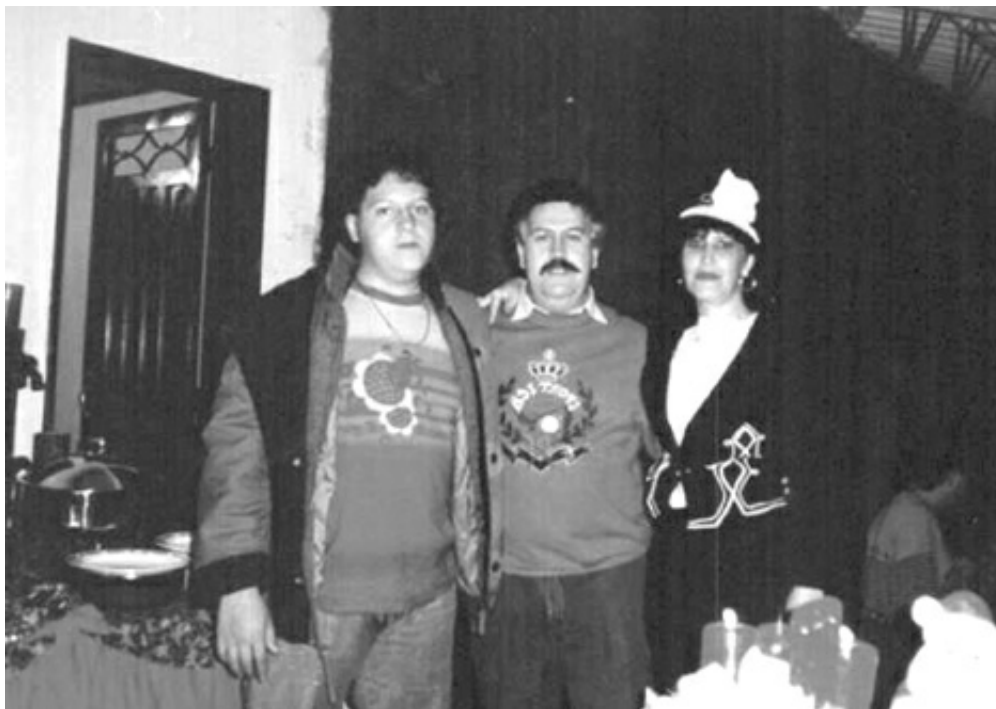
Pablo występował przeciwko polityce uległości wobec Stanów Zjednoczonych, a zwłaszcza przeciwko ustawie dopuszczającej ekstradycję szefów karteli narkotykowych do Ameryki. Na zdjęciu - jeden z wieców protestacyjnych.



Pablo zawsze chętnie rozmawiał z prasą. W rzeczy samej zginął, odpowiadając na pytania jednego z niemieckich czasopism. Na zdjęciu z 1984 roku Pablo udziela wywiadu jako deputowany do Kongresu.



Zdjęcie rodzinne w Katedrze, rok 1992. Ja (z lewej) obejmuję córkę Laurę. Nie nosiliśmy więziennych drelichów, tylko własne ubrania.



Pablo w Katedrze w 1992 roku z synem Juanem Pablem i naszą siostrą Gloria.



Chociaż władze i wrogowie stale na nas czyhali, w roku 1989 Pablo wydał huczne przyjęcie w Napoles z okazji dwunastych urodzin swojego syna Juana Pabla. Na zdjęciu Pablo z córeczką Manuelą i naszą mamą.



Ja z żoną Pabla Marią Victorią w roku 1987. Trudno
uwierzyć, że mimo trwającej obławy żyło nam się
całkiem nieźle.



Rok 1986, spotkanie towarzyskie. Mężczyzna z wąsami to nasz kuzyn Gustavo, który założył interes z Pablem i był z nim od początku do końca.



Tito Domínguez ze swoją sławną oswojoną pumą.
Wabiła się T.C. - Top Cat.



Ja z pucharem zdobyтым w czasie Kolumbijskiego Wyścigu Górskiego w roku 1966.



A to rok 1965. Jadę w wyścigowym peletonie tuż za moim przyjacielem Jose Momenem.



A tu jako siedemnastolatek w roku 1965 pomagam mistrzowi świata Martinowi Cochise Rodriguezowi.



Finisz wyścigu Halaixt Colombian Tour w roku 1967.



Pablo pomógł wybudować ponad osiemset boisk piłkarskich, wszystkie z oświetleniem, trybunami i zapleczem. Na zdjęciu - otwarcie boiska w La Paz.



Oto jak wyglądam obecnie.

1. DEA - Drug Enforcement Administration - amerykańska agencja zajmująca się walką z nielegalnym handlem narkotykami (przyp. red.).
2. Kryptonim US Army Intelligence Support Activity - jednostki wsparcia amerykańskich oddziałów specjalnych, zajmującej się rozpoznaniem operacyjnym. Kryptonim zmieniany jest co pewien czas, więc ta sama jednostka występowała także pod nazwami takimi jak: Tom Victor, Cemetery Wind oraz Gray Fox (przyp. tłum.).
3. Akronim hiszpańskiej nazwy *Perseguidos por Pablo Escobar*, „Prześladowani przez Pabla Escobara” (przyp. tłum.).